



Karen
Kingsbury

PO TEJ STRONIE
NIEBA

Karen Kingsbury

PO TEJ STRONIE NIEBA

Tłumaczenie: Paweł Kopycki

Annie Warren zawsze pragnęła tego, co najlepsze dla swojego syna, Josha. Jednak oddalenie między nimi, znacznie powiększające się od dnia, w którym Josh uległ wypadkowi, rozdzierało jej serce. Josh, niezdolny do wykonywania pracy, odłożył plany życiowe na później i czeka, aż towarzystwo ubezpieczeniowe przyzna mu odszkodowanie. Wtedy pojawia się intrygantka, która twierdzi, że mają siedmioletnią córkę o imieniu Savannah. O dziwo, Josh marzy o byciu ojcem i jest zdeterminowany pewnego dnia wystąpić o prawo opieki nad dziewczynką. Gdy przyznanie odszkodowania słusznie należącego się Joshowi staje się zagrożone, jego matka postanawia mu pomóc. Wtedy odkrywa skarb cenniejszy niż pieniądze, tajemnicę, która jest największym darem, jaki syn mógłby jej ofiarować - PO TEJ STRONIE NIEBA.



Dedykacja

Do Donalda, mojego królewicza z bajki

Raduję się całym sercem, że znów zostałeś trenerem i że możesz wykorzystywać swój talent dydaktyczny, dzieląc się swoimi niesamowitymi wprost umiejętnościami koszykarskimi z kolejnym pokoleniem młodych ludzi. A jeszcze cudowniejsze jest to, że trenujesz teraz także naszych chłopców. Czyż nie o tym zawsze marzyliśmy, mój kochany? Cieszę się, że tym razem to ja jestem w cieniu i mogę patrzeć, jak Ty i Bóg razem pracujecie nad rozwojem naszych synów. Zawsze tutaj będę, zawsze będę siedzieć na trybunach i oklaskiwać Ciebie i Twoją drużynę. Na szczęście Bóg nauczył mnie, jak być żoną trenera, okazując mi w ten sposób tyle dobra. To naprawdę fantastyczne, że znów - po dwudziestu latach małżeństwa - możesz trenować drużynę uniwersytecką. Aż trudno uwierzyć, że kiedy to czytasz, właśnie obchodzimy dwudziestą rocznicę ślubu. Patrząc na Ciebie i wciąż widzę tego chłopaka o blond włosach i niebieskich oczach, który przyjeżdżał rowerem do mojego domu i przed randką w kinie czytał ze mną Biblię. Wtedy byłeś blisko mnie i teraz też stoisz przy mnie, gdy potrzebuję Cię bardziej niż kiedykolwiek. Kocham Cię, mój mężu, mój najlepszy przyjacielu, mój

królewiczu z bajki. Bądź blisko mnie. Razem patrzmy, jak nasze dzieci rozwijają skrzydła i powoli od nas odlatują, cieszymy się każdym wspomnieniem i każdym wspólnym dniem. Zawsze i zawsze... Życie z Tobą jest cudowne, mój kochany. Modlę się, żeby tak było jeszcze bardzo długo, aż w końcu się zestarzejemy. Ale do tego odległego jeszcze czasu będę się Tobą radować, nie zawsze wiedząc, gdzie ja się kończę, a Ty zaczynasz. Kocham Cię zawsze i na zawsze.

Do Kelsey, mojej najdroższej córki

Masz już dziewiętnaście lat, młoda kobieto, i kiedy widzę, kim jesteś, kim się stałaś, moje serce przepełnia radość. Ten rok jest dla nas cudowny, bo choć jesteś już na wyższej uczelni i prawie każdego dnia spędzasz mnóstwo czasu w studiu tańca, to wciąż mieszkasz z nami w naszym domu. Kiedy akurat nie tańczysz, pomagasz mi w różnych sprawach związanych z moją służbą pisarską, możemy więc spędzać razem wiele cudownych godzin. Wiem, że to nie będzie trwać wiecznie, czas bowiem płynie bardzo szybko, ale tak bardzo się tym cieszę. I choć ukończyłaś już szkołę średnią, wciąż jesteśmy sobie takie bliskie, jesteś moją przyjaciółką. Tak pozostanie na zawsze, choć Ty, moja cudowna córeczko, powędrujesz tam, dokąd zaprowadzą Cię Twoje marzenia, i wybierzesz te drzwi przyszłości, które otworzy Ci Bóg. Kochanie, każdego dnia stajesz się coraz piękniejsza, nie tylko fizycznie, lecz także wewnątrz, w swoim sercu. I wiedz, że zawsze wysoko sobie cenię nasze rozmowy, to, że mówisz mi o swoich nadzie-

jach i marzeniach. Niemal wyczuwam plany, jakie ma dla Ciebie Bóg, bardzo dobre plany. Modlę się, żebyś mocno trzymała Go za rękę, kiedy będzie Cię do nich prowadził. Kocham Cię, córeczko.

Do Tylera, mojej pięknej pieśni

Nie mogę się doczekać tego wszystkiego, co przyniesie Ci ten rok szkolny, mój kochany synu. W ubiegłym roku byłeś jednym z braci Józefa, zagrałeś też Troya Boltona i Kapitana Hooka. Stajesz się coraz lepszym aktorem i coraz piękniej śpiewasz. W tym roku trafisz do nowej szkoły średniej, gdzie Bóg wciąż będzie kształtował Cię na lidera, bo, jak sądzę, właśnie tego dla Ciebie pragnie. Twoje ostatnie świadectwo z samymi szóstkami pokazało, na co naprawdę Cię stać, i muszę Ci wyznać, że chyba już nie mogłabym być bardziej dumna. Domyślam się, że nie było Ci łatwo patrzeć, jak Kelsey kończy szkołę średnią - wiedziałeś że już niebawem być może będziesz musiał się rozstać z Twoją najlepszą przyjaciółką. Ale chcę, abyś wiedział także, że wszystko będzie dobrze i bez względu na to, gdzie Bóg poprowadzi Was w przyszłości, ta głęboka i trwała relacja, jaką tutaj udało się Wam nawiązać, przetrwa. Dziękuję za te godziny pełne muzyki i śpiewu. Skoro jesteś już w drugiej klasie, zaczynam sobie uświadamiać, jak szybko mija czas. Postanawiam więc sobie, że za każdym razem, gdy usłyszę, jak śpiewasz, zatrzymam się i posłucham Cię trochę dłużej niż zwykle. Jestem z Ciebie dumna, Tylerze, z tego młodego mężczyzny, którym się stajesz. Jestem dumna z Twojego talentu i współczucia,

jakie masz dla ludzi, i z miejsca, jakie zajmujesz w naszej rodzinie. A gdy coraz pełniej będą realizować się Twoje marzenia, ja będę siedzieć tuż przy scenie, w pierwszym rzędzie, i patrzeć, jak to się dzieje. Trzymaj się Jezusa, synu. Kocham Cię.

Do Seana, mojego szczęśliwego słoneczka

Dzisiaj wróciłeś ze szkoły do domu i z błyszczącymi oczyma pokazałeś mi swój zeszyt do biologii - wszystko bardzo starannie wykonane, ładnie napisane zdania, kolorowe rysunki przedstawiające białe i czerwone krwinki, różne kości i bakterie. Byłam pod ogromnym wrażeniem każdej strony, gdzie było widać, ile czasu musiałeś poświęcić tej pracy, aby wykonać to wszystko na takim poziomie. Razem śmialiśmy się z tego, że żadne z nas dwojga nie darzy przesadną miłością nauk ścisłych, lecz mimo to ważne jest, żeby uczyć się także tych przedmiotów, jeśli chcemy dać z siebie wszystko. Uśmiechnąłeś się tym swoim rozbajającym uśmiechem i powiedziałeś: „Zaczekaj, aż zobaczysz, jak robi to Josh - jego rysunki będą dużo ładniejsze”. Nie zauważyłeś tego wtedy, ale bardzo poruszył mnie ton Twojego głosu. Nie byłeś zazdrosny ani przybity tą świadomością, że gdy Josh będzie w tej samej klasie, w której Ty jesteś teraz, prawdopodobnie narysuje te wszystkie elementy jeszcze staranniej i dokładniej. Byłeś jedynie szczęśliwy, że wykonałeś swoją pracę najlepiej jak potrafiłeś, i że mógłbyś postawić sobie szóstkę, po prostu byłeś z siebie dumny. Uwielbiam to w Tobie, Sean. Tak łatwo mógłbyś przecież wpaść w stan przygnębienia,

będąc w cieniu Twego brata - chłopaka, który wyróżnia się w tylu różnych obszarach. Ale Ty też się wyróżniasz, mój drogi synu. W sposób szczególny błyszczysz pośród nas dzięki pełnemu szczęścia sercu i ogromnej miłości do życia i do innych ludzi, dzięki Twojej nieustannej radości. Sean, Ty najlepiej z nas wszystkich wiesz, w jaki sposób wnosić radość i uśmiech do naszej rodziny, nawet w najbardziej szarych codziennych chwilach, a ostatnio dużo radości sprawiasz nam stopniami, jakie dostajesz w szkole. Modłę się, żeby Bóg wykorzystał Twojego radosnego ducha, Twoje pozytywne nastawienie do wszystkiego, aby zawsze przemieniać życie ludzi wokół Ciebie. Jesteś dla nas najcenniejszym darem, synu. Wciąż się uśmiechaj i nieustannie szukaj tego, czego pragnie dla Ciebie Bóg. Kocham Cię, kochanie.

Do Josha, mojego perfekcjonisty o czułym sercu

W końcu to zrobiłeś! Wygrałeś ze mną w ping-ponga i wcale mnie to nie dziwi. Bóg obdarował Cię tyloma wspaniałymi talentami, dał Ci także umiejętność pracowania nad nimi z taką niesamowitą determinacją, jaką rzadko się spotyka u ludzi w Twoim wieku. Niezależnie od tego, czy grasz w futbol, czy w piłkę nożną, ćwiczysz na bieżni czy też sprzątasz pokój, dążysz do perfekcji we wszystkim, co robisz, zmagając się ze swoimi ograniczeniami. Musisz na nowo odkryć to, że dary i talenty, które nosisz w sobie, należą do Boga, a nie do Ciebie. Musisz wiedzieć, że doskonałość nie jest osiągalna dla nas, ale jedynie dla Boga. Mimo to moje serce rozrywa dumą

z powodu tego młodego mężczyzny, którym się stajesz. Po jednym z Twoich ostatnich turniejów piłki nożnej któraś z mam powiedziała coś, co zapamiętam na zawsze. „Josh jest takim niesamowitym przywódcą” - stwierdziła. „Nawet kiedy nie wie o tym, że patrzą na niego inni rodzice, zawsze daje dobry przykład swoim kolegom”. Dla mnie oczywiście najwspanialsze jest to, że przed meczem przypominasz kolegom o modlitwie. W ten sposób Ty i Twoi bracia dajecie tutaj, w stanie Waszyngton, niesamowite świadectwo! Masz przed sobą nieograniczoną, cudowną przyszłość, Josh. Zawsze będę oklaskiwać Cię z trybun. Miej w życiu Boga na pierwszym miejscu. Zawsze Cię Kocham.

Do EJ, mojego wybranego dziecka

Zacząłeś już siódmą klasę i z trudem rozpoznaję tego tak dojrzałego sportowca, jakim się stałeś. Tamte dwa lata nauki w domu pod okiem taty spowodowały, że zbierasz teraz obfite żniwo. To, co zostało zasiane, przynosi stokrotne plony i chyba już bardziej nie moglibyśmy być z Ciebie dumni. Lecz nie tylko wspaniałe oceny, jakie uzyskujesz teraz w szkole, sprawiają, że Twoja obecność w naszej rodzinie jest dla nas ogromnym błogosławieństwem. Składa się na to wiele powodów. Jesteś cudowny dla naszych zwierzątek - zawsze ruszasz jako pierwszy, żeby je karmić i głaskać, czy po prostu zwracać na nie uwagę i opiekować się nimi. Kiedy stają przed nami domowe obowiązki, chętnie się zgłaszasz, żeby je wykonać. Poza tym, tak świetnie potrafisz nas rozśmieszać -
czasa-

mi śmiejemy się naprawdę głośno. Zawsze uważałam, że z uśmiechem łatwiej mierzyć się z codziennymi trudnościami i wyzwaniem życia, i dziękuję Ci, że potrafisz wносить go do naszego domu. Jesteś wspaniałym chłopcem, synu, młodzieńcem o takim ogromnym potencjale. Było to takie widoczne choćby wówczas, gdy podczas któregoś z ostatnich eliminacyjnych meczów piłki nożnej strzeliłeś aż trzy gole. Jestem szczerze zdumiona, że posiadasz aż tyle talentów, lecz wszystkie one bledną przy Twoim ogromnym pragnieniu życia dla Boga. Już nie mogę się doczekać przyszłości, EJ, bo Bóg przygotował dla Ciebie wspaniałe plany, a my chcemy być pierwsi, aby pogratulować Ci, kiedy je odkryjesz. Dzięki za Twoje ofiarne serce, EJ. Tak bardzo cię kocham.

Do Austina, mojego cudownego dziecka

Uśmiecham się na wspomnienie Twoich sukcesów w grze w bejsbol w ubiegłym sezonie. Nie raz, ale aż trzy razy - wszystkie dla dziadka - udało Ci się uderzyć piłkę tak mocno, że zdażyłeś zaliczyć wszystkie cztery bazy. Czuję, jak z radości drży mi serce, gdy myślę o tym, co się wydarzyło po drugim z tych niesamowitych przypadków, kiedy zaliczałeś poszczególne bazy, przyjmując jednocześnie gratulacje od całej Twojej drużyny. Gdy w końcu szedłeś w stronę ławki, kilku Twoich kolegów rzuciło się na Ciebie i zaczęło Cię obejmować. „Powiedz, Austin, jak to zrobiłeś? Jak udało Ci się tak uderzyć piłkę?” - pytali. Wtedy uśmiechnąłeś się, wzruszyłeś ramionami i odparłeś: „To proste. Poprosiłem Boga o siłę, żebym potra-

fił uderzyć piłkę znacznie lepiej, niż mógłbym to zrobić bez Niego". Dziadek musiał być wówczas niewymownie szczęśliwy, Austinie. Jestem tego pewna. Nie wiem tylko, czy kiedykolwiek przestanę za nim tak bardzo tęsknić. Mogę Ci tylko powiedzieć, że ja także kocham ten czas, który spędzamy na wspólnych rozmowach. Uwielbiam też te chwile, kiedy gramy ze sobą - tylko we dwójkę - na boisku do koszykówki. Jesteś moim najmłodszym i zarazem ostatnim dzieckiem, Austinie. Staram się zachować w pamięci każdą wspólną chwilę. Dzięki za to, że dajesz mi tyle powodów, żebym mogła cieszyć się dniem dzisiejszym. Dziękuję Bogu za Ciebie, za cud Twojego życia. Kocham Cię, Austinie.

I do Boga Wszchemogącego, Autora Życia

Dziękuję, że obdarowałaś mnie nimi.

Podziękowania

Pewnego wieczoru, gdy właśnie kończyłam pisanie tej książki, do mojego łóżka wczołgał się Austin, położył się obok mnie i spojrzał na ekran mojego laptopa. „Wiesz co, mam? - zaczął. - Od jakiegoś czasu chciałem cię zapytać o pisanie książek. Mam kilka pytań”. Uśmiechnęłam się do niego i spytałam, co chciałby wiedzieć. „Chodzi mi o okładki twoich książek. Są takie piękne, takie kolorowe, z takimi ładnymi obrazkami, czy to ty je robisz? Czy to ty robisz te okładki?”.

Pokręciłam przecząco głową. „Nie, stary - odparłam - nie mam nic wspólnego z tymi okładkami, naprawdę. Wydawca ma wspaniałych grafików. Oni zajmują się tworzeniem okładek”. Przez kilka sekund wyglądał na lekko rozczarowanego. Lecz nagle jego oczy rozjaśniły się. „Już wiem - powiedział - ty robisz te książki w środku, piszesz litery tak równiutko, rysujesz te wzorki, dzięki którym tak ładnie wyglądają pierwsze strony rozdziałów”. Skrzywił się, lekko skonsternowany. „To ty to robisz, prawda?”

- dopytywał.

Znów pokręciłam głową. „Nie, kochanie. Tak naprawdę to w wydawnictwie pracują graficy, którzy odpowiadają za to, że książka tak ładnie wygląda w środku” - wy-

jaśniłam mu. Uśmiechnęłam się, lekko zażenowana. „To właśnie oni to robią”.

Zwiesił głowę, lecz po krótkiej chwili jego brwi uniosły się optymistycznie. „A co z księgarniami? Czy to ty dostarczasz te książki do księgarni, żeby stały na półkach i czekały tam na ludzi?”.

Wyraźnie czując, że znów go rozczarowuję, pokręciłam głową i uśmiechając się nieznacznie, odparłam: „Nie, Austinie, tego też nie robię ja. To w wydawnictwie jest dział sprzedaży, gdzie pracują ludzie, którzy zajmują się dostarczaniem książek do księgarni. Potem inni ludzie, pracujący w księgarniach, otwierają pudełka z książkami i ustawiają je na półkach. Ja w tym nie uczestniczę”.

Zszedł z łóżka i zanim odszedł, wzruszył ramionami i stwierdził: „To wcale nie robisz dużo”.

Austin miał rację. Nie powstałaby ta książka bez wspaniałego zespołu utalentowanych ludzi, dzięki którym było to możliwe. Dlatego chciałabym w sposób szczególny podziękować moim przyjaciółom z grupy wydawniczej Faith Words and Center Street, których zbiorowy wysiłek doprowadził do ukazania się powieści „Po tej stronie nieba”. Specjalne podziękowania składam mojej oddanej redaktorce, Anne Horach, która często zachęcała mnie, żebym podjęła się napisania tej opowieści, bez względu na to, jaki trud miałby być związany z jej powstaniem.

Dziękuję także mojemu niesamowitemu, agentowi, Rickowi Christianowi, prezesowi Alive Communications. Rick, Ty zawsze we mnie wierzyłeś. Kiedy wytyczamy sobie cele na przyszłość, Ty zawsze podkreślasz, że możemy

osiągnąć znacznie więcej, niż potrafię sobie wyobrazić. Jesteś znakomitym menedżerem i chciałabym, abyś wiedział, że dziękuję Bogu za Ciebie. Lecz pomimo tego, jak wiele robisz dla służby, którą staram się pełnić jako pisarka, jestem podwójnie wdzięczna za Waszą modlitwę. Fakt, że Ty i Debbie modlicie się za mnie i za moją rodzinę, napędza mnie co rano ufnością, że Bóg będzie nieustannie wprowadzał w życie te historie, które noszę w sercu. Dziękuję Ci za to, że jesteś dla mnie kimś dużo więcej niż tylko wspaniałym agentem.

Specjalne podziękowania należą się mojemu mężowi, który musi mnie znosić, co jest szczególnie uciążliwe, kiedy zbliża się termin oddania mojej kolejnej książki, i nie buntuje się, gdy po skończonym meczu koszykówki zajeżdża z dziećmi do baru szybkiej obsługi, aby coś zjeść, kiedy ja piszę przez cały dzień. Ten szalony bieg nie byłby możliwy bez Ciebie, Donaldzie. Twoja miłość pozwala mi pisać, Twoja modlitwa dodaje mi wiary w to, że Bóg pragnie tej mojej służby. Dzięki za te godziny, które poświęcasz prowadzeniu księgi gości na mojej stronie internetowej. Zawsze czekam z niecierpliwością na tę chwilę dnia, kiedy dzielisz się ze mną tym, co nowego się w niej pojawiło, by potem udostępnić to innym za pośrednictwem internetu, i kiedy modlimy się razem we wszystkich intencjach, które zgłaszają moi Czytelnicy. Dziękuję Ci, kochanie. Dziękuję też moim dzieciom za tak wspaniałe współdziałanie ze sobą, za mrożoną zieloną herbatę, którą mi stale przynoszą, i za ich wyrozumiałość wobec mojego, czasami zwariowanego, harmonogramu pracy.

Kocham Was i wiedzcie o tym, że wciąż jesteście ważniejsi od jakichkolwiek terminów.

Składam także podziękowania mojej mamie, Anne Kingsbury, i moim siostram: Tricii, Sue i Lynne. Mamo, jesteś niesamowita w tym, co robisz. Bardzo mi pomagasz, czytając całymi dniami wiadomości od moich Czytelników. Wysoko sobie cenię Twoją pracę, bardziej, niż sądzisz.

Tricio, jesteś najlepszą asystentką, jaką mogłabym sobie wymarzyć. Jestem Ci niewymownie wdzięczna za Twoją pracę, nawet nie wiesz, jak bardzo. Cenię sobie Twoją lojalność i uczciwość. Odpowiada mi sposób, w jaki przedstawiasz mi poszczególne sprawy, pytając o moje zdanie; dotyczy to również fantastycznych zmian, jakie wprowadzasz na mojej stronie internetowej. Od kiedy się tym zajęłaś, ta strona całkowicie się odmieniła, na czym tak bardzo skorzystali Czytelnicy moich powieści, którzy otrzymali wiele wskazówek, jak wzrastać w wierze. Chciałabym, abyś wiedziała, że modłę się o to, by Bóg zawsze Ci błogosławił za Twoje oddanie i wyjątkową pomoc, jakiej mi udzielasz na obecnym etapie mojej pracy. Modłę się za Twojego cudownego syna, Andrew. A czyż ten czas nie jest wspaniały także dla naszej wzajemnej relacji? Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra!

Sue, uważam, że jesteś niesamowitą doradczynią! Do Twojego domu, który jest niestety tak bardzo oddalony od mojego, codziennie przychodzą sterty listów od moich Czytelników, na które sumiennie odpowiadasz z pomocą Bożej mądrości i Jego Słowa. Kiedy Czytelnicy otrzymują

list od „Susan, siostry Karen”, mam nadzieję, że wiedzą, jak bardzo modliłaś się za nich i za odpowiedź, którą dostają od Ciebie. Dziękuję, że z taką miłością i zaangażowaniem zajmujesz się tym, co robisz, Sue. Masz ogromny dar do prowadzenia innych do Boga i cieszę się, że mogę Cię mieć „na pokładzie”.

Składam także specjalne podziękowania Willowi Montgomeryemu, mojemu „drogowemu” menedżerowi. Z wielu powodów obawiałam się sprzedawania moich książek podczas spotkań z Czytelnikami. Po pierwsze, nigdy nie chciałam zarabiać na sprzedaży książek podczas spotkań z Czytelnikami, a po drugie, nigdy nie miałam czasu, żeby zająć się organizacją takich spotkań. Kiedy Ty się zjawileś, pomogłeś mi uporać się z tym wszystkim. Z dewizą „kochać i służyć Czytelnikom” pomogłeś mi dotrzeć z książkami do dziesiątków tysięcy Czytelników podczas spotkań, które odbyły się na obszarze całego kraju. A nawet stało się coś jeszcze ważniejszego - zostałeś moim przyjacielem, kimś niezwykle ważnym w mojej służbie pisania przemieniających życie powieści. Jesteś lojalny, dobry i niesamowicie dbasz o mnie i o moją rodzinę, a także o pracę, jaką wyznaczył mi Bóg. Dziękuję za wszystko, co robisz, i proszę Cię: rób to dalej.

Dziękuję też Oldze Kalachik, pomagającej mi przygotowywać nasz dom do różnych spotkań, które regularnie się w nim odbywają. Jestem Ci bardzo wdzięczna za to wszystko, co robisz, żebym mogła spokojnie pisać. Jesteś cudowna, Olgo. Modlę się, żeby Bóg wciąż błogosławił Tobie i Twojej wspaniałej rodzinie.

Chcę także podziękować przyjaciołom związanym ze stowarzyszeniem Extraordinary Women: Royowi Morganowi, Julie i Timowi Clintonom, Beth Cleveland oraz dziewczynom, które są teraz w trasie objazdowej po kraju, a także wszystkim innym. Jak to cudownie być częścią tego, co Bóg czyni poprzez Was wszystkich! Dziękuję, że przyjęliście mnie do Waszej rodziny.

Dziękuję także moim starym przyjaciołom i rodzinie, tym, którzy zjawiają się u naszego boku, kiedy tylko ich potrzebujemy. Wasza miłość zawsze była dla nas ogromnym oparciem, pomagała nam przejść przez różne etapy życia i pozwalała doświadczyć niesamowitej radości z Waszej obecności pośród nas.

A najbardziej dziękuję Bogu. Ten dar pochodzi od Ciebie. Modłę się, abym mogła wykorzystywać go przez lata i abym robiła to w taki sposób, który przyniesie Ci uwielbienie i chwałę.

Na zawsze w powieści

Składam specjalne podziękowania Gayle Flynn, która wygrała aukcję „Na zawsze w powieści” zorganizowaną w siedzibie organizacji Florida Solve Maternity Homes. Julie postanowiła uhonorować swojego

pięćdziesięciosiedmioletniego męża, Thomasa Flynna, przez wymienienie go w powieści. Thomas jest adwokatem pomagającym osobom z obrażeniami ciała. Odgrywa ważną rolę w społeczności lokalnej i ma wielu przyjaciół. Jest bardzo prawym i głęboko wierzącym człowiekiem. On i Gayle są małżeństwem od trzydziestu siedmiu lat i mają troje dorosłych dzieci, z którymi uwielbiają spędzać wakacje w swoim domku letniskowym w miejscowości Kaukaska w stanie Michigan.

Thomas zbiera przedmioty należące kiedyś do północnoamerykańskich Indian, lubi grać w ping-ponga, polować i łapać ryby. Lubi także czytać beletrystykę, a zwłaszcza moje powieści. Angażuje się w wiele inicjatyw dobroczynnych, lecz najbardziej stara się służyć organizacji Florida Solve Maternity Homes i jest w jej zarządzie. Wiara pełni kluczową rolę w życiu Thomasa i jego rodziny. Tęskni on też za takim czasem, który oboje z żoną mogliby spędzić razem, podróżując na Karaiby albo do Australii.

Na początku swojej kariery zawodowej Thomas pracował w opiece społecznej, a potem zaabsorbowała go praca w organizacji Home Repair Services - przedsięwzięciu wspierającym mieszkańców stanu Michigan, którym nie powodzi się najlepiej. Thomas uwielbia prace stolarskie i podglądanie życia ptaków. Kiedy jeździ z rodziną na górny półwysep stanu Michigan, stara się oddawać obu tym pasjom. Ponadto Thomas lubi spędzać czas przy automatach do gry i grać dla zabawy w karty. Wierzy też w cuda.

W powieści „Po tej stronie nieba” bohater o takim samym imieniu i nazwisku jest pobożnym adwokatem pomagającym osobom z obrażeniami ciała. To on wyraźnie pokazuje, jak ogromną pomoc mogą otrzymać osoby z poważnymi obrażeniami ciała, kiedy są reprezentowane w sądzie przez głęboko wierzących ludzi. Tak jak to zawsze bywało w przypadku inicjatywy „Na zawsze w powieści”, Thomas Flynn jest zmyśloną postacią, tylko trochę podobną do prawdziwego Thomasa Flynna.

Mam nadzieję, że Gayle uzna za właściwe uhonorowanie jej męża, Thomasa, poprzez umieszczenie postaci o podobnym imieniu i nazwisku w powieści „Po tej stronie nieba”, i że zawsze będzie dostrzegać jakąś część Thomasa, kiedy zobaczy jego imię i nazwisko na stronach tej książki, gdzie będzie on „Na zawsze w powieści”.

Tych zaś, którym nie jest jeszcze znana inicjatywa „Na zawsze w powieści”, chciałabym poinformować, że jest to mój sposób zaproponowania Wam, Czytelnikom moich powieści, zbierania pieniędzy na cele dobroczynne. W odpowiedzi na ten apel na aukcjach dobroczynnych

na terenie całego kraju zostało już zebranych ponad sto tysięcy dolarów. Jeśli jesteście zainteresowani otrzymaniem pakietu „Na zawsze w powieści”, aby wystawić go na własnej aukcji, skontaktujcie się z moją asystentką, Tri-cią Kingsbury, pisząc na adres Kingsburydesk@aol.com. Wiadomość proszę zatytułować „Forever in Fiction”. Chciałabym zaznaczyć, że corocznie jestem w stanie przekazać w ten sposób ograniczoną liczbę pakietów. Z tego powodu wyznaczyłam za każdy z nich dość wysoką stawkę minimalną. Dzięki temu maksymalna ilość środków zostanie zebrana i przeznaczona na cele dobroczynne.

Na zakończenie chciałabym dodać, że otrzymujemy setki próśb związanych z tą inicjatywą i oczywiście nie wszystkie mogą być spełnione. Mimo to pragnę podkreślić, że z największym zainteresowaniem czytam o tych ważnych dla Was osobach, które chcielibyście umieścić „Na zawsze w powieści”.

...dla Alyssy

„Jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamyślam co do was — wyrocznia Pana — zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, zapewnić wam przyszłość, jakiej oczekujecie”.

Księga Jeremiasza 29, 11

Ból był jak prawdziwy, żyjący i oddychający demon, wbijający swe szpony głęboko w ciało i grożący, że nie da za wygraną, dopóki śmierć nie wypowie swego ostatniego słowa. Lecz choć piekł go każdy krąg i paliło każde ścięgno pleców, choć czuł się jak więzień własnego ciała, choć wiedział, że ostatnie tchnienie przyniosłoby mu całkowitą ulgę, tej zimnej, jesiennej nocy Josh Warren był pewien jednej rzeczy.

Nie chciał umierać.

Josh kurczowo chwycił się blatu kuchennego w swoim ciasnym mieszkaniu i zerknął na zegar. Było już po północy - dość wcześnie, biorąc pod uwagę jego ostatnie dni. Miał załzawione oczy i próbował coś zrobić, żeby lepiej widzieć. Problemem były lekarstwa: nie wiedział, czy zażył podwójną dawkę o dziesiątej, czy może wcześniej, o szóstej. Pochylił się, wspierając się na rękach, i próbował zrobić pełny oddech. Trzy razy szybko wciągnął powietrze, lecz miał wrażenie, że posłuchała go tylko jakaś niewielka część płuc. Miał dwadzieścia osiem lat, lecz jego ciało reagowało tak, jakby był przynajmniej dwukrotnie starszy.

- Boże — szepnął przez zaciśnięte zęby, a słowo to ledwie dało się słyszeć w jego niewielkiej kuchni. - Nie wytrzymam tego. Nie wytrzymam...

Trzy lata. Tyle to wszystko już trwało. Bohater - tak na niego mówiono. Uratował życie dwóm nastoletnim dziewczynom. Lecz gdzie teraz są ekipy telewizyjne, dziennikarze i operatorzy kamer? Teraz, gdy każda godzina jest walką o przetrwanie.

Zacisnął mocniej dłonie na brzegu blatu kuchennego; trzęsły mu się ręce, a płuca pracowały z trudem w rozpaczliwym wysiłku utrzymywania demona na dystans. Znów zrobił szybki wdech, po czym opadła mu głowa. Długo stał w ten sposób, pragnąc jedynie, aby ból ustąpił. Lecz zanim poczuł jakąkolwiek ulgę, spadła mu na dłoń kropla chłodnej wody. Ściągnął brwi i przez chwilę zastanawiał się, czy na górze znów zepsuła się rura tak jak przed miesiącem, gdy zamroczenie bólem i OxyContinem było tak silne, że nie zauważył awarii, dopóki mały strumyczek wody nie zaczął sączyć się z otynkowanego sufitu.

Kolejna. Przetarł dłoń, gdy spadła na nią trzecia kropla, i w tej samej chwili dotarło do niego, skąd się one biorą. Podniósł palce do czoła i poczuł warstewkę potu. Nie był zaskoczony. Pocił się - jego ciało reagowało na ból, gasząc trawiący go od środka ogień w jedyny znany sobie sposób. Wierzchem dłoni przetarł czoło i rozejrzał się.

Nieważne, kiedy zażył ostatnią dawkę. Potrzebował więcej środków przeciwbólowych i musiał je wziąć natychmiast. Próbował się wyprostować, lecz demon ciążył mu potwornie na ramionach, pochylając go mocno do

przodu, gdy człapał w stronę szafki kuchennej. Chwycił buteleczkę i przez moment szarpał się z zakrętką, zanim wytrząsnął na dłoń jedną tabletkę. Jedna tabletką z pewnością mu nie zaszkodzi. Połknął ją natychmiast, popijając łykiem wody prosto z kranu.

W końcu przyjdzie sen, tak jak zawsze w końcu przychodził.

Ale wcześniej musiał znaleźć Carę Truman. Josh podszedł do komputera stojącego na biurku przy ścianie w jadalni. Przyciągnął sobie krzesło i opadł na nie. Nawet wówczas nie poczuł ulgi. Siedzenie jeszcze wzmogło ból w dolnej części pleców. Zmrużył oczy, zalogował się na Facebooku i otworzył okienko wiadomości - to, gdzie mógł znaleźć Carę. Osobiście nigdy się z nią nie spotka - tego był prawie pewien.

Jeśli kiedykolwiek uda mu się znaleźć jakiś sposób na uwolnienie się od tego potwornego bólu, zatelefonuje najpierw do Becky Wheaton, do Becky, w której kochał się od piętnastego roku życia. Słyszał od kilku ich wspólnych znajomych ze szkoły średniej, że jej zaręczyny zostały zerwane i że znów nie była z nikim związana. Myślał o niej przez cały czas, lecz nie mógł do niej zatelefonować. Nie mógł tego zrobić, dopóki nie będzie cały i zdrowy, dopóki nie odniesie sukcesu, a jego życie się nie ustabilizuje - dopóki nie stanie się takim facetem, na jakiego zasługiwała.

Becky będzie musiała zaczekać. Teraz, gdy żadna ilość tabletek i snu nie była w stanie przegnać z jego ciała tego nieustannego bólu, gdy pełne niepokoju telefony od jego

rodziców i siostry nie przynosiły ulgi, zawsze pozostawała mu Cara.

Znała go lepiej niż ktokolwiek inny, ponieważ znała jego historię. Całą jego historię. Nawet tę część o jego malutkiej dziewczynce na drugim krańcu kraju, tej, o której istnieniu nikt inny nie miał pojęcia. Późnymi wieczorami - tak jak teraz - za pośrednictwem niewidzialnych łączy cyberprzestrzeni mógł dzielić się z Carą każdym obłędnym szczegółem tych wszystkich historii, które składały się na jego życie. I z biegiem czasu Cara ofiarowała mu rzadki i bezcenny dar - dar, który dawał mu siłę do walki z demonem.

Cara mu wierzyła.

Przejrzał listę znajomych, z którymi utrzymywał kontakt on-line, i odnalazł jej nazwisko. Ustawił dłonie nad klawiaturą i próbował opanować ich drzenie, pisząc pierwsze słowa: *Hej, to ja... jesteś tam?*

Upłynęło pół minuty i zobaczył, że jego sąsiad, Carl Joseph Gunner, załczył mu kilka nowych zdjęć. Kliknął na album i po raz pierwszy tego wieczoru się uśmiechnął. Carl Joseph i jego dziewczyna, Daisy, mieli zespół Downa. Wraz z innymi współlokatorami mieszkali w osobnych mieszkaniach w sąsiednim budynku i oboje byli bardzo niezależni, oboje pracowali i potrafili załatwiać różne swoje sprawy, korzystając samodzielnie z komunikacji miejskiej.

Zdjęcia zostały zrobione przez Carla Josepha, kiedy ostatnio wpadł do niego z Daisy. Carl Joseph nauczył się korzystać z samowyzwalacza swojego aparatu fotograficznego, zatem zdjęcia ukazywały Carla Josepha, Daisy

i Josha stojących na tle jego telewizora, lodówki i drzwi balkonowych - każde z nich miało na twarzy taki sam szelmowski uśmiech. Josh wystukał szybkie podziękowanie dla Carla Josepha i w tym samym momencie otrzymał odpowiedź od Cary.

Odeszłam na chwilę, ale już jestem z powrotem - napisała.

Josh poprawił się na krześle, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję. *Nie mogę spać. Miałem nadzieję, że jeszcze się nie położyłaś* - wystukał. Cara mieszkała w Phoenix i pracowała na popołudniowe zmiany w centrum przetwarzania danych. Zwykle nie kładła się przed drugą w nocy.

Jej następna wiadomość pojawiła się w dolnym okienku na ekranie jego komputera. *Zastanawiałam się któregoś dnia, dlaczego jeszcze się nie spotkaliśmy* - pisała. *Co ja bym bez ciebie zrobiła?*

Josh uśmiechnął się i przesunął palce nad klawiaturę. *Cieszę się, że nigdy nie będziemy musieli na to odpowiadać* - odpisał. *Wygląda na to, że gra w pokera on-line przydała się na coś. Nawet jeśli przegrałaś...*

Konwersacja nabrała tempa. *Lotta jeszcze raczkuje w pokerze* - pisała - *a ty grałeś tak, jakbyś ciągle miał pokera królewskiego.*

Josh poczuł, jak dobrze zrobił mu ten komplement. Odchylił się do tyłu na winylowym krześle i trochę rozluźnił. *Dzięki, skarbie* - zareagował niemal natychmiast. *Cieszę się, że nie poprzestaliśmy na pokerze.*

Dokądkolwiek nas to zaprowadzi - napisała.

To prawda - odpowiedział Josh, uśmiechając się pod nosem. *Dokądkolwiek nas to zaprowadzi. Hej, rozmawia-*

lem wczoraj z Keithem. Znow zeszli się z żoną... wszystko jest dobrze.

Naprawdę??? Tak się cieszę!! Widzisz, J... Gdzie on by teraz był bez ciebie?

Josh poczuł ciepło jej słów w samym środku swej duszy. Keith był jego najlepszym przyjacielem od czasów szkoły podstawowej, lecz przed dziesięcioma laty przeprowadził się do Ohio. Wciąż utrzymywali ze sobą kontakt i Keith czasami grywał z nim on-line w pokera. Dlatego znała go Cara.

Nastąpiła pauza w konwersacji, a potem w okienku pojawiła się następna wiadomość od niej: *Jak twoje plecy?*

Bolą jak diabli... porozmawiajmy o czymś innym. W następnym tygodniu znow idę do sądu. Zeznawać?

Tak. Mój adwokat mówi, że to powinien być ostatni raz.

Jejku! To znaczy, że ugoda jest blisko! A potem będziesz mógł ruszyć po swoją córkę!

Josh przeczytał tę linijkę trzy razy, zanim jego palce zaczęły poruszać się po klawiaturze. *Właśnie dlatego chciałem dziś wieczorem z tobą pogadać- wyznał.*

Dlaczego?

Bo dzięki tobie ona staje się realną osobą. Moja malutka dziewczynka.

Ona jest realna - odpisała natychmiast. Josh odczytał oburzenie w jej wiadomości. W najbliższych dniach jedziesz przejąć nad nią opiekę, po prostu to wiem.

Na samą myśl o takiej możliwości Josh poczuł, jak po rękach przeszły mu dreszcze. *Częściową opiekę. Ale i tak nie mógłbym wyobrazić sobie czegoś lepszego* — napisał.

Ona jest szczęściarą, J... Żałuję, że moje dzieci nie mają takiego taty jak ty.

Josh spojrział na ten ostatni fragment. Za każdym razem, gdy prowadzili tego typu konwersację, nie dawała mu spokoju pewna myśl: może źle robi, trwając w postanowieniu, aby się z nią nie spotykać? Becky prawdopodobnie już i tak bardzo się zmieniła. Skoro on i Cara tak dobrze się dogadują, dlaczego po prostu nie przenieść ich relacji z cyberprzestrzeni do Phoenix? Albo do Colorado Springs? Cara samotnie wychowywała dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Jej mąż był wobec niej agresywny, przed trzema laty wyprowadził się i związał się z kimś innym. Cara znalazła pewną pociechę w grze w pokera on-line, w ludziach, którzy nie mogli jej uderzyć, a jednocześnie mogli udawać, że są tacy, jakimi chcieli być.

Dwa lata wcześniej Josh i Cara - „Pani Niezależna” - nawiązali kontakt on-line i pewnego dnia napisała coś, co dobrze zapamiętał. W okienku przeznaczonym na komentarze do gry zamieściła zdanie: *Gram on-line, bo moje prawdziwe życie jest w zawieszeniu.*

Dokładnie tak samo czuł się Josh. W dniu wypadku zaplątał się w pajęczynę zeznań, rozpraw sądowych i spotkań z adwokatem, i czekał na odszkodowanie. Od tamtej pory całe jego życie stało się jednym wielkim oczekiwaniem.

Oczekiwaniem na to, że ból pleców ustanie.

Oczekiwaniem na wyrok w procesie przeciwko towarzystwu ubezpieczeniowemu tego pijanego kierowcy.

Oczekiwaniem na szansę odniesienia sukcesu, aby móc wreszcie zatelefonować do Becky Wheaton i powiedzieć jej, że wciąż ją kocha.

Oczekiwaniem na przysługujące mu pieniądze, aby móc oddać dług rodzicom, kupić dom i przejść badanie na ustalenie ojcostwa, aby wreszcie udowodnić całemu światu to, co on sam dobrze wiedział: że Savannah jest jego córką.

Na ekranie pojawiła się kolejna wiadomość: *Nic nie piszesz. Co sobie myślisz?*

Josh poczuł w sercu jakieś szarpnięcie. *Jak to się dzieje, że ty jesteś tam, a ja tutaj?* - spytał.

Tak... - odpisała. *Ja też czasami się nad tym zastanawiam.*

Zwykle, gdy dotykali sprawy przeniesienia ich relacji na inny poziom, nagle jedno z nich zmieniał temat, nim taka możliwość zaczęła być rozważana na serio. Lecz teraz, o pierwszej w nocy, siedząc samotnie w dusznym mieszkaniu, pamiętając cały czas o procesie i zdając sobie sprawę z tego, że z każdym dniem ugoda jest coraz bliżej, Josh poczuł, że nie może się powstrzymać. *No dobrze — jego palce skakały szybko po klawiaturze. A tak poważnie, dlaczego nie przerwiemy całej tej pisaniny i nie znajdziemy jakiegoś sposobu, żeby móc spotykać się osobiście?*

Josh zawahał się i poczuł, jak przyspiesza mu serce. Może nie powinien był tego pisać. Może to, że ze sobą korespondują, jest wszystkim, na co ona może sobie pozwo-

lić. Jeśli tak, to trudno. Poza tym - zawsze będzie kochał Becky i winien jest im obojgu dowiedzieć się, czy Becky nie czuje do niego tego samego. Oczywiście będzie mógł się o tym przekonać dopiero wówczas, gdy odniesie jakiś sukces. A jeśli nie, jeśli bardzo się już zmieniła - może Cara jest tą kobietą, którą powinien kochać. *No dalej, Caro...* - pomyślał. Zamknął oczy i przypomniały mu się słowa piosenki, którą ostatnio słyszał. „Mogę sobie tylko wyobrazić... jak to będzie...”. *Boże, proszę... przemów do jej serca. Jeśli ona jest tą osobą, z którą powinienem dzielić życie, to proszę...*

Otworzył oczy w chwili, gdy na ekranie ukazała się kolejna wiadomość: *Jesteś dla mnie zbyt dobry, J. Wiesz o tym.*

Z kogo ty sobie żartujesz?... Naprawdę mam szczęście, że jestem twoim przyjacielem.

Nastąpiła kolejna pauza, tym razem krótsza niż poprzednio. *Opowiedz mi jeszcze raz o Bogu; o sobie i o Nim* - poprosiła.

Poczuł rozczarowanie, bo naprawdę chciał porozmawiać o nich, o ich przyszłości. Przełknął ślinę. Woląla zmienić temat, ale przynajmniej chciała rozmawiać o jego wierze, którą ostatnio odnalazł. Wciąż czuł ból, wciąż siedział samotnie w tanim mieszkaniu, lecz w ciągu ostatnich sześciu tygodni jego życie się odmieniło. Teraz cieszył się, że Cara chce o tym rozmawiać.

Odetchnął i zaczął pisać: *Sam nie wiem; to takie dziwne. Moja rodzina od zawsze mówiła mi o Bogu, ale chyba musiałem odkryć Go sam.*

Jak to było... no wiesz, kiedy usłyszałeś tę piosenkę i zrozumiałeś, że Bóg mówi do ciebie?

Josh znów się uśmiechnął. W ciągu ostatnich sześciu tygodni odpowiadał na to pytanie przynajmniej pięć razy, lecz miał wrażenie, że Cara naprawdę chciała to zrozumieć.

Zaczął przebierać palcami po klawiaturze, tym razem szybciej. *Sam nie wiem - pisał - to było tak, jakby Bóg mówił wprost do mojego serca. Powiedział mi, że tak naprawdę to nie czekałem ani na odszkodowanie, ani na okazję zobaczenia Savannah, ani na następny etap mojego życia. Tak naprawdę to czekałem na Niego. To było tak, jakby On mnie wzywał i jeśli chciałem naprawdę żyć, musiałem Mu w końcu odpowiedzieć. No wiesz, coś mi mówiło: przestań przed Nim uciekać i powiedz Mu swoje „tak”.*

Uwielbiam to - odpisała i zawahała się na chwilę. *Mogę wyznać ci pewien sekret?*

Zawsze - padła jego szybka odpowiedź. Miał ochotę przytulić ją, położyć jej ręce na ramionach i głęboko spojrzeć w jej niebieskie oczy. Zamiast tego kliknął na jej imię w okienku wiadomości i ta informacja natychmiast znalazła się w jej profilu na Facebooku. Miała krótkie brązowe włosy i wąską twarz. Nie była zbyt wysoka ani wysportowana, ani też uderzająco piękna. Twierdziła, że ma nadwagę. Lecz to, co tak bardzo mu się w niej podobało, to jej uśmiech. Uśmiech Cary miał w sobie coś takiego, że Josh nie mógł przestać o niej myśleć.

Po chwili pojawiła się wiadomość od niej: *Rozmawiam z Bogiem.*

On-line? - napisał i rozśmieszył go własny żart.

Nie, ty głuptasie. W moim sercu. Kiedy patrzę przez okno na letnie niebo albo gdy nad Phoenix przechodzi monsun i na ulicy przed moim blokiem tańczą błyskawice.

Powoli przeczytał jej wiadomość. *Powinnaś być pisarką*
- odpowiedział.

Poważnie, J. Zmieniłeś mnie, zmieniła mnie twoja opowieść o Bogu. Myślę, że On mnie także wzywa. W tę niedzielę zabieram dzieci do kościoła.

Josh uniósł brwi. *Poważnie?* - spytał. W tym czasie, kiedy ją znał, Cara była przeciwna wierze i Bogu, a także czytaniu Pisma Świętego. Nigdy tak naprawdę nie odsłoniła się i nie ujawniła, dlaczego, lecz na Facebooku podawała, że jest agnostykiem. „Nie zainteresowanym wiarą”

- jak napisała. To uległo zmianie w ciągu ostatnich kilku tygodni i powodem tego musiała być opowieść Josha o Wynonnie, o usłyszeniu Boga i o uświadomieniu sobie, że przez cały ten czas uciekał.

Całkiem poważnie. A zatem może tej niedzieli pójde do kościoła i nagle wszystko się ułoży... i ty dostaniesz swoje odszkodowanie, kupisz dom w Scottsdale i zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi. .. a potem... a potem, kto wie... Prawda, ... może właśnie tak się wszystko ułoży.

Poczuł, jak mocniej zabiło mu serce. *Właśnie-* nie wiedział, czy powinien tak jej odpisać, lecz nie potrafił się powstrzymać. *Może właśnie tak się wszystko ułoży i może wydarzy się jeszcze więcej.*

A więc... czy czujesz się już lepiej? ©

Położył ręce na udach i wpatrywał się w ekran. Nie uświadamiał sobie tego, dopóki o to nie zapytała, ale na-

prawdę czuł się lepiej. *Wiesz co?* - napisał szybko. *Moje plecy nie bolą już tak jak przedtem. Widzisz, wiedziałam. Co wiedziałaś?*

Że dobrze na ciebie wpływam. To prawda. Bardzo dobrze. I wiesz co, J. ?

Poczuł się prawie tak, jakby siedziała teraz przed nim. *Co?* - spytał.

Ty też masz na mnie bardzo dobry wpływ. I to chyba tyle na dziś.

Wszystko, co przed chwilą napisała, nagle wydało mu się niczym więcej niż tylko nedorzecznym marzeniem czy zwykłą fantazją. Strasznie chciało mu się palić; miał wrażenie, że byłby w stanie przejść pięć kilometrów, aby zdobyć choćby jednego papierosa. *Tak* - napisał. *To tyle na dziś.*

Zakończyli pisanie i przed wyłączeniem komputera Josh sprawdził jeszcze kilka profili swoich przyjaciół z sieci. Potem wstał i poczuł ból, lecz nie przeszywał go tak mocno jak jeszcze przed godziną. Przeszedł przez salon i podszedł do wąskiego drewnianego gzymsu nad kominkiem elektrycznym. Stały tam najcenniejsze dla niego zdjęcia. Jedno z nich przedstawiało jego i jego rodzinę, kiedy jeszcze chodził do szkoły średniej i całe życie rozciągało się przed nim jak rzeka niczym nie ograniczonych możliwości. Obok znajdowała się fotografia ukazująca dwie dziewczyny - ta, która została opublikowana w gazecie po wypadku. Ostatnie zdjęcie przedstawiało Savannah i zo-

stało zrobione trzy lata wcześniej, kiedy mała miała cztery lata. Maria wysłała mu je, bo myślała, że będzie co miesiąc przekazywał tysiące dolarów na wychowanie dziecka.

Lecz Josh nie miał takich pieniędzy, jeszcze ich nie miał, a kilka miesięcy po przysłaniu mu tego zdjęcia Maria wyjechała. Od tej pory nie odbierała telefonów od niego i nie przysłała mu żadnej innej fotografii.

Josh zerknął na zdjęcie. *Proszę, Boże... miej ją w swojej opiece. Tak bardzo chcę być jej tatą* - pomodlił się.

W jego duszy nie padła jednak żadna odpowiedź; nie usłyszał ani mocnego głosu, ani cichego szeptu. Lecz przebiegł mu przez myśl pewien werset z Biblii, ten, o którym mówił pastor w ostatnią niedzielę. Poszedł z Carlem Josephem i Daisy do kościoła, tego samego, do którego uczęszczali brat Carla Josepha, Cody, i jego żona, Elle. Kazanie poświęcone było wytrwałości - nawet wówczas, gdy zdaje się, że nie ma żadnej nadziei. Był to werset pięćdziesiąty z Psalmu 119.

W moim ucisku to pociechą dla mnie, że Twoja mowa obdarza mnie życiem.

Josh dotknął ramki, w której znajdowała się fotografia Savannah. *Dziękuję, Boże... czuję Twoją pociechę* - pomodlił się. W ciągu ostatnich kilku tygodni nic nie przemówiło do Josha mocniej niż te kilka słów z jednego wersetu z Biblii. Prowadził dziennik dla Savannah i ostatnim razem napisał jej o Piśmie Świętym. Co z tego, że nieustannie bolały go plecy albo że lekarze nie byli pewni, czy pomoże mu operacja? Co z tego, że podczas przesłuchań w nadchodzących tygodniach adwokaci pracujący dla to-

warzystwa ubezpieczeniowego z pewnością będą starać się za wszelką cenę podrzeć na strzepy jego zeznania?

Pomimo tego wszystkiego Słowo Boże podtrzymywało go na duchu.

Po raz ostatni Josh spojrzął na zdjęcia stojące na gzymsie, potem odwrócił się i poszedł powoli przez krótki przedpokój do sypialni. Szedł trochę bardziej wyprostowany niż wcześniej. To niesamowite, jakie wsparcie potrafi dać prawdziwy przyjaciel. Żadna ilość środków przeciwbólowych nie była w stanie w pełni uśmierzyć bólu pleców i uczucia palenia wzdłuż kręgosłupa. Lecz po godzinnej konwersacji z Carą czuł, że życie znów jest możliwe, i znów mógł przetrwać kolejny dzień.

Na samym początku korespondencja bardzo ich męczyła, bo gdy pisali do siebie szczerze, wyraźnie widzieli, jak trudne życie ma każde z nich. Lecz teraz - teraz ona była pełna nadziei, życia i otuchy, a Josh uświadomił sobie, że mógł być tylko jeden powód tego: jego nowa nadzieja przelewała się do jej życia. I było to coś, co powodowało, że czuł się potrzebny, tak jakby miał jakiś cel.

Gdy skończył myć zęby, uśmiechnął się na wspomnienie ich rozmowy. Dzisiejszej nocy wyszli na paluszkach z bezpiecznych ram okienka wiadomości i stanęli na krótką chwilę na balkonie, z którego roztaczał się znacznie rozleglejszy widok. Kiedy Josh wreszcie się położył do łóżka i próbował znaleźć - niemal nieosiągalną - względnie wygodną pozycję, gdy błagał Boga, by trzymał z daleka od niego tego demona ogromnego, nieznośnego bólu, i kiedy wreszcie ogarnął go sen, w jego myślach wciąż znajdowała

się Cara. I wówczas uświadomił sobie coś jeszcze. Przez cały ten czas Słowo Boże podtrzymywało na duchu nie tylko jego. Ono podtrzymywało na duchu ich oboje.

Annie Warren wyjęła z zabudowanej lodówki marki Sub-Zero sernik na zimno z malinami, położyła go na granitowym blacie, pokroiła na kawałki i rozłożyła na kilku porcelanowych talerzykach. To był ten sam rodzaj sernika, jaki podała na ostatnim przyjęciu dwa tygodnie temu. Wówczas okazał się ogromnym hitem. Tym razem miała jeszcze w lodówce zapas tego ciasta, tak na wszelki wypadek. W okamgnieniu ustawiła talerzyki na tacy, którą następnie pewnie ujęła w dłonie.

- Potrzebujesz pomocy? - spytał jej mąż, Nate, wychodząc zza rogu z dwiema filiżankami po kawie. Postawił je przy zlewie i powiedział: - Oni tam są głodni.

- Nie, dzięki - odparła. Czowała znużenie, kiedy uśmiechała się, przechodząc obok niego w drodze do jadalni. Rzuciła przez ramię szybkie spojrzenie za siebie. - Może sprawdź kawę. Bo to chyba dzięki tym ludziom wszystkie kawiarnie Starbucks w Colorado Springs mają co robić.

Śmiech Nate'a był cichy i dyskretny, stłumiony odgłosami pocierania metalu o metal, jakie powstają przy wykręcaniu sitka z ekspresu do kawy. Annie otworzyła sobie podwójne drzwi, napierając na nie ramieniem, a na jej

ustach ponownie zagościł wyćwiczony uśmiech, ten charakterystyczny uśmiech, jaki zawsze miała na twarzy, gdy podejmowali goście - a ponieważ Nate był członkiem Komisji Oświaty Stanu Kolorado, Warrenowie przyjmowali gości przynajmniej raz w miesiącu.

Tego wieczoru gościli bibliotekarzy. Nate zamierzał ubiegać się za rok o reelekcję i chciał mieć bibliotekarzy po swojej stronie. Komisja Oświaty obradowała co miesiąc, a skoro jej działania bezpośrednio dotyczyły bibliotekarzy, Nate chciał dać im jasny przekaz: jestem przyjacielem bibliotek publicznych. Dlatego koniecznie należało poczęstować ich tym właśnie sernikiem.

Annie położyła tacę obok dwóch prawie pustych srebrnych dzbanków z gorącą kawą.

- Mówiłam ci - powiedziała Babette, bibliotekarka z placówki położonej w północnej części miasta, prowadząc swoją koleżankę w stronę stołu z deserami. - To jest ten sernik z cukierni Marigolds, prawda? - upewniła się, uśmiechając się do Annie.

- Tak - przyznała Annie, robiąc krok do tyłu i odsuwając się od stołu. Dobrze, że kupiła dwa ciasta. - To był pomysł Nate'a. Przykazał mi: „Tylko najlepsze rzeczy dla bibliotekarzy” - oznajmiła. Gdy wypowiedziała te słowa, natychmiast przypomniała sobie, jak mówiła je w ubiegłym tygodniu o związku zawodowym nauczycieli: „Tylko najlepsze...”.

Babette była chuda jak patyk, lecz Annie nigdy nie widziała, żeby bibliotekarka zjadła podczas jakiegokolwiek przyjęcia mniej niż trzy desery. Teraz nałożyła sobie pierwszy

kawałek. - Najlepszy sernik w mieście, tyle chciałam powiedzieć - stwierdziła. Gdy Babette zrobiła kilka kroków w stronę Annie, do stołu z deserami podeszli także inni bibliotekarze. - A zatem... - zaczęła kobieta, odwracając się plecami do pozostałych. - Któregoś dnia myślałam sobie o Joshu. On już chyba dobiega trzydziestki, prawda? - spytała. - Bo zaczęłam liczyć i wyszło mi, że w czerwcu minęło dokładnie dziesięć lat, odkąd obaj z Blakiem skończyli szkołę.

- Prawda - przyznała Annie, czując ucisk w żołądku. Wyprostowała się i dodała: - Dziesięć lat, podobnie jak Blake.

Babette ugryzła szybko trzy kęsy i połknęła je na raz. - Blake jest teraz na stażu, czy mówiłam ci już o tym? - spytała. Któregoś dnia wpadł w szpitalu na Becky Wheaton. Ona jest teraz terapeutką - piękna dziewczyna. Ona była kiedyś dziewczyną Josha, kiedyś... prawda?

- Tak, była - przyznała Annie, z trudem uśmiechając się przez cały czas. - Dawno nie rozmawiali ze sobą.

- Blake mówi, że chyba zaprosi ją na kawę. Tak po prostu, żeby odświeżyć znajomość - oznajmiła, po czym pomachała ręką w powietrzu, jakby zboczyła z głównego wątku rozmowy.

- W każdym razie Blake jest najlepszym stażystą. Mówiłam ci, gdzie on jest, prawda?

- W szpitalu Świętego Antoniego w Denver.

- Tak - potwierdziła, unosząc w górę widelec. - Jest w nim tyle determinacji, że aż martwię się o niego. Ledwie znajduje czas na cokolwiek innego poza nauką. Jego wykładowcy uważają, że zostanie chirurgiem, zanim skończy trzydzieści dwa lata. To chyba nieźle?

- Nieźle - przyznała Annie.

- Becky Wheaton też tak myśli. Blake powiedział, że ona jest pod dużym wrażeniem jego osiągnięć.

Becky Wheaton nigdy nie pokocha nikogo tak, jak kochała Josha - powiedziała do siebie w duchu Annie. Nalała sobie filiżankę kawy. Potrzebowała jej, żeby przetrwać ten wieczór. Gdy postawiła ją na spodeczku, znów spojrzała na Babette. - Musisz być dumna - powiedziała.

- Jestem - odparła natychmiast bibliotekarka. - Miałam na myśli to, że mój syn zawsze miał w sobie tyle determinacji, no wiesz? Nauka, sporty, klub dyskusyjny. Łatwiej wymienić, czego nie robił.

- Z pewnością. Taki właśnie jest Blake.

Nastąpiła nieprzyjemna pauza. Była to taka znajoma pauza wyraźnie zapowiadająca to, co miało nadejść za chwilę. Babette zjadła tymczasem resztę sernika. - Tak jak mówiłam, myślałam sobie o Joshu i... A właściwie to jak on się czuje? Chodzi mi o to, czy doszedł już do siebie po tym wypadku? - spytała.

- Och, czuje się już świetnie - odparła bez wahania Annie, dając swej rozmówczyni dobrze przećwiczoną odpowiedź. - Przechodzi rehabilitację ze względu na swoje plecy i robi ogromne postępy. Mówi o założeniu własnej firmy, gdy już dostanie odszkodowanie powypadkowe.

Kobieta uśmiechnęła się protekcyjnie. - To właśnie Josh, jakiego pamiętam - stwierdziła. - Zawsze taki zaradny. I ta wasza Lindsay - też zawsze była taka bystra. Któregoś dnia zobaczyłam w gazecie jeden z jej artykułów i powiedziałam do siebie: „Ta Lindsay pewnego dnia bę-

dzie miała swoje książki w naszej bibliotece". Ona jest już prawie pisarką - dodała i zrobiła pauzę, żeby nabrać powietrza. - Otóż okazuje się - ciągnęła - że dziewczyny są często bardziej ambitne od swoich braci. Czytałam o tym artykuł w „Cosmopolitan” i przerwałam nagle, i pomyślałam o tym wszystkich przypadkach, gdy to okazało się prawdą. Dziewczyny odnoszące większe sukcesy niż ich bracia i ci bracia nigdy tak naprawdę...

- Babette, przepraszam cię - przerwała jej Annie, podnosząc rękę do góry. Nie była w stanie wytrzymać ani minuty dłużej. - Muszę pokroić drugi sernik. Nate nie chce, żeby jego przyjaciele bibliotekarze wyszli stąd głodni - wyjaśniła, odwróciła się w stronę kuchni i pociągnęła duży łyk kawy. - Mogę cię przeprosić?

- Oczywiście. Idź, idź - zgodziła się Babette, odwracając się w stronę talerza z deserem. - Jeśli jeszcze ktoś z was nie próbował tego sernika, lepiej, żeby zrobił to od razu. To najlepszy sernik w mieście.

Annie poczekała, aż podwójne drzwi zatrzasną się za nią, po czym natychmiast oparła się o wolnostojący barek na środku kuchni. *Dlaczego oni muszą o to pytać?* - pomyślała przygnębiona. *Boże drogi, czy nie wystarczy, że wszyscy wiedzą o niepowodzeniach Josha? Czy oni muszą kazać mi opowiadać o szczegółach?*

Rozmowy takie jak ta z Babette powodowały, że czuła się, jakby przez cały czas musiała tłumaczyć się za Josha. Lecz prawda była taka, że nie powinna za wszelką cenę stawać w jego obronie. Żałowała, że podczas takich przyjęć z udziałem ludzi, którzy znali ich życie, nie miała

odwagi spojrzeć prosto w oczy takiej osobie jak Babette i powiedzieć: „Josh zmaga się z życiem. Przeprowadził się tutaj z Denver i mieszka w wynajętym małym i tanim mieszkaniu. Jest uzależniony od leków przeciwbólowych, próbuje pozbyć się prawie dwudziestu kilogramów nadwagi, a dni schodzą mu na oczekiwaniu na telefon od jego adwokata, który ma go poinformować, kiedy wreszcie dostanie czek z kwotą odszkodowania. Ale nawet wówczas prawdopodobnie przez resztę życia będzie mu towarzyszył chroniczny ból”.

Czuła ogromny ciężar na sercu. Zwiesiła głowę, starając się nie słyszeć odgłosu rozmów dochodzącego z sąsiedniego pokoju.

A miał taki potencjał, miał przed sobą tyle dróg, na których mógłby odnieść sukces. Jej najdroższe i zarazem najmłodsze dziecko, jej jedyny syn. Lecz najgłębszych prawd Annie sama nie chciała dopuścić do swojej świadomości, a co dopiero mówić o nich znajomym. Josh świadomie obrał taką drogę. Porzucił wiarę, w której został wychowany, i dokonał złych wyborów, jednego za drugim.

A teraz płacił za to swoim życiem, które nieustannie spędzało Annie sen z powiek.

Nagle wyczuła, że ktoś za nią stoi, i poczuła dotknięcie w ramię. - Annie? - usłyszała za sobą.

W obecności Nate'a nie musiała udawać swojego uśmiechu szczęśliwej pani domu. Odwróciła się i próbowała zaczerpnąć siły od niego, spoglądając mu prosto w oczy. - Babette Long doprowadza mnie do szaleństwa - wyjaśniła.

- Ciebie? — powiedział lekko żartobliwym tonem, całując ją w czoło. - Ja codziennie dostaję e-maile od tej kobiety, informujące mnie na bieżąco o potrzebach bibliotek publicznych.

Z wyczerpania Annie przestawała już nad sobą panować. - Nie zazdroszczę ci - rzuciła krótko.

- Co ona zrobiła?

Jej oczy złagodniały. - Spytała o Josha - odparła.

Nate przyglądał się jej przez chwilę, potem podszedł do lodówki i wyjął z niej drugi sernik. - Nie każdy, kto pyta o Josha, próbuje cię zdenerwować - stwierdził, kładąc ciasto na blacie obok noża. - Wiesz o tym, prawda?

- A jak powinnam się czuć? - spytała, starając się nie podnosić głosu. - Ta kobieta opowiada mi o Blake'u i niby się upewniając, pyta: „Czy Blake i Josh nie kończyli razem szkoły?”. A potem chwali się tym, jak Blake świetnie sobie radzi na medycynie.

W oczach Nate'a pojawił się jakiś głębszy ból i przez chwilę widać było, jak ostatnie lata pełne smutku i cierpienia odbiły się w zmarszczkach wokół jego oczu i bruzdach na jego czole. - Mądrze zrobiłaś, że od niej odeszłaś - stwierdził. Pokroił sernik i wziął następnych dwanaście talerzyków. - Zanieśmy to tam. Pójdą sobie, kiedy zjedzą deser.

Nate miał rację nie tylko w sprawie deseru. Annie trzymała się z dala od Babette przez resztę wieczoru, chodząc wkoło gości i zabawiając ich - tak jak zwykła robić zawsze. Takie było ich życie, a Nate potrzebował poparcia każdego z bibliotekarzy pracujących w mieście. Taki był

cel dzisiejszego wieczoru, powód, dla którego w to letnie popołudnie pojechała do cukierni Marigolds po dwa serniki z malinami, zamiast pospacerować po okolicy lub zagrać z Nate'em w tenisa, albo usiąść wygodnie na ich przestronnym tarasie i obserwować jelenie pasące się w zagajniku za domem.

„Ponowny wybór wcale nie jest jeszcze przesądzony - przypominał jej często Nate - a wpływowa pozycja wiąże się z pewnymi obowiązkami”.

Annie dobrze znała swoje zadanie. Chodziła po pokoju, mówiąc każdej grupie bibliotekarzy to samo: „Nate czuje się zobowiązany do tego, żeby przedkładać komisji wasze potrzeby” albo „Nate'owi zawsze leżało na sercu dobro bibliotek publicznych”. Nate faktycznie bardzo chciał być członkiem Komisji Oświaty, ale gdyby uważnie przyjrzała się sobie samej, gdyby przyłożyła szkło powiększające do swego serca, musiałaby przyznać, że jej też na tym zależy. I choć jej mąż musiał co miesiąc jeździć do Denver, prestiż, jaki im obojgu zapewniała jego pozycja, wynagradzał wszelkie niedogodności związane z pracą w komisji.

Jeśli ludzie będą widzieć ich wysiłki podejmowane w celu wygrania kolejnych wyborów, jeśli będą patrzeć na nich jak na część elity społecznej Colorado Springs, wówczas nie będą tak wyraźnie dostrzegać faktu, że Josh naprawdę niewiele robi ze swoim życiem. Przynajmniej Annie tak sobie to wszystko tłumaczyła.

Przyjęcie dobiegło końca i Annie poszła do kuchni. Mimo szumu wody leżącej z kranu wody słyszała, jak

Nate żegna się z ostatnimi bibliotekarzami. - Zwiększenie budżetu na nowe książki - mówił jej mąż - właśnie ten temat poruszę na najbliższym spotkaniu.

Annie przewróciła oczyma, a potem poczuła jakiś niesmak związany z tym, co robią. Obietnica Nate'a nie była pusta. Jej mąż naprawdę dbał o bibliotekarzy i biblioteki publiczne, i o to, aby Colorado Springs mogło śmiało konkurować z innymi miejscowościami w stanie czy nawet z innymi rozwijającymi się miastami w kraju, biorąc pod uwagę poziom oświaty i wyniki uzyskiwane przez uczniów.

I choć nawet podczas takich wieczorów jak dzisiejszy przez cały czas myślała tylko o Joshu, starała się wyglądać jak najlepiej - jak plastikowe serniki w oknie wystawowym cukierni Marigolds.

W końcu usłyszała, że drzwi się zamkają, a potem nastąpiła cisza. Cudowna, urzekająca, błoga cisza. Nate przyszedł do kuchni, chwycił ściereczkę do wycierania naczyń i podszedł do niej z lewej strony. Czowała, jak się odprężyła i rozluźniła - wypuszczając tę dodatkową ilość powietrza, którą przetrzymywał w płucach przez cały wieczór. - Chyba dobrze poszło - stwierdził.

- Tak - przyznała, nie patrząc na niego. Nie chciała myśleć o bibliotekarzach już ani minuty dłużej. - Tak, kochanie, bardzo dobrze.

Nate wytarł w milczeniu kilka sztuków. Potem odwrócił się do niej w taki sposób jak zawsze, gdy miał jej do powiedzenia coś ważnego. - Nie każde dziecko musi zostać lekarzem, prawnikiem czy pisarzem - stwierdził, a jego

głos zdradzał napięcie. - Nie każdy musi być gwiazdą, Annie. Dotyczy to tak samo małej ligi, jak i życia w ogóle. Co oznacza, że Josh wcale nie jest nieudacznikiem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała, próbując uniknąć kłótni. Wiedziała, że nie zajdą daleko, jeśli pozwolą, aby podzieliło ich rozczarowanie związane z Joshem.

- Sam nie wiem, czuję się winny - wyrzucił w górę ręce, a potem oparł się plecami o blat. - Co by się stało, gdyby on usłyszał, jak teraz rozmawiamy o nim w taki sposób? Jak by się czuł, gdyby wiedział, że jesteśmy nim rozczarowani?

- Nie jestem rozczarowana - zaprotestowała. Nienawidziła tego słowa, nienawidziła kategoryczności, jaka się z nim wiązała. Odwróciła się tyłem do zlewu pełnego naczyń. - Martwię się o niego i jest mi strasznie przykro z jego powodu, bo nie prosił się o to, żeby potracił go tamten samochód - powiedziała łamiącym się głosem. - Lindsay wyrabia sobie nazwisko w gazecie, a co robi Josh? Siedzi beczynnie w swoim mieszkaniu, uzależniony od leków przeciwbólowych - zazgrzytała zębami. - Cierpię z jego powodu, bo gdyby nie ten wypadek, to kto wie, co on by teraz robił - wyznała. Poczowała, jak ogarnia ją i tłamsi jakiś bezsens. Rzuciła gąbkę do zlewu i chwyciła mocno brzeg blatu. - To nie jest rozczarowanie, Nate. To tylko... Dlaczego ta kobieta musiała mówić w taki sposób, jakby Josh był jakimś nieudacznikiem, kiedy on ma dopiero dwadzieścia osiem lat?

- Annie - powiedział Nate łagodniej niż wcześniej, kładąc rękę na jej ramieniu. - To nic złego, że czujesz rozcza-

rowanie - dodał. Zanim zdążyła odpowiedzieć, rzucił jej ostatnie spojrzenie, podniósł jeden z czystych już dzbanków i zaczął go wycierać. Rozmowa była zakończona.

Annie przyglądała mu się jeszcze przez chwilę. W przeszłości w takich momentach jak ten być może dalej by mówiła - żeby postawić na swoim, żeby to do niej należało ostatnie słowo. Ale już dawno się nauczyła, że nie ma sensu dalej ciągnąć dialogu, który został właśnie zakończony. Była to jedna z tych oczywistych sytuacji w ich małżeństwie - takich jak wspólne wyjście na kolację w sytuacji, gdy wracał z pracy i zastawał ją zwiniętą na krześle i czytającą jakąś nową powieść lub zagubioną w lekturze Biblii, albo jak papierowa torba domu towarowego Nordstrom wypełniona jej sukienkami i stojąca przy drzwiach wejściowych oznaczała, że zamierzała zawieźć je do pralni.

W milczeniu skończyli zmywać naczynia. Przed pójściem do sypialni Nate podszedł do Annie i pocałował ją w policzek. - Kocham cię - szepnął jej do ucha. - Z Joshem wszystko będzie dobrze.

- Mam taką nadzieję - odparła, nie czując złości na niego. Na obecnym etapie życia potrzebowali się nawzajem bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Nate zgarbił się, a jego postawa świadczyła jedynie o tym, że jemu też trudno przyznać się do porażki. - Josh to dobry chłopak - powiedział, ledwie się uśmiechając. - Niektóre dzieci potrzebują jedynie trochę więcej czasu, to wszystko.

Annie pokiwała głową i spojrzała na pusty zlew. - Będziemy się za niego modlić - stwierdziła.

- Tak - przyznał, jeszcze raz dotknął jej ramienia i wyszedł.

Czekała i nasłuchiwała, jak idzie po pokrytej płytkami podłodze, potem miękko stąpa po dywanie, a wreszcie wspina się po schodach na górę do ich pokoju. Wytarła dłonie i poszła do salonu. Podeszła do biblioteczki z książkami ustawionej obok pianina, na której stało kilka oprawionych w ramki zdjęć. Spojrzała na nie, a potem sięgnęła po największe z nich, znajdujące się na środkowej półce - to przedstawiające Lindsay i Josha chodzących wówczas do szkoły średniej. Już wtedy Lindsay była niższa od brata, chodziła do ostatniej klasy, a w jej oczach widać było tę charakterystyczną dla niej pewność siebie.

Annie spojrzała uważnie na Josha, na jego oczy. Miał ten szelmowski uśmiech, ten, który często można było spotkać na jego twarzy, gdy chodził jeszcze do szkoły średniej. Wyglądał tak, jakby nie obchodziło go na całym świecie nic oprócz przyjaźni z Lindsay. Odkąd nauczył się raczkować, zawsze patrzył za nią, gonił za nią i promieniał radością, gdy tylko zwróciła na niego uwagę.

Annie uśmiechnęła się, patrząc na zdjęcie, na którym jej dzieci obejmowały się wzajemnie za szyje. Ich przyjaźń zawsze była wzajemna - Lindsay uwielbiała Josha i postrzegała jako osobiste źródło rozrywki. Podczas gdy ona uczyła się bardzo sumiennie i z najlepszymi ocenami przechodziła z klasy do klasy, Josh był mniej pilny. Zawsze potrafił rozśmieszyć siostrę, niezależnie od tego, jakie testy i prace musiała zaliczyć. I aż do ostatniej klasy szkoły średniej Josh jakby szedł po śladach Lindsay, prowadząc

księgę pamiątkową klasy, pisząc do gazety i ucząc się prawie na samych szóstkach.

Lecz potem nadszedł ten rok, gdy Lindsay zakochała się w Larrym, przez co znajdowała już mniej czasu dla Josha. On miał oczywiście Becky Wheaton - rozgarniętą, inteligentną i piękną dziewczynę, która była wpatrzona w niego jak w obrazek. Odkąd poznali się na początku drugiej klasy, stali się nierozłączni. Josh kochał ją jak jeszcze nikogo w życiu i nawet mówił, że po studiach się z nią ożeni. Lecz gdy ona odnosiła jeden sukces za drugim, Josh zaczął brnąć w tarapaty. Pił alkohol z kumplami z drużyny bejsbolowej i w ostatniej klasie został wyrzucony z zespołu. Potem zerwali ze sobą i choć rozpoczął dwuletnią wyższą uczelnię, w końcu przestał interesować się nauką. Gdy zamiast kontynuować studia, postanowił pracować w Denver jako kierowca ciężarówki holowniczej, Annie i Nate uznali, że to zajęcie ma charakter przejściowy. „Dajmy mu rok - mówili sobie - a dojrzeje do tego, aby poważnie pomyśleć o swojej przyszłości”.

Lecz nie nastąpiło to nigdy.

Annie zerknęła na fotografię. Wszystko miało być takie proste, takie pewne. Lindsay i Josh jako najlepsi przyjaciele mieli zawojować cały świat, a Becky na zawsze miała pozostać częścią życia Josha. Annie westchnęła. Prawie wszystko zostało już rozpisane, szczęśliwe zakończenie było niemal pewne, lecz w niezrozumiały sposób ten radosny scenariusz uległ zmianie.

Lindsay była teraz bardzo zajęta, wyszła za mąż i miała dwoje dzieci, a do tego pracowała na pełny etat jako pub-

licystka w lokalnej gazecie. Lecz mimo to była bliżej Josha niż ona czy Nate. Annie odłożyła zdjęcie na miejsce, lecz wciąż nie odrywała od niego wzroku. To dziwne - pomyślała - że całe życie może zostać tak podsumowane przez jedno oprawione w ramki zdjęcie.

Jej wzrok przeniósł się na kolejne fotografie. Patrzyła teraz na Lindsay i Josha znajdujących się na ogromnej tratwie i chlapiących się czystą, przejrzystą wodą rzeki Truckee, na trzyletniego Josha tańczącego w objęciach sześciolatniej Lindsay, na ich całą czwórkę w parku rozrywki „SeaWorld” latem, tuż przed pójściem Lindsay do szkoły średniej, na Josha i Becky podczas balu zorganizowanego z okazji ukończenia szkoły - miesiąc przed tym, jak ze sobą zerwali. Te wspomnienia były jak balsam dla jej duszy, przeniosły ją bowiem do tych chwil w przeszłości, gdy wszystko było takie proste i obiecujące.

Niespodziewanie ziewnęła i odruchowo zerknęła na zegarek. Było już po jedenastej, najwyższy czas, żeby się położyć, lecz nie mogła oderwać się od zdjęć. Jej wzrok zatrzymał się na fotografii przedstawiającej Josha stojącego obok swojej ciężarówki holowniczej, tydzień po tym, jak ją wynajął w Denver. Załamany stratą Becky Wheaton, pojechał do Las Vegas i wrócił z zaskakującym wyznaniem. Okazało się, że poznał tam młodą kobietę, nieopatrznie obiecał jej życie w luksusie i zaczął z nią sypiać. Jedenaście miesięcy później przyjechał do Colorado Springs, spotkał się z Annie i Nate'em i opowiedział im jeszcze coś.

Tamta kobieta była mężatką - czego Josh wówczas nie wiedział - a teraz urodziła córeczkę.

- Twierdzi, że to jest moje dziecko. Chce pieniędzy na jego utrzymanie. Nie wiem, co robić - mówił Josh. Wyglądał przy tym na załamane.

Annie była zbyt zszokowana, by cokolwiek powiedzieć, lecz Nate spokojnie pomógł mu rozważyć różne możliwości. - Musisz zrobić test na ojcostwo - poradził, starając się za wszelką cenę nie okazywać bólu, jakiego doświadczał, lecz i tak słyhać go było w jego głosie. - Potem będziesz mógł porozmawiać o kolejnym kroku.

Lecz do badania na ustalenie ojcostwa nigdy nie doszło. Kobieta dowiedziała się, że Josh nie ma nawet stu dolarów oszczędności, a więc tym bardziej nie mogło być mowy o pieniądzu na utrzymanie dziecka. Po tym nie chciała poddać córki żadnym badaniom, a Josh nie mógł sobie pozwolić na wynajęcie adwokata. Lecz choć upłynęło już kilka lat, Josh mówił o dziewczynce w taki sposób, jakby była bardzo realną częścią jego życia - jego córką. Obchodził jej urodziny i wysyłał prezenty do tej kobiety, nie wiedząc nawet, czy kiedykolwiek dotrą do dziecka. I mówił też, że pewnego dnia przywiezie ją do domu, gdzie szybko się zaprzyjaźni z dziećmi Lindsay - ze swoimi kuzynami.

Lecz słuchała go tylko Lindsay. Pozwalała mu mówić o dziewczynce i zawsze zgadzała się z tym, że gdy Josh dostanie już odszkodowanie, wynajmie adwokata i wymusi badanie na ustalenie ojcostwa. - A co, jeśli ona naprawdę jest jego? - Lindsay zadawała to pytanie wiele razy, odkąd rodzina dowiedziała się o dziecku.

- Niemożliwe - Annie zawsze odrzucała taką ewentualność. - Nie zgadzają się daty. Ta kobieta nawet nie wspomniała Joshowi o dziecku przez prawie rok, odkąd pojechał wtedy do Las Vegas - twierdziła stanowczo. Nie cierpiała, kiedy poruszano przy niej ten temat. Sam fakt, że jedno z jej dzieci byłoby w takiej rozterce, ranił ją prosto w serce. Przecież ta kobieta miała męża. Wobec tego ojcem dziecka prawie na pewno był jej mąż.

- Chciała od kogoś wyciągnąć pieniądze - powiedziała raz Annie do Josha, gdy poruszyli ten temat. - Zapomnij o całej tej sprawie. A poza tym, co z Becky?

- Becky to już przeszłość - odparł Josh z głębokim bólem w oczach. - Nie byłem dla niej odpowiedni.

- Słyszałam, że zerwała z tym ostatnim chłopakiem - nie dawała za wygraną Annie, mając nadzieję, że Becky i Josh znów kiedyś będą razem. - Przynajmniej zadzwoń do niej.

- Tu nie chodzi o Becky - tłumaczył Josh. - Tu chodzi o małą dziewczynkę, która jest moja. Jestem teraz ojcem, mam. Potrzebuję pomocy, żeby ją odzyskać.

- Nie bądź śmieszny, Josh. Przecież nawet nie masz jak się dowiedzieć, czy to dziecko jest twoje czy nie.

Do podobnych rozmów dochodziło jeszcze kilka razy, lecz zawsze Annie odrzucała taką możliwość, że Josh jest ojcem dziecka, więc jej syn wspominał o tej sprawie znacznie rzadziej. Dziewczynka miała już siedem lat i czasami Josh wyrażał niepokój, że jeśli odszkodowanie nie zostanie mu szybko przyznane, to straci całe jej dzieciństwo.

Annie westchnęła po raz kolejny i zgasiwszy światło, wyszła z salonu. Josh sprzeniewierzył się swojej wierze, przestał chodzić do kościoła i w końcu doprowadził do wyczerpania swojej zdolności kredytowej, biorąc jedną pożyczkę za drugą. Jeździł rozwalającym się samochodem i ledwie starczało mu na comiesięczny czynsz za wynajem mieszkania. Nie nadużywał już alkoholu, lecz nie miał prawdziwych przyjaciół ani żadnej dziewczyny na widoku. To wszystko wyglądało tak, jakby całe jego życie zostało przysłonięte przez ten ból pleców i czekało w zawieszeniu aż do dnia, w którym wreszcie jej syn dostanie odszkodowanie.

A potem co? Kosztowna walka o przyznanie ojcostwa? A może raczej smutek płynący z konieczności uznania prawdy, że dziewczynka wcale nie jest jego córką? A jeśli w końcu będzie mógł kupić sobie skromny dom gdzieś w Colorado Springs, to przecież pieniądze nie złagodzą mu bólu pleców ani nie pomogą znaleźć pracy.

Zbliżając się do swojego pokoju, zwolniła kroku. Świadomość całej tej rzeczywistości przygniotła ją. Niepotrzebnie złościła się na Nate'a za to, co wcześniej powiedział. Cokolwiek chciała sobie wmówić, to Nate miał rację; teraz wyraźnie to zobaczyła. Jakiś miesiąc temu utknęła w korku na autostradzie 1-25, spowodowanym przez unieruchomioną ciężarówkę. Naczepa tej ciężarówki była wyjątkowo wysoka i nie zmieściła się pod wiaduktem. Pojazd się zatrzymał, a wiadukt runął na niego.

Annie czuła się teraz identycznie. Miała wrażenie, że cały taki wiadukt zawalił się i spadł na jej ramiona. Bo nie-

zależnie od tego, jak bardzo chciała uwierzyć, że wszystko przedstawia się zupełnie inaczej, prawda nie pozwalała jej wydostać się spod ciężaru rzeczywistości. Tak, martwiła się o Josha, niepokoiła się o niego i smuciła ją jego życiowa sytuacja. Lecz jednocześnie nie można było zaprzeczyć innej oczywistej prawdzie. Była nim rozczarowana.

Soboty nie były łatwe, ponieważ prawnicy - pomimo ogromnych pieniędzy, jakie zarabiali - nie pracowali w weekendy. Josh to rozumiał. Jego adwokat, Thomas Flynn, należał jednak do nielicznej grupy i gdyby sądy były otwarte w weekendy, byłby tam i walczył o niego - Josh nie miał co do tego wątpliwości.

Lecz skoro od kolejnych zeznań oznaczających posunięcie jego sprawy o mały kroczek do przodu, w stronę ugody, dzieliło go wciąż jeszcze kilka dni, plany Josha na sobotę obejmowały inne działania, którym musiał stawić czoło. Obudził się późno i jak zwykle spędził kolejne dziesięć minut na leżeniu w łóżku, delektując się tą chwilą niepełnego wybudzenia, gdy ból nie doskwierał mu jeszcze w pełni. Spał czy też nie spał, stał czy leżał - zawsze bolały go plecy. Lecz podczas snu przynajmniej nie był w pełni świadomy tego bólu, podobnie jak przez jakieś dziesięć minut po przebudzeniu.

Josh otworzył oczy i tuż po tym, jak zdążył wyrzeć przez okno i zobaczyć błękitne niebo kolejnego pięknego wrześniowego dnia, poczuł mocne szarpnięcie bólu w środkowej części pleców. Zmienił pozycję i skrzywił

się. Sieć ostrych, piekących pociągnięć bólu przeszła go w jedną, a potem w drugą stronę, zaczynała się w okolicy łopatek i kości biodrowych i rozchodziła wzdłuż kręgosłupa.

Dasz radę - mówił sobie. *Proszę, Boże... pomóż mi wstać z łóżka.* Wstawanie należało do najgorszych czynności, czasami było bardziej bolesne od wszystkiego, z czym musiał się potem mierzyć w ciągu dnia. Bo gdy coś robił, częściowo zapominał o bólu. Teraz wstrzymał oddech i przewiesił nogi przez brzeg materaca. Poczul atak bólu i krzyknął, dysząc i próbując złapać w płuca wystarczającą ilość powietrza.

Proszę, Boże...

Przypomniął sobie o tabletkach przeciwbólowych leżących na brzegu łóżka. To dziwne, ale zwykle dopiero po jakimś czasie przypominał sobie o OxyContinie - może dlatego, że wciąż myślał o sobie jako Joshu Warrenie, jakim był przez pierwszych dwadzieścia pięć lat swojego życia - zwinnym i wysportowanym, mogącym swobodnie się poruszać. Lecz ograniczenia, jakim obecnie podlegało jego ciało, każdego ranka szybko mu przypominały, że nawet nie powinien próbować przeżyć ani godziny bez środków przeciwbólowych. Przynajmniej do czasu, aż zrobią mu coś z plecami.

Wkładając w to cały wysiłek, wciągnął nogi z powrotem na łóżko i przesunął się na wezglowie. Buteleczka była otwarta. Próbował sobie przypomnieć, czy wziął w nocy kolejną tabletkę. Osiemdziesiąt miligramów co dwanaście godzin - takie było zalecenie lekarza. Lecz czasami musiał

liczyć tabletki przed śniadaniem, żeby się upewnić, czy nie wziął ich zbyt wiele. A jeśli tak się stało, musiał przyznać się przed samym sobą, że chciał jak najlepiej. Jeśli zażył zbyt dużo środków przeciwbólowych, to trudno.

Chwycił plastikową buteleczkę, a jego palce były jak odrętwiałe, gdy stuknął nimi w pojemnik, aby wydobyć na drugą dłoń pojedynczą pastylkę. Woda w szklance, którą trzymał obok łóżka, wyglądała na niezbyt świeżą. Josh nie przejmował się tym. Połknął tabletkę i z powrotem odstawił szklankę na nocną szafkę. *Działaj* - rozkazał w myśli małej, okrągłej pastylce. *Zacznij działać.*

Od czasu gdy ponad miesiąc temu natrafił przypadkowo na teledysk Wynonny Judd, zaczął się modlić. Mówienie do Boga łagodziło reakcję jego ciała, wołającego

o jakąś ulgę w cierpieniu. Zresztą - i tak nie mógł zrobić niczego więcej, by uśmierzyć ból. Znów opuścił głowę na poduszkę i zamknął oczy.

Drogi Boże - zaczął się modlić - bądź z moimi rodzicami. Wiem, że oni są mną rozczarowani. Odetchnął i próbował zagłębić się w materac. Znów zaczerpnął powietrza

i wstrzymał oddech. *Problem w tym, że oni nie rozumieją tego bólu. Nie mogę szukać pracy, dopóki nie poczuję się lepiej, a więc pomóż im nie martwić się o mnie. I niech nie będą mną rozczarowani.* Chwycił kołdrę i zacisnął pięść. *Działaj... zacznij wreszcie działać-* mówił sobie w duchu, ledwie wytrzymując z bólu. Znów przypomniał sobie

o modlitwie. *Boże, modlę się też za Carę i Carla Josepha, i Daisy, i Cody ego... za mieszkającą obok Ethel i Keitha z Ohio. Za Becky, aby odnalazła szczęście, którego zawsze*

pragnęła. I może żeby była gotowa znów mnie pokochać, kiedy będę tą osobą, którą chcę być. I także za wszystkich moich przyjaciół, Boże. Bądź z nimi i przyciągnij ich do siebie w taki sposób... - znów krzyknął i przekreślił się częściowo na bok - w taki sposób, w jaki przyciągnąłeś mnie do siebie poprzez ten teledysk.

Za Lindsay i Larryego, i za Bena i Bellę — męża mojej siostry i ich dzieci; Panie, opiekuj się nimi. Poczuł, jak ogarnia go pierwsza fala ulgi i otarł pot z czoła. / proszę Cię, Boże, bądź z Savannah. Pewnego dnia znów chcę być cały i zdrowy i chcę przyprowadzić ją do domu, gdzie jest jej miejsce. Proszę, Boże, niech ona przyjedzie do domu. Chcę, żeby ona poznała dziadków i ciocię Lindsay, i swoich kuzynów. Chcę, żeby ona poznała mnie. Poczuł, że zaczyna się wreszcie rozluźniać. To wszystko, Boże. Dzięki.

Otworzył oczy i ponownie przerzucił stopy ponad brzegiem łóżka. Tym razem ból był znośny i nie wymuszający krzyku. Tabletki działały. Zacisnął zęby i podciągnął się do pozycji siedzącej, kładąc stopy na podłodze. Lekko zakreśliło mu się w głowie. Takie zawroty głowy były stałą częścią jego poranków, przynajmniej przez kilka pierwszych minut po poderwaniu się z łóżka. Był to efekt uboczny zażywania leków - tak powiedział mu lekarz.

Spojrzał na złocistożółtą buteleczkę z tabletkami. Pewnego dnia, i to już wkrótce, zrobią mu operację i wyleczą plecy, a potem, po długiej i ciężkiej rehabilitacji, znów będzie taki jak kiedyś. W ubiegłą środę kolejny raz był u chirurga i badanie wypadło pomyślnie.

- Jeszcze jakieś dwadzieścia kilo - powiedział mu lekarz. - Zrzucisz tę nadwagę i będziemy mogli zrobić operację.

Spojrzał w dół na swój brzuch zwisający ponad spodniami od dresu. Dawniej nie miał nigdy problemów z nadwagą, lecz po skończeniu szkoły średniej te niepotrzebne kilogramy jakoś się nagromadziły. Gdy zdarzył się wypadek, miał trzydzieści pięć kilo nadwagi. Po wypadku objadał się z nudów i frustracji i przybyło mu kolejnych piętnaście kilo. Teraz, poza tymi dwudziestoma, które pozostały, udało mu się wszystko zrzucić, lecz lekarz ciągle jeszcze zamierzał czekać.

- Część twoich obrażeń może sama ustąpić - tłumaczył mu niejednokrotnie. - Gdy schudniesz, twoje plecy będą lepiej pracować i będziesz się lepiej czuł. Prawdopodobnie będziemy mogli umówić się na operację jakoś w przyszłym miesiącu.

Josh pogładził się po karku. Wyjął biały podkoszulek z drugiej szuflady komody i wsunął go przez głowę. Przynajmniej znów mógł nosić swoje stare ubrania i Cara pogratulowała mu, gdy zobaczyła ostatnie zdjęcie, które jej przesłał. - Wyglądasz bardzo pociągająco - powiedziała mu. — Teraz tylko musisz lepiej się poczuć.

Wspierając się na łóżku, stanął na nogi. To był jego cel - poczuć się lepiej. Powoli poszedł do kuchni, uważnie utrzymując kolana lekko ugięte, aby nie wywołać skurczu. Jeden zaledwie skurcz pleców mógł zmusić go do położenia się do łóżka na kilka godzin, mimo że wcześniej zażył leki przeciwbólowe.

Josh właśnie przygotowywał sobie miszkę swoich ulubionych błyskawicznych płatków owsianych, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Rozejrzał się szybko po mieszkaniu i stwierdził, że nie jest odpowiednio posprzątane. Na kanapie i stoliku do kawy leżały porozrzucone czasopisma, a koc, którym przykrywał sofę, spadł na podłogę. Dwie do połowy wypełnione wodą szklanki stały na jednym ze stolików, a po drugiej stronie blatu znajdowała się sterta nie otwartych jeszcze listów. Kiedy już dostanie odszkodowanie, gdy zacznie prowadzić własny interes i zatelefonuje do Becky Wheaton, będzie musiał wyrobić w sobie nawyk utrzymywania domu w czystości. Becky lubiła, kiedy w życiu panował porządek, i Josh także to lubił. Musiał tylko znaleźć trochę czasu, żeby ten porządek zaprowadzić. A na razie jego mieszkanie wyglądało zazwyczaj tak jak w tej chwili. Ktokolwiek jednak czekał przy drzwiach, z pewnością nie odwiedzał go właśnie z tego powodu, że jego mieszkanie było posprzątane.

Pospieszył do drzwi najszybciej jak potrafił i otworzył je. Natychmiast padło na niego jasne słoneczne światło. Na frontowej werandzie stali jego sąsiedzi - Carl Joseph Gunner i Daisy Dalton. - Cześć, sąsiedzie! - uśmiechnął się Carl Joseph i poprawił sobie na nosie okulary z grubymi, ciemnymi szklami.

- Cześć - odparł Josh, wspierając się na klamce, żeby się trochę wyprostować. - Wygląda na to, że mamy dzisiaj ładny dzień.

- Kolejny piękny dzień w Colorado Springs - podchwyciła Daisy, biorąc Carla Josepha pod rękę. - Dzisiaj

czeka nas autobusowa wycieczka do kina. Sobotnia randka, prawda CJ?

- Prawda - potwierdził Carl Joseph, wypinając do przodu pierś. - Ja i Daisy po późnym śniadaniu zaczynamy randkę.

Josh zastanawiał się przez chwilę, czy ta dwójka przyszła do niego po coś konkretnego, czy tak po prostu, żeby tylko się przywitać. Wpadali do niego często - prawie codziennie - z różnych powodów. - Późne śniadanie, tak? - uśmiechnął się, a ból jego pleców osłabł dzięki temu, że przestał się na nim skupiać. - A co jecie?

Carl Joseph popatrzył na Daisy zmartwionym wzrokiem. - To właśnie jest problem - zaczął, wzruszając przesadnie ramionami i posyłając Joshowi pełne żalości spojrzenie. - Wczoraj wybraliśmy się do sklepu i zapomnieliśmy.

- Zapomnieliśmy jajek - wtrąciła Daisy, kiwając głową i wskazując ręką obok Josha. - Czy możemy pożyczyć sześć jajek, Josh? - spytała. - Sześć jajek powinno nam wystarczyć.

Josh zachichotał cichutko, doznając przyjemnego uczucia. Odsunął się na bok i ruchem ręki zaprosił ich do środka. - No pewnie. Bez problemu znajdę dla was sześć jajek - oznajmił.

- No bo wiesz - mówił Carl Joseph, marszcząc brwi w taki sposób, jakby bardzo intensywnie myślał o całej tej sprawie - moglibyśmy zadowolić się pięcioma, ale potem w kinie może bylibyśmy głodni.

- A jak ktoś jest głodny w kinie, to kupuje za dużo popcornu - podkreśliła Daisy, patrząc porozumiewawczo na Carla Josepha. - A to nie jest zbyt zdrowe.

- Oj, z pewnością nie jest - przyznał Josh, klepiąc się po brzuchu. - Wiem coś o tym.

Carl Joseph zawahał się, lecz potem wybuchnął takim śmiechem, jakby Josh powiedział właśnie najśmieszniejszy dowcip, jaki Carl kiedykolwiek słyszał. Josh także nie mógł opanować śmiechu. Obaj byli w swoim towarzystwie prostolinijni i naturalni, zachowywali się jak najlepsi przyjaciele. Josh poprowadził ich do kuchni w stronę lodówki.

- Zobaczmy teraz - powiedział - w czym moglibyście zanieść je do domu.

- Tylko nie w koszyku - stwierdziła Daisy, machając palcem i patrząc z prawdziwym niepokojem w oczach.

- Mama mówi, żeby nigdy nie wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka.

- To może wziąć dwa koszyki - wtrącił Carl Joseph, a jego oczy się rozjaśniły.

- O, proszę - powiedział Josh, wyciągając kwadratowy pojemnik Tupperware z jednej z szafek kuchennych. Nie czuł takiego napięcia w plecach jak wcześniej, dzięki czemu wyglądał prawie normalnie, gdy chodził po kuchni.

- To powinno pomieścić wszystkie sześć jajek.

- Podoba mi się - stwierdził Carl Joseph, ponownie poprawiając sobie okulary i uśmiechając się do Daisy.

- Plastik jest dobry dla jajek.

Josh ostrożnie włożył jajka do pojemnika i podał go Carlowi Josephowi. - Na jaki film idziecie? - spytał.

- To taki stary film - uśmiechnął się niepewnie.

- Cody mówi, że w sobotę za trzy dolary nie można oczekiwać niczego specjalnego.

- Ty oczekujesz tego, że dobrze spędzisz czas - wtrąciła Daisy, rzucając do Carla Josepha dumne spojrzenie. - Bo to dobrze wydane pieniądze, CJ. Bardzo dobrze wydane - dodała.

Było to takie stare kino usytuowane w śródmieściu, które zostałyby już zamknięte, gdyby nie pomysł wyświetlania w nim w weekendy starych filmów po obniżonych cenach. Swego czasu Lindsay napisała o tym kinie artykuł. Niskie ceny, popcorn i słodczyce przyciągały ludzi. Carl Joseph i Daisy byli tam stałymi bywalcami.

- Idziemy na „Flicke”. To film o kimś, kto jeździł na koniu - oznajmiła Daisy, która musiała chyba uświadomić sobie, że żadne z nich nie odpowiedziało na pytanie Josha.

- O kimś takim jak mój brat - dodał Carl Joseph z wyraźną dumą w głosie. Carl bardzo cenił Codyego i Josh rozumiał tego powody. Chłopak wpadał do niego i Josh lubił go. W przeszłości, gdy spotkali się po raz pierwszy, Cody opowiedział Joshowi historię swojego życia, pełnego cierpienia i bólu. Historia Cody'ego dała Joshowi nadzieję, że może on też w końcu będzie szczęśliwy. Tak jak szczęśliwy był teraz Cody.

- Możesz pójść z nami, jeśli chcesz - zaproponowała Daisy, biorąc pojemnik z jajkami. Spojrzała pytająco na Carla Josepha i unosząc ramiona, spytała: - Może iść, prawda, CJ?

- Jasne - zgodził się natychmiast Carl, zacierając ręce.

- Trzy osoby mogą iść razem na randkę do kina. Trzy czy dwie, to nie ma znaczenia.

Przez kilka sekund Josh faktycznie rozważał tę propozycję. Już wcześniej wychodził z nimi dwa czy trzy razy i spędzali razem popołudnie. Zabierał ich swoim samochodem, dzięki czemu nie musieli jechać autobusem. Lecz teraz musiał posprzątać mieszkanie. - Chętnie, ale nie dzisiaj. Mam pewne plany - oznajmił.

Carl Joseph pokiwał głową. - Plany są dobre - rzekł. - Brat mówi, że dobrze zaplanowany dzień nie może być zły.

- No, no... - uśmiechnął się Josh. Przypomniała mu się Cara i te plany, o których rozmawiali w nocy. - Powiedziałbym, że twój brat ma rację. Planowanie zawsze jest dobre.

Josh odprowadzał już swoich sąsiadów do drzwi, gdy nagle Carl Joseph zatrzymał się i podszedł parę kroków w stronę kominka. Spojrzał na stojące tam zdjęcia i wskazał na fotografię przedstawiającą dwie dziewczyny. - Opowiedz nam jeszcze raz tę historię, dobrze? - poprosił.

- Tak, opowiedz nam - podchwyciła Daisy, klaszcząc z zadowolenia w dłonie. - To bardzo dobra historia.

Josh nie miał nic przeciwko opowiedzeniu tej historii raz jeszcze. Poza jego sąsiadami nikt tak naprawdę nie wiedział, jak doszło do wypadku i co się wtedy wydarzyło. O tej historii nawet nie wspomniano w gazecie w Colorado Springs. Josh chwycił gzyms kominka i oparł się na nim, chcąc odciążyć plecy i znaleźć trochę ulgi. - Od czego powinienem zacząć? - spytał.

- Od początku - stwierdził Carl Joseph, zdejmując zdjęcie z kominka i przysuwając je blisko, aby oboje z Daisy mogli je lepiej widzieć. - Lubię początek.

- Dobrze - zgodził się Josh. Wiedział, jak opowiedzieć tę historię w kilka minut. - To zdarzyło się w sylwestra prawie trzy lata temu.

- W Denver, prawda? - upewniła się Daisy, patrząc na niego szerokimi z przejęcia oczyma.

- Prawda. Z miejsca, w którym nie wolno było parkować, holowałem samochody jedną stroną bardzo ruchliwej ulicy.

- Co jest niebezpieczne - zauważył Carl Joseph, kiwając głową w skupieniu.

- Bardzo niebezpieczne - potwierdził Josh. Zawahał się, wracając na chwilę myślami do przeszłości. - Doczepiałem już szósty samochód tego wieczoru, gdy nadeszły tamte dwie dziewczyny i zadały mi pytanie.

- Były najlepszymi przyjaciółkami - Daisy przekazała ten szczegół Carlowi Josephowi, tak jakby to do niej należała ta część opowieści. - Naprawdę najlepszymi.

- To prawda. Wtedy akurat nie jechał żaden samochód, więc dziewczyny stały na jezdni. Szukały jakiejś ulicy i chciały wiedzieć, jak tam dotrzeć.

- A ty im to powiedziałeś - wtrącił Carl Joseph, zerkając na oprawione w ramki zdjęcie. - Wyglądały na miłe dziewczyny.

- Takie właśnie były. Ani nie były pijane, ani nie chciały zbyt późno wracać do domu. W sylwestra jest na ulicach zbyt wielu złych kierowców - wyjaśnił Josh, przeczesując palcami swoje ciemne włosy. Czuł się silniejszy niż wcześniej, więc zdjął rękę z gzymsu kominka i skrzy-

zował przed sobą przedramiona. - Właśnie dawałem im wskazówki, gdy nagle zobaczyłem pijanego kierowcę.

Lęk zmarszczył czoło Carla Josepha. - Nie wolno prowadzić po pijanemu - rzucił oburzony, jakby pierwszy raz słuchał tej opowieści. - To jest niezgodne z prawem.

- Tak, to prawda - przyznał Josh i zaśmiał się sarkastycznie. - Ale nie sądzę, aby tamten kierowca przejmował się wtedy przepisami.

- Bo był pijany - stwierdziła Daisy, kiwając głową na potwierdzenie.

- Tak, bo był pijany - potwierdził Josh. Wciąż miał przed oczyma obraz tamtego mężczyzny, jego głowę pochyloną nad kierownicą, gdy jego sedan zjechał z jezdni. - I pędził prosto na te dziewczyny.

- To jest najokropniejsza część - zapowiedziała Daisy, lekko przymykając oczy, podobnie jak ktoś oczekujący na najbardziej przerażającą scenę w jakimś horrorze. - Nienawidzę tej części.

- Ja też - wyznał Josh, przypominając sobie ponownie cały wypadek. - Wszystko stało się tak szybko. Dziewczyny nie widziały tego pijanego kierowcy, a on jechał prosto na nie. Jedną z nich pociągnąłem w swoją stronę, żeby uniknęła niebezpieczeństwa, a gdy sięgnąłem po drugą, tamten samochód już na nas wpadał.

Carl Joseph i Daisy słuchali w milczeniu, całkowicie pochłonięci opowieścią.

- Miałem jeszcze czas, żeby rzucić na trawę tę drugą dziewczynę, ratując ją od uderzenia, ale w tym samym

momencie samochód uderzył mnie w lewe ramię i powalił na ziemię.

Daisy zakryła sobie ręką usta. - To straszne - jęknęła.

- On na pewno złamał prawo — powiedział Carl Joseph przyciszonym głosem. - To, co on zrobił, było bardzo złe.

- Bardzo złe - powtórzył za nim Josh. Znów poczuł uderzenie, tak jak tamtego wieczoru, gdy atrapa chłodnicy mercedesa uderzyła go z ogromną siłą, po czym padł jak kłoda na ziemię, niemal bez tchu. Przez pierwszych kilka minut myślał, że nie przeżyje. Nie mógł oddychać ani się poruszać, a gdy otoczyli go ludzie i usłyszał w oddali odgłos syren, chciał tylko móc jeszcze raz powiedzieć rodzicom, Lindsay i Becky, że ich kochał, i jakoś dotrzeć do Savannah z informacją, że starał się być jej ojcem, że zawsze się o to starał.

Daisy uśmiechnęła się nieznacznie. - Ta historia dobrze się kończy, prawda? - spytała niepewnie.

- Tak - przyznał Josh. Nigdy nie powiedział Carlowi Josephowi i Daisy o bólu pleców. Nie zrozumieliby tego, a atmosferę ich wizyt psułyby jakiś niepotrzebny niepokój. Nie było niczego, czym mogliby pomóc złagodzić jego ból albo uleczyć jego plecy, więc po co miał się im skarżyć na swoje cierpienie? Lepiej było pozwolić im skupić się na tych dziewczynach. Wziął kolejny oddech i dokończył. - Ten samochód nie zabił mnie, a te dwie dziewczyny nie ucierpiały w ogóle - uśmiechnął się do swoich przyjaciół.

- To na pewno jest dobre zakończenie - ucieszył się Carl Joseph, wznosząc pięść wysoko w górę. - Uwielbiam

tę opowieść - dodał, uśmiechając się najpierw do dwóch dziewczyn widocznych na fotografii, a potem do Josha.

- Dzięki temu jesteś bohaterem - stwierdził.

Bohater. To słowo rzuciło promień światła do jego zachmurzonego serca. Cały ten ból był czegoś wart, nawet jeśli tylko tak niewiele osób uważało go za bohatera. Tamte dziewczyny z pewnością myślały o nim jak o bohaterze. Podobnie ludzie, którzy czytali artykuł, a także jego sąsiedzi. Lecz nigdy nie opowiedział tej historii swoim rodzicom; jeszcze tego nie zrobił. Pamiętał sposób, w jaki matka przyjęła informację o wypadku, gdy zatelefonował do niej wówczas późnym wieczorem.

- Potrącił mnie samochód - powiedział jej bezbarwnym głosem. - Jestem w szpitalu, ale nic mi nie jest

- dodał. Miał ochotę wdać się w szczegóły, powiedzieć jej, jak uratował tamte dziewczyny, zanim uderzył w niego samochód, lecz matka nie dała mu dojść do słowa.

- Josh, co się stało? Jesteś ranny? - dopytywała. Potem zawołała ojca. - Już do ciebie jedziemy, synu. Będziemy tam za godzinę.

- Mamo, zaczekaj - Josh był już wówczas pod wpływem leków przeciwbólowych, a zakres jego obrażeń nie był jeszcze do końca znany. - Nic mi nie jest. Jeszcze dziś wychodzę do domu, a jutro do was przyjadę.

- Och, Josh - rzuciła matka z wyraźną ulgą w głosie, kilka razy gwałtownie łapiąc powietrze i wypuszczając je. — Śmiertelnie mnie przeraziłeś — wysapała. Nie była na niego zła, tylko po prostu bała się o niego. Bała się, bo przecież mógł zginąć. Lecz to, co powiedziała potem,

wciąż pozostawało w jego pamięci. - Teraz może zrozumiesz, dlaczego chcę, abyś skończył studia, żebyś ruszył głową i coś zmienił w swoim życiu. Holowanie samochodów, Josh? Codziennie martwię się o ciebie, a teraz jeszcze to. Dlaczego nie zrobisz sobie trochę wolnego i nie pomyślisz o powrocie na studia? Z tego, że holujesz samochody, nie wynika nic dobrego, synu. Naprawdę nic dobrego.

A zatem nie powiedział ani jej, ani ojcu, ani Lindsay. Nie dlatego, że nie był dumny ze swojej roli w uratowaniu życia tych dziewczyn, ale dlatego, że było to niewystarczające. Kochał swoją rodzinę, a oni kochali jego - ich uczucia do niego kiedyś były dla niego wszystkim, co się naprawdę liczyło. Lecz po wypadku nie spędzili w jego mieszkaniu wiele czasu, złożyli mu zaledwie kilka krótkich wizyt, i żadne z nich nie zauważyło małych zdjęć stojących nad kominkiem. Pewnego dnia wszystko to wyjaśni. Dostanie odszkodowanie - pół miliona dolarów albo i więcej - otworzy własny warsztat samochodowy, a potem, gdy jego plecy zostaną wyleczone, a życie się unormuje, powie im prawdę o tym, jak bardzo został skrzywdzony.

Daisy wzięła zdjęcie od Carla Josepha i odstawiła je z powrotem na gzyms kominka. - Kocham opowieści

o bohaterach - stwierdziła. Gdy spojrzała na Josha, jej oczy błyszczały z podziwu. - Ty i CJ, i Cody jesteście jedynymi bohaterami, jakich znam - powiedziała i spojrzała na swojego przyjaciela. - CJ, bo chroni mnie przed deszczem. Cody, bo zakochała się w nim moja siostra, Elle. I ty, Josh, bo uratowałeś życie tych dwóch dziewczyn.

Josh lubił być bohaterem dla tej dwójki. Czuł się tak, jakby dawał im nadzieję, że świat jako taki jest dobry -a skoro tak, to było to kolejne dobro płynące z wypadku. Bez względu na to, co jego matka myślała o jego pracy polegającej na holowaniu samochodów.

- A to co za zdjęcie? - spytał Carl Joseph, podnosząc zdjęcie Savannah i przyglądając mu się z uwagą. Znów poprawił sobie okulary, przesuwając je w stronę nasady nosa. - Czy możesz nam opowiedzieć tę historię, Josh?

- poprosił.

- Nie dzisiaj - odparł Josh łagodnym tonem, z uśmiechem na ustach. - To nie jest historia, która kończy się szczęśliwie.

- Och - odezwała się Daisy, robiąc zatroskaną minę. -To lepiej nie rozmawiajmy o tym. Ja lubię tylko te historie, które kończą się szczęśliwie.

- Ja też - stwierdził Josh, czując, że OxyContin utrzymuje ból na dystans, dzięki czemu był w stanie tak długo wytrzymać w pozycji stojącej. - Chyba lepiej będzie, jak już pójdziecie do domu na wasze późne śniadanie.

Daisy gwałtownie wciągnęła powietrze i spojrzała w dół na jajka. Trzymała je w jednej ręce, przyciskając do piersi. - Prawie całkiem zapomniałam o późnym śniadaniu - wyznała.

- Tak, lepiej żebyśmy już poszli - zgodził się Carl Joseph, przejmując inicjatywę i biorąc Daisy za wolną rękę.

- Mamy przecież swoją randkę w kinie - przypomniał. Kiedy szli do drzwi, pomachał do Josha. - Dzięki, że opowiedziałeś nam tę historię, która się tak szczęśliwie kończy.

- Zawsze, kiedy tylko chcecie - odparł Josh, idąc za nimi. Zaczekał, aż wyjdą przed dom na chodnik. - Bawcie się dziś dobrze.

Oboje odwrócili się i pomachali mu po raz ostatni. Gdy Josh zamknął drzwi, poszedł do dużego pokoju i usiadł, gwałtownie łapiąc powietrze. Przynajmniej od tygodnia nie stał już tak długo za jednym razem. Z miejsca, w którym siedział, znów popatrzył na zdjęcia na gzymsie kominka, aż w końcu jego wzrok padł na fotografię Savannah. Może pewnego dnia ich historia też dobrze się zakończy. Wówczas wreszcie udowodni, że jej oczy tak bardzo podobne są do jego oczu po prostu dlatego, że ona jest jego córką. Rozprostował plecy i starał się znaleźć wygodną pozycję. Zgadzał się z Daisy: historie, które kończą się szczęśliwie, są najlepsze.

Mimo że jako jedyny wiedział, ile kosztuje szczęśliwe zakończenie.

Maria Cameron mocno trzymała swoją córeczkę za rękę, wlokąc się z nią powoli, noga za nogą, w dół po betonowych schodach do stacji metra biegnącego pod ulicami Manhattanu. W tę niedzielę zebrała jak zwykle i teraz, gdy minęło już popołudnie, chciała pojechać czerwoną linią wzdłuż Broadwayu na północ, na 145. Ulicę w Harlemie. Ona i Savannah wynajmowały pokój od mężczyzny, którego przed trzema miesiącami spotkały w parku. Przedstawił się im jako Freddy B.

Płaciła za wynajem w różny sposób - pieniędzmi, które dostała od turystów w Central Parku, albo spędzając noc w jego łóżku, kiedy tylko miał na to ochotę. Mieszkał on w dwupokojowym mieszkaniu w typowym starym budynku w tej części Harlemu, która nie została jeszcze odnowiona. Lecz przynajmniej miały gdzie się zatrzymać i to na razie musiało im wystarczyć.

- Jestem głodna, mamó - jęknęła Savannah. Jej jasno-rude włosy były spięte z tyłu w koński ogon, a policzki miała czymś pobrudzone - to Maria pobrudziła je małej rano.

- Zjemy w domu - odparła, posyłając dziewczynce surowe spojrzenie z zamiarem uciszenia dziecka. Nie chciała,

żeby ludzie w metrze zaczęli im się dziwnie przypatrywać.

- Teraz bądź cicho.

Savannah kiwnęła głową i zagryzła wargę. Podwinęła rękawy swetra, lecz gdy to zrobiła, odsłoniła miejsca na rękach pokryte małymi siniakami. Maria natychmiast sięgnęła w jej stronę i odwinęła jej rękawy, po czym spojrzała na dziewczynkę wymownie, dając jej w ten sposób znak, żeby uważała na to, co robi. Obcy ludzie bardzo by się zdziwili, gdyby zobaczyli tyle siniaków u siedmioletniego dziecka. Lecz czasami Savannah chodziła zbyt wolno i trzeba było ją ciągnąć za sobą. To nie była wina Marii, że skóra dziewczynki była taka jasna albo że łatwo robiły jej się siniaki.

Zapłaciła za wejście i pozwoliła Savannah zająć pierwsze dwa miejsca. W metrze zawsze było czuć taki sam zapach - mieszaninę kwaśnego mleka i moczu. Maria rozejrzała się po wagonie. Na drugim końcu przysypiała jakaś starsza kobieta. Poza nimi trzema było pusto. Wyciągnęła z kieszeni garść pomiętych banknotów i policzyła je. Wrzesień był dobrym miesiącem. Przy wejściu do zoo gromadziło się mnóstwo turystów; nie było już tak gorąco i parno. Wszyscy mieli dobre humory. Przeliczyła banknoty i doszła do kwoty, która ją zaskoczyła, nawet przy świadomości, że to wrzesień. Sto czterdzieści dwa dolary

- nieźle jak na dzień pracy.

- Ile? - spytała Savannah, krzyżując nogi w kostkach i kładąc ręce na kościstych kolanach. - Wystarczy na czynsz?

- Nawet więcej - odparła automatycznie. Potem spojrzała na córkę i zganiła ją: - Nie zadawaj tyle pytań.

Maria wsunęła pieniądze do tylnej kieszeni workowatych dżinsów, oparła tył głowy o okno i zamknęła oczy. Dobry dzień czy nie dobry - przecież nie tak miało ułożyć się jej życie. Tyle dzieliło ją od tamtych dni, że czasami podczas długiej jazdy metrem do domu zmuszała się do powrotu. Inaczej zapomniałaby, skąd pochodzi, a to nie byłoby dobre. Bo jeśli nie będzie pamiętać o przeszłości, to jak ma kiedykolwiek odnaleźć drogę powrotną?

Ona i Raul pobrali się przed dziesięcioma laty, planując otwarcie własnej pizzerii w południowo-wschodniej części Nowego Jorku. Raul miał jakichś podejrzanych wspólników, lecz Maria starała się nie zadawać zbyt wielu pytań. To nie była jej sprawa, skąd Raul bierze pieniądze i w jaki sposób spędza czas, zanim późnym wieczorem przyjdzie do domu.

Wyjazd do Las Vegas był jego pomysłem. - Leć tam i poznaj jakiegoś faceta z forszą - kazał jej. - Niech ci zrobi dziecko i będziemy ustawieni. Dopóki dzieciak nie skończy osiemnastki, co miesiąc będziemy dostawali kasę.

Marii nie podobał się ten pomysł, lecz sam fakt, że Raul w ogóle mógł coś takiego zasugerować, wywołał w niej taką wściekłość, że zdecydowała się polecieć. To mogła być nawet niezła zabawa - spędzić tydzień z dala od Raula, sypiając w łóżku jakiegoś innego faceta, kogoś bogatego i tajemniczego. Pozwoliła, aby Raul zarezerwował jej samolot i hotel, i po upływie dwóch tygodni wybrała się w podróż. Josh Warren był pierwszym facetem, którego spotkała, siedząc przy barze w kasynie „Mandalay Bay”. Miał ciemne włosy, jasną skórę i niebieskie oczy,

które przykuły jej uwagę. Miała w kieszeni pięćdziesiąt dolarów i polecenie, aby znaleźć najbogatszego faceta w hotelu. W toalecie czerwoną szminką odświeżyła sobie wygląd ust i poprawiła bluzkę, zwiększając dekolt. Potem wolnym krokiem podeszła do upatrzonego mężczyzny i zajęła miejsce przy barze obok niego.

- Cześć - zaczęła, bawiąc się kosmykiem swoich rudo-blond włosów. - Co taki śliczny chłopiec jak ty robi całkiem samotny w takim miejscu jak to? - spytała zalotnie.

Na początku nie wydawał się nią zainteresowany. Wyciągnął sobie papierosa z paczki L&M lights i jej też zaproponował jednego. Wzięła go i wystawiła koniec w jego stronę, a on zapalił oba papierosy. - Przyjechałem sam - powiedział i głęboko zaciągnął się papierosem. - Jeszcze nie miałem w tym roku wakacji.

- Ja też nie - rzuciła w odpowiedzi. Nie miała jeszcze pewności, czy ten mężczyzna jest bogaty, lecz chciała poświęcić kilka minut na to, aby się tego dowiedzieć. - Postawisz mi drinka? - spytała.

Josh popatrzył na nią uważnie przez chwilę i wypuścił dym z ust, śmiejąc się ze zdziwieniem. - Jesteś odważna - rzekł.

- Tak, proszę pana - zażartowała. Założyła nogę na nogę i poprawiła sobie krótką spódniczkę, udając zawstydzenie. - Mama uczyła mnie, że niczego nie dostaniesz na tym świecie, dopóki o to nie poprosisz.

- Racja! - odparł bez zastanowienia. Uniósł w górę papierosa, jakby wznosił toast za jej odwagę. - Nazywam się Josh Warren.

- Cześć, Josh - wydychany dym spowodował, że jej głos zabrzmiał wyjątkowo aksamitnie. Pochyliła się w jego stronę, żeby korzystniej wyglądać. - Jestem Maria Cameron. Samotna, podobnie jak ty.

- Urlop?

- Coś w tym rodzaju - odparła. Chciała przedstawić się jako ofiara. - Mój poprzedni facet mnie bił - powiedziała, wzruszając ramionami. - W końcu rzuciłam drania. Przyjechałam tutaj szukać szczęścia.

Josh nie wyglądał na zainteresowanego, lecz stojąca przed nim szklaneczka whisky była już w połowie opróżniona, a on sam robił wrażenie miło zrelaksowanego. - Jesteś hazardzistką, Mario Cameron? - spytał.

- Czasami - szepnęła, powoli wodząc wzrokiem po jego ciele, od góry do dołu. - To zależy od wygranej.

Zaśmiał się i dokończyli palić papierosy, flirtując ze sobą podczas dalszej rozmowy. To, co najbardziej przyciągnęło jej uwagę, zdarzyło się, gdy Josh nachylił się obok niej, aby zgasić papierosa w znajdującej się blisko niej popielniczce. Ich ramiona otarły się o siebie, a on wyszeptał jej do ucha: - Mam milion powodów, dlaczego powinnaś wyjść ze mną dziś wieczorem.

- Milion? - podchwyciła Maria, czując, jak mocniej zabiło jej serce. O czym on mówił? Czyżby był milionerem? Nachyliła się bliżej w jego stronę. - Opowiedz mi o tym - poprosiła.

- Mam pewne plany - rzekł tajemniczo, zamawiając kolejną whisky dla siebie i jeszcze jedną dla niej. Gdy po-

dano im drinki, uśmiechnął się do niej w taki sposób, że aż po rękach przeszły ją dreszcze.

- Powiedz mi - nalegała. Może ona naprawdę zakocha się w tym Joshu Warrenie. Raul zasłużył sobie na to po tym, co zrobił, przysyłając ją tutaj po jakąś przelotną przygodę.

- Myślę o założeniu w Denver warsztatu samochodowego i za rok będę miał taki warsztat. Potem otworzę sieć warsztatów w różnych miejscach w całym stanie Kolorado i już niedługo zostanę milionerem, kotku - wyznał jej pewnym siebie głosem, stukając swoją szklaneczką o jej szklankę. - Oto mój plan.

Maria nie wiedziała, jak bogaty był wówczas Josh, ale gdy usłyszała o jego planach, uwierzyła, że właśnie znalazła swojego mężczyznę. - Ja też mam pewne plany - powiedziała, zerkając przez ramię i ścisząc głos. - Ale nie chcę o nich mówić przy ludziach - dodała, czując, jak kąciki jej ust unoszą się w lekkim uśmiechu. - Wiesz, o czym myślę?

Josh zapłacił rachunek i nie pytając, co miała na myśli, poprowadził ją do windy, którą pojechali na piętnaste piętro do jego pokoju. Następne cztery dni spędzili, prawie nie wychodząc z łóżka. Nawet nie zadała sobie trudu, żeby zameldować się pod swoim nazwiskiem, nie musiała też wydawać ani grosza. Jeśli Josh nie był nadzianym facetem, to z pewnością świetnie odegrał wówczas taką rolę. Powiedział jej, że jest chrześcijaninem i że nigdy nie robił czegoś podobnego, i za wszelką cenę próbował przekonać ją do zamieszkania w Denver.

- Możemy się pobrać i razem znaleźć jakieś miejsce, gdzie będziemy mieszkać - mówił, całkowicie nią zauroczony od chwili, gdy przyprowadził ją do swojego pokoju. - Zaczniemy chodzić do kościoła, założymy rodzinę i do końca życia będę się tobą opiekował - obiecywał. Po chwili zastanowienia zapytał ją o wiek.

Miała już trzydzieści dwa lata, lecz uznała, że on nie musi o tym wiedzieć. - Mam dwadzieścia siedem lat

- oznajmiła, patrząc na niego badawczo ponad stołem podczas śniadania. - A ty?

- Właśnie skończyłem dwadzieścia jeden - odparł, zapalając papierosa. - Ale to ostatnio nawet jest modne: faceci ze starszymi od siebie dziewczynami.

Z każdym mijającym dniem Josh zakochiwał się w niej coraz bardziej. Opowiadał jej o rodzinie, o swojej siostrze Lindsay i o tym, jak bardzo jego rodzice chcieli, żeby wrócił na studia. - Ale do zrealizowania moich planów wcale nie jest mi potrzebne wyższe wykształcenie - stwierdził.

- Na razie wszystko idzie po mojej myśli.

Dzięki niemu poczuła się tak, jak jeszcze nigdy się nie czuła, będąc z Raulem, i po trzech dniach zaczęła myśleć o wyjeździe z nim do Denver i spaleniu za sobą wszystkich mostów łączących ją z przeszłością. Wszystko zmieniło się ostatniego dnia, gdy Maria zrozumiała wreszcie, jak niepewna była realizacja planów, o których opowiadał jej Josh. Bo choć rzeczywiście zamierzał założyć za rok własny warsztat samochodowy, to okazało się, że obecnie zarabia jako kierowca ciężarówki holowniczej.

Leżeli właśnie w łóżku, gdy wyjawiał jej te fakty dotyczące jego pracy. Natychmiast wyskoczyła z pościeli i ubrała się w pośpiechu. - Czyli chcesz powiedzieć, że wcale nie jesteś milionerem? - spytała.

Josh wsparł się na łokciu i zaśmiał się nerwowo. - Jeszcze nie - odparł. - I nie będę nim przynajmniej przez rok.

Zebrała swoje rzeczy. - To nie może się udać, Josh - rzuciła, trzęsąc się na całym ciele, rozdarta pomiędzy sympatią do niego i przerażeniem tym, co czekało ją ze strony Raula, który zostawił jej na recepcji wiadomość, aby zadzwoniła do niego. Gdyby teraz wyjechała z Joshem, Raul by ją prześladował. Miał przecież podejrzanych przyjaciół, których się bała, a którzy z pewnością by ją odszukali. A skoro Josh nie był nadzianym facetem, którego Raul kazał jej znaleźć, to w takim razie dlaczego w ogóle miałyby z nim pojechać? Niestety, gdy wróci do domu, Raul będzie na nią wściekły. Pokręciła przecząco głową. - Jeszcze nie, jeszcze nie teraz - rzuciła. Miała jego numer telefonu i adres, a jemu dała swój numer telefonu. - Poza tym, jestem mężatką, Josh. Powinnam była wcześniej ci o tym powiedzieć - wyznała, zanim doszła do drzwi pokoju hotelowego. Dotykając klamki, powiedziała mu na koniec: - Zadzwonię do ciebie. Może wtedy uda ci się już zrealizować twoje plany, a ja... a ja nie będę już mężatką i... i...

Josh usiadł. - Jesteś mężatką? - wyrzucił z siebie zszokowany, a jego policzki stały się blade. - Jak mogłaś mi to zrobić?

Maria wyszła wściekła i zalana łzami, nie dając mu żadnej odpowiedzi. On nie powinien tak przesadnie akcentować faktu, że jest mężatką. Skoro nie miał miliona dolarów, to po co w ogóle mówił o tym wszystkim? Takich ślicznych chłopców z pensją kierowcy ciężarówki holowniczej było przecież na pęczki. Mimo wszystko to już nawet Raul był lepszy. Josh wybiegł za nią na korytarz, lecz ona nawet się nie obejrzała. Gdy tylko na parterze wyszła z windy, natychmiast podeszła do recepcji i zatelefonowała do Raula.

- Znalazłam nadzianego gościa - skłamała. - Mogę już wracać do domu.

Raul pochwalił ją i dał jej wskazówki, w jaki sposób następnego dnia ma wrócić samolotem do Nowego Jorku. Noc spędziła z jakimś obcokrajowcem z Australii i kilka godzin później poleciała do domu.

- Myślisz, że zrobił ci dziecko? - spytał ją Raul, gdy tylko podszedł do niej na lotnisku LaGuardia.

Maria miała ochotę napluć na niego, lecz zamiast tego spojrzała mu w oczy przeszywającym wzrokiem. - Powiedzmy, że dobrze się tam bawiłam - rzuciła szyderczo.

Jej odpowiedź wyprowadziła go z równowagi. Tamtego wieczoru pobił ją dość poważnie, karząc za to, że dobrze się bawiła na wyjeździe, do którego sam ją zmusił. Jej siniaki i krzyk stanowiły początek końca i zanim się dowiedziała, że jest w ciąży, jej małżeństwo się rozpadło. Wprowadziła się do swojej przyjaciółki i wpadła w złe towarzystwo, przez cały czas oczekując narodzin dziecka.

Wystarczyło jedno spojrzenie na Savannah, aby nie mieć wątpliwości, kto jest jej ojcem. Noworodek nie miał ciemnej skóry Raula ani jasnobłond włosów Australijczyka. A poza tym Josh był jedyną osobą, jaką znała, która mogłaby pomóc jej finansowo. Powróciły do niej słowa Raula:

„Niech ci zrobi dziecko i będziemy ustawieni... co miesiąc będziemy dostawali kasę”.

Gdy Savannah skończyła dwa miesiące, zatelefonowała do Josha. - Jak tam twoje plany? - tymi słowami zaczęła rozmowę, trzymając kciuki za pomyślną odpowiedź. - Czy jesteś już milionerem, Joshu Warrenie?

- Chyba sobie żartujesz - odparł z nutką rozgoryczenia w głosie, jakby wciąż był na nią zły za jej nagłe opuszczenie jego pokoju hotelowego tamtego dnia. - Posłuchaj, droga pani - rzekł - gdybym został milionerem, byłabyś ostatnią osobą na Ziemi, której bym o tym powiedział.

- A może ja mam jakieś wieści, które mogłyby cię zainteresować - stwierdziła tajemniczo, a leżąca obok niej na kocyku malutka Savannah zaczęła płakać. - Jesteś ojcem, Josh. Urodziłam dziewczynkę i ona jest do ciebie bardzo podobna.

Po drugiej stronie zapanowało długie milczenie. - Mówisz poważnie? — spytał w końcu. - Urodziłaś dziecko?

- Tak, urodziłam. I chcę, żebyś ty też mógł sprawować nad nią opiekę - oznajmiła. Potem umyślnie odczekała chwilę i dodała: - Ale nie mam pieniędzy. Chciałabym, żebyś co miesiąc przesyłał mi pieniądze na dziecko.

Choć bezpośrednio po usłyszeniu tych informacji Josh doświadczył niesamowitego przyływu emocji, po chwi-

li znów się opanował. - Skąd mam wiedzieć, że ona jest moją córką? - spytał. - Przecież jesteś mężatką.

- Już nie - padła natychmiastowa odpowiedź. - Dziecko jest twoje. Jestem tego pewna.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć? - ciągnął łagodniejszym już głosem.

Płacz Savannah stał się głośniejszy, na tyle mocny, aby Maria mogła mieć całkowitą pewność, że Josh słyszy go w słuchawce. - To jest twoja córka, Josh. Wyślij nam trochę pieniędzy, a będziesz mógł przyjechać, aby samemu się o tym przekonać.

- Wciąż jeszcze mieszkasz w Nowym Jorku?

- Tak. I mówię poważnie: pomóż mi, a będziesz mógł nazywać ją swoją córką.

Josh zamilkł na chwilę, a potem spytał chłodno: - Na co liczysz?

- Na trzy tysiące, może cztery. Żeby starczyło na przeżycie dla Savannah i dla mnie.

Josh zaczerpnął powietrza tak głośno, że usłyszała to w słuchawce. - Trzy albo cztery tysiące? - oburzył się, po czym zaśmiał się gniewnie. - Wciąż holuję samochody, Mario. Jeszcze nie zrealizowałem swoich planów - ciągnął. - Może przyjechałbym tam i spotkał się z wami. Może na jakiś weekend, czy jakoś tak. Gdybym zobaczył ją na własne oczy, to wiedziałbym, czy ona...

- Nie - przerwała mu Maria z wściekłością. - Co ty powiedziałeś? Nie masz pieniędzy?

- Teraz jeszcze nie, ale... - zaczął, zagniewany i zszokowany, nie wiedząc, co powiedzieć, a przede wszystkim - czy

jej wierzyć. - Zarezerwuję sobie bilet, dobrze? Przylecę za kilka tygodni i będziemy mogli porozmawiać osobiście.

- Zapomnij o tym - podniosła głos. Miała dziecko do wykarmienia i musiała jakoś ułożyć sobie życie. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był facet bez pieniędzy.

- Zadzwoń do mnie, kiedy twoje plany dojdą wreszcie do skutku. W przeciwnym razie nie chcę cię słyszeć - rozłączyła się i nie rozmawiała z nim przez rok. W końcu zatelefonował i zadał jej tylko jedno pytanie. Spytał, czy wciąż uważa, że on jest ojcem dziecka.

- Oczywiście - odpowiedziała, oburzona, równie nieuprzejmym tonem jak podczas ich ostatniej rozmowy.

- Czy masz już wreszcie pieniądze?

- Będę miał. Chcę zrobić test na ojcostwo, dobrze?

- Bez pieniędzy nie ma o czym mówić - rozłączyła się ponownie.

Minęły trzy lata i znów do niej zadzwonił. Tym razem powiedział jej, że sprawy wyglądają już lepiej. - Moje plany są w trakcie realizacji - rzekł. - Powiedz mi, czego potrzebujesz.

Maria wciąż była samotna, wciąż starała się jakoś ułożyć sobie życie w Nowym Jorku. Lecz bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała pieniędzy. - Cztery tysiące i ani grosza mniej - zażądała.

- Dobrze - zgodził się. - Mogę to zrobić. Ale najpierw coś chcę w zamian.

- Co?

- Zdjęcie. Podam ci adres, a ty prześlesz mi jej zdjęcie. Do tego czasu nie wypiszę ci czeku.

Maria zgodziła się i dotrzymała słowa. Następnego dnia wysłała mu pocztą zdjęcie Savannah. Tydzień później zatelefonowała do Josha. - Mówiłam ci - rzuciła. - Ona jest twoją córką.

- Ona... ona ma moje oczy.

- Zgadza się. To kiedy dostanę czek?

- Jak tylko zbiorę pieniądze - oznajmił z nutą rozpaczony w głosie. - Dam ci te pieniądze, Mario. Naprawdę. Może nie aż cztery tysiące, ale coś na pewno. Chcę wziąć odpowiedzialność za małą. Chcę się z nią zobaczyć.

- Żartujesz sobie? - wściekła się. Miała ochotę wyrwać słuchawkę i rzucić nią o ścianę. - Nie masz pieniędzy? Okłamałeś mnie?

- Przestań. Muszę to wiedzieć - tłumaczył się. - Teraz muszę tylko...

Maria rzuciła słuchawkę na bazę i zaczęła przeklinać go za to, że jest takim fajtlapą. Kilka tygodni później dostała od niego paczkę. Było w niej oprawione w plastikowe ramki zdjęcie Josha i studolarowy banknot. Poza tym znalazła w kopercie liścik, w którym obiecywał, że da jej więcej pieniędzy, jeśli tylko będzie mógł je odwiedzić. Ta setka przydała się na kilka dni. Maria wetknęła paczkę do szuflady w komodzie, a gdy po kilku miesiącach się przeprowadziła, nie podała Joshowi nowego adresu. Od tamtej pory nie rozmawiała z nim ani nie odbierała telefonów od niego. Raz nawet mogłaby przysiąc, że widziała go w Central Parku, ale wyszła stamtąd, zanim zdążył się zorientować.

Pociąg zaczął hamować i Maria otworzyła oczy. Savannah wciąż siedziała obok niej, wciąż patrzyła na nią tymi

dużymi, niebieskimi oczyma, oczyma Josha Warrena. - Jesteśmy prawie w domu - powiedziała dziewczynka.

- Widzę - odparła sucho, ziewnęła i poprawiła się na siedzeniu, prostując się lekko. Ojciec Savannah nigdy tak naprawdę nie miał żadnych planów. Był taki sam jak cała reszta. Dojechały do 145. Ulicy, więc mocno chwyciła Savannah za rękę. Były w domu. Z tą ilością pieniędzy, którą udało się dziś zebrać, może wreszcie dla odmiany będzie mogła dobrze się wyspać i spróbuje zapomnieć o przeszłości, o Savannah i tym niebieskookim marzycielu, jakim był Josh Warren - facet bez pieniędzy, który okazał się być może nawet gorszy od innych mężczyzn. Po prostu kolejny nieudacznik.

Savannah nie miała swojego pokoju, tylko kącik pod biurkiem w pomieszczeniu, gdzie czasami spała jej mama. Nie mogła przebywać na łóżku, na wypadek gdyby mama chciała się tam położyć. Ale nawet wtedy, gdy mama nie korzystała z łóżka, miejsce Savannah było na podłodze, gdzie spędzała czas z głową pod biurkiem i wystającymi stamtąd stopami. Miała miękki śpiwór i przyjemną poduszkę, i w gruncie rzeczy lubiła sypiać pod biurkiem, ponieważ ten niewielki zakątek był ciemny i taki własny, dający takie przyjemne schronienie jak choćby namiot.

Pod biurkiem przechowywała wszystkie swoje skarby. Była tam książka zatytułowana „Heidi”, którą jakaś pani dała jej, gdy jako sześciolatka dziewczynka była z mamą w Central Parku, i mały plastikowy krzyżyk, który dostała

od dziadka Teda, jeszcze przed jego śmiercią. To dziadek Ted powiedział jej o Jezusie, lecz później już nikt inny o Nim nie mówił. Czuła się bezpiecznie, wiedząc o tym, że ktoś taki jak Jezus pragnie jej słuchać.

Lecz jej ulubionym przedmiotem pod biurkiem było zdjęcie jej taty. Nie było zbyt duże, a czarna ramka, w której się znajdowało, była pęknięta. Savannah znalazła je pewnego ranka w pudełku z różnymi rzeczami pod łóżkiem matki. - Kto to jest? - spytała, podnosząc w górę zdjęcie, aby mama mogła je zobaczyć.

Od matki czuć było piwem, a jej oczy były na wpół przymknięte. - To? - zaśmiała się pozbawionym radości głosem. - To jest twój tata. On jest prawdziwym królewiczem z bajki.

Później tego samego dnia, gdy mama przyłapała ją na tym, że wciąż patrzyła na to zdjęcie, wyrwała je z jej rąk i wyrzuciła do kosza. Lecz w nocy, gdy mama znów piła alkohol, Savannah wyslizgnęła się spod biurka i ukradkiem zabrała fotografię. Mama nie wiedziała, że ona wciąż ją ma. I to była jej ulubiona pamiątka, bo pewnego dnia zamierzała go odszukać, a dzięki temu wszyscy staliby się szczęśliwi. Mama powtarzała przez cały czas, że jej życie byłoby lepsze, gdyby nie miała Savannah.

- Nie jestem dobrą matką - mawiała także.

Podczas niektórych wieczorów - choć Savannah nie mówiła o tym nikomu z wyjątkiem Jezusa - musiała zgodzić się z mamą. Bo w niektóre wieczory, wcześniej niż Savannah zwykle chodziła spać, mama wpychała ją pod biurko i kazała jej spać; czasami nie było też kolacji, bo

nie było pieniędzy od ludzi z Central Parku. Lecz zdjęcie taty pozwalało jej wierzyć, że dziadek miał rację: Jezus miał dla niej dobre plany.

W końcu przecież jej tata był prawdziwym królewiczem z bajki; żeby tylko mogła go odszukać.

A cóż mogłoby być wspanialszego niż to?

Lindsay Warren Farrell właśnie przeglądała stare czasopisma, gdy nagle zadzwonił telefon. Dzieci przebywały w szkole, a Larry był w pracy, więc wiedziała, że to nie telefonuje nikt z nich. Spojrzała na wyświetlacz i uśmiechnęła się. Dzwonił Josh. Nie rozmawiała z nim od tygodnia i miała ochotę dowiedzieć się, co u niego słychać.

- Halo? - odebrała połączenie.

W słuchawce usłyszała jakąś znajomą piosenkę, a muzyka grała na tyle głośno, że po chwili bez problemu rozpoznała utwór. — Josh? - powiedziała zdziwiona, słysząc teraz słowa piosenki. Siadła na najbliższym stołku. Co się tam dzieje? - przemknęło jej przez myśl. Zanim jednak zdążyła spytać, czy to na pewno on telefonuje, jej brat się odezwał.

- Słyszysz to?

- Tak - z trudem stłumiła śmiech, zdezorientowana. - Gra dość głośno.

- Wiem - potwierdził, od lat nie słyszała w jego głosie takiej radości. - Nie uwierzysz, co się stało, Linds. Pokora miesiąca temu usłyszałem najwspanialszą piosenkę, jaką znam. To był nagrany na żywo koncert Wynonny Judd i...

- Wynonny Judd?
- Tak! Śpiewała dokładnie tę samą piosenkę: „Mogę sobie tylko wyobrazić”. A więc pomyślałem, że to była jej piosenka i miałem jej szukać, jak tylko wpadnę do sklepu
- no wiesz, tam z tyłu, gdzie jest dział z płytami. I wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, żeby poszukać w Internecie i faktycznie...
- Znalazłeś to w wykonaniu „MercyMe”? - zaśmiała się i poczuła, jak robi jej się przyjemnie lekko na sercu i duszy.
- Właśnie przed chwilą! - zawołał zdumiony, pełen uniesienia.
- Dzisiaj mogę uczciwie powiedzieć, że ból pleców nie zajmuje pierwszego miejsca w moich myślach. Wiesz, dlaczego?
- Bo jesteś zbyt zajęty śpiewaniem - zażartowała.
- Coś w tym rodzaju. To znaczy słucham tego przez cały dzień
- wyjaśnił. Zrobił przerwę, żeby odetchnąć, a gdy znów zaczął mówić, był trochę bardziej opanowany.
- Kiedy oglądałem ten teledysk, podjąłem pewną decyzję. Od razu, tak jak tam siedziałem, ponownie oddałem moje życie Jezusowi i powiedziałem Mu, że jest mi przykro z powodu każdej złej decyzji, którą bez Niego podjąłem. Od tamtej pory modłę się codziennie i wiesz co? Tak sobie myślę, jak bardzo inaczej powinno wyglądać moje życie.
- Lindsay poczuła łzy w oczach. Czasami Larry, widząc na wyświetlaczu telefonu imię Josha, nie odbierał połączenia. - On zawsze prosi o pieniądze albo potrzebuje jakiejś pomocy - narzekał. - To jest twój brat, sama sobie z nim radź.

Lecz teraz Josh był żywym dowodem na to, dlaczego ludzie nigdy, przenigdy nie powinni machać ręką na kogoś, kogo kochają. Całe życie modliła się za Josha, a szczególnie przez te ostatnie lata, od czasu gdy ukończył szkołę średnią. Ani wybory Josha, ani konsekwencje, jakie z nich wypływały, nie przybliżyły go do Boga, lecz teraz może wreszcie dojrzał do tego, aby przestać żyć jedynie na własną rękę. - Josh... jestem taka szczęśliwa - wyznała łamiącym się ze wzruszenia głosem.

- Ja też. To tak, jakbym w końcu zrozumiał, że Bóg, że Jezus umarł za mnie na krzyżu i otworzył bramy nieba dla ludzi takich jak ty i ja. Jeśli Mu pozwolimy, On da nam życie tutaj i na zawsze. Więc teraz to jest moja piosenka: „Mogę sobie tylko wyobrazić”.

Lindsay czuła taką radość w sercu, że aż odebrało jej mowę.

- W każdym razie dzwonię z pewną prośbą. Czy mogę pójść z tobą, Larrym i dziećmi w najbliższą sobotę do kościoła? Idziecie wieczorem, prawda?

- O szóstej - odparła bez zastanowienia. Poczowała się tak, jakby właśnie otrzymała najpiękniejszy w życiu prezent. - Mówisz poważnie, prawda? Ty naprawdę chcesz pójść z nami, tak?

- Oczywiście - zaśmiał się i był to jakby śmiech dużego dziecka, a nie przeżywającego poważne trudności młodego człowieka z chronicznym bólem pleców. - Mam wyznać ci prawdę? Otóż od pięciu tygodni chodzę w każdą niedzielę do kościoła z moimi sąsiadami. Uwielbiam to. Dzięki temu nie myślę przez cały czas o bólu tak jak wcześniej.

- Jasne - rzuciła krótko, nie wiedząc, co powiedzieć. Czuła gorące łzy na policzkach, więc po prostu je otarła. Przyszedł jej do głowy pewien obraz - zobaczyła siebie, Larry'ego, Bena, Bellę i Josha siedzących razem w kościele w jednej z przednich ławek w sobotni wieczór. - Zajmę ci miejsce.

- No przestań, Lindsay - mówił tak radośnie, jak kiedyś w przeszłości, zanim jeszcze zdarzył się wypadek.

- Znam cię lepiej, niż myślisz - ponownie się zaśmiała.

- Moja siostra, Lindsay, miałyby się zjawić na czas? To ja zajmę wam miejsca.

W tle wciąż słychać było ten sam utwór i Lindsay z trudem zmusiła się do mówienia. - Wiesz, co to jest, prawda?

- spytała wzruszona. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy będzie mogła powiedzieć mamie o ich rozmowie. Jej rodzice chodzili zwykle na bardziej tradycyjne niedzielne nabożeństwo, lecz najbliższy sobotni wieczór miał być na tyle wyjątkowy, że też powinni pójść do kościoła.

- To cud - odparł Josh bez chwili wahania. - Czułem, że Bóg robi coś z moim sercem, że je przemienia. Ale gdy znalazłem dzisiaj tę piosenkę... cały świat zaczął jakby inaczej wyglądać.

Z ust Lindsay dobywał się jakiś dźwięk, lecz sama nie wiedziała, czy to był śmiech, czy płacz. Zakryła sobie dłonią usta. - Tak długo się o to modliłam - wyznała po chwili. Podeszła do okna w kuchni i spojrzała na widoczne w oddali góry. - Gdy myślałam o twoim bólu, wypadku i całej twojej walce, wiedziałam, że tylko Bóg mógł przynieść ci ulgę. A teraz - teraz popatrz na siebie.

- Masz rację - przyznał. - Tydzień złożony z takich dni jak dzisiejszy i może moje plecy same wyzdrowieją - mówił optymistycznym tonem, tak jakby rzeczywiście wierzył, że to jest możliwe. - A jeśli nie, to zaczekam do operacji, ale przynajmniej nie będę już taki zdołowany, już nie. Przypomniałem sobie dzisiaj, co zawsze powtarzali nam mama i tata: Bóg ma wspaniałe plany dla swojego ludu - wyznał i zaśmiał się ponownie. - Czy to nie jest wspaniałe, Lindsay? Bo wiesz co? W końcu w to uwierzyłem.

Lindsay znów mu powiedziała, jak szczęśliwa jest z jego powodu, jak bardzo się za niego modliła i jak całkowicie odmieniony jest jego głos - teraz, gdy ponownie znalazł wiarę. - Dzieciaki mają w tym tygodniu pełno zajęć: pianino, tańce, trening futbolu - wyliczała. - Potem mam jeszcze w szkole wywiadówkę. Bella bardzo chce, żebym na nią poszła. Ale piątek jest luźniejszy - ucieszyła się. Podeszła do rodzinnego komputera i kliknęła na kalendarz. - Przyjedziesz na kolację? - zaproponowała.

- Akurat tego dnia mam być w sądzie - oznajmił, a w jego głosie nie było słyhać przykrości i przygnębienia tak jak zwykle, gdy mówił o zeznaniach i przesłuchaniach związanych z jego wypadkiem. - Ale na kolację chętnie wpadnę.

- A w sobotę możesz pójść z nami na mecz Bena. Mama i tata też tam będą i potem moglibyśmy pójść razem do kościoła.

- Może wtedy byś się nie spóźniła.

- Tak, to byłby cud - zaśmiała się. Miała już się rozłączyć, gdy nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. - Hej,

wychodzę właśnie załatwić parę spraw. Muszę też zawieźć mamie brytfannę. Masz coś przeciwko temu, żebym wpadła do ciebie na chwilę? Nie wiem, czy wytrzymam do piątku, żeby cię uściskać. - Będę u siebie.

Lindsay przeczesła włosy i przejrzała się w lustrze. Oboje z Larrym ćwiczyli prawie każdego ranka, czasami biegali także po pagórkach wokół ich domu. Praca w gazecie bardzo jej odpowiadała, zwykle przebywała tam od ósmej do szesnastej, a wtorki i niedziele miała wolne. Jeśli potrzebowała spędzić więcej czasu w domu, wydawcy byli bardzo elastyczni i nie robili problemu, byle tylko jej artykuły spłynęły do redakcji do siedemnastej w sobotę. Żyło się jej dobrze i wygodnie i wszystko szło jak po maśle.

Tylko Josh spędzał jej sen z powiek. Zamartwiała się tym, jak mogłaby pomóc bratu, i zastanawiała się z niepokojem, czy on kiedykolwiek odnajdzie na nowo wiarę, w której zostali wychowani. A teraz... Wzięła z kuchni brytfannę, chwyciła torbę z ubraniami do pralni i kilka paczek do wysłania na poczcie i ruszyła do swojego chev-roleta tahoe zaparkowanego w garażu. W końcu Josh doświadczył tej przemiany, której oni wszyscy tak bardzo dla niego pragnęli.

Najpierw zamierzała pojechać do niego. Nie mogła się doczekać, kiedy go zobaczy. Wiedziała, że jego oczy powiedzą jej od razu, jak mocno poruszyło go doświadczenie tej prawdy, że Bóg jest po jego stronie i wciąż ma dla Josha plany, nawet jeśli przez jakiś czas były one ukryte.

Kompleks mieszkaniowy, w którym znajdowało się mieszkanie Josha, nie był najciekawszy. Za każdym razem, kiedy była u brata, zawsze zerknęła przez ramię, upewniając się, czy nikt nie podgląda ich przez okno. Raz rozmawiała z jednym z kolegów dziennikarzy o poziomie przestępczości w tamtym rejonie i była zdziwiona, gdy poznała jego opinię na ten temat. - To jest rzeczywiście budzący wątpliwości obszar - powiedział jej. - Lecz tak naprawdę mieszkają tam ludzie pokrzywdzeni przez los. Większość z nich mieszka tam od lat, a taki rodzaj stabilności zwykle powoduje, że takie miejsce jest nawet bardziej bezpieczne.

Mimo to Lindsay szła teraz szybko. Na kontenerze na śmieci ustawionym na środku parkingu widać było niedawno wykonane graffiti, a jedno z mieszkań miało wybitą szybę w oknie. Lecz bez względu na to, co sobie myślała o tych blokach, wiedziała, że powinna spędzać tutaj więcej czasu. Zwykle Josh zniechęcał ją do odwiedzania go, narzekając, że jest zbyt zmęczony i kompletnie nieprzygotowany na przyjmowanie gości. Wolał, aby spotykali się w domu rodziców. Lecz może teraz i to ulegnie zmianie.

Zapukała do drzwi, a on otworzył je szybciej niż zazwyczaj. Czy to jej wyobraźnia, czy też był bardziej wyprostowany i jakby wyższy niż zwykle? — Josh... — zaczęła.

W środku wciąż słychać było ten sam utwór, lecz muzyka nie grała już tak głośno jak wcześniej. Ich oczy spotkały się i Josh wyciągnął do niej obie ręce. - Wszystko będzie dobrze, Linds - przerwał jej łagodnym głosem, pełnym radosnych emocji, których ostatnio nie okazywał. - Naprawdę.

Brat przerósł ją, gdy była jeszcze w drugiej klasie szkoły średniej, miał teraz sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu i był wyższy od niej o ponad dwadzieścia centymetrów. Sporo stracił na wadze, ale wciąż jeszcze nie odzyskał tej smukłej, wysportowanej sylwetki, jaką miał jako nastolatek. Jednak Lindsay to nie przeszkadzało. Objęła go rękoma i przycisnęła głowę do jego piersi. Był dużym mężczyzną, przy aktualnej nadwadze brata czuła się w jego ramionach mała i... bezpieczna.

Gdy w końcu odchyliła się do tyłu, spojrzała mu prosto w oczy i zobaczyła w nich to, co pragnęła tam znaleźć

- błysk, jakiego nie widziała w oczach brata przez ostatnie trzy lata. - Ty naprawdę wróciłeś - stwierdziła.

Pokiwał głową. - Czuję się tak, jakbym właśnie wybudził się z jakiegoś koszmaru - wyznał, robiąc jej przejście i zapraszając do środka.

Miała mało czasu. Oboje weszli do pokoju. Postawiła torebkę na czystym i wypolerowanym stoliku do kawy i gdy usiedli na kanapie twarzami w stronę kominka, Josh się uśmiechnął. - Widzisz, Linds, nie ma już brudnych naczyń ani nieprzeczytanej poczty - pochwalił się, wskazując ręką na posprzątany pokój. - Czy teraz jesteś ze mnie dumna?

- O mało co nie zemdlałam z wrażenia - zachichotała. Jej brat zawsze miał bałagan w pokoju, nawet wtedy gdy byli jeszcze dziećmi. „Życie pochłania mi zbyt wiele czasu”

- zwykł mawiać w żartach. Lecz po wypadku cała rodzina obawiała się, że jego nieposprzątane mieszkanie było jakby symptomem jego bólu i towarzyszącej mu depresji. Rozejrzała się po pokoju i widząc uporządkowane meble

i czyste parapety, poklepała go po kolanie. - Będę musiała wynająć cię do posprzątania u mnie - zażartowała.

Zaczęli swobodną rozmowę i Lindsay ponownie poruszyła ten najważniejszy temat, jakim była jego nowo odzyskana wiara. - A więc naprawdę lepiej się dzisiaj czujesz i plecy już nie bołą cię tak bardzo? - spytała.

Josh poprawił się na kanapie, prawdopodobnie szukając wygodniejszej pozycji. - Wcześniej pozwalałem na to, żeby ból panował nad wszystkim, co robiłem, nad całym moim dniem - rzekł. - Czasami tak bardzo bolały mnie plecy, że wyobrażałem sobie ten ból, jakby on był czymś żywym i oddychającym, czułem się tak, jakby złapał mnie jakiś demon i nie pozwalał mi się uwolnić.

Lindsay sięgnęła po rękę brata. Bolało ją serce, gdy słuchała, jak Josh mówił w ten sposób o swojej sytuacji. Co z tego, że nie życzył sobie towarzystwa. Przecież jeśli był taki przybity i zniechęcony, skoro jego ból był taki ogromny i przytłaczający... - Powinieneś być coś powiedzieć - rzuciła. - Mogłam przecież wpadać do ciebie częściej po pracy i przynajmniej przywozić ci coś na kolację.

- Nie - zaprotestował. Miał wilgotne czoło, co wskazywało na to, że wciąż cierpi, nawet w tej chwili, kiedy z nią rozmawia. Lecz pokój, jaki bił z jego oczu, był większy niż jego ból. - Nie przejmuj się tym, Linds. Nic mi się nie stało - uspokajał ją. Spojrzał na zdjęcia ustawione na gzymsie kominka. - Musiałem sam przez to przejść, żeby w końcu doświadczyć tego, co teraz... Tylko ja i Bóg.

Wstała i podeszła do trzech fotografii. Ta, która przedstawiała małą dziewczynkę, przykuła jej uwagę jako pierw-

sza i Lindsay wzięła ją do ręki. - Czy one stały tutaj, gdy wpadłam do ciebie ostatnim razem? - spytała.

- Pewnie tak - przyznał z zakłopotaniem. - Zwykle jednak nie zapraszałem cię, żebyś usiadła ze mną w tym pokoju. Za każdym razem, gdy do mnie przyjeżdżałaś, chciałem się ciebie jak najszybciej pozbyć.

- Dlaczego? - zdziwiła się. Wciąż trzymając zdjęcie w dłoni, odwróciła się i spojrzała na niego, jakby skrzywdzona jego wyznaniem.

- Bo... - zaczął, a wyraz jego twarzy błagał o zrozumienie. - Nie chciałem, żebyś widziała mnie w takim stanie. Moje plecy... bałem się, że nie potrafiłbym zrobić na tobie dobrego wrażenia. Kiedy jestem tutaj sam, nie muszę udawać, że wszystko jest w porządku. Mogę położyć się na podłodze albo wcale nie ruszać się z łóżka, jeśli tylko dzięki temu czuję się lepiej - uśmiechnął się. - Ale... sam nie wiem. Dzisiaj jest jakoś tak dziwnie. Ciągłe czuję ten ból, ale teraz jest on jakiś taki odległy. To tak, jakby ktoś krzyczał na mnie przez boisko do futbolu.

Krwawiło jej serce z jego powodu - z powodu jej brata, który zawsze był taki szczęśliwy i bez troski. I tylko pomyśleć, że on nie chciał, żeby go odwiedzała, bo wstydził się swego bólu. Taka rzeczywistość była okropna. Lindsay westchnęła i ponownie zwróciła uwagę na fotografię. Już raz widziała to zdjęcie. - Ile ona miała tu lat, cztery czy pięć? - spytała.

- Cztery - odparł Josh. Wstał, podszedł do Lindsay i stanął obok niej. - Ciągłe myślę, że za rok od dziś będę mógł sprawować nad nią częściową opiekę - wyznał. - Założę się, że ona jest po prostu wspaniała, no wiesz.

Lindsay uśmiechnęła się do niego. - Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie ją poznam - powiedziała. Mniejsza o to, że zdaniem ich rodziców dziewczynka nie jest tak naprawdę córką Josha albo że upłyną całe lata, zanim matka dziewczynki znów się odezwie. Wystarczyło spojrzeć na to zdjęcie bez uprzedzeń, aby stwierdzić, że dziecko nosi w sobie podobieństwo do Josha, istnieje więc duże prawdopodobieństwo, że ta dziewczynka jest jego córką

- tak uważała Lindsay. Poza tym, po co temu zaprzeczać? Josh uważał, że mała jest jego córką, a Lindsay wierzyła Joshowi.

Odłożyła fotografię na miejsce i spojrzała na kolejną. Przedstawiała dwie nastolatki ubrane w dżinsy i swetry, stojące na zaśnieżonym podwórku przed jednopiętrowym domem. - Kim one są? - spytała.

- To długa historia - odpowiedział szybko Josh. - Są najlepszymi przyjaciółkami. Poznałem je w pracy.

Lindsay ponownie spojrzała na dziewczyny i wiedziała bez pytania, że jej brat nie zainteresowałby się żadną z nich. Były przynajmniej o dziesięć lat młodsze od niego. Jakakolwiek historia wiązałaby się z nimi, z pewnością musiała być ważna dla Josha, skoro trzymał ich zdjęcie w takim miejscu, aby móc na nie codziennie patrzeć.

- Czy to ty zrobiłeś to zdjęcie? - spytała.

- Nie - zaprzeczył, odwracając się, po czym wyszedł do kuchni. - Nie wiem, kto je zrobił - dodał. Przyłożył sobie rękę do pleców w okolicy krzyża, lecz nie zwolnił kroku. - To nic szczególnego, naprawdę. Po prostu trzymam je tam, żeby przypominało mi o czymś dobrym, co

wydarzyło się przy holowaniu samochodów - stwierdził tajemniczo, sięgając do szafki kuchennej znajdującej się przy zlewie. - Chcesz wody?

- Jasne, dzięki - przytaknęła, wciąż myśląc o tych nastoletnich dziewczynach. Skoro Josh musiał mieć jakiś powód, aby wierzyć w sens swojej pracy - bez względu na to, skąd czerpał ten sens - Lindsay cieszyła się, że udało mu się go znaleźć. Zwłaszcza przy świadomości, że jego praca kosztowała go zdrowie i brak zatrudnienia przez ostatnie trzy lata.

Wzięła od niego szklankę z wodą. - Opowiedz mi o swoich sąsiadach, o tych, z którymi chodziłeś do kościoła - poprosiła.

- Są wspaniałymi ludźmi - zaczął radosnym głosem. - Carl Joseph i jego dziewczyna, Daisy, mieszkają w oddzielnych mieszkaniach w moim bloku, jest jeszcze brat Carla Josepha, Cody, i jego żona, Elle, która jest siostrą Daisy. Cała czwórka chodzi razem co tydzień do kościoła i gdy powiedziałem Carlowi Josephowi o teledysku Wynonny i o tym, jak poczułem, że Bóg woła mnie ponownie do siebie, włączyli mnie do swojej grupy - wyjaśnił, a jego oczy były pełne światła. - Naprawdę mam bardzo bogate życie, Lindsay. To osiedle nie ma z tym nic wspólnego, w niczym nie przeszkadza.

Nagle zapragnęła zapamiętać tę chwilę, zapragnęła zapamiętać brata, jak stoi tutaj w swoim ciasnym mieszkanku, w świetle słonecznym przy wpadającym przez małe okno w kuchni. Bez wątpienia odczuwał ogromny ból pleców, lecz zarazem całym sercem wierzył w to, że żadne

pieniądze nie przyniosłyby mu już większego bogactwa. Jej oczy zrobiły się wilgotne od łez szczęścia. - Nie mogę się już doczekać piątkowej kolacji... i soboty też - wyznała. Uścisnęła go jeszcze raz i trzymała w objęciach dłużej niż zwykle. Gdy go puściła, spojrzała na niego w taki sposób, jakby zajrzała mu prosto w serce, w to miejsce, które zawsze należało tylko do niej. - Myślę, że może znów zaczynasz naprawdę żyć.

- Zaczynam - przyznał, odetchnął głęboko i ponownie się wyprostował. - Nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć, co następnego przygotował dla mnie Bóg.

- Ja też. To znaczy, chcę powiedzieć, że odzyskałam brata - stwierdziła, wzięła swoją torebkę ze stolika do kawy i wsunęła ją pod ramię. Potem pocałowała brata w policzek i ruszyła do drzwi wyjściowych. - Piątek wieczór.

- Będę - obiecał. Byli już przy drzwiach i Josh oparł się o futrynę. - Aha, masz tu te sześćset dolców, które mi pożyczyłaś - powiedział, wyciągając z kieszeni czek i podając jej. - Możesz go zrealizować w środę.

Lindsay nie myślała o tej pożyczce, odkąd przed kilkoma miesiącami dała mu te pieniądze, gdy rachunki za lekarza okazały się tak wysokie, że nie stać go było na zapłacenie czynszu za mieszkanie. - Josh, nie musisz tego robić - odparła, próbując oddać mu czek, lecz nie chciał go przyjąć. - Niech to będzie prezent.

- Nie mogę tego przyjąć - zaprotestował łagodnie, lecz Lindsay wiedziała, że sprawę pieniędzy traktował bardzo poważnie. - Powiedziałem ci, że je oddam, i chcę dotrzymać słowa. Mam pieniądze na następny miesiąc

- uśmiechnął się. - Dzięki za pomoc. Nie chciałem się spóźnić z płatnościami i dzięki tobie i Larryemu się nie spóźniłem.

- No wiesz... mogłeś z tym poczekać do czasu, aż dostaniesz pieniądze.

- Jestem winien mamie i tacie prawie ich roczne zarobki - wyznał, spoglądając na nią w ten szczególny sposób, w jaki patrzył na nią kiedyś w dzieciństwie, gdy mieli tylko jedno sobotnie popołudnie na posprzątanie całego garażu. - A to z pewnością będzie musiało poczekać, aż dostanę wreszcie odszkodowanie - stwierdził. Potem dotknął jej ramienia i dodał: - Długi wobec ciebie mogę zapłacić już teraz, więc pozwól mi na to, okej?

- Okej - zgodziła się. Popatrzyła na niego jeszcze przez chwilę, potem złożyła czek i wsunęła go do kieszeni spodni. - Kocham cię, Josh. Tak się cieszę, że znalazłeś drogę powrotną.

- Ja też cię kocham - powiedział z radością w oczach.

- Powiedz Benowi, żeby szukał mnie na trybunach.

Potem Lindsay pobiegła lekko do samochodu, a gdy opuszczała ten specyficzny kompleks mieszkaniowy, zobaczyła Josha wciąż stojącego przed drzwiami na zewnątrz i patrzącego za nią, a jego uśmiech był widoczny nawet z parkingu. Pomachała mu po raz ostatni i wtedy podjęła szybką decyzję. Najpierw załatwi wszystkie swoje sprawy, a dopiero na koniec pojedzie do domu rodziców. Dzięki temu nie będzie musiała się spieszyć, gdy spotka się z matką. Dzisiaj miały do omówienia coś więcej niż tylko plany na następny tydzień albo sobotni mecz Bena.

Godzinę później przestąpiła drzwi wejściowe domu rodziców i znalazła matkę rozmawiającą przez telefon w ogrodzie za domem. Lindsay czuła, jak niemal rozsadzają ją wieści związane z Joshem, lecz mama dała jej znak ręką, żeby chwilę zaczekała. Przy jej nogach znajdowała się sterta powyrywanych chwastów, a obok niej stała mała skrzynka z narzędziami ogrodniczymi. Lindsay oparła się o tylną ścianę domu i spojrzała na rozciągający się za matką obszar stanowiący ogromną działkę rodziców. Kiedyś oboje z Joshem bawili się tutaj każdego popołudnia, a latem rodzice rozstawiali dla nich i ich przyjaciół nadziemny, składany basen. Miała tyle wspomnień wiążących się z tym miejscem.

- Jak zawsze powtarza Nate - mówiła do słuchawki jej matka - ponowny wybór wcale jeszcze nie jest przesądzony, a więc musimy być ostrożni. W piątek mieliśmy tutaj bibliotekarzy, a w tym tygodniu przychodzi kolejna grupa, ze związku zawodowego nauczycieli. Myślę, że znów podamy sernik - stwierdziła, zrobiła minę w stronę Lindsay i wolną ręką zatoczyła w powietrzu kilka kółek, jakby chciała powiedzieć, że stara się zakończyć rozmowę. - Tak, no właśnie, może powinnaś tutaj być. Jesteś naszą przyjaciółką i ich przyjaciółką. To zawsze byłoby dobre dla Nate'a.

Lindsay zaczęła się obawiać o mamę. Zanim jej tata zaangażował się w pracę w Komisji Oświaty, jej rodzice prowadzili w kościele studium biblijne i zanosili posiłki osobom uwięzonym w domu z powodu choroby lub starości. Teraz wyglądało na to, że niemal każdą godzinę

dnia matka poświęca sprawom związanym z ponownym wyborem ojca na członka Komisji Oświaty. Może rozmowa o Joshu pomoże jej oderwać się od tych wszystkich proszonych kolacji i politycznego pozerstwa, co pochłania jej tyle czasu.

Upłynęły kolejne dwie minuty i wreszcie matka skończyła rozmawiać. Odetchnęła głęboko i zrobiła minę, która miała pokazać, że jest wyczerpana. - Ta kobieta jest chyba najlepiej ustosunkowana w Colorado Springs, ale - o rany! - potrafi rozmawiać w nieskończoność - narzekała matka, spoglądając na zegarek. - Ogródek będzie musiał poczekać. Dziś wieczorem mamy kolację, na której będzie ona i jeszcze ze trzy inne osoby - wyjaśniła, wycierając ręce w granatowe bawełniane spodnie od dresu i uśmiechając się do Lindsay. - Przywiozłaś z powrotem brytfannę?

- Tak, przywiozłam, ale miałam nadzieję, że znajdziesz dla mnie kilka minut.

- Och, kochanie, przepraszam. Muszę wszystko przygotować - rzuciła, przechodząc obok niej. - To może chodź na chwilę do kuchni. Muszę wymyć ręce.

Lindsay nie miała innej możliwości, jak tylko pójść za matką. - Wstąpiłam wcześniej do Josha. Słuchał tej piosenki... - próbowała przebić się ze swoją niesamowitą wiadomością.

Matka odkręciła wodę, wycisnęła na dłonie kilka kropel mydła w płynie i zaczęła myć ręce. Spojrzała w stronę Lindsay, unosząc brwi, jakby chciała powiedzieć, że przecież ciągle jej słucha. Lindsay wiedziała, że szum płynącej z kranu wody nie pozwoli na spokojne wysłuchanie tego,

co miała mamie do powiedzenia, więc postanowiła zaczekać. Po upływie mniej więcej minuty matka zakręciła kran i sięgnęła po papierowy ręcznik. - A więc słuchał chrześcijańskiej muzyki, czy to właśnie mówiłaś? - spytała, wycierając ręce i wyrzucając do kosza wilgotny papier. Kolejne odgłosy zaburzyły rozmowę, więc Lindsay znów zaczęła z tym, co pragnęła powiedzieć.

Matka jakby nagle zrozumiała, że ta rozmowa wymaga więcej jej uwagi, bo zatrzymała się na chwilę i spojrzała na Lindsay. - Przepraszam, kochanie, mów dalej - poprosiła.

- No tak. Słuchał piosenki: „Mogę sobie tylko wyobrazić”. Znasz ten utwór, prawda?

- Hm - mruknęła matka, kręcąc przecząco głową.

- Jakoś sobie nie przypominam.

- To ta piosenka o niebie. Kiedy zadzwonił do mnie dziś rano, puszczał ją sobie tak głośno, że z trudem słyszałam jego głos w słuchawce, i powiedział, że było tak, jakby...

- Musi uważać na sąsiadów - przerwała jej matka.

- On nie ma zbyt wielu przyjaciół, Lindsay - stwierdziła, znów spojrzała na zegarek i złożyła przed sobą ręce.

- Głośna muzyka nie zjedna mu nikogo.

Lindsay spojrzała na mamę. Dlaczego ona zachowuje się w ten sposób, że tak trudno podzielić się z nią dobrymi wiadomościami o Joshu? *Bądź cierpliwa* - mówiła sobie w duchu. *Boże, proszę, daj mi cierpliwość. Mama nie wie, co się stało.*

- Tu nie chodzi o sąsiadów - ciągnęła dalej. - Chodzi o to, że Josh wydaje się przemieniony przez tę piosenkę, przez jej przesłanie. Dzisiaj mówił o Bogu, o tym, że wraca do Kościoła i... nawet plecy nie bolą go tak bardzo jak zwykle.

Matka wzięła jedną pomarańczę z półmiska z owocami, chwyciła kolejny papierowy ręcznik, rozłożyła go na blacie i wbiła paznokiec w skórę owocu. - Nie będzie ci przeszkadzać, że będę jadła, prawda? - rzuciła. - Całkiem zapomniałam o obiedzie, a na śniadanie zjadłam coś, co zostało z wczoraj i też nie było tego zbyt wiele.

Lindsay miała ochotę na nią krzyknąć. To było oburzające. - Czy usłyszałaś, co powiedziałam? - spytała, już mocno poirytowana. - Czy zrozumiałaś, że mówiłam o tym, że on chce pójść z nami do kościoła i że łatwiej mu znieść ból?

- Nienawidzę tych środków przeciwbólowych, które on bierze - rzuciła wymijająco matka. Wzięła pomarańczę, rozerwała ją na pół i włożyła część do ust. Wolną ręką otarła kąciki ust i skupiła uwagę na następnym kawałku. - Ten OxyContin może zabić człowieka - stwierdziła, przeżuwając i połykając kolejną część. - Któregoś dnia sprawdziłam to w Internecie. Napisali tam, że gdyby ktoś ssał tabletki, zamiast je połknąć od razu, to działanie leku stałoby się tak silne, że mogłoby nawet spowodować śmierć - oznajmiła, wymachując w powietrzu kolejnym kawałkiem pomarańczy. - Pewnie lekarz przepisał mu ostatnio za dużą dawkę i dlatego może dzisiaj nie czuć bólu, ale co będzie, jeśli się uzależni od tego środka? Wolałabym raczej,

żeby żył z trochę większym bólem, a nie godził się za każdym razem, gdy lekarz zwiększa mu dawkę.

Gdy Lindsay z powodu frustracji wstrzymała się od odpowiedzi, matka mówiła dalej. - Tak, kochanie, on co jakiś czas wspomina coś o kościele i o Bogu - ciągnęła. - Ale uwierzę, że coś się zmieniło, kiedy to zobaczę. W przeciwnym razie to tylko czczy gadanina. Zresztą, znasz Josha. Ciągłe marzy, ma te swoje plany na to lub na tamto - tak samo było przecież przed wypadkiem - narzekała. Zjadła jeszcze kilka kawałków pomarańczy, a to, co jej zostało, schowała do plastikowego woreczka.

- Mamo, czy ty mnie w ogóle słuchasz? - spytała Lindsay, czując, że chce się jej płakać. To był dla Josha wielki dzień, a ich matka nawet na to nie zareagowała i nic z tego nie rozumiała.

- Oczywiście, że cię słucham, kochanie - odparła, chowając pomarańczę do lodówki. - Tylko że jeśli miałybyśmy być ze sobą szczerze, to musiałybyśmy przyznać, że takie historie słyszałyśmy już od Josha wiele razy - stwierdziła, a jej spojrzenie wyrażało zniechęcenie. - Naprawdę martwię się o twojego brata. Odkąd skończył szkołę średnią, zмага się z realizacją swoich planów i nie udaje mu się wprowadzić ich w życie - wyznała najwyraźniej rozgoryczona, zbliżyła się do Lindsay i pocałowała ją w czoło. - Dzięki, że jesteś dla niego taką dobrą siostrą. To ważne, żeby każdy z nas wciąż dodawał mu otuchy. Twoja rola jest tu nie do zastąpienia - dodała, ruszając w stronę schodów prowadzących do jej sypialni. - Muszę się przygotować, ale porozmawiamy jeszcze o tym później, okej?

Gdyby Lindsay nie była taka wściekła na matkę, krzyknęłaby na nią. Powiedziałyby jej że nie, że nie jest okej i że żadna uroczysta kolacja nie jest ważniejsza niż zmiany, jakie zaobserwowała tego dnia u Josha. Lecz skoro jej matka nie chciała tego słuchać, to niech tak będzie. Nie zamierzała przecież walczyć z własną matką.

Do czasu, gdy Lindsay znalazła się z powrotem w swoim samochodzie, jej gniew znacznie osłabł, a jego miejsce zajęło współczucie, jakiego ostatnio doświadczała coraz częściej, gdy myślała o matce. Było to współczucie i żal, bo matka nie żyła już wiarą tak jak kiedyś; bo nie tylko obawiała się o Josha, lecz także była z jego powodu zakłopotana i zażenowana. Ich mamę frustrowało to, że Josh nie został nauczycielem jak jego ojciec albo pisarzem jak Lindsay. Gdy skręciła w główną drogę prowadzącą do domu, znowu pomyślała o swoim bracie i jego ponownej ekscytacji Bogiem i życiem, o jego determinacji do odnalezienia swojej drogi pomimo bólu.

Gdyby była uczciwa wobec samej siebie, gdyby przyznała się do tych najbrzydszych uczuć, jakie zrodziły się w jej sercu, musiałaby wyznać, że sama także odczuwała zażenowanie z powodu drogi zawodowej, jaką obrał jej brat. Stać go było na znacznie więcej niż holowanie samochodów. Lecz przynajmniej jej zażenowanie nie trwało długo. Jeśli taką pracę wybrał dla siebie jej brat, to ona powinna się z tego cieszyć - bez względu na to, co innego mógłby w życiu robić.

Wciąż nie знаła historii, która kryła się za fotografią tych dwóch nastoletnich dziewczyn, lecz następnym ra-

zem, kiedy się spotkają, przycisnie go, żeby mu ją opowiedział. Było oczywiste, że nie bez powodu trzyma to zdjęcie na kominku. I teraz, gdy myślała o tym, wjeżdżając do swojego garażu, miała łzy w oczach.

Skoro nikt z ich rodziny nie był dumny z jego pracy, jeśli u nich nie mógł znaleźć potwierdzenia, że jego praca ma sens, to prawdopodobnie tamto zdjęcie dawało mu coś, co wiele znaczyło dla jej brata.

Dawało mu powód do wiary w siebie.

Josh myślał, że zemdleje z bólu. Stał w miejscu przeznaczonym dla świadka i odpowiadał na pytania spokojnym, rozważnym tonem, lecz wewnątrz jego ciało wołało o odrobinę ulgi. *Gdzie jesteś, Boże? - pytał w duchu. Potrzebuję Cię tutaj... Proszę...*

Adwokat reprezentujący towarzystwo ubezpieczeniowe poprosił o chwilę rozmowy ze swoimi współpracownikami, aby się przygotować do kolejnej rundy kąśliwych pytań. Josh zamknął oczy na kilka sekund i próbował zmienić pozycję, próbował znaleźć choćby odrobinę ulgi w cierpieniu. Radość, nadzieja i wiara, które przed trzema dniami wypełniły jego świat, wciąż znajdowały się w jego wnętrzu, lecz w tym momencie trudniej było je poczuć - to wszystko. *Proszę, Boże. Jesteś tam?*

Moje dziecko, Ja zawsze jestem z tobą... nawet do samego końca...

Ta odpowiedź nie była głośna, lecz wyraźnie rozbrzmiała w jego duszy, przynosząc pokój, który przypominał mu o prawdzie tych słów. To zeznanie nie było końcem jego historii - bez względu na to, jak się ono zakończy. Jego życie zostało teraz przemienione i żaden ból nie był w stanie

tego cofnąć. Usłyszał, jak adwokat odchrząknął, podchodząc ponownie do mikrofonu.

Josh otworzył oczy i starał się wyglądać na zrelaksowanego i kompetentnego. Thomas Flynn, jego adwokat, podkreślił wcześniej wiele razy, jak duże znaczenie będzie miał ten dzień dla ostatecznego rozstrzygnięcia jego sprawy. Sędzia wciąż mógł zdecydować o wysokości kwoty, jaka zostanie zapisana w ugodzie, a równie dobrze mogło to być sto tysięcy, jak i milion dolarów.

Głównym adwokatem reprezentującym towarzystwo ubezpieczeniowe był William R. Worthington z kancelarii Worthington i Wspólnicy z siedzibą w Denver. Był już po pięćdziesiątce i miał włosy lekko przyprószone siwizną. Wszystko, co wiązało się z jego osobą, począwszy od jego ciemnego garnituru, a skończywszy na sposobie, w jaki się poruszał, mówiło osobom zebranim na sali rozpraw, że jest siłą, z którą należy się liczyć. Towarzystwo ubezpieczeniowe miało nadzieję, że gdy bitwa zostanie już zakończona, Worthington zaoszczędzi dla niego setki tysięcy dolarów.

Worthington trzymał w ręku jakiś mniej więcej centymetrowej grubości plik dokumentów i powoli przewrócił pierwsze trzy kartki. Jego ruchy robiły takie wrażenie, jakby uważnie przeglądał coś bardzo ważnego - może ewidencję szkód powstałych na skutek wypadku - i że ma to duże znaczenie dla jego kolejnego pytania.

Josh wiedział, że było inaczej.

- Wszystko, co robi adwokat, jest częścią gry - uprzedził go wcześniej Flynn. - Pewność siebie, wygląd i za-

chowywanie się w taki sposób, jakby już wygrali sprawę, pauzy - wszystko jest przemyślane.

Teraz adwokat nachylił się blisko mikrofonu. - Panie Warren, miał pan problemy z wagą, czy to prawda?

- spytał.

- Sprzeciw - zawołał Flynn, podrywając się na nogi.

- Pytanie jest niejasne, wysoki sędzie.

- Podtrzymuję sprzeciw — powiedział sędzia. Był to żylasty mężczyzna, wyglądający na znudzonego przebiegiem postępowania sądowego. - Proszę przeformułować pytanie.

- Bardzo dobrze - Worthington lekko kiwnął głową.

- Panie Warren, ma pan nadwagę. Czy to prawda?

- Faktycznie, przez ostatnie kilka lat...

- Panie Warren, proszę odpowiedzieć tak lub nie. Czy ma pan nadwagę?

Josh przypomniał sobie lekarza, który mówił mu, że powinien schudnąć jeszcze tylko dwadzieścia kilogramów.

- Tak - przyznał. Wyciągnął chusteczkę higieniczną z pudełka znajdującego się w narożniku pulpitu w miejscu przeznaczonym dla świadka i przetaił nią sobie czoło.

- Tak, mam nadwagę - dodał.

Worthington przerzucił kilka kolejnych kartek. - I nie tylko jeden lekarz powiedział panu, że pana waga stwarza ryzyko pogorszenia się pańskiego zdrowia. Czy to prawda? - dopytywał.

Nie tylko jeden lekarz? Josh przebiegł myślami wszystkie możliwości i potem przypomniał to sobie. Lekarz na oddziale pomocy doraźnej, który zajmował się nim

bezpośrednio po wypadku, powiedział mu, że powinien rzucić parę kilogramów. - Niezależnie od tego, jak duże są twoje obrażenia, może być z tobą jeszcze gorzej, jeśli nie będziesz dbał o wagę - powiedział mu wówczas. Josh skrzywił się, czując potworny ból w dolnej części pleców. - Tak, dwóch lekarzy. To prawda - przyznał.

- Panie Warren, czy potrzebuje pan przerwy? - tym razem Josh usłyszał w głosie sędziego więcej współczucia niż we wszystkich innych momentach, odkąd rozpoczęły się zeznania. — Możemy zrobić dziesięciminutową przerwę.

- Nie, dziękuję. Plecy będą mnie bolały tak czy owak i chciałbym pojechać do domu. Dziś wieczorem jestem umówiony na kolację ze swoją siostrą.

- Bardzo dobrze - powiedział sędzia, ruchem ręki dopuszczając ponownie adwokata do głosu. - Proszę kontynuować.

- Dziękuję, wysoki sędzie - rzekł prawnik i spojrzał na Josha. - Zamierzam teraz przeczytać oświadczenie napisane przez pańskiego obecnego lekarza i proszę mi powiedzieć, czy zna pan tę jego opinię. Czy zrozumiał mnie pan?

- Tak, proszę pana - odparł Josh. Nie cierpiał sposobu, w jaki mówiono do niego, tak jakby był trzecioklasistą przyłapanym na ściąganiu podczas sprawdzianu z matematyki. Czy ten facet naprawdę uważa, że Josh zmyślił sobie ten ból? I że gdyby tylko chciał, mógłby pojechać do garażu i od jutra ponownie zacząć pracę przy holowaniu samochodów? Uchwycił się kurczowo brzegu drewnianego blatu przed sobą i czekał.

- Oto oświadczenie: „Moim zdaniem mój pacjent, Josh Warren, wiek dwadzieścia osiem lat, mógłby doświadczyć znacznej poprawy stanu zdrowia związanego z urazem pleców, gdyby stracił na wadze” - Worthington zrobił pauzę, aby uzyskać lepszy efekt. „Stwierdzenie, jaka część jego obecnego kalectwa i związanego z nim bólu jest spowodowana nadwagą, a jaka wynika z faktu, że został potrącony przez samochód, jest prawie niemożliwe”.

Josh pozostał spokojny. Flynn ostrzegał go wcześniej, że adwokaci reprezentujący towarzystwo ubezpieczeniowe mogą przyjąć taki punkt widzenia, zarzucając mu, że sam zniszczył sobie zdrowie, i w ten sposób starając się podważyć fakt, że wypadek miał jakikolwiek faktyczny wpływ na jego kalectwo.

- Nie przejmuj się tym - powiedział mu Flynn tego ranka. - Nawet jeśli miałbyś wyjść z tego bez fizycznych obrażeń, jeśli jedynym powodem, dla którego nie mógłbyś ponownie wrócić do pracy, byłby uraz psychiczny - co miałyby oznaczać, że teraz boisz się kierować ciężarówką holowniczą - ugoda wciąż będzie dla ciebie korzystna. Klient towarzystwa ubezpieczeniowego był pijany do nieprzytomności. Zjechał z ulicy i uderzył w ciebie, omal cię nie zabijając. Twoja waga absolutnie nie wpłynie na decyzję sądu.

Josh zamrugał. - Tak, znam tę opinię - przyznał. Dlaczego ten facet nie spytał go, ile już schudł? Od czasu wypadku ubyło mu trzydzieści kilogramów. Był wyczerpany i chciał już wziąć kolejną tabletkę przeciwbólową. *Boże... proszę, pomóż mi przez to przejść* — pomodlił się w duchu.

- I prawdą jest także to - ciągnął prawnik - że lekarz powiedział panu, że operacja pleców nie jest wskazana, dopóki nie zrzuci pan kolejnych dwudziestu kilogramów?

- Tak, tak mi powiedział.

Worthington pociągnął kciukiem po ustępie tekstu w centralnej części strony i spytał: - Ile pan ważył w chwili skończenia szkoły średniej, panie Warren?

- Dziewięćdziesiąt pięć.

- Dziewięćdziesiąt pięć kilogramów, czy tak? - dopytywał adwokat, posyłając sędziemu znaczące spojrzenie.

- Tak - potwierdził Josh.

- A ile pan ważył w chwili wypadku?

- Sto czterdzieści siedem - Josh sam nie mógł uwierzyć, gdy wypowiedział na głos tę liczbę. Jak mógł dopuścić do tego, żeby przez te lata przybyło mu aż tyle na wadze? Ponad pięćdziesiąt kilo? Nic dziwnego, że lekarz niepokoił się jego wagą. Fakt, że schudł już trzydzieści kilo, mobilizował go do utrzymania tej spadkowej tendencji i zejścia poniżej stu kilogramów.

Worthington uniósł brew. - Sto czterdzieści siedem kilogramów? - spytał głośno, udając zdziwienie. - Czy tyle pan ważył w momencie wypadku?

- Tak, proszę pana - potwierdził Josh, ponownie czując za sobą obecność demonów, jakby wielokrotnie kłujących go nożami w kręgosłup. *Potrzebuję Cię, Boże. Odpędź je* - błagał w duchu.

Wystarczy ci Mojej siły, Mój synu. Zaufaj Mi... Staram się, Boże... Naprawdę się staram.

Worthington przewrócił stronę i zawahał się. - Mam tutaj - ciągnął dalej po chwili, podnosząc dokument ze względu na sędziego - opracowanie sporządzone w ubiegłym roku, określające, że ludzie z chorobliwą otyłością

- ponad pięćdziesiąt kilogramów ponad ich idealną wagę
- są bardziej podatni na doznawanie obrażeń ciała podczas wykonywania pracy. Chciałbym dołączyć ten dokument do materiału dowodowego, wysoki sędzie.

- Sprzeciw - zawołał Flynn, podrywając się z miejsca; jego oczy płonęły z oburzenia. - To opracowanie nie dotyczy mojego klienta osobiście, w takim razie jest to tylko ogólne stwierdzenie i nie ma nic wspólnego z konkretną sytuacją mojego klienta.

- Podtrzymuję sprzeciw. To ważne - rzucił sędzia, spoglądając w dół na Worthingtona. - Powinien pan być zaznajomiony z zasadami przedstawiania materiału dowodowego w sprawach takich jak ta.

- Tak, wysoki sędzie - odparł natychmiast adwokat, nie wyglądając na zmartwionego. Prawdopodobnie spodziewał się upomnienia, lecz tak czy owak ta informacja padła na sali. Otyli ludzie byli bardziej narażeni na doznawanie obrażeń ciała.

Josh spojrział na swojego adwokata i prawie mógł czytać w oczach Flynnna. Raport o ludziach z nadwagą nie był czymś, czego musiał się obawiać. Przecież ani nie spadł z drabiny, ani nie poślizgnął się i nie wpadł na stół z kawą. Jego waga nie miała nic wspólnego z faktem, że został potrącony przez pijanego kierowcę. Zrobił kilka płytkich wdechów przez nos, bojąc się, że przy pełnym oddechu poczułby zbyt

duży ból. Lecz ból wydawał się jakby mniej intensywny niż przed kilkoma minutami. *Dziękuję, Boże... Ty mnie podtrzymujesz. Nie dałbym rady bez Ciebie. Jestem z tobą...*

- Nie ma pan dzieci, czy to prawda? - pytał dalej prawnik. - I nie ma pan nikogo na utrzymaniu?

Josh milczał przez chwilę, a potem rzekł: - Mam córkę.

Jego odpowiedź najwyraźniej zaskoczyła Worthingtona. Tak jak powiedział wcześniej Flynn, towarzystwo ubezpieczeniowe wolałoby, aby Josh nie był żonaty i nie miał dzieci. Lecz Worthington dobrze ukrył swoje zaskoczenie i nawet nie pozwolił słuchaczom odczuć najmniejszego zawahania czy chęci zmiany obranego kierunku przesłuchania.

Zmierzył Josha wzrokiem i spytał: - Czy przed wypadkiem liczył się pan z inwalidztwem, panie Warren?

Trudno było odgadnąć, dokąd prowadziło to pytanie. — Nie jestem pewien, czy... — zaczął Josh, spoglądając na Thomasa Flynna. - Czy mógłby pan powtórzyć pytanie?

- Czy w czasie, kiedy doszło do wypadku, planował pan zostać osobą niezdolną do pracy z powodu inwalidztwa? - jego słowa padły szybko jak seria z karabinu maszynowego i zostały wymierzone prosto w jego motywy wytoczenia procesu.

- Nie, proszę pana. Nie miałem takich planów.

- Ale z powodu nadwagi trudno było panu pracować, prawda?

- Nie, proszę pana - Josh panował nad głosem, lecz czuł w sobie narastający gniew. Flynn ostrzegał go już tak

że przed tym i we wcześniejszych przesłuchaniach adwokat towarzystwa ubezpieczeniowego starał się nadać pytaniom podobny kierunek. Zasiał wątpliwości - to właśnie robił ten człowiek. Josh starał się uspokoić i odzyskać równowagę, tak aby jego odpowiedzi były pozbawione negatywnych emocji. - Nie planowałem zostać inwalidą - dodał.

- I z powodu pana nadwagi miał pan trudności z tym, aby pracować równie wydajnie jak inni pana koledzy zajmujący się holowaniem pojazdów, czy to prawda, panie Warren?

- Nie, proszę pana - odparł szybko, zmieniając ułożenie stóp, lecz te ruchy nie przyniosły ulgi jego plecom. Był pewien, że gdyby ktoś stanął za nim, zobaczyłby płomienie w miejscu, gdzie powinien być jego kręgosłup.

- A po wypadku cieszył się pan, że ma pan wreszcie powód, aby wycofać się z pracy i zostać uznanym za inwalidę, czy nie mam racji?

Josh wahał się, patrząc prawnikowi prosto w oczy. Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, Flynn był już na nogach. - Sprzeciw - zawołał. - obrońca dręczy świadka, wysoki sędzie.

- Podtrzymuję sprzeciw — powiedział sędzia. Ponownie spojrzął znacząco na Worthingtona, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że był bliski przekroczenia granicy. - Proszę zmienić kierunek pytań, panie obrońco.

- Tak, wysoki sędzie. Przepraszam - pokajał się Worthington.

- Proszę kontynuować - rzekł sędzia.

Worthington prowadził swoje przesłuchanie przez kolejne półtorej godziny. Pytał Josha o jego pobyt w domu i o to, czy jest w stanie usiedzieć na raz przez godzinę w jednym miejscu, a jeśli tak, to czy nie obawia się, że większość prac biurowych wymaga siedzenia w jednym miejscu przez ponad godzinę, i czy Josh zamierza szukać pracy, czy nie woli raczej usiąść z założonymi rękami i pozwolić, aby towarzystwo ubezpieczeniowe zadbało o jego potrzeby. Thomas Flynn zgłaszał swój sprzeciw kilka razy, lecz szkoda została wyrządzona. Gdyby Josh był bokserem, to teraz, po ostatniej rundzie, leżałby zakrwawiony na deskach na środku ringu, ogłoszony przegranym przez nokaut.

Jedno było pewne. Bez względu na wysokość odszkodowania, jakie otrzyma Josh, ciężko pracował na każdego dolara.

Flynn poprosił o krótką przerwę i wyprowadził Josha na korytarz. - Wyglądasz na zmęczonego - stwierdził.

- Bo jestem - przyznał się Josh. Jego ciało krzychało wprost o kolejną tabletkę przeciwbólową, o coś, co przyniosłoby mu ulgę od tego ognia, jaki palił jego plecy. Lecz po tabletkach przeciwbólowych kręciłoby mu się w głowie, a jeszcze przez jakiś czas musiał być wyjątkowo trzeźwy i przytomny. - Moja siostra liczy na to, że przyjadę do nich na kolację - oznajmił.

Flynn był rodzinnym człowiekiem, adwokatem całkowicie oddanym domaganiu się sprawiedliwości. Lubił ryzykowną grę, ale także wierzył w cuda. Obie te rzeczywistości robiły z niego świetnego adwokata, przynajmniej tak uwa-

żał Josh. Flynn spojrział na Josha ze współczuciem. - Przykro mi z powodu twojego bólu - powiedział, kładąc rękę na ramieniu Josha. - Ale potrzebuję jeszcze kilku minut na kontę, żeby doprowadzić ponownie do równowagi.

- Myślałem, że powiedział pan, że sędzia nie weźmie tego pod uwagę - mojej wagi i tego, czy chciałem inwalidztwa czy nie, czego swoją drogą wcale nie chciałem.

- Wiem i powiedziałem ci prawdę. Nic z tych rzeczy nie będzie się liczyć - stwierdził, składając ręce na piersi, i wydał z siebie pełne zniechęcenia westchnienie. - Lecz pod koniec dnia sędzia jest człowiekiem jak każdy z nas. Nie ma jakichś gotowych przepisów, jak postępować w takich przypadkach jak twój.

- Okej - powiedział Josh. Nie był w stanie normalnie oddychać. Mógł jedynie robić krótkie wdechy i wydechy, zmuszając się do nich za każdym razem tak jak wówczas, gdy ból stawał się nie do zniesienia. - Mogę jeszcze wytrzymać kilka minut - zgodził się. Miał jeszcze przed sobą godzinę jazdy samochodem do Colorado Springs, a była już prawie piąta.

Przerwa dobiegła końca i Josh znów zajął swoje miejsce. Flynn był bardzo ambitny i nieustępliwy, jeśli chodziło o prawo. Josh wiedział o tym z ich osobistych rozmów, jakie prowadzili ze sobą w jego kancelarii adwokackiej. Flynn uczył go wygrywać sprawę sądową z pozycji świadka, ćwicząc go z większą uwagą i poświęceniem, niż trenował go wcześniej którykolwiek z jego trenerów bejsbolu. Teraz zrobił minę wyrażającą życzliwość i współczucie. - Dobrze się pan czuje, panie Warren? - spytał.

Josh prawie się uśmiechnął. Ton tego pytania i dobór słów miały za zadanie uświadomić słuchaczom jedną rzecz: że Worthington znęcał się nad Joshem podczas poprzedniej sesji.

- Tak, proszę pana. Nic mi nie jest - zapewnił Josh.

- Czy bołą pana plecy?

- Tak, proszę pana.

- Jak by pan umiejscowił intensywność bólu, jaki odczuwa pan w tej chwili, panie Warren, na skali od jednego do dziesięciu, na skali bólu stosowanej często przez lekarzy?

- Dziewięć, proszę pana - odparł Josh bez wahania. Dziesięć byłoby wówczas, gdyby praktycznie w ogóle nie mógł oddychać. Teraz było blisko tego stanu, lecz jak na razie ból był na poziomie dziewiątym. Flynn zrobił kilkusekundową pauzę, pozwalając, aby ta informacja dotarła do świadomości słuchaczy.

- No dobrze - zaczął po chwili, spoglądając w swoje notatki - powiedział pan, że pana waga w chwili wypadku wynosiła sto czterdzieści siedem kilogramów. Czy to prawda?

- Tak, proszę pana - przytaknął, obawiając się tego, dokąd zmierzał Flynn. Jego kompetencja nie pozostawiała miejsca na wątpliwości, bez względu na kierunek, jaki obierały jego pytania.

- Czy mógłby pan powiedzieć wysokiemu sądowi, ile dni pracy opuścił pan w miesiącu poprzedzającym pański wypadek?

Przerabiali to wiele razy, analizując ewidencję zatrudnienia prowadzoną przez pracodawcę Josha. - Żadnego, proszę pana - odparł Josh.

- Bardzo dobrze - skomentował krótko Flynn, zerkając w dół na trzymany w dłoni notatnik. - Ile dni pracy pan opuścił w ciągu sześciu miesięcy poprzedzających pański wypadek?

- Żadnego, proszę pana - ponownie odparł Josh.

Flynn, który wyglądał teraz jak osoba będąca pod dużym wrażeniem odpowiedzi Josha, spytał: - No dobrze, panie Warren, ile dni pracy opuścił pan w ciągu roku poprzedzającego pański wypadek?

- Ani jednego, proszę pana.

- Pracował pan dla policji północnego okręgu przez cztery lata i trzy miesiące, zanim wydarzył się pański wypadek, czy to prawda?

Flynn wiedział, że tak właśnie było. Zanim Josh rozpoczął współpracę z policją, najpierw przez kilka miesięcy był zatrudniony u mniejszego pracodawcy. Praca dla policji oznaczała, że będzie mógł jeździć do wezwań pochodzących od policji i holować samochody z miejsc wypadków oraz te związane z przestępstwami. Ta praca była cięższa od poprzedniej - holowania zepsutych lub źle zaparkowanych samochodów - lecz była lepiej płatna i dawała większy prestiż. Znowu uderzył go fakt, ile stracił na skutek wypadku. - Tak, proszę pana - przyznał. - Pracowałem dla policji przez ponad cztery lata.

- I czy w ciągu całego tego okresu był pan chorobliwie otyły - czy miał pan przynajmniej pięćdziesiąt kilogramów nadwagi?

To pytanie już go nie zawstydzalo. Nie mógł przecież zmienić przeszłości. - Tak, proszę pana. Byłem - przyznał.

- A ile dni pracy pan opuścił w ciągu tego całego okresu pracy dla policji?

- Ani jednego, proszę pana.

- Ani jednego! - tym okrzykiem Flynn tak dalece wyszedł ze swojej pełnej współczucia i opanowania roli, że mógłby dostać Oscara za swój pokaz zaskoczenia i zdziwienia. Każda osoba obecna na sali rozpraw musiała odnieść wrażenie, że była to nowa i wręcz szokująca informacja dla tego doświadczonego adwokata. - Bardzo dobrze - stwierdził tylko, spoglądając w dół do swoich notatek.

Josh chciał już iść. Czuł, jak jego stopy napinają się od wysiłku utrzymania ciała w pozycji pionowej. *Pomóż mi to przetrwać, Boże...* - modlił się w duchu. *Potrzebuję Cię. Znów przestąpił z nogi na nogę i sięgnął do rezerw wytrzymałości, jakie mu pozostały. Poczuł, że da radę, że przetrzyma to wszystko. Dziękuję Ci, Panie. To się niedługo skończy, czuję to. Przetrwam te zeznania i następne, i pewnego dnia już wkrótce będę miał tę operację. Ty przeprowadzisz mnie przez to, wiem, że tak będzie.*

Ja zawsze jestem z tobą. Mój drogi synu.

Josh poczuł, jak ogarniający go pokój odpycha demona bólu.

- A teraz, wracając do pańskiej wagi - kontynuował Flynn, opuszczając rękę, w której trzymał notatki. - W chwili wypadku ważył pan sto czterdzieści siedem kilogramów, ale nie opuścił pan ani jednego dnia pracy z powodów zdrowotnych przez ponad cztery lata, kiedy pracował pan dla policji, czy mam rację?

- Sprzeciw - przerwał mu Worthington, wstając spokojnie i poprawiając sobie spinki przy mankietach koszuli. — Już o tym mówiliśmy, wysoki sędzie.

- Podtrzymuję sprzeciw - powiedział sędzia, wskazując na Flynna, aby mówił dalej. - obrońca ma rację. Już pan ustalił sprawę historii pracy powoda.

- Tak, wysoki sędzie. Dziękuję - odparł Flynn, wyglądając na skruszonego. Zrobił pauzę, żeby zebrać myśli. - Ile pan teraz waży, panie Warren?

- Około stu dwudziestu.

- Sto dwadzieścia kilogramów?

- Tak, proszę pana.

- A zatem od chwili wypadku stracił pan znacznie na wadze, czy to prawda?

- Tak, proszę pana, prawie trzydzieści kilo.

- Czy stosuje pan jakąś dietę, żeby schudnąć?

- Tak, jestem na diecie.

- Czy byłby pan uprzejmy powiedzieć wysokiemu sądowi, dlaczego stosuje pan dietę, dlaczego chce pan schudnąć?

- Bo... - Josh przycisnął rękę do pleców w okolicy krzyża - bo muszę przejść operację pleców i lekarz uważa, że ona lepiej się uda, gdy wrócę do normalnej wagi.

Flynn zawahał się. Opuścił notatki i rzucił Joshowi przenikliwe spojrzenie. - Czy lubił pan swoją pracę kierowcy ciężarówki holowniczej, panie Warren? - spytał po chwili.

- Tak, lubiłem.

- Proszę nam powiedzieć swoimi słowami, co znaczyła ta praca dla pana.

Josh nie był przygotowany na to pytanie i zdziwiły go emocje, jakie teraz ścisnęły mu gardło. - Myślę...- zaczął - myślę, że moja rodzina chciała, abym został nauczycielem, pisarzem, a może lekarzem. Chcieli, żebym po szkole średniej poszedł na studia. Ale mi od zawsze podobało się prowadzenie ciężarówki - wyznał, wzruszając ramionami. Natychmiast poczuł wzdłuż pleców jakiś dziwny ból. - Jako kierowca ciężarówki holowniczej mogłem pomagać ludziom. Mogli mieć wypadek albo paść ofiarą jakiegoś przestępstwa i... Sam nie wiem, lubiłem im pomagać - stwierdził, starając się opanować. - Kochałem pracę kierowcy ciężarówki holowniczej, proszę pana.

- Ale już nigdy nie będzie pan mógł prowadzić ciężarówki holowniczej, czy to prawda?

Był to fakt, do którego Josh nie chciał wracać myślami. - Tak, proszę pana - odparł. - Moje plecy - nawet po operacji - będą zbyt słabe do tego rodzaju pracy.

Flynn pokiwał głową z głębokim współczuciem w oczach. - Mam do pana ostatnie pytanie, panie Warren, i proszę pamiętać, że zeznaje pan pod przysięgą - powiedział, a potem znów spojrzał do swoich notatek, robiąc przerwę niezbędną do wytworzenia się odpowiedniej atmosfery. - Ubiega się pan w tym procesie o ogromną kwotę pieniędzy. Teraz, gdyby miał pan wybrać pomiędzy powrotem do dnia sprzed wypadku i zarabianiem na życie jako kierowca ciężarówki holowniczej albo wygraniem dwóch milionów dolarów w tym procesie sądowym, co by pan wolał, panie Warren?

Josh poczuł ucisk w gardle i pieczenie łez pod powiekami. - Wróciłbym... - zaczął z drżeniem w głosie - do dnia sprzed wypadku. Wolałbym mieć moje zdrowie i moją pracę, która była tym, co zawsze chciałem robić.

Flynn powoli pokiwał głową, a potem odwrócił w stronę sędziego twarz człowieka pogrążonego w żalu. - Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie - zakończył.

Zeznania dobiegły końca. Josh nie znał się na prawie, lecz miał przeczucie, że gdyby to był mecz futbolu, to Thomas Flynn zdobyłby punkty przesądzające o zwycięstwie w meczu. Gdy byli już na korytarzu, uściskał dłoń swego adwokata i stwierdził: - Był pan naprawdę dobry.

- A ty jeszcze lepszy. Stanie i słuchanie tych bzdur, które padały z drugiej strony, było ogromnym wyczynem.

Jednak zanim się rozstali, Josh musiał zrozumieć jeszcze jedną sprawę. - Dwa miliony? - zdziwił się. - Myślałem, że prosimy o jeden.

- Wniosłem poprawkę. Po tym wszystkim, przez co kazali ci przejść, i po usłyszeniu tej nowej informacji od lekarza, że nie będziesz mógł powrócić do pracy, którą zawsze chciałeś robić, zmieniłem kwotę - wyjaśnił, a potem ruszyli dalej korytarzem. -1 wiesz co? - przystanął i smutno uśmiechnął się do Josha. - Myślę, że dostaniemy te pieniądze.

Pięć minut później Josh siedział w samochodzie, szukając w środkowym pulpicie swojego starego mustanga buteleczki z OxyContinem. Była szósta i nie powinien brać kolejnej tabletki przed położeniem się do łóżka. Lecz jeśli chciał oddychać podczas jazdy samochodem z Denver do domu, musiał prędzej czy później zażyć lekarstwo.

Wreszcie znalazł to, czego szukał, i zaczął przeszukiwać podłogę samochodu. Natrafił najpierw na stertę jakichś papierów, a potem na starą torebkę z McDonalda, zanim znalazł butelkę ciepłej wody. Otworzył ją i połknął tabletkę, zanim przyszła mu do głowy kolejna myśl. Pewnego dnia będzie musiał znaleźć jakiś sposób na odstawienie leków przeciwbólowych, może przy pomocy jakiejś części tych dwóch milionów dolarów, które zamierzał zdobyć dla niego Flynn. Wstrzymał oddech i pomodlił się, żeby OxyContin szybko zadziałał. Musiał wygrać proces sądowy, ustalić termin operacji i odnaleźć swoją byłą dziewczynę, i jeszcze ponownie w pełni nawiązać relację z Bogiem. Lecz przede wszystkim gdzieś tam żyła jego mała córeczka, która potrzebowała swojego taty.

Na razie więc uzależnienie od OxyContinu ledwie mieściło się na jego liście zmartwień.

Lindsay kończyła robić spaghetti na kolację, zerkając raz po raz, jak Larry z Benem i Bellą rzucają piłką na podwórku za domem, i czekając na dzwonek u drzwi wejściowych, gdy nagle zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz aparatu. - Josh, spóźniasz się - jęknęła. Jedną ręką odebrała połączenie, a w drugiej trzymała łyżkę, którą w tym samym czasie zamieszała w rondlu pełnym makaronu. - Cześć, Josh. Gdzie jesteś?

- Nie dam rady, Linds. Przepraszam. Może następnym razem.

- Josh? - zaniepokoiła się Lindsay, czuła, jak serce zaczyna jej szybciej bić. Wyłączyła kuchenkę i podeszła do tylnych drzwi, skąd patrzyła na swoją rodzinę. - Co się stało? Masz jakiś dziwny głos.

Mówiąc niewyraźnie i nienaturalnie wolno, wyjaśnił jej, że dopiero od dziesięciu minut jest na autostradzie i że wziął tabletkę przeciwbólową. - Musiałem, Linds - tłumaczył. - Dzisiaj było tak ciężko. I... czuję się jakoś dziwnie. Już mi się lepiej oddycha, ale ciągle kręci mi się w głowie.

- Josh, to straszne. Zjedź z autostrady i poszukaj lekarza.

- Linds - Josh zaśmiał się jakoś beztrosko i niefrasobliwie. - Nic mi nie jest. Zjadę na bok, jak uznam, że nie jestem w stanie prowadzić.

- Skąd będziesz wiedział, kiedy? Masz taki dziwny głos.

- Jestem zmęczony, to wszystko. Nic mi nie jest. Zeznania ciągnęły się dłużej, niż się tego spodziewałem. Dojdę do siebie, jak się trochę zdrzemnę.

- Nie rozłączam się - powiedziała. Jego mamrotanie, sposób, w jaki wypowiadał słowa, przerażał ją. - Rozmawiaj ze mną albo zadzwonię pod dziewięćset jedenście - uprzedziła go. Nie chciała złościć się na niego, lecz jeśli miał problemy z mówieniem, to prawdopodobnie nie mógł też bezpiecznie prowadzić samochodu.

- Nie przejmuj się mną, Linds. Wcześniej już tak się czułem. Jeżdżę pod wpływem leków przeciwbólowych prawie od trzech lat.

Miał rację. - No dobrze - zgodziła się, wciąż czując lęk o niego. - Nie przejmuj się kolacją. Może w sobotę wieczorem - po meczu Bena i po kościele. Larry mógłby zrobić grilla.

- Tak, siostrzyczko... to byłoby wspaniale.

- A jak tam zeznania? Jak poszło?

- Flynn jest najlepszy. Z nim i z Bogiem naprawdę wygramy.

- To świetnie... ale wiesz co, Josh? Ciągłe nie podoba mi się twoja mowa. Może powinieneś pojechać do szpitala i upewnić się, że wszystko jest w porządku.

- Nic mi nie jest, mówię ci, Linds. Po prostu muszę się zdrzemnąć.

- No dobrze. Zostaję przy telefonie, aż dojedziesz do domu.
- Kocham cię, Linds. I wiesz co? Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Zamknęła oczy. A co by było, gdyby on zginął w tym wypadku? Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby go stracić - szczególnie teraz, gdy w końcu odnalazł drogę powrotną do Boga. Te lata, które mieli przed sobą, będą dla nich najlepsze. - Ja też cię kocham, Josh - odparła. - Teraz musisz tylko wyzdrowieć.

- Zawsze mogę liczyć na ciebie, Linds. Rozmawiali o jego wierze i powiedział jej, że modlił się, aby Bóg go podtrzymał, gdy zeznawał jako świadek. Flynn podwoił kwotę, o którą się ubiegali w procesie, lecz Josh nie był zbyt przejęty tym faktem. - Wiesz co? - powiedział już trochę bardziej zrozumiale niż wcześniej. - Nie chcę być bogaty. Chcę tylko wyzdrowieć.

- Wiem. Wyzdrowiejesz - odparła. Żałowała, że nie może teraz w mgnieniu oka przenieść się tam, gdzie on jest, żeby usiąść za kierownicą jego samochodu i zawieźć go bezpiecznie do domu. - Bóg ma dla ciebie wspaniałe plany, Josh. Dla ciebie wszystko dopiero się rozpoczyna.

- Poznam Savannah, a to jest najwspanialsze.

- Tak. Będziesz mógł pozwolić sobie na wynajęcie świetnego adwokata.

- Mam go już. Flynn może poprowadzić sprawę o przyznanie mi opieki nad Savannah. Jest następna na jego liście, jak tylko osiągniemy ugodę i dostanę odszkodowanie.

Lindsay kontynuowała rozmowę, opowiadając mu, że trener wyznaczył Bena do ataku podczas jutrzejszego meczu i że Bella mianowała się osobistą cheerleaderką brata.

- Ona jest starsza od niego o trzy lata, tak jak ja od ciebie

- przypomniała Lindsay.

- Wiem. Oboje mają szczęście. Savannah będzie chciała mieć takich kuzynów.

Lindsay nie rozumiała tego do końca, lecz łzy napłynęły jej do oczu. Jej brat tak niewiele wymagał od życia, lecz jakoś jego sprawy nie układały się właściwie. W każdym razie tak działo się do tej pory. Gdyby mógł mieć już za sobą to swoje kalectwo, gdyby mógł przejść tę operację, której tak potrzebował, i gdyby skończył się pomyślnie ten proces sądowy... Najlepsze lata Josha naprawdę mogły niebawem nadejść. Była w trakcie opowiadania mu o artykule poświęconym miejscowemu pasjonatowi turystyki pieszej, który w następnym tygodniu kończył sto lat, gdy usłyszała, jak Josh głośno odetchnął.

- Udało się - powiedział z ulgą. - Jestem w domu. Właśnie wjechałem na parking.

Lindsay w duszy podziękowała Bogu za szczęśliwy powrót brata do domu. - Świetnie - ucieszyła się. - To teraz wejdź do środka i odpocznij. Sobota zapowiada się na wielki dzień, więc musisz się dobrze czuć.

- Będę. Powiedz Benowi i Belli, że nie mogę się doczekać, kiedy ich wreszcie zobaczę - rzucił, a jego głos się załamał. Lindsay uświadomiła sobie, że jej brat jest bardziej wzruszony, niż przypuszczała. - Dzięki, Linds, że rozmawiałaś ze mną przez cały czas. Byłem trochę wystraszony.

- Kocham cię. Jak będziesz czegoś potrzebował, to zadzwoń. Natychmiast do ciebie przyjadę.

- Dobrze. Ja też cię kocham.

Rozmowa się zakończyła i Lindsay przetarła sobie oczy. Dlaczego teraz była taka smutna? Jej brat dojechał bezpiecznie do domu i jak się dobrze wyśpi, będzie takim samym radosnym facetem, jakim był kilka dni temu, kiedy w jego domu grało na cały regulator „MercyMe”. Lecz przecież tak bardzo chciała go dziś wieczorem zobaczyć i teraz bez niego jej plany związane z kolacją nagle stały się dziwnie mdłe i pozbawione uroku.

Lindsay pociągnęła nosem i postanowiła nie myśleć już o tym. Nie miała przecież powodu do smutku, nie było niczego, czym musiałaby się zamartwiać. Josh przechodził metamorfozę, a w jego życiu wszystko zmieniało się na lepsze. Poza tym mieli się zobaczyć w sobotę. Lindsay znów miała uśmiech na ustach, gdy skończyła przygotowywanie kolacji i wołała rodzinę do stołu. Tego wieczoru modlitwę przed jedzeniem poprowadził sześciolatek Ben. Podziękował Bogu za posiłek, za rodzinę i za jutrzejszy mecz. Poprosił też Boga o specjalną przysługę.

- Proszę, Boże - modlił się - bądź dziś w nocy z wujkiem Joshem. On był zbyt zmęczony, żeby tu przyjechać, więc pomóż mu poczuć się lepiej. Amen.

A kiedy rozpoczął się posiłek i rozmowy zeszły na pracę pisemną, którą miała przygotować Bella, Lindsay po raz pierwszy, odkąd skończyła rozmawiać przez telefon z Joshem, poczuła w sercu pokój. Bo Bóg z pewnością

usłyszał modlitwę jej małego Bena, a to mogło oznaczać tylko jedno.

Rano Josh poczuje się znacznie lepiej.

Annie zatelefonowała do córki, żeby się dowiedzieć, jak poszły zeznania Josha.

- Nie ma go tutaj - poinformowała Lindsay, pomagając Larry'emu przy naczyaniach. - Był zbyt zmęczony. Powiedział, że poszło dobrze. Zaprosiłam go w sobotę na kolację.

Zbyt zmęczony? Annie rozmawiała z Joshem tego ranka i był pełen energii, gotów stawić czoło adwokatowi reprezentującemu towarzystwo ubezpieczeniowe. - Nie mógł się doczekać tej kolacji z wami - oznajmiła córce. Nagle niepokój, jaki czuła Annie, zamienił się w lęk. Tak musiały na niego zadziałać te jego leki - pomyślała. - Czy mówił coś o lekach przeciwbólowych?

- Powiedział, że wziął jedną tabletkę przed wyruszeniem w drogę do domu - poinformowała Lindsay. Potem dodała ściszym głosem: - Mówiąc szczerze, mamie, bałam się o niego. Miał taki dziwny głos, jakby na wpół spał albo był pijany, albo jeszcze coś. Nigdy nie słyszałam, żeby mówił w taki sposób.

- Tak myślałam. Nie jest dobrze. On musi uważać z tymi lekami - stwierdziła Annie i szybko zakończyła rozmowę. Następnie od razu zatelefonowała do Josha. Było tuż po ósmej, więc nawet mimo męczącego dnia nie powinien jeszcze spać. Annie wyszła na werandę przed do-

mem i zaczęła iść wzdłuż ściany. Usłyszała jeden sygnał... drugi... - No dalej, Josh - wyszeptała. Na zewnątrz ciągle jeszcze było ciepło, lecz po odsłoniętych rękach przeszły ją dreszcze. - Podnieś słuchawkę, synu.

- Słucham? - odebrał tuż po czwartym sygnale.

Annie przycisnęła rękę do piersi. - Dzięki Bogu - odetchnęła. Opadła na huśtawkę i przechyliła się do tyłu, czując na plecach oparcie. - Twoja siostra powiedziała, że byłeś zbyt zmęczony, aby przyjechać na kolację.

- Byłem. Ale teraz już czuję się lepiej - przyznał zmęczonym, lecz trzeźwym głosem. Jego słowa nie brzmiały bełkotliwie czy niezrozumiale - przynajmniej ona tego nie słyszała. - Te zeznania były straszne, najgorsze jak do tej pory.

W takich chwilach jak ta, gdy jakiś nadęty prawnik przeciągnął jej syna przez całodzienną torturę emocjonalną, kiedy zmuszano go do jazdy aż godzinę w jedną stronę, aby udzielił kolejnej serii odpowiedzi w grze prowadzonej przez duże towarzystwo ubezpieczeniowe, które chciało uchylić się od zapłacenia Joshowi odszkodowania, mogło przypomnieć się Annie tylko jedno wydarzenie: wycieczka do Parku Narodowego Yellowstone tego lata, gdy Josh szedł do gimnazjum.

Mieli już wyjść z namiotu, gdy usłyszeli szczekanie psa. Annie była najbliżej wyjścia i wyjrzała na czas, żeby zobaczyć dramat rozgrywający się na terenie kempingu. Mały niedźwiadek oddalił się od swojej matki i teraz szczekający terier nie pozwalał mu zejść z drzewa. Niedźwiadek rozglądał się na wszystkie strony, szukając jakiejś drogi ucieczki, lecz pies zablokował każdą z nich.

Nagle po całym kempingu rozległ się potężny ryk, a na polanę wbiegła rozwścieczona niedźwiedzica. Pies nawet nie zdążył się zorientować, co się dzieje. Ciągłe jeszcze czekał na niedźwiadka, gdy matka małego dopadła psa od tyłu i jednym uderzeniem potężnej łapy posłała go trzy metry w górę. Pies obrócił się w powietrzu trzy razy, zanim wylądował na grzbiecie i, ranny czy nie, rzucił się do ucieczki, walcząc o życie.

Gdy małemu nie zagrażało już niebezpieczeństwo, matka podeszła do niedźwiadka i zaczęła lizać go po pyszczku. Przez jakiś czas stała nad nim i trącała go czule nosem, a potem ruszyli razem do lasu.

Tak właśnie Annie czuła się w tej chwili - jak niedźwiedzica gotowa rzucić się na adwokata, który naraził jej syna na udrekę poniżających pytań w serii następujących po sobie przesłuchań. Miała ochotę pojechać teraz do Josha, żeby utulić go i uśmierzyć jego cierpienia.

- Mamo?

- Przepraszam - powiedziała, opierając się o balustradę werandy. - Nie powinieneś przechodzić przez to wszystko - stwierdziła i zaczęła oddychać powoli. *Spokojnie* - mówiła sobie w duchu. - *Musisz być spokojna i pełna akceptacji dla niego.* Wyprostowała się lekko. - Opowiedz mi o tym. Czy to wszystko zmierza już do końca?

- Myślę, że tak - odparł. Josh czuł zadziwiający spokój i jasność umysłu, gdy opowiadał jej o pytaniach. - Towarzystwo ubezpieczeniowe chciało, żeby sędzia myślał, że z powodu mojej nadwagi i tak byłem na progu inwalidztwa.

- To absurdalne - oburzyła się. - Poza tym przecież już prawie wróciłeś do swojej wagi - dodała, wyobrażając sobie, jak jej syn stoi na miejscu przeznaczonym dla świadka, a adwokat towarzystwa ubezpieczeniowego wprawia go w zakłopotanie i upokarza. - Czy to jest tego warte, synku? To znaczy, co powiedział pan Flynn?

- On uważa, że będziemy mieli orzeczenie sędziego za kilka tygodni. Towarzystwo ubezpieczeniowe już nie ma jak grać na zwłokę - wyjaśnił. Potem opowiedział, jak pod koniec zeznań jego adwokat wykonał wspaniałą robotę i jak podwoił stawkę odszkodowania. Wciąż jeszcze mówił, gdy na werandę wyszedł Nate i rzucił Annie zdziwione spojrzenie.

- Josh - poruszyła ustami.

Jej mąż kiwnął głową i zawahał się. Musiał dostrzec jej niepokój, ponieważ podszedł do niej i spytał cicho: - Wszystko dobrze?

Annie potwierdziła kiwnięciem głowy, lecz jednocześnie wzruszyła ramionami, okazując niepewność.

- A więc te przesłuchania prawie się skończyły - tłumaczył dalej Josh. - Może jeszcze jedno i Flynn mówi, że na nim się skończy.

Gdy to usłyszała, poczuła się tak, jakby wylądowało jej na żołądku wiadro kamieni. Jeszcze jedno zeznanie oznaczało dla niej, że jej syn zostanie wystawiony na jeszcze jedno bicie. - Może pojedę z tobą następnym razem - zaproponowała.

- Nie ma potrzeby - zaśmiał się lekko. - Przejdę przez to. Potem oddam wam pieniądze i zacznę dalej normalnie żyć.

- I czujesz się lepiej - teraz, gdy już jakiś czas jesteś w domu?
- Tak - przyznał. Josh rzadko narzekał na swój ból i dzisiejszy wieczór nie stanowił pod tym względem wyjątku. - Hej - powiedział bardziej czułym głosem niż przedtem - rozmawiałem z Flynnem o tym, żeby pomógł mi odnaleźć Savannah. No wiesz, gdy już będziemy mieli za sobą ugodę.

Annie otworzyła usta, aby storpedować ten pomysł. Była przecież przynajmniej setka ważniejszych spraw, którymi powinien się zająć Josh, gdy otrzyma wreszcie odszkodowanie, jak choćby operacja pleców, zastanowienie się nad powrotem na studia lub nad tym, jaką drogę zawodową powinien obrać, skoro nie mógł już dłużej zajmować się holowaniem samochodów. Uganianie się za dzieckiem jakiejś kobiety, z którą spędził tydzień w Las Vegas, nie mogło być dla niego właściwym zajęciem. Była to po prostu kolejna ślepa uliczka.

Lecz czy to przez niepokój, jaki zobaczyła w oczach męża, czy też dzięki Bożemu podszeptowi nagle poczuła się zmuszona przyznać mu rację. - Jestem pewna, że pan Flynn okaże ci ogromną pomoc w tym wszystkim, co będziesz chciał zrobić, gdy już wygrasz tę sprawę - stwierdziła.

- Tak - przyznał w taki sposób, jakby dalej chciał ciągnąć ten wątek i rozmawiać o Savannah. Lecz tylko odetchnął głośno i dodał zmęczonym głosem: - Ty ciągle nie wierzysz w to, że ona jest moja, prawda?

Oczywiście, że nie jest - chciała już powiedzieć. - Nie ma na to dowodu - rzuciła jednak w odpowiedzi. - Ta

kobieta... ona nie jest wiarygodna, Josh. A na tym zdjęciu może być przecież dowolne dziecko, no wiesz.

Po drugiej stronie linii usłyszała kolejne powolne westchnienie. - Rozumiem to - przyznał. - Ale gdy patrzę na jej oczy, widzę moje własne. Muszę poznać prawdę. Przynajmniej o to się pomódl.

- Zrobię to - obiecała. Cieszyła się, że udało się im znaleźć coś, w czym mogli zgodzić się ze sobą. Kiwnęła głową w stronę męża i dodała: - Twój ojciec i ja będziemy się modlić, żebyś w odpowiednim czasie znalazł odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

- To wystarczy - przyznał. Musiał siedzieć przed komputerem, bo usłyszała szybki stukot palców po klawiaturze. - Słuchaj, właśnie piszę z kimś on-line, ale zamierzam wcześniej położyć się do łóżka. Zobaczymy się jutro na meczu Bena.

- Dobrze - zgodziła się. Annie nie potrafiła tego wytłumaczyć, lecz za wszelką cenę chciała przedłużyć tę rozmowę, by zapewnić Josha, że zależy jej na nim bardziej, niż mógł sądzić.

Nate poklepał ją po ręku. - Powiedz mu, że go kocham

- szepnął.

- Ojciec cię kocha. I ja cię kocham. Przejdziesz przez to wszystko - pocieszyła go.

- Wiem. Ja też was kocham.

Usłyszała radość w jego głosie i poczuła się lepiej.

- Dobranoc - pożegnała się.

- Dobranoc.

Annie rozłączyła się i położyła słuchawkę na poręczy balustrady okalającej werandę. Czuła w sercu ból, wciąż miała ochotę pojechać na drugi koniec miasta i przytulić swojego syna w taki sposób, jak to robiła, gdy był jeszcze małym chłopcem. Zbliżyła się do Nate'a, przytuliła się do niego i słuchała miarowych uderzeń jego serca. - Chcę tylko, żeby cała ta sprawa sądowa wreszcie się skończyła

- oznajmiła.

- Długi dzień? - upewnił się Nate, po czym podprowadził ją do huśtawki, gdzie oboje usiedli.

- Zeznania były chyba dla niego bardzo trudne. Mnóstwo szczegółowych pytań ze strony adwokata tego towarzystwa ubezpieczeniowego, jeszcze więcej niepotrzebnego nękania - wyjaśniła. Spojrzała mu w oczy i stwierdziła:

- Chciałabym pojechać do kancelarii tego faceta i powiedzieć mu parę rzeczy.

- To chyba już nie potrwa długo, prawda? Jeszcze pewnie tylko kilka tygodni.

- Mam taką nadzieję. Po trzech latach trudno jest uwierzyć, że ta sprawa kiedyś się skończy.

- Skończy się - pocieszył ją, pocałował w czubek głowy i delikatnie wprawił huśtawkę w ruch. - Josh spadnie na cztery łapy i odnajdzie swoją drogę. Wierzę w niego.

- Ja też - odpowiedziała szybko i powróciły do niej myśli z ubiegłego tygodnia, gdy musiała się przyznać do tego, że była rozczarowana synem. Położyła głowę na ramieniu męża. - Wszystko było znacznie prostsze, kiedy był mały, jak w szkole ukradli mu rower albo gdy w gim-

nazjum nie dostał roli w musicalu. Mogłam wtedy objąć go, pomodlić się z nim i zrobić dla niego talerz kruchych ciasteczek - wyzaliła się i zamrugła, żeby powstrzymać łzy. - Rano świat zawsze wyglądał jaśniej.

- On ciągle jeszcze jest młody, Annie. Ten wypadek pokrzyżował mu plany - powiedział Nate łagodnie, lecz z pełnym przekonaniem. Annie żałowała tylko, że ona nie miała w sobie tyle przekonania, jeśli chodziło o ich syna. — Wiesz co - rzucił nagle bardziej ożywionym tonem, przekreślając się jeszcze bardziej w jej stronę, aby ją lepiej widzieć. - Pomódlmy się za niego od razu, skoro on tak mocno ciąży ci na sercu.

Nate zaczął, a Annie zakończyła modlitwę. Po dziesięciu minutach mówienia Bogu o ich synu poczuła się lepiej. Na tyle dobrze, że poszła do środka, wzięła mąkę, cukier i wiórki czekoladowe i zaczęła robić dla Josha kruche ciasteczka. Gdy wyjęła je potem z piekarnika, uśmiechnęła się na samą myśl o tym, jak bardzo będzie szczęśliwy, gdy mu da ten prezent na meczu Bena, i jak cudownie będzie móc go przytulić i przypomnieć mu, że jest kochany niezależnie od wszystkiego. Gdy tego wieczoru sprzątała kuchnię, pragnęła uwierzyć w to, że przytulanie go, wspólna modlitwa z nim i upieczenie mu talerza kruchych ciasteczek z wiórkami czekoladowymi mogły oznaczać tylko jedno.

Jutro świat będzie wyglądał jaśniej.

Od dziesięciu minut Josh korespondował z Carą on-line i już zdążył poczuć, że ma za sobą całą tę okropność zeznań. Wciąż był wyczerpany i lekko kręciło mu się w głowie, lecz przynajmniej ból był do zniesienia. Oparł się o blat i oczekiwał następnej wiadomości od Cary. Gdy tak czekał, przypomniał sobie, jak dziwnie czuł się wcześniej w samochodzie. Droga powrotna z Denver do domu była chyba trochę niebezpieczna i Lindsay miała rację: powinien był zjechać na bok i się zatrzymać. Lecz gdyby zasnął w samochodzie na jakimś parkingu albo na poboczu, OxyContin mógł zwalić go z nóg na osiem godzin albo nawet dłużej i wówczas mógłby stać się łatwym łupem dla każdego, kto przejeżdżał obok. Zamiast tego przez cały czas się modlił, a potem rozmawiał z Lindsay, aż w końcu bezpiecznie dojechał do domu. Ich rozmowa pomogła mu pozostać skupionym i czujnym.

Czy nie miałeś dzisiaj sprawy w sądzie? - wiadomość od Cary pojawiła się w okienku na dole ekranu.

Cara nie wiedziała, jaką kwotę miał wygrać w procesie sądowym. W ich relacji nie było miejsca na pieniądze, co wydawało mu się bardzo dobre, zwłaszcza po tych wszyst-

kich niemiłych sytuacjach, jakie wiązały się z matką Savannah. Otworzył kliknięciem bibliotekę w programie iTunes i rozwinął listę w utworami „MercyMe”. Jego palce poruszały się płynnie po klawiaturze. *Tak - przyznał - ale nie warto o tym mówić... Wróciłem do domu, zjadłem kolację i wyszedłem jeszcze na chwilę do sklepu spożywczego. Nie powiedział jej, że kupił całą torbę produktów spożywczych dla Ethel, starej wdowy mieszkającej samotnie piętro wyżej. Nie było to coś, o czym chciał kogoś informować, po prostu zaliczał to do swoich cotygodniowych obowiązków. Ethel miała już dziewięćdziesiąt dwa lata i od chodzenia bolały ją stawy biodrowe. Żadna operacja nie mogła nic pomóc na jej bardzo podeszły wiek, więc Josh oszczędzał jej wycieczek po zakupy. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić. Teraz dopisał do swojej ostatniej wiadomości: *Czy powiedziałem ci już o moim ostatnim planie?**

Powiedz mi - odpowiedź Cary padła natychmiast.

Przy całym tym zdrowym odżywianiu się, które przez cały czas uskuteczniam, w najbliższe lato znów chcę grać w futbol.

Och... w prawdziwej drużynie?

Nie. LOL © W parku z synem mojej siostry. Chłopak uwielbia grać ze mną, a od wypadku nie dotknąłem piłki. Ale to wszystko się zmieni. I wiesz co jeszcze?

Co?

Nawet zamierzam grać bez koszulki. Będę miał operację, a potem zacznę tak jak kiedyś chodzić na siłownię.

Przed pojawieniem się kolejnej wiadomości od niej nastąpiła krótka pauza. *Jeśli komukolwiek miałoby się to udać, to tylko tobie - napisała. Chcę powiedzieć... Da-*

lej, Josh... zrzuciłeś już prawie trzydzieści kilo. A tak na marginesie, na czym polega twój sekret? Nigdy o tym nie mówiłeś.

Bo nie mam żadnego sekretu - odpisał Josh. Odchylił się do tyłu na krześle, gdy w dolnej części kręgosłupa poczuł nagły, piekący ból. Skrzywił się i pisał dalej. Odstawiłem herę, cukier i prochy. Tyle. Ipiję nie więcej niż trzy piwa korzenne dziennie.

LOL © ... dobrze ci, J.

Ziewnął i znów się zastanowił, czy Becky jeszcze kiedykolwiek będzie chciała, żeby do niej wrócił, albo czy powinien dalej rozwijać relację z Carą i rozmawiać z nią o przyszłości. Nie miał wątpliwości, że w końcu pozna odpowiedzi na te pytania. Zatelefonuje do Becky i jeśli ona nie będzie nim zainteresowana, poleci spotkać się z Carą, gdy już nie będzie miał problemów ze zdrowiem. Zatrzyma się w najbliższym hotelu i dzięki temu będą mieli kilka dni, żeby się przekonać, czy to, co udało się im zbudować on-line, może zostać przeniesione w prawdziwe życie. *Mam jeszcze inne plany - napisał. Ale gdybym ci o nich powiedział, to bym wszystko popsuł, zatem... będzie to musiało poczekać.*

© Teraz to naprawdę rozbudziłeś moją ciekawość.

Powiedzmy sobie, że to planowałem, no wiesz, utrzymać twoje zainteresowanie.

Och... jesteś moim najlepszym przyjacielem, J.

A ty moim. Ból w plecach się nasilał. Aha, i módl się za Savannah, dobrze? Mam jakieś takie przeczucie, że nie żyje się jej najlepiej.

Będę, będę się modliła... Hej, posłuchaj mnie! Jeszcze miesiąc temu nie było w moim słowniku takiego słowa jak „modlić się”. Ale ty, J, zmieniłeś mnie.

Jak tylko przeczytał jej wiadomość, od razu miał gotową odpowiedź. *Bóg cię zmienił. On zmienił także mnie — czy to nie jest wspaniałe?*

W każdym razie... dlaczego martwisz się o Savannah?

Nie wiem - odpisał. Najechał myszką ponownie na iTunes i dwukrotnie kliknął na utwór, który zapoczątkował jego drogę powrotną do Boga. Słowa piosenki wypełniły niewielką przestrzeń wokół niego i zaczął śpiewać razem ze słuchanym zespołem. Cara musiała czekać na dalsze wyjaśnienia. Położył dłonie na środku klawiatury i starał się przekazać jej swoje uczucia. Powoli jego palce zaczęły się poruszać. Może dlatego - pisał - że już dawno nie widziałem jej aktualnego zdjęcia... Czasami zastanawiam się nawet, czy ona wciąż żyje i czy w ogóle wie o mnie.

Odpowiedzi od Cary przychodziły powoli, po jednym zdaniu. *To jest smutne. I niesprawiedliwe. Musisz poprosić twojego prawnika, żeby pomógł ci ją odnaleźć.*

Tak zrobię. I ona gdzieś tam jest, wiem to. Czuję, że powinienem się za nią modlić. Dopóki jej nie spotkam, to jest jedyna rzecz, jaką naprawdę mogę dla niej zrobić.

Chciałabym widzieć, J., jak po raz pierwszy spotkasz tę małą dziewczynkę. To jest jak film albo coś takiego. I to wszystko skończy się szczęśliwie.

Josh pomyślał o swojej rozmowie sprzed tygodnia z Carlem Josephem i Daisy, o tym, że najlepsze opowieści to te, które kończą się szczęśliwie. Zaczął pisać: *O to*

właśnie proszę Boga... o szczęśliwe zakończenie dla mnie i dla Savannah. Pochylił się do przodu na swoim krześle i odczekał kilka sekund, lecz ból odrabiał straty i wzmagał się coraz bardziej. Przy takim jego nasileniu nie był w stanie wytrzymać kolejnych kilku minut przy komputerze. Utwór się skończył, więc znów go włączył. Jeszcze tylko kilka ostatnich słów i będzie musiał położyć się spać. *Muszę się zaraz położyć - napisał. Przepraszam.*

W porządku, ja też jestem zmęczona.

Może dzisiaj uda mi się pospać trochę dłużej. Chcę się dobrze czuć jutro na meczu u Bena. Potem wszyscy idziemy do kościoła, a potem do Lindsay na kolację.

Brzmi wspaniale. Żałuję, że mnie tam nie będzie.

Uśmiechnął się. Ja też... naprawdę polubiłabyś Lindsay.

Przez kilka minut pisali do siebie o swoim rodzeństwie, lecz ogień, jaki Josh zaczął odczuwać w plecach, okazał się nie do wytrzymania. *Hej, muszę iść. Zamelduję się u ciebie jutro, okej?*

Będę czekać. Spij dobrze, J.

Dzięki. Wzdrygnął się na myśl o kolejnym ataku bólu. *Nie zapomnij o Savannah.*

Josh wyłączył komputer i odsunął górną szufladę biurka. Wewnątrz znajdowało się zdjęcie przedstawiające jego i Becky podczas balu z okazji zakończenia szkoły średniej. Czy to wszystko nie było tylko jakimś marzeniem? Czy pomysł skontaktowania się z nią po tylu latach, zaproszenie jej na kawę, aby sprawdzić, czy jeszcze czują coś do siebie - czy to wszystko miało jakiś sens i szanse powodzenia? Czasami Becky wydawała mu się zwykłym uro-

jeniem, jakąś idealną dziewczyną oczekującą tylko na to, aby on stał się idealnym facetem.

Lecz podczas takich wieczorów jak ten wciąż czuł zapach szamponu w jej włosach, wciąż czuł ją w swoich ramionach, jak tańczyli razem walca podczas tamtego ostatniego balu... Słyszał jej śmiech i czuł, jak harmonijnie współbrzmiały ze sobą ich serca. Gdy chował zdjęcie do szuflady, poczuł jeszcze silniejszą determinację. Zrobi coś ze sobą i zatelefonuje do niej. Resztą zajmie się Bóg.

Lecz na razie czuł wdzięczność wobec Cary.

Ziewnął i nawet to nieznaczne działanie wywołało ból pleców. Chciał pójść prosto do łóżka, lecz w ostatniej chwili postanowił przejść jeszcze swoją króciutką trasę, którą co wieczór przemierzał przed położeniem się spać. Odsunął się od biurka i z trudem stanął na nogach, a potem podszedł do kominka. Każdy kolejny krok sprawiał mu większy ból niż poprzedni i gdy wreszcie dotarł do kominka, gdzie na gzymsie ponad paleniskiem stały fotografie, po czole spływał mu pot. *Boże drogi... nie przejdę przez to bez Ciebie. Proszę...* — pomodlił się. Zamknął oczy i wstrzymał oddech, szukając choćby najkrótszej chwili wytchnienia. Dwie tabletki przeciwbólowe dziennie - takie było zalecenie lekarza. Lecz czasami — szczególnie gdy jechał do Denver na kolejne zeznania - brał trzy. Nie była to aż taka duża różnica, w zasadzie w ogóle nieporównywalna z historiami zamieszczanymi w Internecie przez ludzi, którym sytuacja wymknęła się spod kontroli. Trzy tabletki to było więcej, niż chciał brać, lecz to przecież nie mogło go zabić.

Odetchnął i otworzył oczy; otworzył je - i spojrzał wprost na zdjęcie Savannah. *Nie wiem, gdzie ona jest, Panie - modlił się - ale wiem, że ona jest moja. Czuję to całym sobą.* Odetchnął kolejny raz, narażając się na ból, i oparł się o gzyms kominka. *Ty widzisz ją w tym momencie, więc proszę... bądź z nią i dodaj jej otuchy. Opiekuj się nią, Boże, żeby nic jej się nie stało, abym miał szansę być jej tatą, gdy wreszcie poczuję się lepiej. Ona jest dla mnie wszystkim.*

Jestem z nią, Mój synu... i jestem z tobą... zawsze.

W chwilach, gdy był całkowicie wyczerpany i pozbawiony chęci życia, ten święty głos przypominał mu o nieustannej Bożej obecności. Josh rozluźnił uchwyt swych dłoni na gzymsie kominka, pocałował czubki palców i dotknął nimi zdjęcia Savannah. *Dziękuję, Boże... Teraz proszę Cię tylko, żebyś pomógł mi zasnąć - pomodlił się.*

Spojrzał po raz ostatni na fotografię córki, odwrócił się i poczłapał do swojego pokoju. Ból stał się teraz jak skurcz, przeszywający go od ramion aż po dolną część pleców. Do końca lutego zrzuci resztę nadwagi i potem w końcu będzie mógł przejść operację.

Wyszczotkował zęby, umył twarz i położył się do łóżka. Ból nasilił się tak bardzo, że aż Josh zaczął odczuwać mdłości, więc sięgnął szybko po buteleczkę z tabletkami stojącą na stoliku nocnym i wyjął na dłoń jedną z nich. Szklanka z wodą nie była nawet w połowie napełniona, lecz nie miał siły ponownie podnieść się z łóżka. Musiał tylko szybko połknąć lek, robiąc z wody jak najlepszy użytek.

Przez chwilę pomyślał o tym, jak żyje. Pragnął tylko zwalić się na łóżko i natychmiast zasnąć, żeby już dłużej nie myśleć o lekach przeciwbólowych. Włożył tabletkę do ust i pociągnął ze szklanki resztkę wody, lecz płyn przeleciał mu przez gardło, pozostawiając tabletkę za sobą. Odruchowo pogryzł pastylkę i połknął ją.

Nie zdążył jeszcze odstawić szklanki na nocny stolik, gdy w głowie błysnęła mu pewna myśl. Przecież lekarz mówił coś o tym, że przed połknięciem nie wolno gryźć tabletek. Ostrzegał go, że musi być ostrożny, ponieważ rozgryziona tabletkę może spowodować zbyt szybkie rozprzestrzenienie się lekarstwa po jego organizmie czy w jego krwiobiegu, przynajmniej tak to Josh zapamiętał. Ogarnęła go panika i usiadł prosto pomimo bólu. Serce waliło mu jak młot, szybciej niż zwykle. Co się stanie, jeśli rozgryziona tabletkę mu zaszkodzi? Może powinien zadzwonić pod dziewięćset jednaście albo przynajmniej skontaktować się z matką i spytać ją o radę.

Lecz choć usiadł prosto i pełen lęku zastanawiał się nad tymi możliwościami, ogarnął go sen. Spłynął na niego słodki sen, otulając go jak gruba, ciężka pierzyna, a ból w jego plecach nagle osłabł. Poczul, jak całe jego ciało się rozluźnia. Powoli osunął się na łóżko, a głowa opadła mu na poduszkę. W najbardziej odległym zakamarku jego umysłu wciąż pobrzmiwało ledwie słyszalne ostrzeżenie. Ale przecież nic mu się nie stanie. Nie mogło mu się nic stać, bo przecież Bóg miał dla niego wspaniałe plany. *Panie... pomóż mi* - przemknęło mu przez myśl. Pragnienie

snu stawało się coraz silniejsze i po raz pierwszy od wypadku cały ból Josha jakby ustąpił.

Doświadczenie ulgi było cudowne, wręcz upajające. *Wszystko będzie dobrze* - pocieszał się. *Ty jesteś ze mną, prawda Boże?*

Aż do skończenia świata, Mój synu...

Jak dobrze - odetchnął. Potem uśmiechnął się i pozwolił, aby jego ciało stało się całkowicie bezwładne. Czuł, jak zapada w sen tak głęboki i słodki, jakiego chyba jeszcze nigdy nie zaznał, nawet przed wypadkiem. Bóg miał dla niego i dla Savannah wspaniałe plany, więc nie było powodu do obaw. I gdy pozwolił ze wszystkich stron ogarnąć się ciemności, jednocześnie opuściły go wszystkie troski i wszelki ból. Doświadczenie ulgi było tak silne, że czuł się tak, jakby spał na Bożej dłoni. Ostatnią rzeczą, jakiej doznał, było coś takiego, czego nie czuł już od bardzo dawna. A może nie doświadczył tego nigdy.

Był to całkowity i nieograniczony pokój.

Savannah nie знаła tego wielkiego mężczyzny, z którym rozmawiała mama, a gdy spojrzała w jego ciemne oczy, to aż dreszcze przeszły ją po rękach. Były właśnie w Central Parku i zebrały o pieniądze - tak mama nazywała to ich zajęcie, mówiąc zawsze, że „zebrały o pieniądze” - gdy ten wielki mężczyzna w ładnym ubraniu zatrzymał się i zaczął z nimi rozmawiać. Choć tak naprawdę to nie z nimi, tylko

z mamą. Miał gęste ciemne włosy, mały złoty krzyżyk na cienkim łańcuszku na szyi i trzy duże złote pierścienie na palcach. Najpierw jej mama i ten mężczyzna śmiali się i rozmawiali głośno o dobrej zabawie i planach na wieczór. Lecz potem Savannah zobaczyła, że ten mężczyzna pokazał mamie jakieś pieniądze - dużo pieniędzy, bo na banknotach dolarowych były zera, a mama mówiła, że zera są dobre.

Właśnie wtedy mama poleciła Savannah, żeby usiadła na ławce i zaczekała. Ona zaś i ten mężczyzna poszli w stronę stawu, a ich rozmowa zmieniła się w cichy i jakby poufny szept. Savannah czuła lekki strach, siedząc tam sama, więc machając lekko nogami, spuściła wzrok i patrzyła w ziemię. Mama mówiła, że zawsze lepiej patrzeć w ziemię, żeby ludzie nie zrozumieli ich źle. Savannah nie wiedziała, co to znaczyło, lecz brzmiało to poważnie, więc patrzyła w ziemię. Rozmawiała także z Jezusem, o którym opowiadał jej dziadek Ted, kiedy miała pięć lat i gdy poznali się w jego sali szpitalnej. Dziadek Ted był tatą jej mamy, lecz mama mówiła, że nie była z nim w dobrych stosunkach. Powiedziała Savannah, że muszą pójść do szpitala, bo dziadek Ted umiera. To był jedyny powód.

- Nie pożyję już długo, Savannah - powiedział. Potem mówił jej o Jezusie, o tym, że On jest Bogiem, ale że nie można Go zobaczyć, że to On zrobił wszystkie rzeczy, a nawet że On chciał być w jej własnym sercu. Dziadek Ted wziął ją tamtego dnia za rękę i przepięknie się do niej uśmiechnął. Był to najpiękniejszy uśmiech, jaki kiedy-

kolwiek widziała. - Jeśli pokochasz Jezusa, jeśli będziesz z Nim rozmawiać i Mu zaufasz, to pewnego dnia będziemy razem na zawsze - obiecał.

- Gdzie jest to miejsce? - spytała natychmiast Savannah. Lubiła dziadka Teda i żałowała, że mama nie zabrała jej do niego wcześniej, zanim zachorował.

- To miejsce nazywa się niebo, skarbie - wyjaśnił. Dziadek dużo kaszlał i zanim mógł znów mówić, musiało upłynąć trochę czasu. - Czasami życie nie jest zbyt dobre po tej stronie nieba. Ale - jego oczy rozjaśniły się i pojawiło się w nich troszeczkę łez - niebo będzie całkowicie cudowne, Savannah, takie jak przyjęcie urodzinowe, które nigdy się nie skończy.

Jak przyjęcie urodzinowe, które nigdy się nie skończy.

Te słowa wywołały w głowie Savannah przepiękny obraz, a gdy potem go sobie przypominała, uśmiechała się. Myślała o nim wiele razy, szczególnie wówczas, gdy kilka dni później poszedł tam jej dziadek. Przeżyła z mamą wiele przerażających dni, więc to, o czym powiedział jej dziadek, brzmiało wspaniale. Zaufać Jezusowi. Tak, to był znacznie lepszy pomysł, niż cokolwiek z tego, czego uczyła ją mama.

Jezu, patrzę w ziemię, aby nikt mnie źle nie zrozumiał - modliła się. Złapała się brzegu ławki, lecz było jej niewygodnie, więc puściła się i położyła ręce na kolanach. Cieszę się, że jesteś w moim sercu, bo trochę się boję tego pana, z którym rozmawia mama. Może ona zna go z naszego pokoju w Harlemie. A może go nie zna, a to znaczy, że on jest obcy, więc mama nie powinna z nim rozmawiać.

Podniosła na chwilę wzrok i zobaczyła, że jej mama i ten mężczyzna w końcu wracają. Śmiali się i coś do siebie szeptali, a ten mężczyzna miał rękę na ramionach jej mamy. Savannah poczuła obrzydzenie, bo była niemal przekonana, że jej mama nie знаła tego mężczyzny, co oznaczało, że pozwoliła się objąć komuś obcemu. A za każdym razem, kiedy zdarzało się coś podobnego, jej mama wściekała się i krzyczała na tego, który próbował to zrobić.

Savannah westchnęła i znów spojrzała w ziemię. Gdzie teraz jest jej tata? *Czy Ty wiesz to, Jezus?* - pytała w myśli. *Bo jeśli to wiesz, to powiedz mi, proszę. On jest królewiczem z bajki i on mnie kocha, wiem to. A więc jeśli się dowiesz, gdzie on jest, proszę... powiedz mi, dobrze?*

- Savannah - głos mamy był zmieniony i brzmiał jakoś tak słodko, jakby była bardzo zadowolona. Zazwyczaj jej mama mówiła w inny sposób - tonem pełnym smutku, złości i irytacji.

- Tak? - zawołała, podnosząc wzrok.

- To jest Victor - oznajmiła mama, uśmiechając się do mężczyzny i kilka razy jakoś dziwnie mrugając do niego. - On zabierze nas dzisiaj do swojego domu przy parku.

- Na przyjęcie z nocowaniem - powiedział mężczyzna, puszczać oko do jej mamy. Potem spojrzał na nią i unosząc krzaczaste brwi, spytał: - Cieszysz się?

Serce Savannah zaczęło bić mocniej i szybciej. Jezus nie lubił kłamstwa - tak tłumaczył jej dziadek. Lecz teraz spojrzenie mamy powiedziało jej: *Słuchaj, młoda damo, lepiej żebyś powiedziała temu obcemu panu „tak”, bo inaczej będziesz miała kłopoty!* Savannah nerwowo przełknęła

ślinę i odpowiedziała cichutko: - Tak, proszę pana, dziękuję, ale ja lubię swoje miejsce na podłodze.

- To dobrze - mężczyzna zaśmiał się głośno, jakby z wnętrza swojego okrągłego brzucha. - Nie martw się, malutka. Będziemy się dobrze bawić. Wszyscy! - podkreślił. Po czym szturchnął łokciem mamę Savannah i dodał: - Mam nadzieję, że masz przynajmniej połowę tej ikry co ona.

„Ikra” - ludzie używali tego słowa, gdy o niej mówili. Z ikrą. Zdziorna. Pełna życia. Mama powiedziała, że to z powodu jej piegów i rudych włosów. Wszyscy troje ruszyli w stronę sąsiadujących z parkiem pięknych budynków. Savannah nie potrafiła jeszcze czytać, bo jej mama twierdziła, że szkoła może poczekać. Na budynku, do którego zabrał ich ten mężczyzna, były litery R-I-T-Z, a przed wejściem czekał na nich inny mężczyzna, w jakimś dziwnym stroju.

Victor przeprowadził je przez jakiś piękny pokój i zaprowadził do restauracji, gdzie jedli kolację przy nakrytym białym obrusem stole, na którym były piękne filiżanki, talerze i widelce. Savannah bała się cokolwiek powiedzieć, lecz nie mogła się powstrzymać przed rozglądaniem się wokół. Ludzie, meble, dywan, sufit - wszystko było zupełnie inne niż w ich pokoju w Harlemie i było jak z filmu. *To jest miejsce - pomyślała - gdzie powinien mieszkać mój tata.* Wiedziała przecież, jak wygląda, więc zaczęła się przyglądać, czy nie jest nim ktoś z przechodzących obok ludzi.

Victor rozmawiał przeważnie z jej mamą. Zamówili dla siebie steki z ziemniakami, a Savannah dostała ham-

burgera i frytki z malutką buteleczką keczupu. Savannah ciągle rozglądała się za tatą, a w tym czasie oni jedli - co zajęło dużo czasu, ponieważ wypili do kolacji dwie butelki wina.

Potem Victor zawiózł je windą na górę do swojego domu, na który mówił „mój pokój”. Mama Savannah i Victor śmiali się głośno i szli bardzo chwiejnym krokiem. Gdy dotarli do drzwi Victora, okazało się, że za nimi znajduje się cały dom z salonem, dwoma telewizorami i ogromnymi oknami, przez które widać było rozciągający się po drugiej stronie ulicy park. Savannah nigdy w życiu nie widziała czegoś równie pięknego. Victor włączył dla Savannah telewizor i znalazł jakiś program, w którym śpiewały dzieci. - Zaczekaj tutaj, malutka. Na ciebie przyjdzie kolej później - uśmiechnął się do niej i spojrzał na nią w taki sposób, że aż się przeraziła.

Potem on i mama poszli do innego pokoju i Savannah usłyszała, że zamknęli za sobą drzwi na zamek. Przebywali tam bardzo długo, aż w końcu na dworze zrobiło się ciemno. Savannah zmęczyła się oglądaniem telewizji. Podeszła do okna i patrzyła na park i na biegnący wzdłuż jego brzegu chodnik. Tyle ludzi - dziwiła się. Czasami zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda się jej odnaleźć tatę, który jest królewiczem z bajki.

Pewna myśl - czy raczej pragnienie - zrodziła się w jej sercu: że może właśnie w tym momencie jej tata, gdziekolwiek jest, także myśli o niej. To pozwoliło jej poczuć się bezpiecznie i zaraz zrobiła się śpiąca. Wróciła na kanapę i wyciągnęła się na niej.

- Savannah.

Głos należał do mężczyzny. Savannah zrobiła szybki wdech i zamrugła, otwierając oczy. Wcisnęła się w narożnik kanapy. Chyba musiała zasnąć. To nie było jej miejsce na podłodze w ich pokoju w Harlemie, a więc gdzie się znajdowała? Od okna dochodziły ją odgłosy padającego deszczu, a zaraz potem usłyszała grzmot. Zamrugła szybko i zobaczyła go - tego obcego mężczyznę, stojącego blisko niej. Z zewnątrz, z ulicy wpadało do pokoju światło i w jego słabym blasku widziała, jak szczyrzy zęby w uśmiechu - tym samym uśmiechu co wcześniej.

- Nie - wyszeptała, próbując jeszcze bardziej wcisnąć się w narożnik kanapy.

Proszę, Jezu... - modliła się odruchowo. *Proszę, ratuj mnie.*

Mężczyzna zrobił krok w jej stronę, lecz w tej samej chwili z pokoju obok wyszła jej mama. - Victor, wracaj...

- jej głos wciąż brzmiał jakoś dziwnie, może to od tego wina. - Chcę ci coś pokazać.

Victor jeszcze raz spojrział na Savannah i dotknął kosmyka jej włosów. - Żadna strata - syknął i po słowie „strata” splunął. - I tak nie mam ochoty na jakiegoś rudzielca

- znów zaśmiał się tym okropnym śmiechem, dobywającym się jakby z wnętrza jego brzucha. Potem puścił do niej oko i poszedł z powrotem do tego pokoju, w którym była jej mama.

Gdy drzwi się zamknęły, Savannah zaczęła oddychać ciężko i szybko, a jej serce waliło jak deszcz o parapet za oknem. Nie wiedziała, czego chciał ten mężczyzna albo

dlatego do niej podszedł, lecz gdzieś głęboko w swym wnętrzu czuła, że Bóg wysłuchał jej modlitwy i że On uratował ją od czegoś bardzo złego. *Dziękuję Ci za moje rude włosy* - powiedziała Jezusowi, zanim znów zasnęła. Może właśnie dlatego nic się jej nie stało.

Dwa dni później jej mama i Victor pokłócili się. On krzyczał i ona krzyczała i potem Savannah zobaczyła, jak on uderzył mamę w twarz. Savannah podbiegła do drzwi i zakryła dłońmi twarz, lecz zanim Victor znów zdążył zrobić coś złego, mama Savannah wzięła ją za rękę i obie wyszły. W windzie mama dotknęła ręką do policzka i zaczęła płakać.

Savannah pomyślała, że to dlatego, że policzek mamy jest czerwony, a Victor nie chciał już dłużej być jej przyjacielem.

- Mężczyźni to świnie - powiedziała mama, zamykając oczy. - Jak mogłam mu uwierzyć? - pociągnęła nosem, a potem przewróciła oczyma. - Jestem okropną matką, Savannah. Nawet nie lubię dzieci. Powinnam zaprowadzić cię do pogotowia opiekuńczego i tam zostawić. Chyba byłoby lepiej dla nas obu, gdybyśmy się rozstały.

- Czy tam właśnie mieszka mój tata? - spytała Savannah. Jej mama spojrzała na nią jakoś dziwnie. - Czy ty tego chcesz? Czy chcesz mieszkać z twoim ojcem? - zdziwiła się.

Savannah otworzyła szeroko oczy. - Tak, proszę - odparła. - Przynajmniej przez jakiś krótki czas.

Potem jej mama rozplakała się jeszcze bardziej. - Dobrze, Savannah - ciągnęła. - I tak byłoby ci z nim lepiej. I ja mogłabym robić to, co bym chciała.

Mama mówiła to potem przez cały czas, że dla nich obu byłoby lepiej, gdyby Savannah została oddana do pogotowia opiekuńczego albo zamieszkała z tatą, a wówczas ona sama mogłaby robić to, co by chciała. Lecz mama nigdy jej tam nie zabrała. Savannah myślała, że to dlatego, że ją kocha, choć mówiła, że nie lubi dzieci. Pewnie po prostu nie wiedziała, jak zajmować się dziećmi. To właśnie powiedział jej po cichu dziadek Ted, gdy rozmawiali wtedy w jego sali szpitalnej.

Savannah milczała, gdy szły do metra i potem schodziły po schodach na stację. Nie wiedziała, gdzie jest to pogotowie opiekuńcze ani czy mieszka tam jej tata, lecz miała przeczucie, że tym razem jej mama może naprawdę to zrobić - może zabierze ją do taty. A do tego czasu wciąż będzie się o to modlić, skoro jej mama uważa, że tak byłoby lepiej dla nich obu. Gdy weszły do wagonika metra i znalazły dla siebie dwa miejsca, Savannah jeszcze raz pomyślała o tacie. Bóg uratował ją i nic jej się nie stało, a teraz Bóg pozwoli jej odnaleźć wspaniałego tatę, który jest królewiczem z bajki. Czuła to. A to musiało oznaczać, że jej tata nie tylko myślał o niej. On też musiał rozmawiać o niej z Jezusem.

I dzięki tej myśli pierwszy raz od dwóch dni na ustach Savannah pojawił się uśmiech.

Carl Joseph wyjmował po jednym jajku z nowego pudełka z lodówki i ostrożnie wkładał je do tego samego plastikowego pojemnika, który dał im Josh. W trakcie tej czynności stracił rachubę, więc policzył je ponownie. Gdy upewnił się, że wyjął już sześć jaj, zamknął lodówkę.

- Dobry sąsiad oddaje rzeczy, które pożyczył - powiedział na głos. - I dlatego jestem dobrym sąsiadem - zapewnił samego siebie. Przycisnął mocno do siebie pojemnik z jajami, do kieszeni włożył klucz do mieszkania - bo przecież samodzielna i niezależna osoba zawsze ma klucz w kieszeni - a potem zamknął za sobą drzwi i zszedł na dół do mieszkania Daisy.

Zapukał w drzwi najpierw dwa razy szybko, a potem dwa razy wolno, z większym odstępem pomiędzy stuknięciami. To było jego specjalne pukanie tylko dla Daisy i jedynie on pukał w ten sposób, nikt inny. Nie pukał tak nawet jego brat i nie pukała tak Elle. Spojrzał w górę na niebo i uśmiechnął się. Błękitne niebo oznaczało, że Daisy przez cały dzień będzie szczęśliwa. Zaczął pogwizdywać sobie jakąś piosenkę o widocznej gdzieś tam na niebie tę-

czy i gdy doszedł do tego fragmentu, gdzie „sny się spełniają”, Daisy otworzyła drzwi.

- Cześć, Daisy - przywitał się, trzymając pojemnik z jajami w jednej ręce, a drugą wskazując niebo. - Błękitne niebo oznacza, że nie będzie padać, a jeśli nie będzie padać, to oznacza, że będzie ładnie.

Daisy uśmiechnęła się do niego, a jej oczy błyszczały jak światło słoneczne na powierzchni jeziora. - Dziękuję ci, CJ - odparła. - Uwielbiam błękitne niebo.

- To świetnie - stwierdził Carl Joseph i nieśmiało zatoczył kilka okręgów czubkiem buta. - Bo tak naprawdę to Bóg ci je dał - zaśmiał się. - Ale ty już o tym wiesz.

- Oczywiście - przyznała Daisy i klepnęła go delikatnie w ramię. - CJ, ty głuptasie. Oczywiście, że wiem, że błękitne niebo jest od Boga - wyznała. Spojrzała na pojemnik z jajami i jej brwi się uniosły. - Świetny pomysł, CJ. Musimy oddać Joshowi jajka.

- Bo tak robi dobry sąsiad - zauważył Carl Joseph.

- Właśnie - podchwyciła, unosząc palec wskazujący do góry, co lubiła robić, gdy Carl Joseph miał jakiś dobry pomysł. - Świetna robota, CJ - pochwaliła go. Wzięła go pod rękę, zabrała swoją dużą niebieską torebkę i oboje ruszyli przez parking w stronę mieszkania Josha. - Pamiętasz Disneyland, CJ, i jak udawałam, że jestem Myszka Minnie?

Carl Joseph poprawił sobie okulary na nosie. - A pamiętasz, jak kupiłem ci wtedy uszy Myszkę Minnie? - odpowiedział pytaniem.

- Prawda — potwierdziła. Przeszła kilka kroków, nic nie mówiąc, co oznaczało, że się zamyśliła. - Mam pomysł, CJ. Co ty na to, żebym założyła uszy Myszki Minnie następnym razem, gdy będziemy mieć randkę?

- Moglibyśmy pojechać na miasto - zaproponował Carl Joseph, wyobrażając sobie, jak wspaniały mógłby to być czas.

- Do tego sklepu z rzeczami z filmów Disneya - ucieszyła się Daisy, wskazując w stronę znajdującego się przed nimi mieszkania Josha. - Moglibyśmy zapytać Josha, czy też nie chciałby pojechać z nami. Bo może mógłby kupić strój Myszki Minnie, który pasowałby do tego... - urwała, sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej nowiutką parę uszu Myszki Minnie.

- Tammy i ja zatrzymaliśmy się wczoraj w mieście w drodze z pracy do domu. Kupiłam je dla tej małej dziewczynki, tej ze zdjęcia nad jego kominkiem.

- To bardzo ładnie z twojej strony, Daisy - uśmiechnął się Carl Joseph, lecz tylko jakby połowicznie. - Ale Josh powiedział, że ta historia nie ma szczęśliwego zakończenia.

- Ale Bóg dał nam szczęśliwe zakończenie w Disneylandzie, pamiętasz?

Zamyślił się nad tym przez chwilę i odparł: — I Disneyland jest najwspanialszym miejscem na ziemi...

- To prawda - przyznała, znów unosząc do góry palec wskazujący. - Dajmy więc Joshowi te uszy Myszki Minnie i spytajmy go, czy pojedzie z nami następnym razem i kupi tej małej dziewczynce strój Myszki Minnie - uśmiechnęła się cieplej. - Może dzięki tym uszom Myszki Minnie ta historia też będzie miała szczęśliwe zakończenie.

- Tak... może tak, Daisy. Może tak - powtórzył. Doszli do mieszkania Josha. Carl Joseph jedną ręką trzymał Daisy pod ramię, a w drugiej miał pojemnik z jajami, więc zapukał do drzwi Josha czubkiem buta.

Patrzyli na drzwi Josha, lecz on nie podchodził, żeby je otworzyć. - Może twoje sportowe buty nie stukają wystarczająco głośno - zauważyła Daisy.

Carl Joseph czuł, jak słońce pali go w ramiona. - Tak, może - zgodził się i delikatnie położył plastikowy pojemnik na ziemi. Potem naprawdę mocno zastukał ręką, z pewnością w odpowiedni sposób. Zbliżył usta do drzwi i zawołał: - Cześć, Josh! Tu twoi ulubieni sąsiedzi!

Daisy zachichotała obok, zakręciła w powietrzu nowymi uszami Myszki Minnie i czekali jeszcze chwilę. Na parking wjechał jakiś samochód i wysiadły z niego dwie dziewczynki. Kobieta siedząca w samochodzie powiedziała im „do widzenia” i odjechała, a Josh ciągle... ciągle nie otwierał drzwi do mieszkania.

- Myślisz, że on śpi? - zdziwił się Carl Joseph, spoglądając na Daisy przez ramię.

- Nawet jeśli tak, to chyba powinniśmy go obudzić.

- Tak, masz rację - zgodził się Carl Joseph, znów poprawiając sobie okulary na nosie, i nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc od razu się otworzyły. Carl Joseph poczuł się jakoś niepewnie, lecz mimo wszystko starał się uśmiechać. - On chyba mógł się nas spodziewać, prawda?

Nagle Daisy przestała się uśmiechać i lekko się zatrzęsała. - A co, jeśli go tutaj nie ma? - przestraszyła się.

- Może złamiemy prawo, jeśli wejdziemy do środka, kiedy jego tam nie ma.

- Ale on jest tutaj - uspokajał ją Carl Joseph, odwracając się nieznacznie i wskazując na starego mustanga na parkingu. - Widzisz to, Daisy? Tam jest jego samochód, a więc on jest tutaj.

- No dobrze - w głosie Daisy słychać było, że nie została do końca przekonana. - Wejźmy do środka razem.

Carl Joseph podniósł pojemnik z jajami i wszedł kilka kroków do środka. Spojrzał w stronę, gdzie znajdowała się sypialnia Josha. - Josh... tu twoi ulubieni sąsiedzi - zawołał. - Czy ty śpisz?

- Josh! - krzyknęła Daisy, składając dłonie wokół ust, aby było ją lepiej słychać. - Josh, obudź się, dobrze?

W mieszkaniu słychać było tylko odgłos pracy lodówki, tykanie zegara wiszącego na ścianie w kuchni i bzyczenie jakiejś muchy przy odsuwanych drzwiach balkonowych. Lecz nie było słychać głosu Josha. Carl Joseph zaczął odczuwać w żołądku jakieś dziwne napięcie. To było to samo uczucie, jakiego doświadczył, gdy pewnego dnia, jeszcze przed ukończeniem zajęć z Elle poświęconych samodzielnemu życiu, wsiadł do autobusu. Tamtego dnia wsiadł bowiem do złego autobusu i chyba zgubiłby się na zawsze, gdyby nie odnaleźli go jego brat i Elle. Teraz zaczynał czuć się tak samo jak tamtego dnia.

- No choć, Daisy - zachęcał ją. Wszedł do kuchni, a Daisy ruszyła za nim.

- Boję się, CJ. Gdzie on jest?

- Nie wiem - odparł. Pomyślał o otworzeniu lodówki i przełożeniu do niej jaj z pojemnika, lecz potem przypomniał sobie o zasadach dobrego wychowania. To nie była jego lodówka, więc chyba tylko Josh powinien przełożyć te jajka. Położył je więc na ladzie, pozostawiając w plastikowym pojemniku. - Daisy - powiedział nagle, kładąc ręce na jej ramionach - nie bój się. Chodźmy po prostu do jego pokoju i obudźmy go. Bo przecież to powinni zrobić dobrzy sąsiedzi.

Jej brwi były ściągnięte. - Jesteś pewien? - spytała.

- Tak - przyznał Carl Joseph, nie zważając dłużej na narastający w jego wnętrzu strach. Wyciągnął rękę do Daisy i rzekł: - No chodź.

Razem poszli przez krótki przedpokój do pokoju Josha i tam Carl Joseph zapukał ponownie. Lecz żadna odpowiedź nie padła. - Josh? - próbował go obudzić.

- On śpi - wyszeptała Daisy. - No dalej, CJ... wchodź.

Carl Joseph otworzył drzwi do sypialni, a tam na łóżku leżał Josh. - Josh? - powiedział niezbyt głośno, bo sądził, że on się obudzi, gdy usłyszy, że drzwi sypialni się otwierają. - Obudź się, Josh.

Powoli ruszyli w stronę łóżka, lecz Daisy zatrzymała się w połowie drogi. - On... on chyba nie wygląda dobrze, prawda CJ?

- Jest bardzo śpiący - odparł Carl Joseph. Nie chciał, żeby Daisy tak mówiła, bo co jeśli... Podszedł do brzegu łóżka i lekko potrząsnął ramieniem Josha. - Josh! - zawo-

łał tym razem najgłośniej, jak potrafił, bo myślał, że może w ten sposób uda się go obudzić. - Josh, obudź się.

- CJ, ja znów się boję.

- Nie bój się. Powiedzmy jego imię oboje razem, i to tak naprawdę głośno. Może to go obudzi.

- Dobrze - zgodziła się. Cała bardzo się trzęsła, lecz mimo to w tym samym momencie zaczęli liczyć na głos: -Jeden... dwa... trzy.

Potem oboje wykrzyknęli imię Josha, a Carl Joseph ponownie potrząsnął jego ramieniem. Lecz Josh ani się nie poruszył, ani nawet nie zamrugał. Po prostu leżał jak wcześniej, jakby był zamrożony.

Wtedy Carl Joseph pomyślał, że może Daisy miała rację. Może coś było nie tak z Joshem i może on potrzebował pomocy, takiej pomocy w nagłych wypadkach. Na ścianie w jego mieszkaniu, i u Daisy także, wisiała taka specjalna kartka papieru - instrukcja mówiąca o tym, jak w razie niebezpieczeństwa wezwać pomoc. Carl Joseph poprawił sobie okulary i przełknął ślinę. - Daisy - zaczął, zrobił krok do tyłu i odwrócił się do niej. - Może powinniśmy do Josha wezwać pomoc w nagłych wypadkach. Może pomoc w nagłych wypadkach mogłaby go obudzić.

- Och, nie! - zaprotestowała Daisy, zakrywając sobie usta dłonią, w której trzymała uszy Myszki Minnie. - Pomoc w nagłych wypadkach wzywa się, kiedy ma się bardzo poważny problem, prawda?

- Ale jeśli on nie może się obudzić - zastanawiał się Carl Joseph, odwracając się w stronę Josha - to jest to bardzo poważny problem, prawda?

- Prawda - przyznała i łzy napłynęły jej do oczu. - Pospiesz się, CJ, dzwoń po pomoc w nagłych wypadkach!

Carl Joseph czuł, jak serce wali mu mocno w piersi, bo ta sytuacja była bardziej przerażająca niż zgubienie się w autobusie. Podniósł słuchawkę telefonu znajdującego się przy łóżku Josha i próbował przypomnieć sobie numer. To było dziewięć i coś jeszcze - chyba dziewięć-dziewięć-dziewięć, czyż nie? Odłożył słuchawkę i mocno zacisnął pięści. *Proszę, Boże...* - modlił się - *pomóż mi przypomnieć sobie numer pomocy w nagłych wypadkach, proszę...*

- Co ty robisz? - płakała Daisy. - CJ, dzwoń po pomoc w nagłych wypadkach!

- Modlę się, bo jeszcze nigdy nie wzywałem pomocy w nagłych wypadkach - nie krzyczał na nią, lecz powiedział to pewnym głosem, żeby go zrozumiała.

Zobaczył kątem oka, że ona oddaliła się kilka kroków od Josha, a potem odeszła jeszcze dalej, zdenerwowana i przerażona. - Pospiesz się, CJ - ponaglała go.

I wtedy Bóg podał mu właściwy numer, bo jakby zobaczył go w swojej głowie. Podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer, tak jak go widział. - Dziewięć-jeden-jeden, tak właśnie wzywa się pomoc w nagłych wypadkach

- oznajmił.

Prawie natychmiast w słuchawce odezwał się jakiś kobiecy głos: - Dziewięćset jedenaście, proszę powiedzieć, co się stało! Carl Joseph spojrział na swojego ulubionego sąsiada.

- Josh się nie obudził - odparł.

- Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć?

- Josh! - zawołał i jednocześnie skarcił się w duchu: *Bądź spokojny!* Bo tak naprawdę nie czuł się spokojny. *Bądź spokojny. Pomóż mi, Jezu. Potrzebuję Cię.* Przypomniawszy sobie, że w nagłych wypadkach trzeba było najpierw być spokojnym i modlić się. - On mieszka w mieszkaniu po drugiej stronie parkingu - tłumaczył. - On jest naszym ulubionym sąsiadem i nie obudził się.

- Czy on oddycha?

Czy on oddycha? Carl Joseph nie pomyślał o tym wcześniej. Jego serce biło teraz bardzo szybko. - A skąd mam wiedzieć? - spytał.

- Proszę pana - powiedziała kobieta lekko zniecierpliwionym głosem. - Proszę sprawdzić, czy jego pierś się porusza i czy z jego nosa i ust wydobywa się powietrze.

- Dobrze... dobrze, sprawdzę - odparł. Położył słuchawkę na brzegu stolika stojącego obok łóżka i spojrzał uważnie na pierś Josha. Lecz choć patrzył bardzo uważnie, pierś Josha nie poruszała się. Potem podniósł rękę i przyłożył ją przed nos Josha, lecz nie wydobywało się stamtąd powietrze. Za jego plecami Daisy płakała coraz bardziej, więc gdy podniósł z powrotem słuchawkę, musiał mówić głośno, aby tamta pani go usłyszała. - Jego pierś nie porusza się i nie wydobywa się żadne powietrze - poinformował. Zaczął szybko oddychać, bo to nie mogło oznaczać niczego dobrego. Pierś nie porusza się i nie wydobywa się powietrze! - Proszę nam pomóc!

- Karetka już jedzie, proszę pana. Czy jest pan tam sam?

- Jestem tutaj ja i moja dziewczyna, Daisy. Mieszkamy w osobnych mieszkaniach, ale byliśmy tutaj, bo dobrzy sąsiedzi oddają rzeczy, które pożyczylimy.

- Tak, proszę pana. Proszę tam zaczekać do przyjazdu ratowników medycznych, dobrze?

- Tak, proszę pani - rozłączył się i spojrzał na Josha. Może jak ktoś jest bardzo śpiący, to jego pierś nie porusza się i nie wydobywa się z niego powietrze - zastanawiał się. Spróbował więc jeszcze raz go obudzić. - Josh! - krzyknął.

- Obudź się natychmiast!

Wciąż nic.

- Nie jest z nim dobrze, CJ. Lepiej chodźmy - Daisy powiedziała to bardzo przerażonym głosem, jak wówczas gdy padał deszcz, a ona bała się, że się rozpuści. - Chodźmy na zewnątrz.

- Musimy zaczekać na ratowników medycznych

- stwierdził, objął Daisy ramionami i zaczął ją delikatnie kołysać, to w jedną, to w drugą stronę. - Tak powiedziała mi pomoc w nagłych wypadkach.

Daisy przycisnęła więc głowę do jego piersi i czekali w ten sposób, aż usłyszeli syreny. *Proszę, pomóż nam, Boże... Proszę, pomóż naszemu sąsiadowi* - modlił się. Carl Joseph wypowiedział tę samą modlitwę wiele razy, aż w końcu usłyszał jakieś pukanie do drzwi.

- Ratownicy medyczni. Czy jest tu ktoś? - rozległ się głos na zewnątrz.

- Carl Joseph i Daisy - krzyknął. - Jesteśmy tutaj, w sypialni.

Dwóch mężczyzn w niebieskich uniformach przebiegło przez przedpokój i wpadło do pokoju Josha. Pierwszy z nich spojrzał najpierw na Josha, a potem na Carla Josepha. Widać było, że działa w ogromnym pośpiechu.

- Bardzo proszę wyjść z pokoju - powiedział stanowczym tonem. Potem krzyknął coś do drugiego mężczyzny, coś o wózku i elektrodach.

Carl Joseph jeszcze raz spojrzął na Josha, a potem razem z Daisy opuścili pokój. Nie wiedział, jak daleko mają odejść, lecz usłyszał więcej syren, więc postanowił, że powinni wyjść z mieszkania na chodnik. Po drodze zabrał plastikowy pojemnik z jajami, bo chciał być pewien, że Josh je otrzymał. Potem przypomniał sobie, że zawsze gdy potrzebował pomocy w nagłych wypadkach, miał dzwonić do brata. Słyszał głośne dźwięki dochodzące z mieszkania Josha i przyszła mu do głowy straszna myśl.

A co jeśli... a co jeśli on nie żyje?

- CJ, co się dzieje? - pytała Daisy, wciąż płacząc, a kilka jej łez skapnęło na nowe uszy Minnie. Chciała być w jakimś innym miejscu, gdzieś daleko od syren i samochodów policji i wozu strażackiego wjeżdżającego właśnie na parking.

- Chodź Daisy. Chodźmy do mojego domu - zaproponował, zaprowadził ją tam i zatelefonował do brata.

- Carl Joseph, jak się masz? - spytał brat radosnym głosem. - Jesteśmy umówieni na kolację, pamiętasz?

- Bracie - odparł Carl Joseph - coś bardzo złego dzieje się z naszym ulubionym sąsiadem, Joshem.

- Co się dzieje? - ton brata natychmiast stał się poważny.

- On się nie obudził. Poszliśmy tam oddać sześć jajek, bo dobry sąsiad oddaje to, co pożycza, i Josh się nie obudził - wyjaśnił, oddychając przy tym głośno i szybko.

- On się nie obudził, więc zadzwoniłem po pomoc w nagłych wypadkach i teraz ratownicy medyczni i karetka, i strażacy, i policja - wszyscy są tutaj.

- W porządku, stary... nie bój się. Już tam jadę.

- Dziękuję, bracie - odparł Carl Joseph. Przez cały czas starał się podtrzymać Daisy na duchu, aż do chwili, gdy w drzwiach wejściowych ukazał się brat. - Stary

- rzucił na wstępie - idę do mieszkania Josha. Chcesz iść ze mną czy zostać tutaj?

- Chcę iść - odparł Carl Joseph. Wciąż oddychał bardzo szybko i czuł się źle, lecz musiał iść z powrotem do Josha. Josh był jego ulubionym sąsiadem. Puścił Daisy i spytał: - Ty też? Chcesz iść?

- Nie... tak - nie wiedziała, co zrobić i tylko złapała go mocno z rękę. - Tak, jeśli... jeśli będziesz ze mną.

- Będę - obiecał. Wyszli szybko z bratem z mieszkania, a do tego czasu na parkingu zgromadzili się już inni ludzie, którzy patrzyli w stronę mieszkania Josha. Była tam stara Ethel mieszkająca nad Joshem, dwie nastoletnie dziewczyny, które wcześniej wysiadły z samochodu, i jeszcze kilka innych osób. Nikt się nie śmiał ani nic nie mówił

- wszyscy tylko czekali i patrzyli.

Gdy podeszli do samochodów policyjnych, brat zatrzymał się i odwrócił do Carla Josepha. - Zaraz wracam

- rzucił krótko.

Carl Joseph poczuł, że jest mu trudno oddychać. Czoło miał mokre od potu, a serce wciąż biło mu bardzo szybko.

- Bracie - starał się mówić cicho, żeby nie usłyszała go Daisy.

- Bardzo się boję o Josha.

- Posłuchaj, stary - odparł brat i wziął głowę Carla Josepha w swoje dłonie. - Wszystko będzie dobrze, bez względu na to, co dzieje się z Joshem - powiedział poważnym, lecz zarazem spokojnym głosem. - Josh kocha Jezusa, pamiętasz?

- Tak, teraz to pamiętam - potwierdził Carl Joseph, kiwając wiele razy głową. - Josh kocha Jezusa - powtórzył za bratem. A przecież dla ludzi, którzy kochają Jezusa, wszystko dobrze się skończy. To zawsze była prawda - przypominał sobie. Jego serce uspokoiło się trochę. - Dzięki za to, bracie.

Daisy wciąż trzymała w ręku uszy Minnie. Słowa brata Carla Josepha spowodowały, że też poczuła się trochę lepiej. On zaś pobiegł w stronę mieszkania Josha i dotarł tam właśnie w chwili, gdy ze środka wychodził policjant. Brat Carla Josepha powiedział coś do policjanta i przez chwilę rozmawiali ze sobą. Potem spojrzął w dół w ziemię i pogładził się po karku, a to spowodowało, że Carl Joseph znów poczuł się gorzej.

Bo przecież brat robił tak tylko wtedy, gdy zdarzyło się coś bardzo, bardzo złego.

Cody nie wiedział, jak ma teraz wrócić do swojego brata i Daisy i powiedzieć im prawdę o ich ulubionym sąsiedzie.

Josh Warren był martwy.

Przy drzwiach zatrzymał go policjant i przekazał mu tę wiadomość. - Jak to? Co mu się stało? - Cody nie mógł

w to uwierzyć. Josh nie miał jeszcze trzydziestu lat i nie licząc jakichś problemów z plecami i kilku kilogramów nadwagi - był zupełnie zdrowy.

- Zmarł podczas snu... Jestem pewien, że zrobią sekcję zwłok - oznajmił policjant, trzymając w ręku telefon komórkowy. - To stało się w jego pokoju. Czy zna pan może kogoś z jego rodziny?

- Osobiście nie znam - odparł, próbując sobie przypomnieć, co kiedyś mówił mu Josh o swojej rodzinie. - Jego rodzice mieszkają chyba w dzielnicy Black Forest, tak mi się wydaje.

Policjant przewijał listę kontaktów w telefonie Josha.

- Mama i tata - westchnął i rzucił Codyemu smutne spojrzenie. - Muszę pana przeprosić.

Cody zrobił krok do tyłu i potem poszedł powoli w stronę swojego brata i Daisy. Gdzieś po drugiej stronie miasta rodzice Josha mieli zaraz otrzymać wiadomość, jakiej żadna matka i żaden ojciec nie chcieliby usłyszeć. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na błękitne niebo. Ze śmiercią nigdy nie było łatwo się pogodzić, lecz szczególnie ze śmiercią młodej osoby. *Wiem, że panujesz nad wszystkim, Boże...*

- modlił się. *Ale nie rozumiem tego. Josh Warren? Co udało się mu osiągnąć? Co dobrego kiedykolwiek go spotkało?*

Jego myśli nie były zuchwałe, lecz po prostu szczere. Zawsze rozmawiał z Bogiem w ten sposób. Kiedy umarła Ali, jej strata wstrząsnęła nim do głębi, odechciało mu się żyć i miał ochotę ze sobą skończyć. Lecz jakimś cudem Bóg postawił Elle na drodze jego życia, a przy niej znów odnalazł sens życia i sens wiary.

Lecz Josh? Nie udało mu się znaleźć miłos'ci, nie dostał nawet odszkodowania, na które tak czekał. I przede wszystkim nie odnalazł swojej córeczki. Jakiś straszny ból chwycił Cody'ego za serce. Tamta mała dziewczynka już nigdy nie pozna swego taty, nie dowie się, jakim był porządnym facetem. Przełknął ślinę, czując potworny uścisk w gardle.

Czekał na niego Carl Joseph.

Annie jadła właśnie z Nate'em śniadanie na werandzie za domem, przyglądając się parze jeleni pasących się w położonym opodal sosnowym zagajniku, gdy nagle zadzwonił telefon. Pomyślała, że to pewnie Lindsay chce jej powiedzieć, gdzie dokładnie mają się spotkać przed meczem i jak bardzo cieszy się Ben, że wszyscy przyjdą mu kibicować. Lindsay telefonowała często - przynajmniej raz dziennie - a zatem uśmiechnęła się do Nate'a, przeprosiła go, że musi na chwilę wstać od stołu, i weszła do środka.

Czasami ludzie mówili jej o tym, że na kilka minut, godzin czy dni przed jakimś wypadkiem samochodowym, utonięciem kogoś bliskiego albo otrzymaniem niepomyślnych wyników badań od dziwnie ponuro wyglądającego lekarza mieli jakieś przeczucia, że pojawił się u nich jakiś przebłysk, jakieś niewyraźne, niezrozumiałe przekonanie, że wydarzy się coś bardzo złego. Później, bez względu na to, ile czasu upłynęło od tamtego wydarzenia do chwili obecnej, to przeczucie wciąż pozostawało w pamięci bardzo żywe. - Czułem to - mawiali ludzie, gdy wspominali te sytuacje. — Po prostu wiedziałem.

Z Annie było całkowicie inaczej.

Gdy wchodziła do domu, zwróciła uwagę na to, jak cudownie niebo rozlewało promienie zabarwionego delikatnie na niebiesko światła pomiędzy drzewami, jak w domu wspaniale pachniało świeżymi, jeszcze gorącymi rogalikami cynamonowymi, które właśnie przed chwilą wyjęła z piekarnika. Jedyna myśl dotycząca rozpoczynającego się dnia, jaka zrodziła się w jej głowie, mówiła o tym, że Bóg musi być z niej bardzo zadowolony, skoro ofiarowuje jej tak cudowną, wczesnojesienną sobotę, skoro pozwala jej czuć się dziś tak wspaniale. Cała jej rodzina miała być razem. Mecz futbolu, nabożeństwo w kościele, podczas którego zajmą prawie całą ławkę, potem kolacja u Lindsay. To będzie taki dzień - mówiła sobie w duchu - który po latach będą wspominać jeszcze wiele razy.

Wciąż miała uśmiech na ustach, gdy odebrała połączenie. - Halo? - powiedziała łagodnym tonem.

- Czy mówię z panią Warren? - spytał jakiś nieznajomy głos.

- Tak - odparła lekko poirytowana. Zerknęła do tyłu na werandę, na Nate'a samotnie jedzącego śniadanie. Jelenie poszły sobie, a ona przegapiła ten moment i to przez jakąś zbędną rozmowę - pewnie ktoś chciał jej coś sprzedać.

- Pani Warren, tu sierżant Daniel White z wydziału policji.

Zawahał się i podczas tego jednego zawahania Annie poczuła, jak cały jej świat wywraca się do góry nogami. Bo przecież po co - po co jakiś funkcjonariusz policji dzwoniłby do niej do domu w sobotni poranek? I w tym samym.

momencie ton jego głosu dał jej odpowiedź. Chwyciła się mocno lady kuchennej.

- Proszę pani, czy ma pani syna, który nazywa się Joshua David Warren?

- Tak - potwierdziła. *No dalej* - chciała krzyknąć. *Powiedz mi wreszcie, po co dzwonicz.* - Czy coś się stało?

- Proszę przyjechać do jego mieszkania tak szybko, jak to możliwe, dobrze? Jest pewien problem.

Jest pewien problem? - powtórzyła w myśli i poczuła w całym ciele przyływ adrenaliny, a serce zaczęło jej tak walić, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi. - Pewien problem?

- Będziemy tutaj na panią czekać, pani Warren. Bardzo proszę się pospieszyć.

Rozłączyła się, a jej nogi jakoś same zaczęły nieść ją z powrotem przez dom na werandę. Nie powiedziała temu policjantowi „do widzenia” ani „dziękuję”, nie wypowiedziała żadnego wyrażenia grzecznościowego, które zwykle się mówi w takich sytuacjach. Miała nadzieję, że ten funkcjonariusz policji nie pomyśli sobie, że była niegrzeczna albo nie przyporządkuje tego jej niewłaściwego zachowania do jej męża, co mogłoby mu zaszkodzić w ponownych wyborach. Pozwoliła sobie na te szalone, irracjonalne myśli, bo one powstrzymały tę lawinę, która spadała na nią z każdej strony.

- Nate - rzuciła bezbarwnym tonem. Stała w drzwiach i trzymała się za futrynę. - Musimy jechać.

Nagły niepokój ściągnął jego brwi. Odsunął się od stołu, nie odrywając od niej oczu i wciąż jeszcze przeżuając

cynamonowego rogalika. - Annie... jesteś blada jak ściana - stwierdził, podchodząc do niej natychmiast i kładąc jej rękę na ramieniu. - Co się stało?

Funkcjonariusz policji nie obwini Nate'a. Nie zrobi tego, skoro będzie miał okazję poznać ich osobiście i samemu się przekonać, że ona nie była niegrzeczna, niewdzięczna czy niemą. Na pewno nie. - Ten policjant powiedział, żeby się pospieszyć - rzuciła, odwróciła się i weszła do domu, wyjęła kluczyki z szuflady przy lodówce i wyciągnęła rękę, żeby je podać Nate'owi.

- Annie... porozmawiaj ze mną - poprosił z przejęciem, podążając za nią. - Jaki policjant? Kto to dzwonił?

Zamrugnęła i wyrwała się z tego dziwnego transu tylko na moment, aby móc powiedzieć: - Coś jest nie tak z Joshem. - Adrenalina wskoczyła jakby na kolejny bieg i Annie upuściła kluczyki. Zanim jednak uderzyły one o podłogę, była w ramionach Nate'a. - Boże drogi, nie - w jej słowach słychać było panikę. - Nie Josh... nie mój syn.

Nate trzymał ją w objęciach tylko przez chwilę, a potem chwycił ją mocno za ręce. - Policjant mówił o Joshu, czy tak? - dopytywał.

- Tak - przytaknęła. Nie mogła zgodzić się na to, aby kilka pierwszych kamieni sturlało się po zboczu jej serca, nie mogła pozwolić, by jej myśli zawędrowały tam, gdzie wydarzenia ostatniej minuty chciały ją zabrać. Błagalnym wzrokiem spojrzała mężowi głęboko w oczy. - Nic mu się nie stało - pocieszała się. - Nie mogło mu się nic stać.

Nate podniósł kluczyki z podłogi i wziął ją za rękę. - Ja poprowadzę - oznajmił.

- Dziękuję - odparła. Niemal w tej samej chwili przypomniała sobie o swoim zwyczaju, więc dodała: - Musimy się modlić.

- Będę, będę się modlił przez przerwy - obiecał. Lecz w ciągu dziesięciominutowej jazdy samochodem trzykrotnie zadał jej to samo pytanie: - Czy ten policjant nie powiedział, co się stało?

- Nie - odpowiadała, za każdym razem tylko na chwilę odrywając wzrok od drogi. - Po prostu módlmy się - mówiła. I za każdym razem, gdy pozwalała, by jej język podawał taką odpowiedź, jakiś głos w jej duszy krzyczał na nią, że może jest już za późno na modlitwę. W życiu, co przecież doskonale wiedziała, należało spodziewać się różnych sytuacji, różnych zmian, bo przecież w życiu innych ludzi pojawiały się różne zmiany. Jeden telefon albo jakieś pukanie do drzwi stawały się jakby słupem granicznym, już na zawsze dzielącym czyjeś życie na dwie części: na jedną część przed tym konkretnym momentem i drugą po nim.

Jej modlitwa była krzykiem o pomoc, który w duchu wydawała z siebie co kilka oddechów. *Panie - modliła się - bądź z Joshem... Pociesz go i daj mu pokój. Cokolwiek mu się stało, nie opuszczaj go, proszę. Boże... nie poradzę sobie bez Ciebie.*

Córko, Ja zawsze jestem z tobą...

Ta odpowiedź zakotwiczyła się w niej i pozwoliła jej zrobić kolejny oddech. *Panie - błagała wciąż - bądź z Joshem. .. Pociesz go i daj mu pokój. Cokolwiek mu się stało...*

Jak tylko parking przed mieszkaniem Josha ukazał się ich oczom, Annie zrozumiała, że sytuacja jest bardzo po-

ważna. Na rogu, niedaleko drzwi wejściowych do mieszkania Josha, była zaparkowana karetka, a obok niej stały dwa samochody policyjne i wóz strażacki. Ludzie stali w małych grupach i Annie miała ochotę krzyknąć na nich: *Nie stójcie tak. Zróbcie coś... Pomóżcie mojemu synowi.*

- Proszę, Boże... - Nate wypowiedział te słowa na głos w chwili, gdy wjechał na parking. Tym razem w jego głosie nie było żadnej niepewności czy znaku zapytania, bo odpowiedź była oczywista. Pojazdy stojące przed blokiem Josha powiedziały im to, czego nie zrobił wcześniej policjant.

Wysiedli z samochodu i potem nagle naszło Annie jakieś takie pełne beznadziei i rozpaczycie przeczucie dotyczące jej syna, jej najmłodszego syna. Jej dziecka. Zaczęła biec w stronę drzwi wejściowych do mieszkania Josha i nie zatrzymywała się, mimo że potknęła się o końcówkę zraszacza i o mało co nie upadła. W drzwiach pojawił się policjant, zatrzymał się i czekał na nią. Ale dlaczego on się nie spieszył? Dlaczego on nie pomagał jej synowi?

Przyspieszyła jeszcze bardziej i usłyszała, że za nią biegnie Nate. Josh miał jakieś kłopoty, lecz oni już tutaj są, a więc wszystko będzie dobrze - przebiegło jej przez myśl. *Proszę, Boże, niech wszystko będzie dobrze* - pomodliła się. I bez tego Josh przeszedł wystarczająco dużo, lecz jeśli tylko znajdzie się przy nim, weźmie go w ramiona i mocno utuli tak jak wtedy, gdy był jeszcze małym chłopcem, wówczas nic mu nie będzie, bo przecież jej miłość miała w sobie taką siłę. Była na tyle silna, aby odsunąć od niego te kłopoty.

- Przepraszam - rzuciła, próbując ruchem ręki odsunąć na bok policjanta, lecz on zagroził jej drogę. - Muszę zobaczyć mojego syna! - w jej głosie było tyle przerażenia, że sama go nie poznawała.

- Proszę pani, jestem sierżant White.

- Dziękuję, że pan zadzwonił - powiedziała, czując, że zaschło jej w ustach. - Musimy go zobaczyć.

Teraz Nate stał już o krok przed nią. - Czy on jest w środku? - zapytał w tym samym czasie. Oddychał ciężko i prawie nie patrzył na policjanta. - Co mu się stało?

- Proszę pana, muszę tu państwa zatrzymać - oznajmił policjant, rozkładając obie ręce i częściowo blokując drzwi. - Proszę... nie mogą państwo wejść do środka.

Annie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, zawołać lub krzyknąć, lecz nagle poczuła się jak sparaliżowana. Nate objął ją ramieniem, a słowa policjanta zmieszały się z odgłosem wiadomości przesyłanej drogą radiową dochodzącym z jednego ze stojących za nią samochodów, z hałasem ulicznym panującym na drodze ciągnącej się wzdłuż bloków i z szybkim i gwałtownym biciem jej serca. Każdy z tych dźwięków nasilał się, więc trudno jej było zrozumieć, co mówił przez radio ten głos. Chyba coś o nieznanym przyczynie zgonu, znalezieniu otwartej buteleczki po lekach przeciwbólowych obok łóżka i wątpliwościach dotyczących tego, czy zmarły brał więcej OxyContinu, niż było to dopuszczalne. A Nate pytał, od jak dawna Josh nie żył i...

Pod Annie ugięły się kolana i złapała się męża. Jej syn nie żył? Jej najmłodsze dziecko odeszło, a ona nie po-

żegnała się z nim? To nie było możliwe. Wyprostowała przed sobą rękę, chcąc jakoś go dotknąć, jakoś go poczuć. - Josh! - krzyk, jaki wydobył się z jej ust, przypominał wrzask jakiejś oszalałej osoby błagającej Boga, by cofnął zegar czasu, aby dał jej szansę przybycia tutaj i wzięcia go w ramiona, tak jak chciała to zrobić wczoraj po jego zeznaniach. - Josh, nie! - znów wykrzyknęła jego imię, a Nate pociągnął ją w swoje ramiona.

- Proszę - powiedział, a gdy spojrział na policjanta, cały się trząsnął, a w jego głosie słyhać było lęk i niedowierzenie. - Musimy go zobaczyć.

Policjant zawahał się. - Lepiej, żeby państwo tam nie wchodzili - odparł, odwrócił się w stronę mieszkania, a potem spojrział na Annie. - Niech państwo zapamiętają go takim, jakim był.

Takim, jakim był? To nie mogło dziać się naprawdę. Jeszcze przed chwilą rozmawiała z nim przez telefon, radziła mu, żeby trochę odpoczął, i planowała spotkać się z nim na dzisiejszym meczu. Gdyby mogła tylko wejść do środka i go zobaczyć... Może ratownicy medyczni nie sprawdzili dokładnie, może on tylko twardo spał, tak jak czasami spał, gdy wziął dodatkową tabletkę przeciwbólową.

Jakiś ratownik medyczny wyszedł z mieszkania, stanął w drzwiach i powiedział cicho do sierżanta White'a: - Koroner już jedzie.

I nagle lawina ruszyła. Zwaliła się na nią z każdej strony i zasypała ją paralizującymi warstwami bólu i żalu. - Nie Josh, Boże, proszę! - ten krzyk nie był tak głośny jak poprzedni, lecz pełen takiego lęku, jakiego Annie wcześniej nie знаła.

Nate znów ją przyciągnął do siebie i uspokajał, gładząc po ręce. - Cicho, kochanie... wszystko będzie dobrze. Przytul się do mnie - szeptał.

Annie nie wiedziała, jak przeszli jakieś' cztery metry z powrotem od drzwi wejściowych do miejsca, gdzie kończył się chodnik, ani jak długo tam stali. Lecz mniej więcej w tym samym momencie nadjechała biała furgonetka i wyszło z niej dwóch mężczyzn, którzy po chwili cicho przeszli obok nich z noszami. Annie spojrzała w ziemię na szczelinę w asfalcie blisko jej stóp. Miała ochotę pobiec z powrotem do samochodu i powiedzieć, żeby Nate odjechał stąd jak najszybciej i najdalej jak to tylko możliwe, aby scena rozgrywająca się teraz przed nią nie była prawdziwa.

Pomyślała też, że może gdyby patrzyła w dół wystarczająco długo, to mogłaby przekonać samą siebie, że jest nie na parkingu u Josha, tylko na meczu futbolu. Chciała zobaczyć samą siebie, jak wysiada z samochodu i idzie w stronę trybun, trzymając koc w jednej ręce i torbę z butelkami wody w drugiej. To, co działo się tutaj, nie mogło być prawdą. Była przecież na meczu futbolu, Ben rozgrzewał się na boisku, a Lindsay, Josh i Nate zajęli dla niej miejsce na trybunach. I myślała jeszcze, że jakby wczoraj Josh był jednym z tych chłopaków w stroju zawodnika futbolu, który machał do nich z boiska, a ona i Nate rozmawiali o tym, że przy jego wzroście i z jego siłą może będzie grał w futbol w szkole średniej, a może też na studiach. Zamrugła i zobaczyła całe życie Josha, każdy pierwszy dzień szkoły, każde długie, niekończące się lato i każdy zabiegany ranek, gdy próbował zdążyć na autobus.

Nate oparł głowę o jej głowę i wydał z siebie jakiś cichy, jakby płynący z jego złamanego serca jęk. - Nie Josh - mamrotał, ściskając ją jeszcze mocniej i jakby rozpaczliwiej.

Annie miała spuszczonego wzrok, utkwiony przez cały czas w tej szczelinie w asfalcie, aż w pewnej chwili poczuła na szyi coś mokrego. *Nie patrz w górę* - mówiła do samej siebie. Przecież w końcu nosze będą musiały pojawić się na zewnątrz. *Nie patrz w górę*. Lecz chciała zobaczyć, czy te łzy na jej szyi to jej łzy, więc podniosła wzrok na tyle, aby spojrzeć w oczy Nate'a. Miał zboląłą twarz, pełną smutku i niedowierzania, a po jego policzkach spływały łzy. - On odszedł, Annie... - płakał - nasz chłopiec odszedł.

Annie pokręciła przecząco głową. On nie odszedł. On miał dwadzieścia osiem lat. Miał przed sobą całe życie. Zauważyła grupę ludzi. Jakiś przystojny mężczyzna o ciemnych oczach stał obok dwójki młodych ludzi z zespołem Downa. Dwie nastolatki tuliły się z obu stron do jakiejś kobiety. Kilka metrów dalej stała samotnie jakaś staruszka ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i patrzyła w stronę drzwi do mieszkania Josha.

Annie zastanawiała się, czy oni byli przyjaciółmi jej syna i nagle uderzyła ją pewna myśl. Uświadomiła sobie, że nie знаła nikogo z sąsiadów Josha. I dlatego teraz nie wiedziała, czy Josh znał tych ludzi. Lecz skoro byli tutaj i patrzyli na to wszystko w skupieniu, pomyślała, żeby się przedstawić i podziękować im za przyjście, tak jakby to było jedno z przyjęć Nate'a.

Lecz to nie było przyjęcie... nie było...

Zacisnęła powieki i przycisnęła policzek do twarzy Nate'a. Głos policjanta mówił coś o zrobieniu przejścia dla noszy i Annie myślała już tylko o tym, że komuś coś się stało. Josh. Tak, to chodziło o niego. Joshowi coś się stało i teraz był wynoszony z mieszkania na noszach, a ludzie musieli zrobić przejście, bo trzeba było zabrać go do lekarza.

Lecz choć ze wszystkich sił starała się przekonać samą siebie, że jej syn potrzebuje tylko pomocy lekarskiej, jednocześnie z każdej strony docierały do niej niezaprzeczalne sygnały mówiące o tym, jaka jest prawda. Od drzwi wejściowych doleciał ją odgłos toczących się po betonie kółek i zrobiła to, czego nigdy nie powinna była zrobić. Otworzyła oczy i spojrzała prosto w stronę, z której dobiegał ten odgłos, i wtedy zobaczyła, co się dzieje.

Błysnęło jej w głowie pewne wspomnienie. Przypomniała sobie, jak pewnego ranka, może przed dziesięcioma laty, przeglądali z Nate'em gazetę i potem Nate przeczytał jej artykuł o jakiejś rodzinie, która wybrała się w góry. Jeden z członków tej rodziny - nastoletni chłopiec - zsunął się ze ścieżki, spadł w dół i się zabił. Wezwano ratowników medycznych, lecz nie mogli już nic zrobić, by pomóc chłopcu, a jego rodzice i siostra byli zmuszeni patrzeć, jak jego ciało wyciągano spomiędzy skał i zabierano z miejsca wypadku.

- Jakie to straszne - Annie powiedziała wówczas do Nate'a. - Żadna matka nie powinna musieć patrzeć na to, jak martwe ciało jej syna jest wynoszone i zabierane. Nie wiem, czy ja bym zniosła coś takiego.

A teraz to ona była tą matką.

Zobaczyła jadące po betonie nosze prowadzone przez dwóch mężczyzn. Ciało było przykryte białym prześcieradłem, lecz Annie nie miała wątpliwości, że postać leżąca na noszach to był Josh. Po pierwsze, stopy tej osoby zwisały z noszy w taki sposób, w jaki czasami wisały stopy Josha, gdy przychodził do niej z wizytą i wyciągał się w salonie na kanapie.

I po drugie, to prześcieradło było częścią kompletu, który Annie i Nate podarowali Joshowi w ostatnie Boże Narodzenie. Było to to samo białe prześcieradło z cieniutkim brązowym paseczkiem wzdłuż krótszych brzegów płótna.

- Josh! - jęknęła ledwie słyszalnym głosem. - Boże, pomóż mu... Proszę, pomóż mu - mówiła, ściskając mocniej rękę Nate'a. - On nie może oddychać - dodała. Poruszyła się, aby zrobić krok w stronę noszy, lecz Nate ją przytrzymał.

- Annie, nie... Musimy zadzwonić do Lindsay.

Nie? Chciała krzyknąć na nich, aby się zatrzymali, bo Josh z twarzą zakrytą prześcieradłem nie może otrzymać niezbędnej pomocy medycznej. Lecz potem ktoś zaczął głośno płakać i Annie obejrzała się za siebie przez ramię. Była to młoda kobieta z zespołem Downa. Zakrywała sobie oczy i szlochała, a jej przyjaciel obejmował ją i mówił: - Josh jest teraz w niebie, Daisy. Niebo to dobre miejsce, pamiętasz?

Rzeczywistość uderzyła w nią z pełną siłą.

Telefon... funkcjonariusz policji... furgonetka coronera... milczący i smutni sąsiedzi. To wszystko przekonywało ją o tym, że nie mogła dłużej zaprzeczać rzeczywisto-

ści. To nie było przyjęcie z kolacją dla sąsiadów Josha ani też jej syn nie był chory czy śpiący, nie miał problemów z oddychaniem pod prześcieradłem, które dostał na Boże Narodzenie.

On był martwy. Jej dziecko było martwe, a ona nie otrzymała szansy, żeby się z nim pożegnać. Przypomniała sobie coś, co powiedział jej Josh po wypadku. Wyznał jej wówczas, że bardzo się cieszył, że nie umarł tamtego wieczoru, bo nie było przy nim rodziny.

- Cokolwiek miałoby się mi przydarzyć, nie chcę umierać w samotności - powiedział jej. - Nie ma nic gorszego niż to.

I teraz to właśnie się stało. Jej jedyny syn umarł, nie mając obok siebie nikogo z rodziny. - Josh... nie! Nie Josh, Boże... proszę... - Annie znów zaczęła płakać, a jej płacz zamienił się w zawodzenie. Jej Josh odszedł i ona teraz już nigdy nie będzie w stanie zrobić choćby jednego oddechu, nie czując zarazem jego straty, nie doświadczając w swoim wnętrzu nieustannego cierpienia. Paralizująca lawina bólu zgasiła jakikolwiek przebłysk światła i pod jej ciężarem Annie zamknęła oczy i poczuła, że upada.

Nate złapał ją. To musiał być Nate. Lecz nie potrafiła powstrzymać zawrotów głowy ani bólu, jaki poczucie straty wywołało w jej rękach, nogach, a nawet w dłoniach. Josh opuszczał ich, a ona nie była w stanie zmusić się do tego, aby wstać, podejść do niego i powiedzieć mu „do widzenia”. Jakieś czarne miejsca zaczęły mieszać się w jej głowie z niewyraźnymi, zamazanymi obrazami, a dźwięki wokół niej słabły. *Josh... nie Josh, Boże.*

Traciła przytomność i nie była w stanie powstrzymać tego procesu, bez względu na to, jak bardzo chciała to zrobić, jak bardzo pragnęła ruszyć z miejsca, w którym stała, i podejść do Josha. Lecz już nie było go tutaj, bo przecież był w niebie. Nie mogła normalnie oddychać ani otworzyć oczu. Patrzyła, jak dwóch mężczyzn wiozło zwłoki jej syna z jego mieszkania do furgonetki koronera. Nate trzymał ją, lecz osuwała się coraz bardziej, tracąc panowanie nad swym ciałem. Ostatnią myślą, jaka przyszła jej do głowy, była ta przerażająca prawda, że Josh jest martwy, i pewność, że ona będzie następna. Miała rację tamtego dnia, kiedy Nate czytał jej artykuł o rodzinie w górach. Czuła ból, jakiego nie była w stanie znieść.

Nawet jeśli sam Bóg miałby ją podtrzymać.

Thomas Flynn odłożył słuchawkę, odsunął krzesło od mahoniowego biurka i podszedł wolnym krokiem do ogromnego okna w swojej kancelarii położonej na dwudziestym drugim piętrze biurowca Markham Professional Building. Spojrzał przez okno na śródmieście Denver i pozwolił ogarnąć się bezsensowi całej tej sytuacji. Josh Warren nie żył.

Ta wiadomość czekała na niego, kiedy przyszedł do pracy dzisiejszego ranka. Był to nagły telefon od matki Josha, Annie Warren. W jakiś niezrozumiały sposób jeszcze przed otrzymaniem tej informacji Thomas wiedział, że działo się coś złego. Josh nie był sobą podczas zeznań. Jego skóra zbladła i stała się ziemistoszara o dziwnie niezdrowym wyglądzie, a on sam trząsnął się z bólu. Wówczas, w trakcie zeznań, Thomas pomyślał, że wygląd jego klienta tak naprawdę mógł mieć dobry wpływ na wynik sprawy sądowej. Każda osoba obecna na sali rozpraw mogła osobiście się przekonać, jak bardzo Josh ucierpiał na skutek wypadku, bo obrażenia, jakie odniósł, nosił niczym drugą, ciasno opiętą wokół ciała skórę, bez możliwości zdjęcia jej choćby na sekundę.

Powiedział wówczas Joshowi prawdę - byli bardzo blisko ugody. Od zakończenia sprawy dzielił ich miesiąc, może dwa. Co najwyżej proces mógł potrwać trzy miesiące. Sędzia był zmęczony adwokatami obrony, trzema zbyt wysoko opłacanymi cwaniakami, którzy wystawianie rachunków towarzystwu ubezpieczeniowemu traktowali tak naprawdę jak sport.

Padły prośby o zwłokę ze względu na kolidujące ze sobą harmonogramy i jakieś spotkania służbowe, a także z powodu niemożności zebrania przez adwokatów towarzystwa ubezpieczeniowego odpowiednich dowodów. Dodatkowe prośby o zwłokę były wysuwane w związku z pojawieniem się choćby najdrobniejszego nowego szczegółu w sprawie, który zwykle padał z ust Josha podczas zeznań. Na przykład były to takie informacje, jak prośba jego lekarza, aby przed operacją pleców stracił na wadze. Taki jeden szczegół miał rzekomo tak duże znaczenie, że po jego ujawnieniu obrona potrzebowała aż czterech tygodni, aby przygotować się do kolejnej rozprawy.

Sędzia doskonale rozumiał, jak prowadzona była ta gra. Chodziło im o odrzucenie wniosku, bo wówczas sprawa nie mogłaby już podlegać apelacji. Był więc cierpliwy, choć z drugiej strony przymykał oko na tę grę na zwłokę tak bardzo, jak to tylko było możliwe. Jeśli obrona prosiła o sześć tygodni na sprawdzenie i przygotowanie się do odpowiedzi wobec pojawienia się jakiejś nowej okoliczności, sędzia zwykle przyznawał jej trzy.

Lecz cała ta gra zbliżała się do zakończenia - czuły to obie strony. Thomas przeszedł wystarczająco dużo, aby

doskonale widzieć sygnały tego. Obrona została już zmuszona do przyznania, że odpowiedzialność leżała po stronie jej klienta, w tym przypadku towarzystwa ubezpieczeniowego. Przyznanie się do tego oznaczało, że to sędzia stawał się zobowiązany do określenia kwoty odszkodowania, która miała się pojawić w ugodzie, co było znacznie korzystniejsze dla obrony. Żaden bogaty klient nie chciał rozprawy przed sądem przysięgłych, nie w sytuacji, gdy ubezpieczonym był pijany kierowca, który potracił faceta postępującego jak bohater.

Decyzja, aby sprawa nie toczyła się przy udziale ławy przysięgłych, teoretycznie miała na celu uproszczenie całego postępowania. Dzięki temu, choć proces trwał już bardzo długo, obrona mogła uniknąć kompromitacji i niepotrzebnego złośczenia sędziego. Było oczywiste, że obrona nie chce złościć sędziego, nie teraz, gdy nadchodził czas określenia kwoty odszkodowania.

Mimo to tego poniedziałkowego poranka Thomas spodziewał się znaleźć na swoim biurku kopię kolejnego wniosku o odroczenie terminu kolejnej rozprawy. W końcu podczas piątkowych zeznań Josh ujawnił coś bardzo ważnego.

Josh miał spadkobierczynię, którą była jego córka.

Thomas podniósł prawą rękę ponad głowę i oparł się o zimną szybę. Annie Warren nie miała pojęcia, jak umarł jej syn. Wiedziała tylko tyle, że położył się spać w piątek wieczorem i już nigdy się nie obudził. Niektórzy jego koledzy byli w stanie wysłuchać tego typu informacji o którymś ze swoich klientów i śmiać się przy kawie i pączkach zaledwie dziesięć minut później.

Nie Thomas.

Josh był dla niego ważny, podobnie jak każdy klient, którego kiedykolwiek reprezentował. Prowadził sprawy, w których chodziło o obrażenia ciała, bo chciał łamać stereotypy. Nie wszyscy adwokaci, którzy występowali o odszkodowanie powypadkowe, zajmowali się wyszukiwaniem klientów wśród pacjentów pogotowia ratunkowego, zierując na tego typu przypadkach, traktując je jak łatwy łup i możliwość łatwego zarobienia pieniędzy. Niektórzy, tacy jak on, przyjmowali klientów, którzy naprawdę doznali jakiegoś poważnego urazu na skutek nieodpowiedzialnych działań innych osób. Thomas lubił myśleć o sobie jak o kimś w rodzaju współczesnego Robin Hooda, zabierającego pieniądze bogatym i winnym i dającego je potem biednym i pokrzywdzonym.

A teraz, gdy się dowiedział, że nie będzie mógł zrobić tego dla Josha, poprosił swoją sekretarkę, aby nie łączyła żadnych rozmów telefonicznych. Potrzebował czasu, żeby wszystko przemyśleć, żeby się zastanowić, co ma dalej zrobić w sprawie Josha. Thomas zmrużył oczy pod wpływem mocnego światła słonecznego oślepiającego go tego późnego wrześnieowego poranka. Gdyby wcześniej wiedział, że coś złego działo się z Joshem, pojechałby z nim do jego domu albo zabrał go do szpitala.

Co mu się stało, Boże? - zastanawiał się w duchu. Przecież Josh schudł ostatnio, psychicznie też wydawał się bardziej odporny i jakby wewnętrznie lepiej usposobiony do radzenia sobie z zeznaniami niż podczas poprzednich przyjazdów do Denver. A zatem jak mógł umrzeć podczas snu? Thomas odwrócił się i oparł się o parapet. Gdy to

zrobił, jego wzrok padł na małą tabliczkę, która stała na jego biurku. Dała mu ją żona i był na niej wypisany jeden jego ulubionych wersetów z Biblii.

Wiemy też, że Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra, z tymi, którzy są powołani według [Jego] zamiaru.

List do Rzymian 8, 28.

Przeczytał te słowa trzy razy, lecz wciąż miał wątpliwości. We wszystkim? Przez całe życie kochał Boga i Josh od jakiegoś miesiąca też był człowiekiem silnej wiary. Lecz jak jego śmierć może wyjść komukolwiek na dobre, a już szczególnie rodzicom Josha? Thomas westchnął i poczuł, jak pod ciężarem tej sprawy opadły mu ramiona.

Powrócił do biurka i spojrzał na rozłożone przed sobą dokumenty - zeznania Josha z piątkowego przesłuchania. Ta strona, która nie dawała mu spokoju, znajdowała się gdzieś na końcu - było to bowiem to miejsce, gdzie Josh został zapytany o to, czy ma spadkobiercę. Oczywiście to pytanie nie stanowiło dla Thomasa zaskoczenia. Już wcześniej przygotował swojego klienta do tego, że ten temat zostanie poruszony w taki sposób, w jaki zawsze to robiono w sprawach o odszkodowanie.

- Nie znasz tej dziewczynki i nie możesz być pewien, że ona jest twoją córką - mówił Thomas do Josha za każdym razem, gdy poruszali ten temat. - Jeśli zapytają cię o spadkobiercę, radzę ci powiedzieć im prawdę - że o ile wiesz, to nie masz spadkobiercy.

- Ale to nie jest prawda — protestował zawsze Josh, ponieważ ta rada autentycznie wprawiała go w konsternację. - Mam córkę i najprawdopodobniej ona mieszka gdzieś w Nowym Jorku.

- To, że śpisz z kobietą, a potem ona rodzi dziecko, wcale nie oznacza, że to dziecko jest twoje - tłumaczył mu Thomas, starając się mówić delikatnie, lecz zarazem rzeczowo. - Ta kobieta nie była godna zaufania. Miała męża i jednocześnie szukała romansu. A teraz, ponieważ pojawiło się dziecko, w tę sprawę zaangażowały się twoje emocje. Odstaw na bok swoje uczucia, spójrz na tę sytuację na chłodno i zobacz, jaka ona jest faktycznie.

To, co najbardziej niepokoiło Thomasa w przypadku ewentualnego spadkobiercy, o czym zresztą mówił wcześniej Joshowi, wiązało się z jego rodzicami. Josh był im winien ponad dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, a od wypadku oni wzięli za niego odpowiedzialność. Czasami wozili go na różne spotkania czy wizyty lekarskie, kiedy jego ból tak się nasilał, że prawie uniemożliwiał mu poruszanie się. Oni też kontaktowali się z Thomasem po przesłuchaniach czy decyzjach sędziego dotyczących różnych wniosków wysuwanych przez obronę i z tego co Thomas wiedział, wynikało, że byli dla Josha jedynym wsparciem emocjonalnym.

Jeśli na skutek jakichś strasznych okoliczności Josh miałby umrzeć przed zakończeniem procesu i przyznaniem mu odszkodowania, to pieniądze należałyby się jego rodzicom. Thomas wytłumaczył mu to jasno, lecz on wciąż pozostawał nieprzejejdany. - Jeśli któryś z ich adwokatów

spyta mnie, gdy będę odpowiadał z pozycji świadka, czy mam córkę - ciągnął stanowczym tonem - powiem im to, co powiedziała mi Maria Cameron. Savannah jest moja. Wierzę w to i dlatego jest to jedyna prawda, o której mogę zaświadczyć.

Thomas przeczytał ponownie tę część zeznań Josha i zaczął odczuwać ból głowy w okolicach skroni. Nie miał wyboru. Musiał odnaleźć tę kobietę, powiadomić ją o śmierci Josha i zbliżającym się terminie zawarcia ugody i przyznania odszkodowania. Jeśli poszukiwania by się powiodły i jeśli naprawdę Josh byłby ojcem Savannah, to jego rodzice mogliby liczyć tylko na to, co winien był im Josh. Pozostała część odszkodowania, które mogłoby wynosić nawet dwa miliony dolarów, przypadłaby Savannah, jednak za pośrednictwem jej matki, która sprawowała nad nią opiekę.

Thomas wyobraził sobie swojego klienta, przypomniał sobie szczerść jego oczu. Dobry, lojalny Josh. Dla niego działanie na korzyść Savannah nigdy nie oznaczałoby utraty pieniędzy z odszkodowania na rzecz jej matki. Jego oświadczenie podczas zeznań było raczej publicznym wyznaniem miłości do tego dziecka, co ściśle wiązało się z jego determinacją, by pewnego dnia odnaleźć dziewczynkę i przejąć nad nią przynajmniej częściową opiekę. Josh uważał, że jest ojcem Savannah, i kropka. Zrobiłby dla niej wszystko.

Ale co z Annie i Nate'em Warrenami?

Taki scenariusz podniósł temperaturę w pokoju i spowodował, że Thomas poczuł potrzebę poznania prawdy.

Spojrzał na zeznania i powoli pokręcił głową. Szanse, że Josh był ojcem dziewczynki, musiały być znikome. Taka kobieta jak Maria Cameron mogła spać w tamtym tygodniu z dziesięcioma facetami, a do tego jeszcze ze swoim mężem. Chciała pieniędzy, to wszystko. Dlatego zatelefonowała do Josha, kiedy dziewczynka miała kilka miesięcy, domagając się pieniędzy na jej wychowanie. Lecz zdaniem Thomasa poddała się zbyt łatwo. Gdyby Josh naprawdę był ojcem dziewczynki, Maria kontaktowałaby się z nim przynajmniej raz na rok, sprawdzając, czy jego sytuacja finansowa się nie poprawiła.

Thomas przekreślił krzesło i zwrócił się twarzą w stronę komputera. Rodzice Josha jeszcze nie wiedzieli o tym momencie zwrotnym w sprawie, lecz w końcu Thomas będzie musiał ich o wszystkim powiadomić. Zwłaszcza w sytuacji, gdyby przypuszczenia Josha okazały się prawdą. Thomas przypomniał sobie coś, co powiedział mu Josh o swoich rodzicach i ich opinii na temat Marii Cameron. - Oni nie wierzą, że jestem ojcem Savannah - wyznał, a w każdym jego słowie słychać było rozczarowanie. - Chcieliby zapomnieć, że w ogóle pojechałem do Las Vegas.

Thomas czuł podobnie. Zalogował się w serwisie, z którego korzystała jego kancelaria prawnicza, udostępniającym informacje mogące pozwolić na zlokalizowanie jakiejś osoby. W okienku wyszukiwarki wpisał „Maria Cameron”, a w miejscu, gdzie należało podać miasto, wstukał „Nowy Jork”. Prawie natychmiast w wyniku wyszukiwania pojawiły się na ekranie dane dotyczące sześciu kobiet o tym imieniu i nazwisku. Lecz ta, która go interesowała,

była kilka lat starsza od Josha i do tego była notowana przez policję.

Dwukrotnie kliknął odpowiednią pozycję i pojawiała się informacja o tej osobie. Thomas powoli przewinął stronę w dół. Zdjęcie zostało zrobione podczas spisywania za uprawianie prostytutki i ukazywało kobietę, która mogła być atrakcyjna „na jeden raz”. Miała proste, jasnorude włosy, wyraziste kości policzkowe i zapadnięte oczy.

Z danych wynikało, że w ciągu ostatnich kilku lat była aresztowana sześć razy, pod różnymi zarzutami, związanymi między innymi z posiadaniem narkotyków, wypisywaniem czeków bez pokrycia i uprawianiem seksu za pieniądze. Zatrzymał się na najświeższym raporcie sprzed ponad roku. Na dole wypisane były szczegóły dotyczące aresztowania tej kobiety.

Podejrzaną jest biała kobieta, wiek 38. Została zatrzymana pod zarzutem oferowania seksu za pieniądze, a w czasie aresztowania okazało się, że miała ze sobą niepełnoletnie dziecko, sześciolletnią córkę. Podejrzana została doprowadzona na komisariat, spisana i pobrano od niej odciski palców. Została zatrzymana na noc w oczekiwaniu na formalne zarzuty. Nieletnia dziewczynka została przekazana współlokatorowi podejrzanej, który nazywa się Freddy B. Johnson.

Poniżej został wymieniony w dokumencie adres Johnsona i numer telefonu - jedyny numer telefonu, jaki podała podejrzana, co zaznaczył w kolejnym paragrafie pro-

wadzący aresztowanie funkcjonariusz. Thomas zanotował numer i szybko rzucił okiem na dane dotyczące kolejnych pięciu kobiet nazywających się Maria Cameron. Wszystkie były zamężne, lecz żadna z nich nie była notowana przez policję. Thomas miał silne przeczucie, że za pierwszym razem znalazł właściwą Marię Cameron.

Całym sobą Thomas pragnął porwać na strzępy ten kawałek papieru z numerem telefonu Freddyego Johnsona, aby móc utrzymywać, że usiłował odnaleźć tak zwaną spadkobierczynię Josha Warrena, jednak mu się to nie udało. Lecz przez całe życie był posłuszny Bogu, a w szczególności posłuszeństwo to dotyczyło jego praktyki prawniczej. Josh twierdził, że ma spadkobierczynię, więc obowiązkiem Thomasa i jego podwładnych było sprawdzenie w ten czy inny sposób, czy faktycznie ta spadkobierczyni istnieje. Nawet jeśli uzyskane w wyniku poszukiwań informacje byłyby druzgocące dla rodziców Josha.

Podniósł słuchawkę, wybrał numer i wsparł się na łokciach. Po czterech sygnałach włączyła się poczta głosowa. - Po sygnale zostaw wiadomość - powiedział szorstki głos. Wspomniany sygnał zadźwięczał bardzo szybko i Thomas zawahał się. - Hm... Tu mówi Thomas Flynn, adwokat Josha Warrena - zaczął niepewnie. - Szukam Marii Cameron i chciałbym, żeby do mnie oddzwoniła. Jej córka może być jedynym spadkobiercą i beneficjentem ugody sądowej, jaka zostanie zawarta w toczącym się procesie sądowym - wyjaśnił. Wyrecytował nazwę swojej kancelarii, dwa razy podał numer telefonu komórkowego, a potem się rozłączył. Zrobił to, co miał zrobić.

Teraz mógł się tylko modlić, aby to, co dalej się wydarzy, było zgodne ze słowami Pisma Świętego wypisanymi na tabliczce stojącej na jego biurku - aby naprawdę Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziałał we wszystkim dla ich dobra.

A szczególnie z pogrążonymi w rozpacz rodzicami Josha Warrena.

To był idealny dzień na ślub - przepiękna jesienna sobota, skąpana w zimnych, niebieskawych promieniach słońca i jakby oprawiona w ramy zielonych liści z odrobiną pomarańcza i żółci. Właśnie o tym myślała Annie, gdy w pośpiechu nałożyła na siebie suknię i drugą warstwę tuszu do rzęs. Takie myśli pomagały jej pozostać przy zdrowych zmysłach, umożliwiając przetrwanie dnia bez całkowitego załamania się.

Poprawiła kilka luźnych kosmyków włosów i przez łazienkowe okno spojrzała w górę na błękitne niebo. W przeszłości, gdy Josh i Becky myśleli poważnie o sobie, rozmawiali czasami o tym, że chcieliby mieć ślub wczesną jesienią. Annie słyszała teraz swojego syna, ten charakterystyczny tembr jego głosu, i widziała blask w jego oczach, gdy Becky była blisko niego.

- Październik - mówili do siebie. - To idealny czas na ślub.

Annie nie mogła się nie zgodzić. O tej porze roku nie było już tego suchego, upalnego powietrza tak jak latem, a do pierwszych opadów śniegu wciąż pozostawał jeszcze przynajmniej miesiąc. Decydując się w tym czasie

na pobyt w miejscowości wypoczynkowej lub na podróż morską, można było liczyć na wiele wspaniałych doznań, plaże były ciepłe i puste, dzieci zdążyły już ponownie rozpocząć naukę w szkole. Annie spryskała swoją długą, równo obciętą grzywkę lakierem do włosów. Becky Wheaton przyjechała wczoraj, wciąż samotna i taka śliczna, i zajęła pokój gościnny na parterze. Z Maine, San Diego i Atlanty przyleciała już rodzina i za godzinę wszyscy mieli spotkać się w kościele. Tylko że nie był to ślub, na który kiedyś Josh czekał z takim utęsknieniem. To był jego pogrzeb.

Annie przetrwała ostatni tydzień jedynie dzięki sile pochodzącej od samego Boga, nie miała co do tego wątpliwości. Starła się być stale bardzo zajęta. Josh był jej dzieckiem, jej jedynym synem. Nie zamierzała pożegnać go bez zrobienia filmu o jego życiu i bez napisania programu uroczystości żałobnej, który ludzie mogliby zabrać ze sobą, aby dzięki niemu pamiętać o Joshu. Najpierw zajęła się programem, który ostatecznie udało się jej wydrukować już we wtorek. Zrobienie filmu zajęło jej więcej czasu.

Annie posłużyła się specjalnym programem komputerowym, wykorzystując do tej pracy krótkie filmiki z życia Josha i jego zdjęcia, wprowadzając gdzieś tytuły i króciutkie fragmenty tekstu, aż uzyskała prawie godzinny materiał filmowy. Potem podłożyła pod ten film muzykę - głównie utwory mówiące o zbyt szybko kończącym się życiu i o smutku pożegnania.

Poprzedniego dnia późnym wieczorem Annie i Nate oglądali ten film, niemal przez cały czas płacząc. Annie

przyszła na myśl Babette i inni, którzy mieli czelność pogardzać Joshem. Jakakolwiek byłaby jego sytuacja w chwili śmierci, film zawierał wystarczającą liczbę ważnych wydarzeń, aby ukazać życie Josha jako wspaniałe i przejmujące, przypominając na przykład o jego niebieskim medalu, który zdobył w biegach piątych klas na pełnowymiarowej bieżni, czy o trofeum, które otrzymał za wykonany przez siebie samochód, gdy jako skaut wziął udział w zawodach „Pinewood Derby”. Był też fragment ukazujący go w czasie, gdy poprowadził konkurs młodych talentów podczas zabawy zorganizowanej z okazji ukończenia ósmej klasy.

Połączone ze sobą poszczególne wspomnienia opowiadały historię, którą inni ludzie mogli zdążyć zapomnieć: że były takie chwile, kiedy Josh odnosił sukcesy. Mniejsza o to, że z czasu, gdy zaczął pracę jako kierowca ciężarówki holowniczej, było zaledwie kilka zdjęć i ani sekundy materiału filmowego. I właśnie tak Annie chciała go zapamiętać, mając jednocześnie nadzieję, że w taki sam sposób zapamiętają go ludzie obecni dzisiaj na pogrzebie. Takiego, jakim był, zanim stracił z oczu swoje marzenia.

Nate znalazł ją w łazience, ciągle jeszcze poprawiającą sobie włosy. - Gotowa? - spytał delikatnie.

Po raz ostatni spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Czyż nie czuła się podobnie, gdy Lindsay wychodziła za mąż? Wszyscy przybyli do miasta na tę uroczystość, a ona w podobnym pośpiechu przygotowywała się do spotkania w kościele. Przełknęła ślinę, aby powstrzymać łzy. - Nie chcę tego robić - oznajmiła.

- Ja też nie - przyznał, obejmując ją. - Nie mogę uwierzyć, że on odszedł.

Przez cały tydzień mówili tego typu rzeczy, nawet wówczas, gdy spotkali się z przedsiębiorcą pogrzebowym, kupili trumnę i postanowili pochować Josha na cmentarzu położonym u podnóża swojej ulubionej góry. Jak to możliwe, że on odszedł? W jak tragiczny łańcuch wydarzeń się wplątali i dlaczego wciąż im się zdawało, że mogą podnieść słuchawkę telefonu i zadzwonić do niego albo usłyszeć pukanie do drzwi i zobaczyć, jak tam stoi i czeka na spotkanie z rodziną?

Przejście do samochodu, jazda do kościoła - to wszystko minęło jakby w mgnieniu. Uroczystości pogrzebowe miały rozpocząć się o jedenastej, kilka minut wcześniej Annie rozejrzała się wokół i poczuła, jak ogarnia ją rozczarowanie. Kościół był zaledwie w jednej czwartej wypełniony ludźmi, obecnych było czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt osób. Była to głównie rodzina i kilku przyjaciół Josha - Becky, Keith i jego żona, i garstka ludzi, których Annie z trudem rozpoznawała, przypominając ich sobie z tych okropnych chwil, które spędziła przed tygodniem na parkingu przed blokiem Josha. No i jeszcze dwie osoby wpisywały się do księgi gości znajdującej się z tyłu kościoła.

Keith miał nieść trumnę, podobnie jak dwóch kuzynów Nate'a i Annie, ciotecznych braci Josha z Maine. Znów można było doszukać się w tym wszystkim przedziwnego podobieństwa: kwiaty ozdabiające prezbiterium, świece, księga gości, ciemne garnitury niosących trumnę mężczyzn i butonierki w klapach ich marynarek.

To była taka uroczystość, jakiej zawsze pragnął dla siebie Josh; było wszystko z wyjątkiem młodej pary.

Annie znów obejrzała się przez ramię. Powinno być więcej ludzi, więcej osób, których życie zostało jakoś naznaczone przez jej jedyne go syna. Gdzie byli ludzie, których przyjmowali u siebie jako gości? Gdzie byli ci, których dzieci chodziły z Joshem do szkoły? Czyżby byli zbyt zajęci, by przybyć? Czyżby upływ czasu utworzył aż taką dużą przepaść pomiędzy ich życiem a życiem Josha?

Annie poczuła w oczach łzy i mocniej przytuliła się do Nate'a. ***Kochałam cię, synu - mówiła w duszy do samej siebie. - Twój ojciec i ja kochaliśmy cię. Lindsay też. Tylko to ma znaczenie. Boże, Ty też go kochałeś, prawda? Ty kochałeś Josha?*** - Annie stłumiła w sobie narastającą panikę, bo co w sytuacji, jeśli Josh nie kochał Pana? Kochał Go jako dziecko i jeszcze wówczas, gdy chodził do szkoły średniej. Lecz ostatnio? Annie nie była tego pewna.

Odsunęła od siebie wyobrażenie Josha w ostatnich latach, porzucającego Kościół i rozluźniającego swoje relacje z Bogiem. To nie był Josh, jakiego zapamiętała, i teraz pragnęła z całych sił uwierzyć, że nie był to także Josh, jakiego zapamiętał Bóg. ***Proszę, Boże... - modliła się. Zapamiętaj go takim, jakim był. Nikt nie wyrwie Twojego ludu z Twojej ręki, prawda? Niech to będzie prawdą także w przypadku Josha, proszę...***

Jej wzrok spoczął na ustawionej z przodu kościoła trumnie. Leżała na niej wiązanka czerwonych goździków, a obok, oparta na sztaludze, znajdowała się oprawiona w ramki fotografia przedstawiająca Josha w krótkich

spodniach i w białym podkoszulku; było to zdjęcie zrobione przez Lindsay, gdy oboje wchodzili na szczyt Pikes Peak rok przed wypadkiem.

Lindsay, która siedziała po drugiej stronie Annie, cicho szlochała. Głowę miała opartą na ramieniu męża, a obok niego, ze spuszczonej oczyma, siedzieli cichutko Ben i Bella. Kilka razy w ciągu ostatniego tygodnia Lindsay próbowała z nią rozmawiać. Mówiła coś o jakimś teledysku i o Wynonnie Judd, lecz dzwoniący co jakiś czas telefon, film, który przygotowywała, oraz ustalanie szczegółów związanych z przebiegiem uroczystości pogrzebowej - to wszystko pochłaniało jej uwagę do tego stopnia, że nigdy nie udało się im dokończyć rozmowy.

Annie postanowiła sobie, że później zapyta córkę, co chciała jej powiedzieć. Teraz mogła jedynie przyglądać się Lindsay. Przez całe życie brat był jej najlepszym przyjacielem. Bez niego nigdy nie będzie już taka sama.

Zaczęła grać muzyka. Dosadne dźwięki organów przeszywały duszę melodią hymnu „Wielka jest Twoja wierność” i Annie, która natychmiast przypomniała sobie tytuł tej pieśni, starała się uwierzyć tym słowom, z całych sił starała się im uwierzyć. Lecz nie potrafiła uciec od myślenia, że skoro Bóg jest wierny, jeśli On nigdy nie zawodzi człowieka - jak mówiły słowa tej pieśni - to dlaczego Josh leży teraz w drewnianej skrzyni, a nie siedzi w ławce obok swojej rodziny?

Zamknęła oczy i próbowała wyobrazić sobie, jak będzie dalej żyć, skoro każdego ranka przez resztę swoich dni będzie budziła się ze świadomością, że jej jedyny syn

jest martwy. **Boże...** - modliła się. **Nie dam rady. Nie mogę żyć bez niego. Proszę, zabierz mnie do domu, abym jeszcze raz mogła go przytulić.**

Nabożeństwo żałobne szybko się zakończyło. Młody pastor powiedział krótką naukę; był on ostatnią osobą z Kościoła, z którą Josh utrzymywał jakikolwiek kontakt, i to jeszcze w tamtym czasie, gdy wydawało się, że może ukończy studia, zostanie nauczycielem i podąży śladami rodziców.

- Nigdy nie jest to łatwe, gdy ktoś odchodzi od nas w kwiecie wieku - mówił pastor. - W takich chwilach jak ta musimy oprzeć się na Bogu bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Annie przytuliła się mocniej do Nate'a. Nie mogła sobie przypomnieć, jak ma na imię pastor. Aaron, a może Andy... Otworzyła program, przejrzała listę podanych na początku nazwisk i znalazła to, czego szukała - pastor nazywał się Allen Reynolds. Oczywiście. Pastor Allen spotkał się z Joshem kilka razy jesienią po ukończeniu przez Josha szkoły średniej, próbował przekonać go do zdobycia wyższego wykształcenia i zaprzyjaźnienia się z innymi studentami. Lecz pomimo podjęcia nauki w dwuletniej szkole wyższej Josh w bardzo niewielkim stopniu uległ sugestiom pastora.

- Boże drogi nie są naszymi drogami - powiedział pastor i zawahał się, gdy spojrzął na zgromadzonych ludzi. - Bo gdyby były, to jakiemu Bogu byśmy wówczas służyli?

Annie zamrugała i dwie łzy spływały jej po policzkach. **Dobre pytanie** - pomyślała. **Jaki Bóg zabrałby mojego jedy-**

nego syna, zanim jego życie zdążyło się na dobre rozpocząć? I dlaczego nic im nie wyszło z Becky? Ta dziewczyna była przecież zakochana w Joshu przez całą szkołę średnią i rozmawiali o tym, że pójdą razem na studia. A zatem dlaczego tego nie zrobili? Jak to się stało, że te plany się rozpadły, jak zresztą wszystko inne w życiu Josha?

Jeden z jej braci czytał fragment Pisma Świętego, wyjątek z Pierwszego Listu do Koryntian, lecz Annie tak naprawdę nie słuchała. Nie potrafiła oderwać oczu od trumny i nie mogła przestać myśleć o tym, że jej dziecko jest uwięzione wewnątrz tej skrzyni. Ten noworodek, którego dwadzieścia osiem lat wcześniej w szpitalu trzymała w ramionach, to dziecko, które mając trzy miesiące, uśmiechnęło się do niej i w jednej chwili zawładnęło całym jej sercem. Ten chłopiec, który niepewnym krokiem dreptał przez pokój w butach swojego taty i który w wieku czterech lat, złapał dla niej ropuchę i dał jej w prezencie urodzinowym.

To dziecko, które uwielbiała, które jej się śniło i dla którego planowała przyszłość, leżało teraz w trumnie i miało już jej nigdy nie opuścić. Jej ciało rwało się do tego, żeby powstać, przejść przez kościół i zbliżyć się do drewnianej skrzyni. Może nie byłyby w stanie jej otworzyć, lecz mogłaby przynajmniej położyć na niej swoją rękę, aby Josh wiedział, że jest blisko. Lecz gdy jej mięśnie już się napięły i gdy już prawie zaczęła wstawać, w ostatniej chwili powstrzymała się i pozostała na swoim miejscu. Pastor Allen wciąż jeszcze mówił. Ludzie nie wstają w trakcie nabożeństwa żałobnego, nawet gdy dziesięć metrów dalej ich jedyny syn jest uwięziony w trumnie.

Po przeczytaniu fragmentu Pisma Świętego zaśpiewano kolejną piosenkę. Na koniec pastor zachęcił zgromadzonych, by pojechali za karawanem na cmentarz, i w imieniu rodziny zaprosił wszystkich po skończonym pochówku do domu Warrenów. Gdy pastor opuszczał zgromadzonych, jego głos i inne głosy wokół brzmiały jakoś tak odległe i słabo, jakby ktoś ściszył dźwięk w wysłużonych głośnikach.

Jakoś oboje z Nate'em znaleźli drogę powrotną do samochodu, a Lindsay uścisnęła ją, zanim weszła do środka. - To jest niesprawiedliwe - płakała wciąż Lindsay, nie mniej rzewnie niż wcześniej. - Tak bardzo mi go brakuje.

Annie słyszała dolatującą z kościoła muzykę, kolejny raz zagrano hymn „Wielka jest Twoja wierność”. Zatrzymała się i starając się nie słyszeć słów pieśni, pocałowała córkę w policzek. - Mnie też bardzo go brakuje - odparła.

Nate przytulił Lindsay. Potem wsiedli do swoich samochodów i ustawili się w rzędzie za karawanem, jeden pojazd za drugim. Annie znów przyszła do głowy dziwna i smutna myśl. Odkąd w pierwszej klasie szkoły średniej Josh przestał trenować biegi, nie był już pierwszy w niczym, co robił. Zawsze ktoś był trochę szybszy, trochę silniejszy, trochę lepiej przygotowany do jakiegoś zadania, jakiejś próby czy jakiejś szansy. Lecz nie tutaj. Tutaj on ponownie znajdował się na pierwszym miejscu, bo to przecież karawan otwierał kondukt pogrzebowy, który jechał przez miasto w stronę cmentarza.

Gdy przybyli na miejsce, Nate powiedział kilka słów do rodziny i przyjaciół, którzy przyjechali tutaj za nimi.

- Opłakujemy stratę naszego najmłodszego dziecka, naszego syna, Josha. Lecz wiemy, że znów zobaczymy go w niebie - powiedział niepewnym głosem, który w pełni korespondował z wyrazem jego twarzy. - Dziękujemy wam za przybycie. Mamy nadzieję, że pojedziecie z nami do domu, gdy już tutaj skończymy.

Wywiązały się krótkie rozmowy, gdy ludzie ściszonymi głosami składali kondolencje, a potem wracali do swoich samochodów zaparkowanych wzdłuż drogi, która biegła przez środek cmentarza. Becky była jedną z tych, którzy odeszli jako ostatni. Podeszła do trumny i palcami dotknęła drewna. Stała tak dość długo, z zamkniętymi oczyma i mokrymi od łez policzkami.

Może gdybyś z nim została... - przemknęło Annie przez myśl. Lecz nie mogła przecież żywić urazy, nie wobec dziewczyny, która była miłością życia jej syna. Zamiast tego poczuła w sobie jakby ogromny ocean straty i smutku. Bo gdyby wciąż byli ze sobą, ten dzień mógłby wyglądać całkowicie inaczej.

Gdy Becky pojechała w końcu do ich domu, Annie poczuła jakąś dziwną ostateczność tej chwili, zostali bowiem sami - tylko ona, Nate, Lindsay i jej rodzina. Mogli wreszcie spędzić w skupieniu ten czas, mogli podejść do trumny Josha. Gdy przyszła kolej na nią, z trudem poruszała nogami, idąc powoli po świeżo skoszonej trawie, aż znalazła się obok niego. Tam przyszła jej do głowy nagła i głęboka myśl. Tak wiele razy Josh przynosił jej kwiaty. Jej syn często się do niej przytulał albo mówił jej jakieś komplementy, lecz gdy chciał okazać jej swą miłość, dawał jej

kwiaty. Przypomniało się jej, jak wiosną, gdy chodził do czwartej klasy, wbiegł do pokoju, trzymając w zaciśniętej dłoni garść mleczy. - Mamo - zawołał od progu. - Przyniosłem je dla ciebie.

Wciąż pamiętała, jak trzymała je, wahała i uśmiechając się do niego, myślała: *Mam nadzieję, że nikt mu nigdy nie powie, że to są chwasty.*

Były kwiaty co roku na jej urodziny i ostatnio na Dzień Matki - cudowny bukiet złożony z kwiatów rosnących na polu niedaleko jego mieszkania. Spojrzała na leżącą na trumnie wiązanek czerwonych goździków. Ostrożnie wyciągnęła z niej trzy kwiaty i zbliżyła je do nosa. Pachniały późnym latem i słodkim blaskiem słońca i Annie pomyślała o tym, gdzie będzie mogła je ususzyć i że zachowa je na zawsze.

Bo przecież były to ostatnie kwiaty, jakie dostała od swojego syna.

Tylko dwadzieścia osób pojawiło się w domu na późnym obiedzie, jaki Annie naprędce przygotowała. Rozmowa była naszpikowana zabawnymi historyjkami z dzieciństwa Josha i pełnymi zadumy uwagami przewidującymi, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nie doszło do wypadku. Becky pozostała do końca, nie odzywała się prawie wcale i siedziała raczej samotnie. Wychodząc, odciągnęła Annie na bok i uścisnęła ją naprawdę mocno. - Nigdy nie przestałam go kochać - wyszeptała ze wzruszeniem. Potem jeszcze raz szybko ją przytuliła i wyszła.

Annie wciąż nie wiedziała, co przed lary wydarzyło się pomiędzy Joshem i Becky i sprawiło, że ich drogi się rozeszły, lecz nie był to odpowiedni czas, aby o tym rozmawiać. Poza tym - teraz nie miało to już znaczenia. Ominęło Josha życie z Becky, ominęło go odszkodowanie, które tak bardzo mu się należało. Ominęło go bycie ojcem i życie, o jakim marzył. Całe jego życie jawiło się teraz jak jedna wielka niespełniona szansa.

Gdy wyszedł już ostatni gość i kiedy Nate położył się spać, Annie wyszła na werandę przed domem i spojrzała ponad wierzchołkami iglaków na odległe gwiazdy. Uroczystości pogrzebowe Josha były jak jego życie — skromne i niepozorne. Dlatego Babette nie wzięła w nich udziału. Ta uroczystość byłaby dla niej jeszcze jedną sposobnością do porównania Josha z jej synem, sposobnością do ukazania braków Josha.

Annie poczuła na twarzy lekki wiaterek i pomyślała o jeszcze jednym smutnym fakcie. Dziewczynka, o której opowiadał Josh, ta, którą uważał za własne dziecko, także była nieobecna na pogrzebie. Z całą pewnością ona nie była jego córką, co do tego Annie nie miała wątpliwości. Lecz mimo to czuła w swoim wnętrzu jakiś ból, bo ta dziewczynka, o której on nieustannie myślał, za którą się modlił

1 za którą tak tęsknił, nawet nie wiedziała, że on umarł. Lecz było coś jeszcze smutniejszego. Niezależnie od tego, czyim była dzieckiem, ominął ją nie tylko pogrzeb Josha.

Ominęło ją także jego życie.

Freddy zachował dla niej wiadomość i do niedzielnego poranka Maria wysłuchiwała jej czterokrotnie. Za każdym razem słowa prawnika tworzyły wewnątrz niej jakby głębsze pokłady nadziei i możliwości. Ugoda sądowa? I mówił to jakiś ważny prawnik? A więc może tamtego wieczoru w Las Vegas wybrała właściwego faceta? Josh nie był nic wart, gdy rozmawiali ze sobą ostatnim razem, lecz musiał odziedziczyć jakiś majątek, bo przecież teraz chodziło o jakąś ugodę sądową.

I jej Savannah była jedynym spadkobiercą tego faceta. Jakie miała szczęście.

Od tego wszystkiego aż zaczęło jej się kręcić w głowie. Ubrała Savannah w najlepsze dzinsy i podkoszulek, ten w kwiaty, i zabrała ją metrem do śródmieścia, do Central Parku. Lecz tym razem Maria nie miała zamiaru zebrać, dzisiaj bowiem nastąpiła tak długo oczekiwana odmiana na lepsze. Będą spacerować ścieżką przez park i rozmawiać o różnych sprawach jak matka z córką, tak jak powinny były robić zawsze. I Maria pozwoli sobie na marzenia o tym, na co będzie mogła wydawać te pieniądze.

Jak dziwnie to wszystko zbiegło się w czasie. W piątek wieczorem Maria wykonała anonimowy telefon do pogotowia opiekuńczego, by zapytać, czy można oddać tam dziecko, jeśli ktoś nie radzi sobie z jego wychowaniem. Nie przedstawiła się, lecz kobieta, z którą rozmawiała, powiedziała, że oczywiście jest to możliwe. Najpierw daliby przeciążonemu rodzicowi lekcję o wychowywaniu dzieci, a potem wymagali jeszcze, aby taki rodzic spotkał się kilka razy z psychologiem i takie tam bla-bla-bla. Lecz konkluzja rozmowy była taka, że pogotowie opiekuńcze przyjąłoby Savannah. Maria zaczęła już poważnie myśleć o tym, aby jeszcze w tym tygodniu zaprowadzić tam córkę i zostawić ją na dobre.

Freddy był już nią zmęczony, pokazały się też pewne nowe możliwości związane z jednym z sutenerów, działającym w dzielnicy finansowej, który miał klientów z górnej półki - chodziło o sypianie z facetami z naprawdę dużymi pieniędzmi. Już widziała się w luksusowym apartamencie na ostatnim piętrze jakiegoś wieżowca jako utrzymanka jakiegoś dyrektora banku albo milionera zajmującego się inwestowaniem swoich pieniędzy. Lecz nie było w tym wszystkim miejsca dla Savannah, to wydawało się jej aż nadto oczywiste.

W piątek późnym wieczorem nawet opowiedziała dziewczynce o swoich planach. - Chyba już niedługo będę dla ciebie mamą - zaczęła naprawdę łagodnym głosem, uśmiechając się do Savannah najładniej jak potrafiła. - Za bardzo zależy mi na tobie, żeby pozwolić na to, abyś dłużej żyła w ten sposób. A do tego pojawiają się pewne

duże możliwości dla twojej mamy - stwierdziła zagadkowo. Maria wypila do tego czasu prawie całą butelkę mocnego wina, które należało do Freddy'ego, więc prawdopodobnie powiedziała więcej, niż powinna. - Rozumiesz, prawda?

Savannah pokręciła przecząco głową. - Nie, mamó - odparła. - Nie chcę się z tobą rozstawać.

Lecz dziewczynka musiała wiedzieć, że jej życie ma się zmienić. - Nie martw się, Savannah - próbowała pocieszyć małą. - Jest ktoś, kto chce cię dużo bardziej niż ja. Ktoś, kto będzie dla ciebie lepszy.

- Mój tata, prawda?

Maria zaśmiała się. - Tak, dziecko, tak. Może to będzie twój tata - powiedziała. I choć nie było jej obojętne, kto zajmie się Savannah, to chciała się w końcu od niej uwolnić. Przynajmniej tak myślała w piątek i w sobotę. Lecz wszystko zmieniło się w jednej chwili, gdy Maria wysłuchała wiadomości od prawnika.

- Dzisiaj świętujemy - powiedziała do Savannah, gdy wyszły z metra. Wzięła córkę za rękę i uświadomiła sobie, jak przyjemnie jest trzymać ją w ten sposób. - Statek mamy w końcu przyплыł.

- Jaki statek? - spytała Savannah, zmieszana, jakby nie wiedziała, co spowodowało zmianę w postawie matki.

- Statek z bogactwem.

- Czy on jest w porcie?

- Nie - zaśmiała się Maria i po raz pierwszy poczuła się jak inne matki, te, które widziała w pobliżu zoo, placu zabaw i fontanny. Te, które zawsze spacerowały ze swoimi

córkami, rozmawiały z nimi i śmiały się razem. Uśmiechnęła się do Savannah. - Ten statek należał kiedyś do twojego taty, ale teraz... teraz należy do mnie. - Do ciebie?

Maria nagle przestraszyła się tego, co powiedziała. A co będzie, jeśli adwokat porozmawia z Savannah i usłyszy, że Maria uważa te pieniądze za swoje? Odchrząknęła i zwinęła krok. - Właściwie to ten statek należy do... do nas obu - poprawiła się i znów się uśmiechnęła. - Czy to nie jest wspaniałe?

Savannah wzruszyła ramionami, a w jej oczach pojawiła się radość, jakiej nie było tam od dawna. Marii chciało się śpiewać z radości. Wciąż miała jeszcze trochę pieniędzy od tego bogatego faceta z Central Parku, tego ze złotym łańcuszkiem. Przy budce z hot dogami wyciągnęła z kieszeni banknot dziesięciodolarowy, kupiła dla każdej nich po hot dogu i popcornie, a potem usiadły razem na najbliższej wolnej ławce.

Maria delektowała się każdym kęsem swojego obiadu, głęboko oddychając powietrzem zmiany. Nie mogła się już doczekać nowego rozdziału w swoim życiu, dobrego wywiązywania się z roli matki i wejścia w świat ludzi mających dużo pieniędzy. Lecz mogła się do tego przyzwyczaić - do bycia matką bez konieczności sypiania z różnymi mężczyznami za pieniądze, aby móc przetrwać. Jeśli kwota ugody sądowej okaże się wystarczająco duża, nie będzie musiała robić tego, co do tej pory, i wejdzie do świata bogactwa.

Miała stać się bogata.

W poniedziałek rano chodziła szybkim krokiem po pokoju, zerkając nerwowo na zegarek i odliczała godziny, aż w końcu na Zachodnim Wybrzeżu zrobiła się dziewiąta. Minutę po dziewiątej zatelefonowała do adwokata, Thomasa Flynna.

Po pierwszym sygnale odebrała jakaś kobieta: - Kancelaria Flynn i Wspólnicy, czym mogę służyć?

Maria poczuła, że zabrakło jej tchu. Wyprostowała się i oparła o ścianę w kuchni w mieszkaniu Freddy'ego. - Tu mówi Maria Cameron - zaczęła. - Oddzwaniem na telefon Thomasa Flynna. - Proszę chwileczkę poczekać.

Serce biło jej mocno i miała tylko nadzieję, że ten Flynn nie usłyszy tego w słuchawce. Savannah oglądała coś na MTV i Maria ściszyła telewizor, aby usłyszeć każdy, najmniejszy nawet detal rozmowy, z której miała się dowiedzieć, na co dokładnie może liczyć.

Usłyszała w słuchawce dźwięk łączenia rozmowy. - Thomas Flynn, słucham - powiedział po chwili jakiś mężczyzna.

- Halo - zaczęła niepewnie Maria, nie wiedząc, jak bardzo formalnie powinna prowadzić rozmowę. - Panie Flynn, nazywam się Maria Cameron. W piątek zostawił pan dla mnie wiadomość.

- Tak - nastąpiła chwilowa pauza i coś zmieniło się w głosie mężczyzny. - Dzwoniłem w sprawie mojego klienta, Josha Warrena. Czy mówi pani coś to nazwisko?

- Tak, oczywiście. My byliśmy... my byliśmy ze sobą bardzo blisko - powiedziała, w głębi serca gratulując sobie

doskonałego zagrania. Poza tym, podczas tych kilku dni w Vegas ona i Josh byli ze sobą naprawdę blisko. Pojechałyby z nim, gdyby jej nie oszukał w sprawie swojej sytuacji finansowej. - Czy... czy coś mu się stało? - spytała pełnym niepokojem głosem. Maria знаła odpowiedź na to pytanie, bo przecież inaczej nie byłoby potrzeby omawiania faktu, że Savannah jest jego jedyną spadkobierczynią.

- Tak - powiedział adwokat, wypuszczając powietrze, jakby ta wiadomość wciąż była dla niego trudna do przyjęcia. — Pan Warren zmarł tydzień temu.

Maria cichutko westchnęła. - To straszne - stwierdziła.

- Czy to był wypadek?

- Nie wiemy, co się stało. Umarł we śnie.

- Och, nie - wyrzuciła z siebie. Przypomniała sobie pełnego wigoru młodego mężczyznę, który dzielił z nią łóżko przed mniej więcej ośmioma laty. Jego śmierć naprawdę była stratą. Gdyby żył wystarczająco długo, by otrzymać należne mu pieniądze, stanowiłby naprawdę niezłą partię. - To okropne - dodała nieco łagodniej.

- Tak, no więc... - adwokat mówił tak, jakby był bardzo poruszony albo lekko podejrzliwy. - Powód, dla którego dzwonię, pani Cameron, jest związany z tym, że pan Warren był na końcu poważnego procesu sądowego, gdy niespodziewanie zmarł - oznajmił. Potem spytał, czy Maria ma siedmioletnią córkę o imieniu Savannah, a gdy Maria zapewniła go, że tak, mężczyzna mówił dalej:

- Jego mienie spadkowe zwiększy się o duże odszkodowanie, a powiedział sądowi, że pani córka jest jego spadkobierczynią.

- To prawda, przynajmniej o ile mi wiadomo - jej smutny ton skrywał narastającą w niej ekscytację. - Czy wolno mi spytać, o jak dużą kwotę chodzi?

- To nie zostało jeszcze określone - odparł szybko. Tym razem niechęć Flynnna do niej nie budziła wątpliwości. - Problem w tym, że zanim uznamy pani córkę za prawowitą spadkobierczynię majątku pana Warrena, musi zostać stwierdzone ojcostwo. Czy zechciałaby pani poddać córkę badaniu na ustalenie ojcostwa?

Od samego początku Maria wiedziała, że Savannah jest córką Josha. Jej mąż w tamtym czasie rzadko z nią sypiał, ponadto Maria podejrzewała, że jest bezpłodny, bo nigdy nie zaszła z nim w ciążę. Choć tak naprawdę wcale nie chciała mieć dzieci. Chciała tylko dostać alimenty na dziecko. Myślała, że posiadanie dziecka nie będzie aż takie straszne, a z pewnością będzie wygodniejsze niż pójście do pracy. Gdy urodziła się Savannah, od samego początku widziała w niej Josha, dziewczynka miała jego oczy i taki jak on kształt twarzy. Po kilku miesiącach była już tego pewna. Niezależnie od tego, co myśleli o niej ludzie, prawda była taka, że w okresie, gdy zaszła w ciążę, nie spała z więcej niż kilkoma mężczyznami, a Savannah była zdecydowanie bardziej podobna do Josha niż do któregokolwiek z nich. Zerknęła na swoją córkę, siedzącą po turecku przed telewizorem. - Tak, proszę pana, oczywiście - odparła. - Nie mam ubezpieczenia zdrowotnego, ale jeśli pan się tym zajmie, przywiozę ją, gdzie tylko pan chce, żeby zrobić to badanie.

- Świetnie - powiedział mężczyzna jakimś zmęczonym głosem. - Zajmę się szczegółami i oddzwonię do pani.

- Dziękuję, panie Flynn - wciąż mówiła jak zrozpaczona przyjaciółka. - Powiem o wszystkim Savannah.

- Proszę zaczekać. Myślę, że najpierw powinniśmy poznać wynik badania.

- Dobrze - odparła Maria, urażona. - Lecz mogę pana zapewnić całą duszą, że Savannah jest córką Josha Warrena. Jeśli pan chce, żebym czekała na badanie, aby jej o tym powiedzieć, mogę tak zrobić.

- Dziękuję. Myślę, że przynajmniej tyle możemy zrobić.

Maria odłożyła słuchawkę i przez chwilę naprawdę zrobiło jej się przykro z powodu Josha. Był miłym facetem, może trochę zbyt ciężkim, lecz przystojnym. I przez te kilka dni, które spędzili ze sobą, bardzo się w niej zakochał. Było coś smutnego w fakcie, że on nie żyje - szczególnie może dlatego, że on naprawdę był ojcem Savannah. Lecz z drugiej strony...

Po raz pierwszy w życiu spotkało ją coś naprawdę dobrego i nie zamierzała zrobić choćby najdrobniejszego kroczku, najmniejszego fałszywego ruchu, który mógłby to zepsuć. Nie tym razem. Kiedy już będą wyniki badania na ustalenie ojcostwa, odbiorą z Savannah pieniądze i ułożą sobie życie w taki sposób, o jakim Maria zawsze marzyła. Uśmiechnęła się na tę myśl, wyciągając makaron i ser z szafki kuchennej Freddy'ego.

Biedny Josh. Do tej pory był dla niej jak każdy inny facet. Lecz gdy będą już miały za sobą badanie na ustalenie ojcostwa, obie z Savannah pobiegną do banku, co w pewien sposób będzie oznaczać, że śmierć Josha nie była nadaremna.

A to wszystko spowodowało, że Maria poczuła się tak dobrze, jak nie czuła się już od bardzo, bardzo dawna.

Po niespełna pięciominutowej rozmowie telefonicznej z tą kobietą Thomas czuł się tak, że miał ochotę wziąć prysznic. Z tonu jej głosu i pośpiechu, z jakim chciała poznać wysokość odszkodowania, wyczuwał, że Maria Cameron jest dokładnie taka, jak ją sobie wcześniej wyobrażał. Już chyba mniej nie mogłoby jej zależeć na Joshu Warrenie i tylko jakimś dziwnym zrzędzeniem losu udało jej się zrobić go w to, żeby został ojcem jej dziecka. Ale jeśli miała rację, Josh naprawdę był tatą tej dziewczynki.

Badanie na ustalenie ojcostwa będzie decydującym czynnikiem, więc zajmie się tym i zrobią je w jakiejś klinice w Nowym Jorku. Nie miała ubezpieczenia zdrowotnego, więc było oczywiste, że koszty badania zostaną pokryte z majątku Josha. Westchnął ciężko. Z pewnością, z jaką mówiła ta kobieta, wywnioskował, że nie ma innego wyjścia jak tylko ostrzec rodziców Josha.

Wybrał numer telefonu komórkowego Annie, a gdy odebrała połączenie, usłyszał w jej głosie to samo, co słyszał za każdym razem, kiedy z nią rozmawiał po śmierci Josha: ogromną pustkę kogoś o złamanym sercu, kogoś, kto już nigdy nie będzie sobą. - Cześć, Thomas, jak się masz? - spytała matowym głosem.

- Cześć, Annie, u mnie wszystko w porządku - odparł. Żałował, że nie może jej powiedzieć, że zatelefonuje

do niej tak po prostu i nie ma dla niej żadnych nowych informacji dotyczących procesu. Żałował, że nie może jej powiedzieć czegokolwiek, byle tylko nie mówić jej prawdy. - Jest coś, jest pewna nowa okoliczność, która ostatnio pojawiła się w sprawie Josha.

Annie wydała z siebie smutny śmiech. - To już trzy lata. Jak mogło teraz pojawić się coś nowego? - spytała beznamiętnie.

- To jeszcze nic pewnego, ale chciałem, abyś wiedziała, że cały czas zajmuję się tą sprawą i że napotkałem pewien problem - odparł tajemniczo, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła. - Jak będę wiedział coś więcej, zadzwonię i umówimy się na jakieś spotkanie.

- Czy chodzi o odszkodowanie? - spytała, a słowo „odszkodowanie” zabrzmiało jakoś tak gorzko w jej ustach.

- No wiesz... - zawahał się. Wciąż stał przy oknie, wciąż patrzył na śródmieście Denver i zastanawiał się, jak powiedzieć tej kobiecie coś pokrzepiającego. - Chodzi raczej o majątek Josha, o to, w jaki sposób odszkodowanie zostanie wypłacone - powiedział. Thomas nienawidził dawania wymijających, pokrętnych odpowiedzi, lecz nie miał wyboru. Musiał zasygnalizować jej problem, lecz nie miał jej nic więcej do powiedzenia, dopóki nie pozna wyników badań na ustalenie ojcostwa.

- O jego majątek? - zdziwiła się. Annie była inteligentną kobietą i teraz jej głos powiedział mu, że się domyśliła, iż ta wiadomość nie jest dobra, choć oczywiście nie miała pojęcia, o co dokładnie chodzi.

- Tak - przytaknął Thomas, zastanawiając się, ile jeszcze cierpienia będzie musiała znieść ta kobieta. - Powiem ci, jak będę wiedział coś więcej. Obiecuję.

Po drugiej stronie słuchawki nastąpiła krótka pauza.

- Mogę ci coś powiedzieć? - spytała po chwili.

- Jasne.

- Ani mojemu mężowi, ani mnie nie zależy na pieniądzach Josha, nie w taki sposób, jak niektórym ludziom mogłoby zależeć na dużym odszkodowaniu - powiedziała z napięciem, jakby znajdowała się na granicy płaczu. Gdy zaczęła mówić dalej, każde jej słowo było wypowiedziane z rozwagą. - Lecz mój syn stracił życie w wypadku, bo tamten kierowca spił się na umór i wsiadł za kierownicę. Jakakolwiek byłaby ta nowa informacja, cokolwiek zdarzy się z majątkiem Josha, ufamy ci, Thomas, że dopilnujesz, aby sprawiedliwości stało się zadość - zawahała się. - Tak samo ufał ci Josh.

Jej słowa były jak ogromny ciężar, który nagle spadł na jego ramiona. - Doceniam to - odparł krótko. Próbował wyobrazić sobie, jak ona by się czuła, gdyby wynik badania na ustalenie ojcostwa okazał się pozytywny, ale natychmiast odpędził te myśli od siebie. - Codziennie proszę Boga o mądrość, żebym w imię pamięci po Joshu umiał zrobić to, co właściwe.

- Dziękuję - powiedziała i cicho pociągnęła nosem.

- Nate i ja robimy to samo, modląc się za ciebie. Żadne odszkodowanie nie wróci nam Josha, ale mamy pewne pomysły co do tego, jak wykorzystać pieniądze, które mu się należą. Myślimy o jakichś celach dobroczynnych

i członkach rodziny, którzy mogą skorzystać z jego spadku. Mogą to być pieniądze na studia dla siostrzenicy i siostrzeńca Josha i tego typu rzeczy.

- Jasne - przytaknął Thomas, przełykając ślinę. - No dobrze, jak powiedziałem, skontaktuję się, jak dowiem się czegoś więcej.

Rozmowa się skończyła i Thomas opuścił rękę, w której trzymał telefon. Nie znał Marii Cameron, lecz mógł ją sobie wyobrazić: samotna matka wychowująca zaniedbaną dziewczynkę w Nowym Jorku. Jaka kobieta, mając męża, mogła pojechać sama do Vegas i nakłonić obcego mężczyznę, żeby z nią sypiał? A ona to właśnie zrobiła, co do tego nie było wątpliwości. Podniósł wzrok na zamglone niebo. Słyszał o tym, że kiedy nad miastem utrzymuje się mgiełka, to tuż ponad nią zawsze świeci słońce.

Lecz dziś trudno mu było w to uwierzyć.

Drogi Boże... — zaciąi się modlić. Ty wiesz wszystko, a ja wierzę w Ciebie, nawet gdy życie wydaje się bezsensowne. Chcę Ci tylko powiedzieć, że nie radzę sobie z tą sytuacją. Jeśli wynik badania na ustalenie ojcostwa będzie pozytywny, to przegrają wszyscy — nawet ta mała dziewczynka. Bo ona przecież nigdy nie zobaczy tych pieniędzy, jeśli jej matka położy na nich swoją rękę. Znow rozboleła go głowa. Czuł, że z całych sił pragnie zaufać Bogu. Jeśli rzeczywiście z tymi, którzy Cię miłują, współdziałasz we wszystkim dla ich dobra — ciągnął - to proszę, zajmij się tą sytuacją, aby rodzina Josha nie została poszkodowana. Proszę. Gdy skończył się modlić, nie usłyszał odpowiedzi, nie przyszedł mu też do głowy żaden fragment Biblii. Lecz miał niezaprzeczalną

pewność, że został wysłuchany przez Wszechmogąceg Boga i że Bóg wszystkim się zaopiekuje. I na razie to musiało mu wystarczyć.

Lindsay jechała właśnie do mieszkania Josha. Była załamana i wciąż jeszcze nie mogła dojść do siebie. Odkąd dotarły do niej informacje o jej bracie, żyła jakby we mgle. Od jego śmierci godzina po godzinie szła przez życie, jakby znajdowała się w jakimś transie. I choć robiła jedną rzecz za drugą, ciągle nie była pewna, czy uda się jej przetrwać kolejny dzień.

Jej mąż był naprawdę wspaniały, zajmował się dziećmi i dawał jej czas na przygotowanie pogrzebu wraz z rodzicami. Teraz, w tym tygodniu, przyszła kolej na przeszukanie mieszkania Josha i zapakowanie jego rzeczy. Nawet sam pomysł takiego działania wydawał się jej absurdalny. Czyżby życie jej brata naprawdę zostało zredukowane do kilku pudełek rzeczy osobistych?

Lindsay wjechała na parking przed blokiem i zajęła miejsce położone najbliżej drzwi wejściowych do jego mieszkania. Matka dała jej jeden z kluczy, a zarządca nieruchomości powiedział im, aby do końca miesiąca przejrzały i zabrały rzeczy Josha, zdążył już bowiem zapłacić czynsz za październik. Lindsay, ubrana dzinsy i bluzę sportową, wyjęła z bagażnika swojej toyoty highlander

stertę złożonych pudełek i cały rulon czarnych plastikowych worków na śmieci.

Nie miała pojęcia, na co się natknie, lecz czuła, że w ciągu kilku następnych tygodni dowiedzą się o Joshu więcej, niż wiedzieli do tej pory. Dziwnie się czuła, idąc z samochodu do jego mieszkania, tak jakby naruszała jego prywatność. Tak, była tutaj wcześniej - choćby ostatnio - lecz przyjście tutaj w takich okolicznościach, kiedy go już nie było... Cały ten dzisiejszy przyjazd wprawiał ją w zakłopotanie i niósł ze sobą nieprzyjemności.

Gdy znalazła się w środku, ogarnęły ją silne emocje. W pokoju wciąż było czuć zapach jego wody kolońskiej, a obok drzwi wejściowych stały jego pantofle, prawdopodobnie te, w których jeździł do Denver na zeznania. Poczowała wielką ochotę, żeby zawołać na niego, tak na wszelki wypadek, gdyby wszyscy się pomylili i on wciąż tutaj był i po prostu spał pod wpływem leków przeciwbólowych.

Miała spotkać się tutaj z matką i liczyła na to, że stanie się to jak najszybciej. Nie było to zadanie, z którym Lindsay chciałaby zmierzyć się sama. Podniosła buty brata i przed odłożeniem ich na podłogę starła z nich cieniutką warstewkę kurzu. Kuchnia była wysprzątana i znajdowała się w takim stanie, w jakim pozostawił ją Josh, a na gzymsie kominka wciąż stały te trzy fotografie - zdjęcie rodziny, obok niego zdjęcie przedstawiające tę małą dziewczynkę, która miała być jego córką, i jeszcze trzecie zdjęcie, na którym były dwie nastolatki. Gdy zbliżyła się do tej trzeciej fotografii, poczuła, jak ciężki płaszcz bólu okrywa jej ramiona. Pytała o nią Josha ostatnim razem,

gdy tutaj była, lecz nie powiedział jej żadnych szczegółów. Wspomnił tylko coś o tym, że to zdjęcie dało mu powód, aby uwierzyć, że z pracy kierowcy ciężarówki holowniczej płynęło jakieś dobro.

Lindsay powiedziała sobie wówczas, że później dowie się czegoś więcej o tej historii, gdy nie będzie się tak spieszyła. Tylko że ta rozmowa już nigdy się nie odbędzie. Chwyła gzyms kominka i zwiesiła głowę. **Panie...** -zaczęła się modlić. ***Chcę wiedzieć, dlaczego te dziewczyny były ważne dla mojego brata. Proszę, pomóż mi poznać tego powód.***

Jestem z tobą, Moja córko.

Ta odpowiedź trafiła wprost do najbardziej zranionych obszarów wewnątrz niej i Lindsay potraktowała ją jako obietnicę. Jakoś pozna historię związaną z tymi dziewczynami. Przeszła przez pokój do biurka Josha. Po jego prawej stronie znajdowały się dwie ogromne szuflady, przed którymi stało krzesło. Lindsay odsunęła krzesło i otworzyła górną szufladę.

Od razu poczuła, że w znajdujących się tam tekturowych teczkach może być coś więcej niż tylko stare rachunki czy potwierdzenia spłaty rat kredytu zaciągniętego na zakup samochodu. Jedna teczka zawierała wyciągi bankowe Josha. Lindsay wzięła je i zaczęła przeglądać, i niemal natychmiast poczuła się winna. Wciąż nie zrealizowała sześciusetdolarowego czeku, który od niego dostała. Była oszołomiona, bo z wyciągów, które miała przed sobą, wynikało, że Josh żył prawie bez pieniędzy. Po zapłaceniu ciężących na nim zobowiązań finansowych zostawało mu

czasami mniej niż dwieście dolarów na miesiąc. Przez cały czas myślała, że pieniądze, które otrzymywał w ramach swojego ubezpieczenia, były równe jego wcześniejszemu wynagrodzeniu, a teraz okazało się, że to nieprawda. Kwota, jaka co miesiąc wpływała na jego konto, nie wynosiła nawet tysiąca dolarów. Teraz jego saldo wynosiło niewiele ponad siedemset dolarów, co przecież ledwie wystarczało na pokrycie czeku, który jej wypisał.

Nic dziwnego, że co jakiś czas pożyczał pieniądze od rodziców.

Włożyła wyciągi bankowe z powrotem do teczki i zobaczyła, że w głębi szuflady leży gruba koperta opisana jednym słowem: „Wypadek”. Lindsay podniosła ją i położyła sobie na kolanach. Zawartość tej koperty mówiła o wydarzeniu, które zmieniło wszystko w życiu Josha. To wydarzenie go zabiło. Gdy otwierała kopertę, napływające do oczu łzy rozmazały jej obraz.

Wewnątrz znajdował się plik spiętych razem listów, który wyglądał jak korespondencja Josha z jego adwokatem, Thomasem Flynnem. Pod spodem znajdowały się notatki dotyczące przesłuchań i szczegółów jego procesu sądowego przeciwko towarzystwu ubezpieczeniowemu pijanego kierowcy. Na samym spodzie koperty był kolejny plik spiętych razem listów i jakiś artykuł.

Ostrożnie wysunęła plik z koperty i przejrzała uważnie ostatnią stronę trzystronicowego listu. Był zaadresowany do Josha i napisany pismem odręcznym przez jakąś kobietę, Karłę Fields. Zanim Lindsay skończyła czytać ten list, rzuciła okiem na kolejny i zobaczyła, że był od mężczyzny,

który nazywał się Bill Sedwick. Artykuł znajdował się na samym spodzie sterty. Lindsay ostrożnie wyciągnęła go i położyła na wierzchu.

Został wydrukowany z wydania internetowego jakiejś gazety, a gdy Lindsay spojrzała na dołączone do artykułu zdjęcia, poczuła, jak przyspiesza jej puls. Jedno z nich przedstawiało portret jej brata, prawdopodobnie ten z jego służbowego identyfikatora. Lecz tym, co przykuło jej uwagę, było inne zdjęcie. Przedstawiało kilka osób sfotografowanych prawdopodobnie w miejscu, gdzie wydarzył się wypadek Josha, ponieważ w tle widać było niewątpliwie jakąś sytuację po wypadku.

Twarze na tym zdjęciu należały do tych samych osób, które widziała na fotografii stojącej nad kominkiem w mieszkaniu Josha.

Lindsay zmarszczyła brwi i przeczytała tytuł artykułu: „Kierowca ciężarówki holowniczej okrzyknięty bohaterem”. Jej ręce zaczęły się trząść. Bohater? Co to było i dlaczego ani ona, ani jej rodzice nigdy nie widzieli tego artykułu? Zaczęła czytać.

W sobotni wieczór kierowca ciężarówki holowniczej uratował dwie nastoletnie dziewczyny, wyciągając je niemal spod kół samochodu prowadzonego przez pijanego kierowcę, i sam uległ wypadkowi, według ustaleń policji dwudziestopięcioletni Josh Warren udzielał właśnie informacji dwóm dziewczynom, gdy nagle zobaczył, jak jakiś pochylony nad kierownicą kierowca traci panowanie nad pojazdem i jedzie wprost na nie.

Artykuł wymieniał nazwisko pijanego kierowcy i podawał fakt, że wcześniej był on już trzykrotnie karany za jazdę pod wpływem alkoholu.

„Nie mamy wątpliwości, że przytomne i niezwykle odważne działania pana Warrena uratowały życie tym dwóm dziewczynom” - powiedział na miejscu wypadku jeden z policjantów. „Josh Warren jest bohaterem w pełnym znaczeniu tego słowa” - dodał.

Sarah Fields i Susie Sedwick mają po siedemnaście lat i podczas tego zajścia nie doznały nawet najmniejszych obrażeń, lecz Warren nie zdążył usunąć się z drogi przejazdu samochodu. Uderzenie powaliło go na ziemię, powodując u niego poważne obrażenia pleców i szyi. Obecnie w poważnym stanie znajduje się w szpitalu.

Lindsay patrzyła na te słowa i próbowała zrozumieć, dlaczego jej brat nie powiedział im o tym wszystkim. Wiedzieli, że został potrącony przez pijanego kierowcę, lecz nie mieli pojęcia, że jednocześnie uratował życie dwóm dziewczynom. Dlaczego u licha zachował tę okoliczność w tajemnicy przed nimi? Gazeta lokalna w Colorado Springs nie napisała o tym zajściu, więc bez informacji od Josha nie mieli jak się o tym dowiedzieć.

Odnalazła miejsce, w którym skończyła, i czytała dalej.

Świadek wypadku powiedział, że kierowca całkowicie osunął się na kierownicę, a prowadzony przez niego pojazd nagle zmienił kierunek i uderzył w Warrena. Policja

ustaliła na miejscu wypadku, że zawartość alkoholu we krwi kierowcy niemal trzykrotnie przekraczała dopuszczalny poziom. Z powodu wcześniejszych wykroczeń sprawcy wypadku grozi pięć lat więzienia.

Lindsay zamrugała i jeszcze raz spojrzała na zdjęcie. To tłumaczyło, dlaczego Josh trzymał nad kominkiem tamto zdjęcie. Stracił zdrowie, zdolność normalnego poruszania się, karierę i możliwość zarabiania na życie, lecz dwie dziewczyny mogły cieszyć się życiem z powodu jego działań. Pijany kierowca został skazany na cztery lata, lecz Thomas Flynn sądził, że w każdej chwili może wyjść na wolność. Nic dziwnego, że Josh przechowywał to zdjęcie w widocznym miejscu. Lindsay pomyślała sobie, że nawet podczas tych dni, kiedy odczuwał największy ból, to zdjęcie pozwalało mu doświadczać zadowolenia z siebie i ze swojego działania.

Kilka łez spłynęło jej po nasadzie nosa i skapnęło na artykuł, więc położyła go na biurku Josha, chroniąc go w ten sposób przed kolejną dawką wilgoci. Ten wydruk był pierwszą rzeczą, którą zamierzała pokazać matce. Podniosła list od Karli Fields. Był bardzo długi, lecz Lindsay przeczytała z uwagą każde słowo.

Ona nie żyłaby dzisiaj, gdyby nie Ty - pisała kobieta. Modłę się, żeby Bóg szczerze Cię wynagrodził za Twoje poświęcenie. Przez wszystkie dni mojego życia będę Mu dziękować za Twój wspaniały uczynek miłości.

List od ojca drugiej dziewczyny był podobny. W jednym z akapitów pisał on: ***W naszej kulturze wyrachowa-***

nych i egoistycznych młodych ludzi dajesz mi nadzieję na przyszłość. Załączam zdjęcie dziewczyn, żebyś zawsze pamiętał, jak wiele Twój bohaterski czyn dla nas znaczy. Nie potrafimy w pełni wyrazić Ci naszej wdzięczności.

Lindsay płakała podczas czytania obu listów, poruszona do głębi i wcale nie zaskoczona, że jej brat coś takiego zrobił. Czy w szkole średniej i w późniejszych latach nie czuwał nad tym, aby nic jej się nie stało, mimo że to przecież ona była starsza? On zawsze bardziej troszczył się o ludzi wokół niż o samego siebie.

Było oczywiste, że trzymał zdjęcie tych dziewczyn na gzymsie kominka.

Odchyliła się do tyłu na krześle i przypomniała sobie kilka rozmów z bratem - szczególnie te, które prowadzili ze sobą w roku, gdy zaczął pracować jako kierowca ciężarówki holowniczej.

- Mama i tata nie są z tego powodu najszczęśliwsi - powiedział jej kiedyś, gdy spotkali się w Denver na kolacji. - Chcą, żebym skończył studia i został nauczycielem.

Lindsay chciała wówczas stanąć po jego stronie i pomóc mu, żeby na skutek tej rozmowy nie musiał czuć się gorszy z powodu swojej pracy. - Oni uważają - mówiła - że przechodzisz trudny okres i że w końcu wrócisz na studia.

- A co, jeśli nie wrócę?

- To będą z tym żyć - stwierdziła, kładąc dłoń na jego dłoni. - Poza tym, wyglądasz wspaniale w tej swojej ciężarówce holowniczej.

Lecz do tej rozmowy powracali jeszcze wiele razy i nigdy Josh nie dał się przekonać, że rodzice są dumni z jego

zajęcia - holowania samochodów - nawet gdy zaczął pracować dla policji w Denver. Po wypadku jego niepokój jeszcze się zwiększył, ta praca bowiem nie tylko nie okazała się intratna i prowadząca do sukcesu, ale w dodatku kosztowała go zdrowie.

Powróciło do niej coś jeszcze z tego, co wówczas powiedział. Było to jakieś sześć miesięcy po wypadku. - Gdy już dostanę to odszkodowanie, otworzę własny biznes - wyznał. - Będzie to coś, co spodoba się mamie i tacie.

Lindsay zawsze robiło się żal Josha, gdy rozmowa schodziła na jego pracę, więc przyznała mu rację, a nawet starała się wyrazić swój entuzjazm dla tego, co robił. Lecz bolało ją, że Josh żył w cieniu milczącej dezaprobaty rodziców. Teraz powód, dla którego nie podzielił się z nimi informacją o uratowaniu tych dziewczyn, wydawał się oczywisty. Wyciągnięcie dziewczyn spod kół pędzącego samochodu prowadzonego przez pijanego kierowcę nie byłoby wystarczające, by zyskać ich szacunek dla jego pracy. To musiało poczekać, aż znajdzie jakieś inne zajęcie - przynajmniej tak uznał Josh.

Gdy Lindsay uświadomiła sobie, że Josh wstydził się powiedzieć rodzinie o uratowaniu tych dziewczyn, poczuła napływającą jej do oczu nową falę łez. Jej biedny brat cierpiał codziennie ten straszny ból pleców i do tego czuł z ich strony taki brak akceptacji, że nawet nie potrafił powiedzieć im o swoim bohaterstwie. Zanim zdążyła zajrzeć na sam spód szuflady, do mieszkania weszła jej matka. Oparła się o futrynę drzwi i wyglądała tak, jakby została uderzona przez falę emocji, która uderzyła Lindsay pół godziny wcześniej.

- To takie okropne być tutaj bez niego - stwierdziła Lindsay, zbierając razem artykuł i dwa listy i kładąc je sobie na kolanach.

- Naszła mnie taka dziwna myśl, że jak przyjdę do jego mieszkania, to on ciągle tutaj będzie - wyznała matka, weszła do środka i usiadła najbliżej komputera jak się dało. - Tak jakby nie było możliwe być tutaj bez niego.

- To prawda - przyznała Lindsay. Miała już przekazać matce informację o uratowaniu życia dziewczynom, gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi. Lindsay odłożyła plik dokumentów na biurko i ruszyła do wejścia. Na zewnątrz stali sąsiedzi Josha - para młodych ludzi z zespołem Downa.

- Cześć - powiedział mężczyzna, poprawiając okulary. Miał w ręku plastikową miskę z jajami, którą podniósł w stronę Lindsay. - Widziałem twój samochód - oznajmił. Pochylił się do przodu, spojrzał na matkę Lindsay i dodał: - Twój też. - Zrobił lekki skłon i powiedział: - Jestem Carl Joseph, a to jest Daisy.

- Cześć - przywitała się Lindsay, zrobiła krok do tyłu i zaprosiła ich do mieszkania. - Znaliście Josha?

- On był naszym najlepszym sąsiadem - stwierdził Carl Joseph ze łzami w oczach.

Lindsay widziała, że jej matka nie wie, co powiedzieć, więc przejęła inicjatywę. - Carlu Josephie... Daisy... jestem Lindsay, siostra Josha - przedstawiła się.

- Ach tak - wtrąciła Daisy, cały czas trzymając na ramieniu jasnopomarańczową torbę plażową; drugą ręką trzymała pod ramię Carla Josepha. - Josh mówił, że byłeś jego najlepszym przyjacielem.

Lindsay poczuła jeszcze większy ból w sercu. - On też był moim najlepszym przyjacielem - wyznała. Potem wskazała na plastikowy pojemnik i spytała: - Pożyczyliście kilka jajek?

- Josh pożyczył je nam, zanim... - spojrzał na Daisy, a jego podbródek się trząśł - zanim umarł.

- Chcemy być dobrymi sąsiadami, a dobrzy sąsiedzi oddają to, co pożyczyli — oznajmiła Daisy, wzięła pojemnik z jajami od Carla Josepha i podała go Lindsay. - Wy jesteście rodziną Josha, więc możecie je wziąć.

- Dobrze - odparła Lindsay, starając się powstrzymać wybuch płaczu, lecz czując jednocześnie, że nie potrafi się opanować. Położyła jaja na kuchennym blacie. — Dziękuję.

Daisy kilka razy zakołysała się na nogach do przodu i do tyłu, spojrzała na Carla Josepha, potem na Lindsay i spytała: - Czy znasz historię o tej małej dziewczynce?

- O małej dziewczynce?

- Tej na kominku - wyjaśnił Carl Joseph, wskazując w stronę dużego pokoju. - Tamtej małej dziewczynce.

- Kiedy tutaj przychodziliśmy - zaczęła Daisy i zamyśliła się na chwilę - bo dobrzy sąsiedzi odwiedzają się - wtrąciła i skinęła głową w stronę Carla Josepha - za każdym razem Josh opowiadał nam historię o tych dwóch starszych dziewczynach.

- Bo on był bohaterem - podkreślił Carl Joseph.

- A ja znam tylko trzech bohaterów - oznajmiła Daisy, spoglądając na matkę Josha. - Twój syn jest jednym z nich.

Lindsay rzuciła matce krótkie spojrzenie i zauważyła, że jej zakłopotanie minęło, a jego miejsce zajęła jakaś czu-

łość, widoczna teraz w jej wyrazie twarzy. Jej mama zamrugła dwukrotnie i spytała: - On był bohaterem?

- Bo to przez te dwie dziewczyny i tę niebezpieczną historię - w głosie Daisy słysząc było podziw.

- Josh opowiadał nam tę historię, kiedy go o to prosiliśmy - wyjaśnił Carl Joseph, przeszedł ostrożnie obok Lindsay i jej matki i zbliżył się do kominka. Podniósł zdjęcie przedstawiające dwie nastoletnie dziewczyny. - To była nasza najlepsza poranna historia, którą nam opowiadał w soboty, prawda Daisy?

- Tak, bo miała szczęśliwe zakończenie.

Lindsay zaczynała rozumieć. Ta dwójka musiała wpadać czasami do Josha w sobotnie poranki, a gdy przychodzili, prosili go, żeby opowiedział im historię o dwóch dziewczynach - historię, którą Lindsay poznała zaledwie przed kilkoma minutami.

- Jaką... jaką historię wam opowiadał? - zapytała jej mama, podchodząc do Carla Josepha i stając obok niego. Daisy i Lindsay także podeszły bliżej i stanęły po jego drugiej stronie.

- To wydarzyło się w sylwestra trzy lata temu - zaczął Carl Joseph, znów poprawiając sobie okulary na nosie.

- W Denver - wtrąciła Daisy i skinęła głową w zdecydowany sposób. — Josh holował samochody i dwie dziewczyny miały do niego pytanie. To były dwie najlepsze przyjaciółki.

- Tak, to były miłe dziewczyny i próbowały znaleźć Stany Zjednoczone, prawda Daisy? - upewnił się Carl Joseph, unosząc wyżej głowę. - Myślę, że to były Stany Zjednoczone.

- Nie - uśmiechnęła się Daisy i poklepała Carla Josepha po ramieniu. - Nie, nie Stany Zjednoczone. One próbowały znaleźć ulicę Stanową - powiedziała i spojrzała na Lindsay. - Na pewno chodziło im o ulicę Stanową.

- To niezgodne z prawem kierować po pijanemu, ale to właśnie robił tamten facet - ciągnął Carl Joseph. Zamyślił się na chwilę. -1 głowę miał opuszczoną, co nie jest dobre przy kierowaniu samochodem.

- Był nieprzytomny - wtrąciła Daisy i pokręciła głową.

- Tak, nieprzytomny. Josh ściągnął te dziewczyny z drogi i nic im się nie stało.

- A Josh został uderzony w ramię, lecz niezbyt mocno, a dziewczynom nic się nie stało - Daisy uśmiechała się smutno, gdy mówiła te ostatnie słowa. - Dlatego ta historia ma szczęśliwe zakończenie - wyjaśniła, unosząc brwi i spoglądając na matkę Lindsay. - Dlatego Josh był bohaterem. Bo Bóg posłużył się nim, żeby zrobić szczęśliwe zakończenie.

Lindsay zauważyła pudełko z chusteczkami higienicznymi na stojącym obok stole. Dała jedną mamie, która teraz trzymała zdjęcie; po jej twarzy spływały łzy. - Dlaczego nam nie powiedział? - wyszeptała. Te słowa były zrozumiałe dla Lindsay, ale nie dla sąsiadów Josha.

Lecz mimo to Daisy odpowiedziała: - On mówił nam o tym, bo go prosiliśmy.

Lindsay przycisnęła chusteczkę higieniczną najpierw do jednego oka, a potem do drugiego. Tych dwoje sympatycznych obcych ludzi zapytało Josha o zdjęcie nastoletnich dziewczyn, lecz nikt z jego rodziny nie znalazł czasu, aby się dowiedzieć o jego bohaterstwie i poznać

więcej szczegółów związanych z wypadkiem. Przycisnęła chusteczkę do nosa i zamknęła oczy. Dosłownie czuła, jak wewnątrz klatki piersiowej jej serce krwawi z powodu jej dobrego brata. Jednocześnie nie chciała, aby sąsiedzi Josha pomyśleli, że zrobili coś niewłaściwego, co wytrąciło z równowagi ją i jej matkę. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się poprzez łzy. - Dziękuję, że opowiedzieliście nam tę historię - powiedziała.

- Lubię szczęśliwe zakończenia - wyznała Daisy; sprawiała wrażenie lekko podenerwowanej z powodu smutku, jaki się wyczuwało w pokoju. - Prawda, CJ? To jest szczęśliwe zakończenie.

- Bardzo szczęśliwe.

Szczęśliwe zakończenie? Lindsay powstrzymała się od szlochu, bo czuła, że gdyby mu się poddała, to chyba upadłaby na podłogę. To prawda, że jej brat uratował życie dwóm nastoletnim dziewczynom, ale doznał poważnych obrażeń, które całkowicie zmieniły jego życie, co ostatecznie go zabiło.

- Widzisz tę małą dziewczynkę? - spytał nagle Carl Joseph, biorąc ostrożnie jedno z pozostałych zdjęć stojących na gzymsie kominka. - Nasz dobry sąsiad nigdy nie opowiedział nam tamtej historii.

Daisy zmarszczyła nos. - Bo ona nie ma szczęśliwego zakończenia - stwierdziła. - Tak powiedział Josh.

- A więc... czy znacie tę historię? No, o tej małej dziewczynce? - dopytywał Carl Joseph, spoglądając z ciekawym wzrokiem na matkę Lindsay, a potem na Lindsay.

- Josh miał rację - odezwała się Lindsay, delikatnie biorąc fotografię od Carla Josepha. - Tamta historia nie ma bardzo szczęśliwego zakończenia.

- Kupiłam dla niej prezent - oznajmiła Daisy, wyglądała na lekko niepewną w związku z tym, co powiedziała. Zdjęła z ramienia torbę plażową, pogrzebała w niej i wyciągnęła nową opaskę na głowę z uszami Myszki Minnie. Spojrzała prosząco na Carla Josepha. — Ty to powiedz, CJ.

On spojrzał na te mysie uszy, potem na Lindsay i jej matkę i znów palcem poprawił okulary. - Ja i Daisy pojechaliśmy do Disneylandu - zaczął.

- Naszego ulubionego miejsca - uśmiechnęła się Daisy.

- I tam nosiliśmy nasze uszy. Ja miałem uszy Myszki Miki, a Daisy miała uszy Minnie.

Daisy położyła na podłodze swoją torbę plażową, podniosła zabawkowe uszy do góry i przyłożyła je sobie do głowy. - Z tymi uszami oboje z CJ mieliśmy najszcześniejszy dzień ze wszystkich - wyjaśniła.

- To było takie prawdziwe szczęśliwe zakończenie.

- Byłam potem w sklepie i zobaczyłam tę nową parę uszu Minnie - ciągnęła Daisy, a jej nieśmiałość zniknęła, gdy zaangażowała się w swoją opowieść. - I pomyślałam, że jak kupię te uszy dla tej małej dziewczynki ze zdjęcia Josha, to może ją też spotka szczęśliwe zakończenie.

Lindsay trzymała chusteczkę przyciśniętą do twarzy. Ta para naprawdę kochała Josha. Wszystko, co go dotyczyło, było dla nich ważne. - A zatem... kupiłaś te uszy Minnie dla tej małej dziewczynki ze zdjęcia? - spytała Lindsay,

delikatnie dotykając ramienia Daisy. - Wiesz, kim jest ta dziewczynka, prawda?

- Nie - odparł szybko Carl Joseph. - Bo Josh powiedział, że tamta historia może poczekać, bo nie ma szczęśliwego zakończenia.

Lecz Daisy trochę dłużej popatrzyła na zdjęcie i jej oczy mówiły, że zaczęła rozumieć. - Ona jest bardzo podobna do naszego dobrego sąsiada - zauważyła.

- Tak - pociągnęła nosem Lindsay, czując, że wzruszenie odbiera jej mowę. - Ta mała dziewczynka jest córką Josha. Ma na imię Savannah.

- Savannah - powtórzył za nią Carl Joseph, oszołomiony tym odkryciem. - On nigdy nie mówił, że to jest Savannah.

- To jest piękne imię dla pięknej dziewczynki - zauważyła Daisy z błyszczącymi od łez oczyma, zwracając się w stronę Lindsay. - Dlaczego ona nie mieszkała tutaj z Joshem?

- Tak, dlaczego jest tutaj tylko jej zdjęcie? - podchwycił Carl Joseph, obejmując Daisy ramieniem. - Dlatego nie ma szczęśliwego zakończenia, bo ona tu nie mieszka.

Lindsay zobaczyła, że jej matka odwróciła wzrok od zdjęcia i patrzy na drzwi balkonowe. Od cichutkiego szłochu drżały jej ramiona. Lindsay znów przetarła sobie miejsca pod oczami i odchrząknęła. - To smutna historia - stwierdziła. - Savannah mieszka gdzieś indziej.

- Och - westchnęła Daisy, opuszczając do boku uszy Myszki Minnie. Lecz po chwili podała je Lindsay. - Jak ją zobaczysz... Myślę, że jej się spodoba. Bo jak będzie

miała uszy Minnie, to spotka ją szczęśliwe zakończenie, tak jak mnie i Carla Josepha.

Lindsay wzięła opaskę i przycisnęła ją do piersi. - Dziękuję, Daisy - powiedziała. - Myślę, że bardzo jej się spodobała.

- To nie jest Disneyland - wtrącił Carl Joseph, wzruszając ramionami. - Ale jest blisko.

- I... - urwała nagle Daisy i spojrzała na swojego przyjaciela. - Będziemy się modlić za Savannah, żeby zeszła ze zdjęcia w wasze ramiona.

Lindsay spojrzała z podziwem na młodą kobietę. Zeszła ze zdjęcia w ich ramiona? Jaka to piękna modlitwa za Savannah. Jeszcze raz podziękowała Carlowi Josephowi i Daisy. Zanim wyszli, powiedziała im, że mogą zawsze tutaj zaglądać przez następne dwa tygodnie, podczas których ona i jej matka będą opróżniały mieszkanie Josha.

- I dajcie nam znać, gdybyście czegoś potrzebowali - odezwała się matka Lindsay przez łzy, lecz była spokojniejsza niż poprzednio. - Dziękuję wam... że byliście przyjaciółmi Josha.

Oczy Carla Josepha znowu napęłniły się łzami. Złożył ręce na piersiach i przez chwilę patrzył pod nogi. - Josh... Josh był bohaterem i bardzo dobrym sąsiadem - rzekł.

Daisy skinęła głową. - Bardzo nam go brakuje - wyznała. - Cały czas mówimy o tym Bogu, prawda CJ?

- Prawda - potwierdził Carl Joseph. Szybko uścisnął Lindsay i jej matkę, a Daisy zrobiła to samo. Potem wyszli ze spuszczoneymi głowami. Trzymali się pod rękę i oboje mieli łzy na policzkach.

Lindsay patrzyła za nimi, jak wychodzą, a potem padła w objęcia matki. Stały w ten sposób bardzo długo, tuląc się do siebie, aby nie utonąć w oceanie kłębiącego się wokół nich smutku. I podziękowały Bogu za dar Carla Josepha i Daisy - dwojga upośledzonych ludzi, którzy wiedzieli o Joshu więcej niż jego własna rodzina.

A wszystko dzięki temu, że mieli czas, aby go słuchać.

Annie wciąż odczuwała zawroty głowy po tej niespodziewanej wizycie, lecz potrzebowała dowiedzieć się czegoś więcej. Odsunęła się lekko od córki i spojrzała jej w oczy. - Ta historia z dziewczynami, czy to prawda? - spytała.

- Tak - potwierdziła Lindsay. Podeszła do biurka Josha i podniosła z niego stertę papierów. - Znalazłam to tuż przed twoim przyjściem. Artykuł z gazety o wypadku i parę listów od rodziców tych dziewczyn - głos Lindsay wciąż był pełen smutku. - Ten artykuł nazywa go bohaterem.

- I my nie wiedzieliśmy o tym? - zdziwiła się Annie, walcząc ze wzbierającymi w niej emocjami. Była dumna z Josha, lecz jednocześnie jakiś gniew i poczucie krzywdy studziły jej dumę. Wskazała na drzwi i wyrzuciła z siebie jakby z nutką pretensji w głosie: - Opowiedział obcym ludziom o tym, co się wydarzyło, a nie powiedział nam?

- Oni pytali - odparła natychmiast Lindsay i podała papiery matce. - Co sobotę, jak się wydaje.

Annie męczyła się z tym, co teraz czuła; miała wrażenie, że przegapiła jakąś ogromną i wspaniałą okazję zbliżenia się do swojego syna w jakimś dobru, które zaistniało w jego życiu. A w ostatnich latach mało było tego dobra.

Spojrzała na nagłówek na górze strony, na której znajdowało się także zdjęcie Josha oraz zdjęcie przedstawiające dwie dziewczyny: „Kierowca ciężarówki holowniczej okrzyknięty bohaterem”.

- Wiedział, że nie lubiliście jego pracy - Lindsay nie wypowiedziała tego oskarżającym tonem, po prostu była szczerą. - Prawdopodobnie nie sądził, że miałyby dla nas jakieś znaczenie to, w jaki sposób został tamtego dnia potrącony i dlaczego. Wykonywał swoją pracę i to kosztowało go zdrowie. To spowodowało, że ta praca wydawała się pomyłką, choć przecież zdarzył się wypadek.

Annie usiadła na najbliższym krześle, wydruk artykułu i listy wciąż trzymała w ręku, i spojrzała na wydrukowane zdjęcie syna. *Boże drogi... - modliła się. Potrzebuję jeszcze jednej szansy, tylko jeszcze jednej szansy. Proszę...* Gdyby tylko mogła jeszcze raz przeżyć te ostatnie trzy lata. Zadałaby więcej pytań o wypadek albo wpadłaby do jego mieszkania i zauważyła to zdjęcie na gzymsie kominka. *Opowiedz mi o tych dziewczynach* - poprosiłaby go. I - jak to robił dla swoich sąsiadów - opowiedziałby jej, jak wyciągnął te dziewczyny spod kół pędzącego samochodu i sam został potrącony.

Lecz nikt z jego najbliższych nie usłyszał od niego o jego akcie odwagi.

Annie czuła się tak, jakby rozsypywała się na kawałki, które potem rozprasały się po pokoju, i nie mogła nic zrobić, aby przywrócić je z powrotem na swoje miejsce. Przegapiła szansę świętowania bohaterstwa Josha wraz z rodziną i wśród przyjaciół, opowiedzenia wszystkim

o jego akcie odwagi i docenienia go, tak jak na to zasługiwał. ***Boże... dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz, gdy już nic nie mogę zrobić?*** - pytała w duchu.

Tylko dziesięć minut - to wszystko, czego potrzebowała. Dziesięć minut, żeby go uścisnąć, spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, że zna prawdę o wypadku, że wie, co zrobił. Dziesięć minut, aby powiedzieć mu, że jest z niego dumna, że nie jest nim rozczarowana, bez względu na to, jak zachowywała się w przeszłości. Tylko dziesięć minut.

Lindsay najwidoczniej rozumiała, że matka potrzebuje czasu, aby się uspokoić i jakoś wewnętrznie poskładać. Dotknęła jej ramienia i oznajmiła: - Zamierzam teraz dokończyć przeglądanie jego szafki na dokumenty.

Annie skinęła głową, lecz nie podniosła wzroku. I gdy Lindsay zabrała się do przeglądania rzeczy Josha, przyszła jej do głowy pewna myśl. Czego jeszcze nie wiedziała o swoim synu? On był bohaterem, a ona tego nie wiedziała. A zatem - czego jeszcze? Nagle wiedziała już, jak spędzi następne dwa tygodnie. Nie zamierzała przeżyć tego czasu we mgle smutku, pakując to, co pozostało po Joshu, lecz będzie się starała poznać to wszystko, co ominęło ją przez ostatnie lata.

Mój Panie... - modliła się ***-jak mogłam przeoczyć fakt, że Josh uratował życie tym dziewczynom? Jaką ja jestem matką?*** Zamknęła oczy, zaciskając mocno powieki, i postanowiła pozbierać w całość te wszystkie kawałki życia Josha. Wiedziała, że najpierw musi się opanować i poradzić sobie z emocjami, aby móc przystąpić do realizacji swojego postanowienia. ***Pomóż mi dowiedzieć się o nim wszystkiego,***

Ojcie. On był moim jedynym synem... tak bardzo go kocham, ale... ale jeśli tak naprawdę go nie znałam, proszę, pozwól mi teraz go poznać. Zakryła twarz nową chusteczką higieniczną i pozwoliła sobie na łzy. *I czy mógłbyś zrobić jeszcze jedno? Czy mógłbyś mu powiedzieć, Boże, że jestem z niego dumna? Proszę.*

- Mamo, spójrz na to! - zawołała Lindsay, podeszła do niej i podała jej całostronicową notatkę napisaną pismem odręcznym Josha. - Jest na tym data sprzed dziesięciu lat - powiedziała - z tego lata, gdy Josh skończył szkołę średnią.

Gdy Annie to usłyszała, opanowała się trochę, starając się powstrzymać łzy. Chwyliła kartkę i zobaczyła, że jest to kserokopia listu, który Josh napisał do Becky Wheaton. Annie spojrzała na Lindsay. - Czytałaś to? - spytała.

- Czytałam - potwierdziła, opierając się o brzeg biurka. - To po prostu rozdziera serce.

Annie wstała i podeszła z listem do drzwi balkonowych. Oparła się o zimną metalową futrynę i zaczęła czytać od początku.

Droga Becky,

Upłynęło dwa tygodnie, odkąd ze mną zerwałaś, i wciąż nie obwiniam Cię za to. Masz rację, muszę wziąć się w garść. Wczoraj wieczorem zadzwoniłaś do mnie i powiedziałaś, że mnie kochasz i że modlisz się za mnie, abym wszystko sobie przemyślał. No więc nie spałem całą noc, myśląc o tym, co mi powiedziałaś, i postanowiłem złożyć Ci obietnicę.

Ja, Josh Warren, obiecuję Ci, mojej pierwszej i jedynej miłości, że przestanę palić papierosy. Widziałem, jak mój wujek zmarł na raka płuc, a ja tego nie chcę - nie chcę umrzeć przed czterdziestką, tracąc życie przez jakieś okropne uzależnienie. Obiecuję także przestać pić i zacząć poważnie myśleć o życiu. Niezależnie od tego, co się wydarzy, chcę skończyć studia. Chcę odnieść sukces, abym pewnego dnia mógł się z Tobą ożenić, abym był w stanie Cię utrzymać i założyć z Tobą rodzinę.

Wierz mi, Becky, zasługujesz na kogoś, kto odniesie w życiu sukces, a tym kimś będę ja. Obiecuję Ci to tutaj i teraz.

To lato będzie trudne, bo wiem, że potrzebujesz trochę przestrzeni. Może ja też jej potrzebuję. Przestrzeni, abym miał czas na przemyślenie sobie wszystkich tych zmian. Lecz te zmiany nadejdą, zobaczysz. I pewnego dnia Ty i ja będziemy mieli takie życie, o jakim oboje marzymy.

Nigdy nie będę kochał nikogo, tak jak Kocham Ciebie, Becky. Módl się za mnie, abym mógł stać się mężczyzną, jakim chcesz, żebym był.

Twój na zawsze Josh

Annie przeczytała list ponownie, poruszona szczerością postanowień Josha i zarazem tragedią, jaką musiał przeżywać, kiedy nie zdołał spełnić wszystkich swoich zamiarów. Chciał przestać palić, lecz uporał się z tym dopiero po czterech latach. Picie alkoholu z kumplami ciągnęło się

jeszcze przez tamto lato i kolejne. Próbował studiować, lecz tylko dlatego, że chciał zaimponować Becky, Annie i Nate'owi. Po pierwszym roku miał słabe oceny, po drugim jeszcze gorsze, a potem Becky zaczęła spotykać się z kimś' innym. Josh przeniósł się do Denver i zaczął tam pracę, a lata płynęły.

- Muszę się z nią zobaczyć, pokazać jej ten list - powiedziała Annie bardziej do siebie niż do Lindsay.

- Powinnaś - przyznała Lindsay, znów siedząc przy biurku i przeglądając papiery Josha. Spojrzała w górę i zdmuchnęła luźny kosmyk włosów. - Zastanawiam się, co by się stało, gdyby Becky była bardziej cierpliwa.

- Albo gdyby Josh podchodził do życia bardziej poważnie - dopowiedziała Annie, składając list i umieszczając go na stercie wraz z wydrukiem artykułu i listami od rodziców tych dziewczyn. Nate z pewnością będzie chciał zobaczyć wszystko, co dzisiaj znalazły.

Z upływem czasu Annie utwierdzała się w postanowieniu, by te dwa tygodnie poświęcić na dowiedzenie się o swoim synu wszystkiego, co tylko możliwe, wszystkiego, czego wcześniej nie wiedziała, dobrego i złego. Szczególnie chciała znaleźć, co tylko się da, na temat kobiety, z którą Josh był w Vegas. Nazywała się Maria Cameron. I jakiegokolwiek dokumenty lub dowód, który by wyjaśniał, dlaczego Josh tak mocno czuł, że ta dziewczynka to jego córka.

Obie z Lindsay znalazły zdjęcia Becky i Josha i sterty zapisów zeznań związanych ze sprawą sądową. Te dokumenty rozdzierały jej duszę, bo wyraźnie ukazywały, jak prawnicy towarzystwa ubezpieczeniowego dręczyli Josha

przy przepytaniu go w charakterze świadka. Po dziewięćdziesięciu minutach czytania tych zeznań Annie była gotowa zatelefonować do Thomasa Flynna, aby poprosić o wniesienie drugiej sprawy - tym razem przeciwko adwokatom za znęcanie się nad jej synem.

Przeszła dalej, do rozpadającego się pudełka na górnej półce szafy wnękowej w sypialni. Były tam stare księgi pamiątkowe i nagrody za udział w rozgrywkach futbolowych i bejsbolowych, a na samej górze znalazła kartę z podziękowaniem od Keitha, najlepszego przyjaciela Josha ze szkoły średniej.

Annie przeczytała napisany wewnątrz krótki liścik:

Hej, stary... Dzięki za przejście ze mną całej tej drogi. Dałeś mi coś, czego by mi inaczej bardzo brakowało - szansę powiedzenia mojemu tacie przed śmiercią, że go kocham. Jesteś najlepszy, Josh... na całym świecie nie ma drugiego takiego jak Ty.

Keith

Ponownie Annie odniosła wrażenie, że poznaje młodego mężczyznę, którego nigdy nie знаła. Przypomniała sobie, jak przed kilkoma laty umierał ojciec Keitha. Wiedziała, że Keith i jego ojciec nie byli ze sobą blisko. Mężczyzna bez przerwy strofował syna za to, że miał zbyt słabe wyniki w sporcie, krzyczał na niego przy innych rodzicach, gdy podczas gry coś mu nie wyszło. Kiedy Keith był nastolatkiem, wiele czasu spędzał w domu Warrenów. Zwierzał się im z przekonania, że ojciec go nie kocha.

Chociaż oboje z Nate'em próbowali pomóc Keithowi pogodzić się z ojcem, ich starania zdawały się iść na marne.

Aż do teraz nie wiedziała, że to Josh pomógł swojemu przyjacielowi wykonać milowe kroki na drodze pojednania się z ojcem. Nie miała pojęcia, w jaki sposób udało mu się nakłonić Keitha do tego, aby poleciał z Ohio do domu, zanim umarł jego ojciec. W każdym razie to rzeczywiście nastąpiło, jakoś Josh znalazł sposób, by pomóc swojemu przyjacielowi, i dzięki jego wysiłkom Keith otrzymał bezcenną szansę pogodzenia się ze swoim ojcem.

Dwa razy byłeś prawdziwym bohaterem, mój kochany synu - mówiła w swym sercu. A ja nie dostałam takiej szansy, aby dowiedzieć się tego o tobie. Nie mogłam ci powiedzieć, jak bardzo jestem dumna z ciebie za to, co zrobiłeś. Przycisnęła kartę do piersi i przez chwilę miała cudowne uczucie, że zamiast niej trzyma przy swym sercu Josha, że trzyma go blisko przy sobie tak jak wówczas, gdy był małym chłopcem, kiedy jego przyszłość była tylko długą drogą niekończących się możliwości.

Poszukiwania trwały dalej, aż w końcu Annie poczuła się zbyt wyczerpana emocjonalnie, by przeglądać kolejną kopertę, plik papierów albo zakurzone kartonowe pudełko. Resztę pracy postanowiły przełożyć na później - może wówczas znajdą jakiś znak wskazujący na to, że Josh nie mylił się, sądząc, że ta dziewczynka jest jego córką. Lecz Annie wątpiła, by cokolwiek mogło na to wskazać. Jeśli jednak mała była dzieckiem Josha, z pewnością dowiedziałaby się o tym do tego czasu.

W świetle tego wszystkiego, czego Josh pragnął dla siebie w przyszłości, to dziecko prawdopodobnie dało mu to, co dała mu Becky Wheaton: powód, aby wierzyć, że pewnego dnia ból i męczarnia spowodowane wypadkiem się skończą. Że znajdzie nową karierę, wolność finansową i życie, jakiego zawsze pragnął. Tym wszystkim była dla niego ta mała dziewczynka na fotografii - powodem, aby wierzyć, że jutro będzie lepsze niż dziś.

Savannah nie wiedziała, co się wydarzyło ani jak doszło do tego, że teraz jej życie wydawało się inne, lecz wierzyła, że ta zmiana miała coś wspólnego z jej tatą. Mama już nie ciągnęła jej za rękę tak jak wcześniej, a dwa razy nawet pozwoliła jej spać ze sobą na dużym łóżku zamiast pod biurkiem.

- Nadchodzą dobre czasy, Savannah - powiedziała jej mama rano w drodze do miejsca, które nazywało się klinika. - Jeszcze tylko kilka tygodni i będziemy miały duży dom i służącą, i najlepsze jedzenie, i ubrania, i samochody.

Savannah słuchała z szeroko otwartymi oczyma i tylko czasami zastanawiała się, czy jej mama nie oszalała albo nie żartowała, opowiadając jej o tym wszystkim. Lecz na pewno nie żartowała w sprawie kliniki. Po wyjściu z metra poszły do małego budynku, gdzie jej mama pisała coś na jakiejś kartce papieru. W środku pachniało tak jak w łazienkach w Central Parku i Savannah czuła, że aż robi się jej niedobrze. Dlaczego w ogóle tutaj przyszły? Czy tutaj spotka się ze swoim tatą?

W kieszeni miała swój mały plastikowy krzyżyk, który dostała od dziadka Teda, i pomacała go teraz przez džinsy,

aby się upewnić, że wciąż tam jest. Jej mama skończyła pisać na tej kartce papieru i razem usiadły w jakimś małym pokoju pełnym ludzi, którzy wyglądali na smutnych albo zranionych, albo chorych. Stary mężczyzna siedzący obok nich miał ranę na rękę, a przez zakrywający ją plaster przesiąkała krew. Savannah starała się na to nie patrzeć. Zbliżyła usta do ucha mamy i spytała: - Dlaczego tutaj przyszliśmy?

- Na badanie - odparła mama, jakby lekko zdenerwowana. Nie była już tak zadowolona jak wtedy, gdy jadły w parku hot dogi albo kiedy wczoraj poszły do zoo.

- Jakie badanie? - dopytywała. Skrzyżowała nogi na wysokości kostek i machała nimi. Chciało jej się pić, ale wiedziała, że nie może teraz ugasić pragnienia. Mama powiedziała, że dopiero po badaniu będzie czas na pójście do łazienki.

- Badanie krwi - odparła krótko mama, wzięła do ręki jakieś czasopismo ze stolika obok i zaczęła przerzucać kartki.

Badanie krwi? Savannah poczuła, że robi jej się niedobrze, bo nie wiedziała, jakie to ma być badanie. Zerknęła na czerwonawy plaster siedzącego obok mężczyzny. Czy on też przyszedł tutaj na badanie krwi? Bo ona nie chciała wyglądać w ten sposób, kiedy stąd wyjdzie. Przypomniała sobie o krzyżyku w kieszeni i o Jezusie, który zawsze z nią był. ***Jezu, to ja, Savannah - mówią w duchu. Boję się tego badania krwi, więc proszę, bądź ze mną, dobrze?***

Czekała, aż usłyszy w swym sercu odpowiedź, gdy nagle jakaś duża pani w ciasnej białej sukience weszła do ma-

łego pokoju, w którym siedziały. - Savannah Cameron

- powiedziała.

- Tutaj - zawołała jej matka, wstała i wygładziła sobie zagięcia na swojej krótkiej spódniczce. Wzięła Savannah za rękę i pociągnęła ją, aby wstała. - To jest Savannah.

Kobieta spojrzała na swój notes. - Chodźcie za mną

- poprosiła.

Savannah starała się nie myśleć o tym mężczyźnie i jego zakrwawionej ręce. Trzymała się blisko mamy, a duża pani zabrała je do pokoju wielkości szafy wnekowej. - Usiądź tutaj - powiedziała. Kobieta rozmawiała z mamą o tym, jakie zostały zrobione „przygotowania” i mówiły jeszcze jakieś inne słowa, których Savannah nie rozumiała. Potem kobieta podwinęła rękaw bluzy Savannah i potarła jej rękę wilgotną kulką z białego futerka. - To nie będzie bardzo bolało - stwierdziła. Otworzyła małą białą torebkę i wyjęła z niej ostrą igłę i plastikową tubkę wielkości ołówka.

- Nie ruszaj się - poleciała.

- Tak, nie ruszaj się - powtórzyła za nią mama, unosząc brwi w taki sposób, który mówił Savannah, że musi być posłuszna.

Duża pani wetknęła igłę w rękę Savannah i trzymała ją tam. - Nie musisz patrzeć, kochanie - oznajmiła.

Lecz Savannah patrzyła, jak powolutku krew z jej ręki przepływa do tubki. Ta pani miała rację; nie bolało jej, gdy igła była w jej ręce. Gdy tubka się wypełniła, kobieta wyciągnęła igłę i nakleiła jej na rękę plaster - dużo mniejszy niż ten, który miał na rękę mężczyzna w tym pełnym ludzi pokoju. - Już po wszystkim - stwierdziła kobieta.

- Badanie krwi już skończone? — zdziwiła się Savannah, lekko się uspokajając.

- Wszystko zrobione - odparła ta pani i oderwała z rulonu na ścianie kilka naklejek. — To dla ciebie - powiedziała.

- Świetnie ci poszło, kochanie - uśmiechnęła się do niej mama.

Savannah nie wiedziała, co zrobić z naklejkami. - Dziękuję pani - powiedziała. Odlepiła jedną, a potem następną i przykleiła je sobie na wierzch dłoni. Będzie na nie patrzyła i przypominała sobie, że świetnie jej poszło na badaniu krwi. Duża pani mówiła jej mamie, że coś zostanie wysłane do niej za kilka dni.

Gdy znów znalazły się na zewnątrz na słoneczku, mama uścisnęła ją serdecznie. - Savannah - powiedziała. - Mam przeczucie co do tego badania krwi. Myślę, że dla nas jest to początek bardzo szczęśliwego czasu.

Savannah poczuła się lekko zawstydzona przez swoją mamę, ten nowy sposób jej zachowania wprawiał ją w zakłopotanie. Skinęła głową i uśmiechnęła się. Potem znów spojrzała w dół na naklejki na swoich dłoniach.

- No, kotku - powiedziała mama, wyciągając do niej rękę. - Daj rączkę.

Savannah zrobiła to, o co została poproszona, i szły dalej razem. - Czy idziemy do parku? - spytała.

- Tak. To będzie piękny dzień w parku. Mam rację?

- Czy będziemy żebrać o pieniądze?

- Będziemy - przyznała mama, robiąc na chwilę smutniejszą minę. Lecz potem znów się uśmiechnęła i po-

wiedziała: - Ale niedługo. Twój tata zaopiekuje się nami naprawdę dobrze. Potem już nigdy nie będziemy zebrać o pieniądze.

Savannah poczuła, że jej serce staje się lekkie i wolne, jakby było jednym z ptaków w Central Parku, które lądowały na wierzchołku fontanny i odfrwały, gdy tylko miały ochotę. Jej tata miał się nimi zaopiekować! Odkąd zauważyła zmiany w zachowaniu mamy, miała cichą nadzieję, że wiążą się one z jej tatą. Wzięła głęboki oddech i wysoko podniosła głowę. W końcu miały je spotkać dobre rzeczy! Miała poznać swojego tatę, a on miał się nimi zaopiekować. Po tak długim czekaniu i rozmawianiu o tym z Jezusem wszystkie jej marzenia miały w końcu się spełnić.

Tego dnia jej mama była zadowolona, nawet wtedy gdy zebrały o pieniądze. Savannah poczekała, aż wsiądą do metra, żeby wrócić do domu, i wtedy zdecydowała, że to dobry moment na zadanie kilku pytań. - Te dobre rzeczy, które mają się wydarzyć, to dzięki mojemu tacie, prawda? - zaczęła.

Mama zaśmiała się słabo. - Tak, kotku. Wszystko dzięki twojemu tacie - przyznała.

Savannah poczuła delikatny dreszczyk ekscytacji. - To kiedy go poznam? Dzisiaj czy jutro, a może później w tym tygodniu? - spytała.

Jej mama przestała się śmiać. - No... tak naprawdę to może wcale go teraz nie poznasz - zawahała się. Początkowo w jej oczach pojawił się jakiś niepokój, lecz po chwili znów się uśmiechnęła. - Zamiast tego on przyśle nam prezent. Bardzo, bardzo ładny prezent.

Savannah nie chciała prezentu. Ona już miała plastikowy krzyżyk od dziadka Teda i zdjęcie taty oprawione w ramki, co całkowicie jej wystarczało. To, czego chciała, to poznać swojego tatę, a nie dostać od niego prezent. Poczula łzy w oczach i otarła je szybko, aby mama nie pomyślała, że jest niewdzięczna. - Czy... czy w takim razie poznam go później? - pytała dalej.

- Dużo później - stwierdziła mama i pogłaskała ją po głowie. - Nie przejmuj się, Savannah. Na razie prezent od twojego taty całkowicie nam wystarczy.

Podczas jazdy do domu nie zadawała już więcej pytań. Na razie? Oparła się z tyłu o twarde, trzeszczące siedzenie i patrzyła na przesuwane się za oknem ściany. Przez cały dzień była szczęśliwa, bo już niedługo miała poznać swojego tatę. Tak bardzo chciała go poznać, ale „dużo później” było jakiegoś takie odległe. Mogło oznaczać cały tydzień, a może miesiąc. Była bardzo ciekawa tego swojego taty, bo jego oczy i uśmiech były bardzo miłe i on teraz miał przysłać jej prezent - co też było bardzo miłe. Ale czy nie wiedział, że wszystkim, czego chciała, jest on? Tata, który będzie ją trzymał w ramionach i huśtał, i opiekował się nią, aby mama mogła zrobić sobie przerwę, o której zawsze mówiła. Jej własny tata, który był królewiczem z bajki.

Cóż mogło być lepszym prezentem niż on sam?

Po tygodniu przeglądania kawałków życia Josha Annie wiele się dowiedziała o swoim synu, ale wciąż miała silne poczucie, że jej poszukiwania powinny trwać dalej. Rozmawiała z Thomasem Flynnem i dowiedziała się, że Josh kontaktował się z nim w sprawie swojego przyjaciela Keitha.

- Dużo latam, więc miałem milion dodatkowych kilometrów - powiedział jej Thomas. - Nie było dla mnie żadnym problemem podarowanie części darmowych kilometrów przyjacielowi Josha, żeby mógł polecieć do domu i zobaczyć się z chorym ojcem.

Lecz nigdy nie doszłoby do tej podróży, gdyby Josh nie zatelefonował do Thomasa, gdyby nie zależało mu tak bardzo na przyjacielu, by ze względu na jego trudną sytuację położyć na szali własną dumę.

Drugiego dnia poświęconego na przeszukiwanie mieszkania Josha Ethel - stara kobieta, która mieszkała nad nim - zeszła po schodach na dół i usiadła na godzinę z Annie i Lindsay.

- Nie mam rodziny - wyjaśniła. - Josh był dla mnie jak wnuk, którego nigdy nie miałam. Wychodzenie z miesz-

kania sprawia mi ogromną trudność, więc kilka lat temu spytał mnie, czy mógłby kupić mi coś do jedzenia - gdy mówiła, miała łzy w oczach. - Potem stało się to rutyną. Co sobotę kupował po prostu to, co miałam jeść przez następne siedem dni, a czasami kupował mi jakąś drobną niespodziankę - jakieś pudełko świeżych ciasteczek z piekarni albo mały bukiet kwiatów na mój stół w kuchni.

Annie słuchała tego z ogromnym zainteresowaniem, czasami odczuwając zazdrość, że Josh poświęcał mnóstwo uwagi tej obcej kobiecie, zamiast przynosić kwiaty po prostu jej samej. Lecz szybko poprawiła swoje nastawienie, a wtedy ogarnęła ją duma z powodu decyzji pomagania sąsiadce, jaką podjął jej syn. - I płaciła mu pani, gdy przynosił jedzenie, tak się umówiliście? - spytała.

- Nigdy - zaprzeczyła stanowczo staruszka i koniuszkami palców starła spod oczu łzy. - Josh nigdy nie pozwolił mi za nic zapłacić.

Historia tej kobiety wprowadziła Annie w zdumienie; poczuła dziwną lekkość na sercu. Jej syn miał bardzo napięty budżet, tak napięty, że musiał regularnie telefonować do niej i Nate'a z prośbą o pieniądze, które zamierzał oddać po otrzymaniu odszkodowania. I choć sam miał tak mało środków, postanowił co tydzień kupować jedzenie starej kobiecie.

Annie pomyślała o tych ludziach, którzy startowali w wyborach w ich okręgu, bywalcach z aspiracjami politycznymi. Nie tak dawno pewien kurator z rejonu szkolnego Nate'a przekazał pięć tysięcy dolarów ze swoich pieniędzy lokalnemu oddziałowi pewnej organizacji

o charakterze edukacyjnym, Pacific Trading Academy. Wydał przyjęcie dla całego oddziału PTA. Była całkowicie bezpłatna kolacja z grilla dla uczestników i długa, ciągnąca się do późna przemowa. Człowiek ten skontaktował się z mediami i tak się złożyło, że to Lindsay otrzymała zadanie opisanie tej historii, która ukazała się potem pod tytułem „Miejscowy nauczyciel daje prezent PTA”.

Wydawało się, że nikt się nie zorientował, z jaką determinacją ten człowiek zabiegał o to, aby zauważono jego gest. Annie wspomniała wówczas Nate'owi, że dar tego mężczyzny wydaje się okropnie wyrachowany. - Biblia mówi - powiedziała - że jak się coś daje, to prawa ręka nie powinna wiedzieć, co robi lewa ręka.

Nate się zaśmiał. - Każda ręka w PTA wiedziała o tym prezencie - stwierdził.

Lecz nie tak było z darem Josha dla starej sąsiadki. Jej syn jakby z natury miał zakodowane, że tylko wtedy będzie czuł się dobrze, kiedy ofiaruje swój dar w taki sposób, aby nikt inny o tym nie wiedział. Bez wątpienia była to nauka, jakiej Josh przez wiele lat mnóstwo razy słuchał w szkółce niedzielnej, lecz aż do dziś Annie mogłaby przysiąc, że jej syn zapomniał wszystko, co jako dziecko słyszał o Piśmie Świętym.

Teraz myślała całkowicie odmiennie.

Wszystkim, czego się dowiadywała, dzieliła się z Nate'em. Poprzedniego wieczoru, gdy rozmawiali o podróży Keitha do domu, oczy Nate'a wezbrały łzami i długo nie był w stanie niczego powiedzieć. Kiedy ponownie odzyskał głos, wziął ją za rękę. - Tak jak ci powiedziałem,

nie każdy jest gwiazdą w sporcie albo w życiu. Ale to nie oznacza, że Josh był nieudacznikiem - stwierdził. Jego podbródek drżał, twarz miał napiętą, jakby zmagając się z narastającą w nim rozpaczą. - Zawsze wierzyłem w Josha, wierzyłem, że on jest dobrym chłopcem, dobrym synem - ciągnął, kręcąc głową i starając się opanować emocje. - Cieszę się, gdy słyszę te rzeczy, ale nie zaskakują mnie one, Annie, tak jak zaskakują ciebie.

Miała ochotę pokłócić się z nim, lecz nie mogła. On miał rację i zamiast zaprzeczać swoim odkryciom, które rzucały całkiem nowe światło na wspomnienia o ich synu, pragnęła uchwycić te nowe sygnały jak najpełniej. Nawet najbardziej bolesne informacje, takie jak list od Marii Cameron, w którym ta kobieta stwierdzała, że Josh nie może odwiedzić Savannah ani rościć sobie do niej żadnych praw, dopóki nie wymyśli jakiegoś sposobu na wysyłanie jej co miesiąc czterech tysięcy dolarów.

Twoje sto dolarów niczego nie zmienia - pisała ta kobieta. - Będę trzymała Savannah z daleka od ciebie, aż wreszcie wymyślisz sposób na zarabianie pieniędzy. Savannah potrzebuje pieniędzy, a nie jakiegoś sentymentalnego autorytetu. Nie usłyszysz już od nas ani słowa, dopóki nie znajdziesz pieniędzy. Inaczej powiem jej, że jesteś nieudacznikiem jak wszyscy faceci.

List był przesycony jadem. Annie zrobiło się niedobrze, jak tylko dotknęła papieru, jakby brud tej kobiety wciąż mógł się znajdować na brzegach kartki. Po przeczytaniu tego listu odłożyła go na bok dla adwokata. Po znalezieniu tego pisma jej przekonanie, że tej kobiecie nie zależało na

niczym więcej niż wyciągnięcie pieniędzy od jakiegoś - jakiegokolwiek - mężczyzny, jeszcze się wzmogło. Ta dziewczynka nie jest dzieckiem Josha. Jednocześnie poczuła żal, że jej syn w ogóle został podstępem skłoniony do spania z taką kobietą jak Maria Cameron. Josh wiedział swoje. Choć przecież lekcje o czystości były prowadzone równolegle z lekcjami o pomaganiu innym.

Przez dwie godziny po przeczytaniu listu od Marii Cameron Annie zastanawiała się, gdzie ona i Nate popełnili błąd, że ich syn pojechał do Las Vegas, akurat tam, i spędził noc z taką kobietą. Lecz potem stopniowo jej serce zaczęło mięknąć i przyłapała się na tworzeniu scenariusza mogącego tłumaczyć tę nieszczęsną decyzję Josha, podjętą w tamten weekend.

Stracił wówczas Becky Wheaton. Ona była już zmęczona czekaniem, aż Josh w końcu rzuci palenie i picie i zacznie poważnie podchodzić do życia, dlatego związała się z młodym mężczyzną, który studiował prawo. Josh nie mógł z nim konkurować, a po przeniesieniu się do Denver i podjęciu pracy musiał być bardzo samotny. Ten weekend w Vegas pewnie poprzedzała jakaś bardzo impulsywna, nagła i nieprzemyślana decyzja; był to sposób na zapomnienie o pustce w jego sercu, pustce, którą spowodował brak obecności Becky w jego życiu.

Kto mógł wiedzieć, co powiedziała mu Maria Cameron? Mogła wymyślić jakąś smutną historię o tym, że była samotna podobnie jak on. Jeśli potrzebowała przyjaciela, powiernika czy miejsca, gdzie mogłaby się zatrzymać, Josh by jej pomógł. Pomyślała o tej parze z zespołem Downa

i o mieszkającej piętro wyżej Ethel. Tak, z pewnością Josh by jej pomógł. Nie był na tyle mądry w rozumieniu mądrości światowej, aby rozpoznać pułapkę, jaką najwidoczniej zastawiła na niego ta kobieta.

Cała ta sytuacja była zbyt smutna, żeby nad nią rozmyślać, więc Annie ruszyła do następnych pudełek z rzeczami osobistymi Josha, do następnych wspomnień, które stanowiły przeszłość jej syna.

Był wtorek i znajdowała się sama w mieszkaniu. Nate i Lindsay mieli wpaść później i przynieść torby na pościel Josha. Większość jego mebli przewozili do pustego pokoju w ich domu w Black Forest. Teraz będzie to pokój gościnny, miejsce, gdzie będzie mogła żyć pamięć o Joshu.

Annie przesunęła jeszcze dwa pudełka w stronę wejścia do mieszkania Josha, a potem wyprostowała się, by złapać oddech. Gdy to zrobiła, spojrzała na komputer syna i uświadomiła sobie, że jest to obszar, do którego jeszcze nie zaglądali. Usiadła na jego krześle i nachyliła się, aby włączyć komputer. Chwilę później na monitorze pojawił się obraz i Annie zastanawiała się, od czego zacząć. Otworzyła program Microsoft Word i sprawdziła listę dokumentów.

Jeden z nich nazywał się po prostu „Savannah”.

Serce Annie jakby zwolniło na chwilę, poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Czy on był aż tak pewien, że ta dziewczynka jest jego córką, skoro utworzył ten dokument? Jakie to smutne, że uwierzył komuś takiemu jak Maria Cameron i tak się przejął tym wszystkim. Kliknęła dwukrotnie, a po chwili dokument pojawił się na ekranie.

Był napisany małą czcionką, z pojedynczą interlinią pomiędzy wierszami.

Droga Savannah - tak zaczynał się ostatni wpis. - ***Już od trzech dni nie pisałem do Ciebie, więc pomyślałem, że lepiej nadrobię zaległości...***

Annie poczuła się tak, jakby żołądek podskoczył jej do gardła. Jej syn na bieżąco prowadził pamiętnik dla tej dziewczynki, jakby ona naprawdę była jego córką i pewnego dnia miała przeczytać wszystko, co do niej napisał. Annie sprawdziła opis na dole ekranu, pasek zawierający informacje o dokumencie. To, co tam przeczytała, zaparło jej dech w piersiach. Pięćdziesiąt trzy strony. Jej syn musiał prowadzić ten pamiętnik, odkąd dowiedział się o tym dziecku.

W dokumencie było napisane to wszystko, co mógłby powiedzieć tej dziewczynce, gdyby żył na tyle długo, by kiedyś przejąć nad nią opiekę i po prostu stać się jej ojcem. To zdjęcie na gzymsie kominka i ten plik ukryty w komputerze - wszystko to pozwalało mu myśleć, działać i czuć się tak, jakby myślał, działał i czuł, gdyby miał dziecko. A skoro nie było mu to dane, Annie nie miała wątpliwości, że każde napisane tu słowo przemówi wprost do jej duszy, do tego wyjątkowego miejsca, które zawsze należało tylko do Josha.

Upewniła się, czy w drukarce jest papier, i po kilku kliknięciach urządzenie zaczęło pracować, wypuszczając łagodnie na podajnik poszczególne kartki pamiętnika. A gdy dokument był drukowany, Annie skończyła czytać ostatni wpis:

Droga Savannah,

Już od trzech dni nie pisałem do Ciebie, więc pomyślałem, że lepiej nadrobię zaległości. Wiem, że ostatnio dużo Ci o tym pisałem, ale naprawdę w tych dniach czuję się tak, jakbym był bliżej Boga. On przeprowadza mnie przez ten proces, przez ten etap mojego życia, i wiem, że gdzieś tam On Ciebie też przez coś przeprowadza.

Znalazłem werset z Biblii, którym chciałbym się z Tobą podzielić, kochanie. To jest werset 50 z Psalmu 119 i brzmi on tak: „W moim ucisku to pociechą dla mnie, że Twoja mowa obdarza mnie życiem”. Wiesz o moim wypadku i o tym, ile muszę cierpieć. Lecz ostatnio więcej czytałem Biblię i zrozumiałem, że ta obietnica jest prawdziwa. Nawet więcej niż prawdziwa. Słowo Boże ożywia mnie, Savannah, i pewnego dnia - już wkrótce, gdy tylko dostanę odszkodowanie - odnajdę Cię. Razem możemy uczyć się o Jezusie i o obietnicach, jakie daje Jego Słowo.

Annie poczuła łzy na policzkach i sięgnęła po chusteczkę higieniczną. Ostatnio zawsze trzymała pudełko z chusteczkami w zasięgu ręki. Pamiętnik dla dziecka, które prawdopodobnie nie było jego, to pierwsza szokująca rzecz. A teraz to: jej syn zbliżył się do Boga. Kiedy to się stało? I dlaczego ona i Nate nie słyszeli o tym? Przerzuciła wzrokiem kilka kolejnych stron i zobaczyła, jak często w tygodniach poprzedzających śmierć Josh pisał o Jezusie.

Znalazła wpis sprzed dwóch miesięcy i jej wzrok padł na akapit w połowie strony.

Któregoś wieczoru oglądałem teledyski z muzyką country i nagle pojawiła się Wynonna Judd śpiewająca piosenkę o niebie. „Mogę sobie tylko wyobrazić” - to był jej tytuł. Savannah, mogę Ci tylko powiedzieć, że w ciągu tych następnych kilku minut uświadomiłem sobie, że zbyt długo uciekałem przed Bogiem. I nagle jakbym w końcu zrozumiał, jak ważna jest relacja z Nim i jak bardzo On pragnie, abym całkowicie oparł się na Jego mocy i sile. Od tamtej pory co tydzień chodzę do kościoła i czuję, jak Bóg mnie przemienia. Kocham Go bardziej niż życie, Savannah. Pewnego dnia Ty też Go pokochasz.

Annie odchyliła się do tyłu na krześle i przypomniała sobie pewną sytuację. Było to na tydzień przed śmiercią Josha, gdy Lindsay wpadła do niej, żeby porozmawiać. Lecz Annie nie miała dla niej czasu, bo rozmawiała przez telefon, a potem musiała w pośpiechu przygotować kolejną kolację, kolejne przyjęcie, które miało pomóc Nate'owi w ponownych wyborach do Komisji Oświaty. Lindsay wspomniała coś o znalezieniu przez Josha jakiejś piosenki o niebie i o tym, że znów chodził do kościoła i że się zmienił. Przypomnienie sobie swojej odpowiedzi było dla niej jak uderzenie pięścią w twarz. Odrzuciła to wszystko, co próbowała jej powiedzieć Lindsay, odmawiając słuchania tych informacji, jakby one nie były niczym innym jak tylko kolejną pustą obietnicą złożoną przez Josha.

Lecz tutaj znajdował się dowód, że Lindsay miała rację, że Josh naprawdę odnalazł bliższą relację z Bogiem w tych

tygodniach przed swoją śmiercią. To tłumaczyło coś, co powiedział Carl Joseph podczas drugiej wizyty w mijającym tygodniu. Wspomniął, że Josh chodził do kościoła z nim, Daisy i jego rodziną. Ponownie Annie odrzuciła tę informację, myśląc, że Carl Joseph mylił zamiar z rzeczywistym postępowaniem. Znów spojrzała na wpis w pamiętniku. Najwidoczniej się nie mylił.

Zrobiło się jej ciepło na sercu, gdy pomyślała o tym, że Josh odzyskał wiarę, lecz jednocześnie zaczęło jej ciążyć poczucie winy, bo przecież kolejny raz jej zabrakło wiary. Ile by ją kosztowało, gdyby słuchała trochę bardziej uważnie, a potem zadzwoniła do Josha, pogratulowała mu i spytała, jak doszło do tej przemiany jego serca? Od śmierci Josha Annie czuła, że ciąży jej to wszystko, co stracił jej syn. Lecz teraz dotarło do niej, jak wiele sama straciła.

Znów pomyślała o tym, jak byłaby szczęśliwa, gdyby mogła spędzić z nim choćby jeszcze dziesięć minut. Przede wszystkim mogłaby porozmawiać z nim o jego wierze i o tym, co doprowadziło do przemiany jego serca. Jaka byłaby to radość, móc dzielić z nim taką chwilę, mając w pamięci cały ten ból, jakiego doświadczał. Lecz Annie przegapiła swoją szansę i ta świadomość była dla niej smutniejsza niż cokolwiek innego. *Josh, mój synu... przepraszam* - mówiła w duchu, zwiesiwszy głowę. - *Boże drogi, tak wiele przegapiłam. Jaka matka przegapia takie chwile?*

Jedyną odpowiedzią, jaką otrzymała, było to, co Josh pozostawił w ostatnim wpisie w pamiętniku: *W moim ucisku to pociechą dla mnie, że Twoja mowa obdarza mnie*

życiem. Boże Słowo. Tak, tutaj mogła znaleźć uzdrowienie i pocieszenie w tych tygodniach, miesiącach i latach, jakie miała przed sobą, w życiu, jakie jej pozostało, w którym tęsknota za Joshem będzie jej codziennym doświadczeniem. Więcej czasu poświęci na czytanie Słowa Bożego, podejmując na nowo podróż, którą rozpoczął Josh na kilka tygodni przed śmiercią, i znajdując pocieszenie w prawdzie Pisma Świętego.

Jej smutek zmniejszył się na tyle, że znów mogła oddychać. Pamiętnik Josha się wydrukował, więc przejrzała pobieżnie pozostałą część listy z dokumentami. Należało przeczytać każdy z nich na wypadek, gdyby zawierały jakieś nowe fakty z życia jej syna. Teraz chciała sprawdzić Internet.

Za pomocą przycisku na dole ekranu włączyła przeglądarkę internetową Safari i spojrzała na listę zakładek na górze strony. Pierwszy był Facebook. Annie otworzyła go i natychmiast znalazła się na osobistej stronie internetowej Josha, zawierającej więcej informacji, niż była w stanie ogarnąć przy pierwszym spojrzeniu. Niemal w tym samym czasie w prawym dolnym rogu ekranu pojawiło się okienko. Była to seria wiadomości od kogoś, kto krył się pod nazwą „Pani Niezależna”. Ostatni komunikat był następujący: ***I, już na poważnie. Co się z tobą dzieje? Od tygodnia nie mam od ciebie żadnych wieści! Wygląda to tak, jakbyś wyciął mnie ze swojego życia. Proszę! Napisz do mnie zaraz!***

Annie czuła się bardzo dziwnie, gdy przewijała w dół wiadomości. To była przyjaciółka, o której nic nie wie-

działa, ktoś, kto najwyraźniej utrzymywał codzienny kontakt z jej synem. Czy była to kolejna Maria Cameron, a może ktoś jeszcze gorszy? Annie czuła, że kręci jej się w głowie, lecz gdy czytała kolejne wiadomości, odkryła piękną i niewinną przyjaźń. Ta kobieta nazywała się Cara Truman i była samotną matką mieszkającą w Arizonie.

Zgodnie z tym, co było napisane w wiadomościach, Cara oddała swoje życie Panu pod wpływem tego, co Bóg zrobił w życiu Josha. To tu, to tam Annie widziała w tym, co czytała, ledwie dostrzegalny cień romansu, lecz nie było w tym nic wyraźnego, żadnych konkretnych planów. Znowu poczuła ciężar utraty Josha. To był kolejny nieznaną szczegół jego życia, jeszcze jeden aspekt, którego nie była świadoma. On był nie tylko wspaniałym sąsiadem, ofiarnym młodym człowiekiem, bohaterem i gorliwym wyznawcą Chrystusa. Był także prawdziwym przyjacielem.

W żadnej z wiadomości Annie nie znalazła numeru telefonu tej kobiety. Umieściła palce nad klawiaturą. **Cześć**

— napisała. - ***Tu Annie, matka Josha. Proszę, zadzwoń do mnie, najszybciej jak możesz.*** Potem podała swój numer telefonu komórkowego i kliknęła przycisk „wyślij”.

Gdy godzinę później nadal przeglądała pliki komputerowe Josha, zadzwonił telefon. Nie rozpoznawała numeru, który pojawił się na wyświetlaczu. - Cześć, tu Annie

- odebrała połączenie.

- Cześć, tu mówi Cara Truman. Zostawiłaś mi wiadomość - w głosie kobiety słychać było lęk, miało się wrażenie, że wstrzymuje oddech.

- Caro, chcę ci powiedzieć coś bardzo smutnego o Joshu - zaczęła Annie. Spodziewała się krótkiej i rzeczowej rozmowy, tak jak w innych przypadkach, gdy telefonowała do starych przyjaciół Josha albo do znajomych, których numery były zapisane w jego telefonie komórkowym. Lecz Cara Truman była inna. Bardzo przejęła się informacją o śmierci Josha, jakby jego strata była dla niej jedną z największych tragedii w życiu.

- On... on był najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałam — powiedziała łamiącym się z rozpaczyny głosem. - Nikt nigdy nie troszczył się o mnie tak jak on.

Młoda kobieta otworzyła przed nią swoje serce i opowiedziała jej, jak poznała Josha przy okazji gry w pokera on-line, a potem napisała do niego, gdy gra się skończyła. - On nie był taki jak inni faceci - mówiła. - Niczego ode mnie nie chciał.

- To jest do Josha podobne - stwierdziła Annie. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie swojego syna. Pomyślała też o tym wszystkim, czego się o nim ostatnio dowiedziała. - Jestem... jestem z niego bardzo dumna.

Podczas rozmowy Annie obiecała, że będzie w kontakcie z Carą. Obie zgodziły się, że Josh by tego chciał. Tuż przed odłożeniem słuchawki Cara zapytała: - A co z jego córką?

Annie poczuła, że serce zaczęło jej szybciej bić. - Jego córką? - zdziwiła się. Co Josh powiedział Carze o tej dziewczynce?

- Z Savannah. Ciągle o niej mówił - wyjaśniła przejęta Cara. - Wszystko, czego pragnął, to dostać wreszcie

odszkodowanie, odnaleźć swoją małą dziewczynkę, kupić dom i stworzyć jej dobre warunki do życia - bez względu na to, jak wiele czasu będzie mógł z nią spędzać. - Pociągnęła nosem i spytała: - Czy ktoś zamierza się z nią skontaktować?

Po raz pierwszy, odkąd Annie dowiedziała się o tej małej dziewczynce, poczuła zawstydzenie z powodu swojej postawy. Bo niezależnie od tego, jak bardzo zły w skutkach był dla Josha wyjazd do Vegas i kontakt z Marią Cameron, to nie dało się z całkowitą pewnością wykluczyć faktu, że ta dziewczynka jest córką Josha. Gdy przyznała się do tego przed samą sobą, to aż zakręciło jej się w głowie. - My... my nie jesteśmy pewni, że dziewczynka jest jego córką - bąknęła, lecz czuła, że próbuje się nieudolnie tłumaczyć.

- Och - mówiła dalej Cara życzliwym, lecz zarazem nieprzejeđnanym głosem. - Josh był tego pewien. Mogę za to ręczyć. Zdaje się, że ktoś powinien się tym zająć, bo Josh żył dla tej dziewczynki. Czasami tym, co pozwalało mu przetrwać, była nadzieja, że kiedyś zostanie jej tatą.

Cierpienie, jakie wywołała w Annie śmierć jej syna, wydawało się nie mieć granic. Westchnęła głęboko, pozwalając ujść nabrzmiałemu w niej bólowi; bólowi, który już sięgnął granic jej wytrzymałości. - Będziemy mieć to na uwadze - powiedziała w końcu. - Dziękuję, Caro, że byłaś jego przyjaciółką.

- To nie tak - odparła natychmiast, a w słuchawce dało się słyszeć jakby stłumiony szloch. - To ja czuję ogromną wdzięczność, że miałam tak niesamowitego przyjaciela.

Rozmowa się skończyła, Annie wstała i podeszła do kominka. Ile razy jej syn stawał w tym właśnie miejscu, patrzył na zdjęcie dwóch nastoletnich dziewczyn i myślał o tym, że bez względu na to, jak wiele znosił bólu, to przecież uratował życie dwóm osobom? I ile czasu spędził na patrzeniu na zdjęcie rodzinne, tęskniąc do chwili, gdy jego rodzice będą wreszcie z niego dumni? Potem zwróciła wzrok na fotografię dziewczynki. Savannah. Nie chciała dostrzec tego wcześniej, lecz było coś w twarzy tego dziecka, co przypominało Josha. A może Annie miała tylko poczucie winy, że kolejny dzień wykluczała możliwość, by ta dziewczynka była córką Josha. Podniosła zdjęcie i przyglądała mu się uważnie.

Savannah Cameron.

Gdyby była córką Josha, to zarazem byłaby wnuczką Annie. Było to więcej, niż potrafiła teraz przyjąć, z ciężkimi rękoma i jeszcze cięższym sercem odstawiła więc zdjęcie z powrotem na gzyms kominka. W jednym Cara miała rację. Musiały skończyć przeglądanie rzeczy Josha na wypadek, gdyby gdzieś znajdowała się informacja dotycząca miejsca pobytu matki tego dziecka.

Annie wróciła do sypialni syna. Ogromne poczucie straty wywołało w niej niepewność, czy będzie w stanie dalej prowadzić poszukiwania, czy proces poznawania syna będzie postępował. Pocieszyła się, przypominając sobie jedną wspaniałą informację, jaką wydobyło na światło dzienne dzisiejsze przeszukiwanie: Josh powrócił do wiary, którą wyznawał jako dziecko. Radość płynąca z tego faktu pomogła teraz Annie wykonać kolejny oddech i kolejny

raz zajrzeć do pudełka z rzeczami osobistymi jej syna. Josh stracił odszkodowanie i szansę na sukces, na który tak liczył. Stracił możliwość głębszej relacji ze swoją przyjaciółką Carą i stania się ojcem dla Savannah, czego tak bardzo pragnął.

Ale nie stracił nieba.

Thomas odłożył słuchawkę i poprosił sekretarkę, żeby nie łączyła do niego żadnych rozmów. Potrzebował kilku minut na przemyślenie tego, czego się właśnie dowiedział. Informacja ta przyszła do niego e-mailem, lecz żeby się upewnić, zadzwonił osobiście do kliniki. Prawdopodobnie nie powinien być zaskoczony tą wiadomością, lecz jej nieodwracalność poraziła go. Wynik badania był pozytywny.

Josh był ojcem Savannah. Ten fakt nie podlegał już teraz dyskusji.

Zakrył twarz dłońmi i wyobraził sobie Josha, przypomniał sobie, z jaką powagą siedział na krześle naprzeciwko niego w jego kancelarii i mówił o Savannah, jakby już wówczas znał wynik tego badania. Ona była jego córką, nigdy nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Dlatego mówił o niej, gdy występował jako świadek w procesie, i z tego powodu do końca pragnął tylko jednego - stania się ojcem dla Savannah.

Thomas odetchnął głęboko i odchylił się do tyłu w fotelu. Gdyby ta wiadomość przyszła, gdy jeszcze Josh żył, kiedy wciąż jeszcze zajmował to miejsce naprzeciwko niego. Jego ból natychmiast by się usunął na drugi plan, gdy

by się dowiedział, że Thomas odnalazł dziewczynkę i że badanie wykazało, że jest ona jego córką.

Teraz nadejście tej wiadomości wydawało się niesprawiedliwością. Josh został pozbawiony szansy poznania córki, a Maria Cameron zamierzała odejść z pieniędzmi z odszkodowania, z pieniędzmi, za które Josh oddał swoje życie. Wstał, lecz pod ciężarem tej wiadomości ledwie rozprostował ramiona. Teraz musiał jeszcze powiedzieć

o wszystkim Annie i Nate'owi.

Zadzwoił na telefon komórkowy Annie i nie był zaskoczony, gdy się dowiedział, że obie z Lindsay są w mieszkaniu Josha. Był wtorek, trzeci tydzień od śmierci Josha,

1 Annie spędzała niemal każdą minutę na przeglądaniu rzeczy syna. Wskutek tego, czego dowiedziała się o Joshu, Annie była jakby inną osobą. Można było odnieść wrażenie, że te wszystkie odkrycia, które dzień po dniu przemieniały ją w osobę o łagodniejszym sercu, pochodziły od samego Boga. Stawała się też jakby mniej ambitna w wielu sprawach, które teraz, po odejściu Josha, straciły na znaczeniu.

- Dzisiaj znów dowiedziałam się o nim czegoś nowego - powiedziała mu. - Poznałam jego przyjaciółkę, o której istnieniu dowiedziałam się z jego komputera, i rozmawiałyśmy ze sobą przez godzinę. Mówi, że Josh opowiadał jej o Jezusie. Czy to nie jest coś niesamowitego?

Thomas wparł łokcie na biurku. - To prawda - przyznał.

- I powiedziała mi, że jest samotną matką i że Josh zmotywował ją do tego, aby była lepszą mamą, żeby dzieci stały się dla niej ważniejsze niż przedtem i...

- Przepraszam - przerwał jej. Słowa, które wypowiedziała, przypomniały mu, że dzisiejszego wieczoru miał pójść na koncert fortepianowy syna. Josh zrobił na nim takie samo wrażenie. - Nie chce ci przerywać, Annie, ale musimy porozmawiać. Czy mogę do ciebie przyjechać?

Annie zrobiła pauzę, a w jej głosie pojawił się niepokój. - Czy to dobre wieści, Thomas? - spytała podejrzliwie.

- Porozmawiajmy o tym osobiście.

- No dobrze. Czekam na ciebie.

Thomas zabrał aktówkę i kluczyki do samochodu i powiedział sekretarce, że tego dnia już nie będzie go w pracy. Chciałby, aby również Nate był obecny podczas tej rozmowy, i miał nadzieję, że Annie poinformuje go o spotkaniu. Ważne było, aby otrzymali tę wiadomość jak najszybciej.

Nawet jeśli po jej usłyszeniu ich życie nie będzie już takie samo jak wcześniej.

Coś w jego głosie powiedziało Annie, że nastąpił jakiś radykalny i być może tragiczny w skutkach rozwój wypadków w sprawie sądowej Josha przeciwko towarzystwu ubezpieczeniowemu. Jak tylko skończyli ze sobą rozmawiać, natychmiast zadzwoniła do Nate'a i poprosiła go, by wyszedł z pracy i jak najszybciej przyjechał do mieszkania Josha. Niezależnie od tego, jakie to były wiadomości, nie chciała ich słuchać bez niego.

W trakcie krótkiej rozmowy z Nate'em podeszła do niej Lindsay i gdy Annie się rozłączyła, natychmiast padło pytanie córki: - Co się stało?

- Dzwonił Thomas Flynn. Jedzie tutaj - oznajmiła. Czują, jak zamiera jej serce. - Ma nam coś do powiedzenia.

- Coś niedobrego?

- Nie powiedział - odparła, lecz ton jej głosu poinformował Lindsay, że Thomas prawdopodobnie nie ma dla nich dobrych wieści.

- Może doszło do ugody albo przynajmniej złożyli swoją propozycję - stwierdziła Lindsay, siadając na krześle jak najbliżej matki i wsuwając nogi pod spód. - To wszystko miało się przecież niedługo skończyć, prawda?

- Thomas powiedziałby to; powiedziałby, że zapadł wyrok, nawet gdyby nie chciał rozmawiać o tym przez telefon.

- A nie powiedział tego?

- Nie - odparła Annie. Jeszcze przez kilka minut rozmawiały o tym, co mogło się wydarzyć. - Jakiś tydzień temu powiedział, że pojawiły się jakieś komplikacje związane z majątkiem Josha, chyba jakieś wątpliwości.

Żadna z nich nic z tego nie rozumiała, więc po prostu czekały na przyjazd adwokata, rozmawiając na temat Cary Truman, Keitha i Ethel i podkreślając, jak wspaniałym człowiekiem był Josh. Nate przyjechał do mieszkania jako pierwszy. Wszedł do środka z szeroko otwartymi oczyma i bledszą niż zwykle twarzą.

Znów nawiązała się nieskładna rozmowa, nerwowa i w zasadzie o niczym, prowadzona jedynie dla zabicia czasu. Po kilku minutach rozległo się pukanie do drzwi. Lindsay otworzyła je i twarz Thomasa upewniła Annie w przekonaniu, że to, co nadchodziło, nie było niczym

dobrym. Zajęli miejsca tak, że Annie i Nate siedzieli na kanapie Josha, a Lindsay usiadła w fotelu od kompletu. Thomas przysunął sobie krzesło komputerowe i dość długo tylko się im przyglądał. Trzymał w dłoniach tekturową teczkę, lecz nie otworzył jej.

Thomas zwrócił się do Nate'a: - Annie powiedziała mi, że w ciągu tych ostatnich dziesięciu dni dużo się dowiedzieliście o Joshu.

- Tak - potwierdził Nate opanowanym głosem, choć wszyscy w pokoju chcieli wreszcie zadać jedno pytanie: co takiego się wydarzyło, że adwokat rzucił wszystkie swoje zajęcia i przyjechał prosto do mieszkania Josha? Nate splótł palce i się pochylił. - Bóg okazał nam swoją dobroć, pozwalając nam zobaczyć obraz naszego syna, którego wcześniej nie dane nam było dostrzec.

Thomas powoli pokiwał głową i opuścił wzrok. Przez chwilę patrzył na swoje dłonie. Gdy znów spojrział w górę, w jego oczach był taki smutek, jakiego Annie nigdy jeszcze nie widziała u żadnego mężczyzny. - Obawiam się, że mam więcej informacji o Joshu - zaczął.

Wszyscy troje czekali w milczeniu; nikt z nich nawet nie zamrugął. Jedynymi dźwiękami, jakie słyszeli, były cicha praca lodówki Josha i delikatne tykanie zegara wiszącego na ścianie w kuchni. A oprócz tego jeszcze łomotanie serca Annie; była przekonana, że słyszą je wszyscy zebrani w pokoju.

Thomas westchnął głęboko. - W ostatnich zeznaniach, tych, które Josh złożył dzień przed swoją śmiercią, powie-

dział przed sądem, że ma córkę. To uczyniło z niej jego jedyną spadkobierczynię - wyjaśnił.

Annie poczuła się tak, jakby pokój zaczął wirować. Przysunęła się bliżej Nate'a i oparła się na jego ramieniu, żeby mdlejąc, nie zsunąć się z kanapy i nie upaść na beżową wykładzinę pokrywającą podłogę. Wciąż jednak wszyscy milczeli.

- Z powodu złożonego przez Josha zeznania zostałem zobowiązany do dołożenia wszelkich starań i odnalezienia matki tej dziewczynki, niejkiej Marii Cameron z Nowego Jorku - oznajmił i zacisnął usta. - Odnalazłem ją w piątek po śmierci Josha i później tego samego dnia wysłałem jej wiadomość. Zgodnie z prawem musiałem jej powiedzieć, że dziewczynka mogłaby zostać spadkobierczynią odszkodowania - w jego głosie słychać było pogardę. - Nie trzeba dodawać, że skontaktowała się ze mną w następnym tygodniu, najszybciej, jak to było możliwe.

- Dlaczego... dlaczego nie powiedziałeś nam o tym wszystkim? - spytał Nate. W jego głosie nie słychać było gniewu, tylko zdumienie.

- Chciałem wierzyć, że to poszukiwanie do niczego nie doprowadzi - stwierdził Thomas, wzdychając. - Nie chciałem was niepokoić bez powodu.

- I... - Nate nie musiał tak naprawdę pytać, wszyscy w pokoju doskonale rozumieli, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Poleciałem, żeby ta dziewczynka została poddana badaniu na ustalenie ojcostwa. Mieliśmy już wyniki Josha. Jest to typowe postępowanie w takich sprawach jak ta,

gdzie on podejrzewał, że był ojcem tego dziecka, i gdzie ojcostwo nie zostało jeszcze ustalone.

Jego słowa zaczęły tworzyć pewną całość i Annie poczuła, że jej świat wywraca się do góry nogami.

- Ta kobieta oczywiście okazała się uległa, zgodna i chętna do współpracy, i bardzo pewna, że Josh był ojcem jej córki - powiedział. Podniósł do góry teczkę, którą trzymał w ręku, a potem znów ją opuścił. - Wyniki przysły tuż przed tym, jak zadzwoniłem do ciebie, Annie - oznajmił, nawiązując z nimi po kolei kontakt wzrokowy. - Bez wątpienia ta dziewczynka jest córką Josha.

Annie jedną ręką chwyciła Nate'a, a drugą brzeg kanapy. Nie... nie, to nie mogło być prawdą. Przez cały ten czas Josh miał rację? Miał córkę, lecz nawet jej nie zobaczył, nie przytulił, nie poznał? Odetchnęła głęboko kilka razy, a potem wstała i zaczęła chodzić do drzwi balkonowych i z powrotem. - Jesteś pewien? - spytała.

- Badanie stwierdza to jednoznacznie - powiedział Thomas, podając jej teczkę. - Wszystkie szczegóły są tutaj.

Położyła teczkę na kanapie i skrzyżowała ręce na piersi. Wyniki badania pociągały za sobą milion skojarzeń, lecz pierwsze z nich, to, które przeszywało jej serce, było następujące: Josh miał córkę, lecz ominęła go szansa bycia jej ojcem.

Thomas ciągnął dalej, mówiąc coś o ugodzie i o tym, że ta dziewczynka jest jedyną spadkobierczynią Josha i że cała kwota po odjęciu długów, które chłopak zaciągnął, trafi teraz do jego córki, i...

- Zaczekaj! - wyrzuciła z siebie Annie. Nagle pokój przestał wirować. Spoglądając prosto w oczy adwokata, spytała: - Chcesz powiedzieć, że stracimy odszkodowanie Josha?

- Tak.

- Cała kwota pójdzie dla tego... tego dziecka? - spytał z niedowierzaniem Nate.

- Tak. Lecz do czasu, aż dziewczynka skończy osiemnaście lat, kontrolę nad tymi pieniędzmi będzie sprawowała jej matka.

- Ale przecież moi rodzice zarządzają majątkiem brata. Czyż to nie oni powinni ustalić, czy w tej sytuacji ta dziewczynka naprawdę powinna zostać spadkobierczynią?

- wtrąciła Lindsay lekko podniesionym głosem, zrywając się na nogi. - Pisałam artykuły o podobnych sprawach

- oznajmiła. Potem spojrzała kolejno na Annie i Nate'a i dodała: - Możemy o to walczyć.

- Z pewnością możemy próbować - przyznał Thomas, poprawiając się na krześle i lekko się prostując. Pokiwał głową i mówił dalej z pewnych wahaniem: - Wasza sytuacja byłaby lepsza, gdyby Josh nie wspomniał w swoich zeznaniach przed sądem, że ma córkę, gdyby nie przyznał się do niej.

Annie coś sobie przypomniała. Pospieszyła do sypialni Josha i wróciła z listem od Marii Cameron, tym, w którym groziła Joshowi, że nigdy nie zobaczy dziewczynki, dopóki nie będzie płacił jej co miesiąc kilka tysięcy dolarów. - Posłuchajcie tego - powiedziała. Przeczytała kilka wybranych akapitów z najsmutniejszego fragmentu listu.

- Ta kobieta szantażowała Josha. Nawet nie pozwoliła mu zobaczyć tej dziewczynki. Nie ma takiej możliwości, żeby pieniądze z wypadku przypadły jej i jakiejś córce, której nigdy nie widział.

- Właściwie - powiedział Thomas, w jego głosie trudno było usłyszeć choćby cień nadziei - w tej sytuacji prawo stanowi bardzo jasno. W przypadku sprawy z zakresu prawa spadkowego jakiegokolwiek pieniądze należące do zmarłego automatycznie przechodzą na spadkobiercę majątku, chyba że zmarły zapisał w obecności świadka, że chce, aby jakaś część albo cały jego majątek nie zostały przekazane temu spadkobiercy.

- Innymi słowy, gdyby Josh zapisał, że nie chce, aby jego pieniądze przypadły tej dziewczynce czy raczej jej matce, to nie byłoby całej tej sprawy - upewnił się Nate, siedząc przez cały czas na kanapie. Przesunął się na brzeg i wyprostował plecy, najwyraźniej starając się zrozumieć sytuację, w której się nagle znaleźli.

- Zgadza się - potwierdził Thomas; wyglądał tak, jakby nie był pewien, jak powiedzieć następną część. - Problem w tym, że rozmawiałem o tym z Joshem wiele razy. Radziłem mu, żeby nie wspominał o tej dziewczynce przed sądem, przynajmniej dopóki nie zostanie zrobione badanie na ustalenie ojcostwa; dopóki nie miał pojęcia, gdzie ona jest, i prawie nic o niej nie wiedział.

Annie doskonale rozumiała, dokąd zmierza Thomas. Zamknęła oczy i wciąż go słyszała, słyszała błagalny ton głosu syna, próbującego przekonać ją i Nate'a, że to dziecko jest jego córką.

- Josh nie chciał o tym słuchać. Powiedział mi, że Savannah jest jego córką i że nigdy temu faktowi nie zaprzeczy: ani przed sądem, ani w żadnych innych okolicznościach.

Otworzyła oczy i spojrzała na zdjęcie nad kominkiem. Po raz pierwszy w ciągu wszystkich tych lat zobaczyła to podobieństwo tak wyraźnie - jakby patrzyła na twarz swojego syna w tym samym wieku. Mieli te same oczy. Annie musiała to widzieć przez cały czas, musiała to dostrzegać i jednocześnie temu zaprzeczać; jej rozum nie pozwolił, żeby serce uznało ten oczywisty fakt. Ta mała dziewczynka była córką Josha i zarazem ich wnuczką.

- Jak tylko jutro przyjdę do pracy, zapoznam się z prawem procesowym w tej kwestii - obiecał Thomas, zaciskając usta.

- Ja mogę sprawdzić ten artykuł, który pisałam, ten o podobnym przypadku - powiedziała Lindsay. - Ta kobieta już raz oszukała Josha - stwierdziła, spoglądając na Annie i Nate'a.

- Nie sądzę, żebyśmy teraz mieli się wycofać i pozwolić jej jeszcze raz oszukać Josha. Nie w sytuacji, gdy to odszkodowanie tyle dla niego znaczyło.

Rozmowa ciągnęła się jeszcze kolejne pięć minut, a potem Thomas opuścił ich z obietnicą, że zatelefonuje następnego dnia w porze lunchu. Jeśli zamierzali zakwestionować fakt, że to dziecko jest prawowitym spadkobiercą Josha, musieli ułożyć plan bitwy najszybciej, jak to było możliwe.

Gdy Thomas wyszedł, Nate pociągnął Annie w swoje ramiona. - Muszę wracać do biura - oznajmił, pocierając

policzkiem o jej policzek. - Nie przejmuj się tym. Poprosimy o modlitwę znajomych z Kościoła i Bóg nam pomoże. Wszystko będzie dobrze, jestem tego pewien.

Annie skinęła głową, nie miała siły mówić, była zbyt przybita. Ta wiadomość przeraziła ją i po początkowym wybuchu oburzenia czuła teraz tylko jedno: wątpliwość.

Lindsay też musiała jechać i zapytała Annie, czy nie chciałaby się do niej przyłączyć. - Chodź do mnie, mam. Kupimy po drodze kilka sałatek i będziesz mogła spędzić trochę czasu z Benem i Bellą - zaproponowała, pochyliła się i pocałowała ją w czoło. - Tęsknią za tobą.

- Nie jestem głodna - odparła Annie, patrząc obok córki na pudełka, które wciąż czekały na przejrzenie. - Przyjadę później, może za godzinę.

Lindsay wyszła niechętnie, i to dopiero po tym, jak Annie obiecała jej, że nie zostanie w mieszkaniu Josha dłużej niż godzinę. Annie rozumiała niepokój córki, lecz bycie tutaj, wśród rzeczy Josha, jego słów i muzyki, jego największych skarbów, stało się dla niej wręcz przyjemnością, stało się czynnością, dzięki której Josh znów był częścią jej życia.

Gdy została sama, jeszcze raz wróciła do zdjęcia stojącego na gzymsie kominka. Savannah była córką Josha, a ani ona, ani Nate nigdy nie chcieli uznać tego faktu. Lecz co by się stało, gdyby uznali, gdyby wynajęli prywatnego detektywa i odnaleźli Marię Cameron? Wówczas mogliby wymusić na niej to badanie na ustalenie ojcostwa, bo przecież twierdziła, że dziewczynka jest córką Josha. A potem, z wynikiem badania w rękę, Maria nie

miałaby wyboru, musiałyby pozwolić Joshowi na kontakt z dziewczynką.

Co oznaczało, że ostatecznie Josh miałby swą córkę. Gdyby tylko ona i Nate raz, tylko raz mu uwierzyli...

Zaczęły targać nią konwulsje, spazmy płaczu ogarniały jej serce i duszę, obciążając jej płuca i wypierając zdolność jasnego myślenia. Co oni zrobili? Co z tego, że ta kobieta spała z wieloma mężczyznami? Co z tego, że w momencie schadzki z Joshem w Vegas była mężatką? Nawet jeśli była z setką mężczyzn w tamtym miesiącu, wciąż istniała szansa, że to Josh był ojcem tego dziecka. I choć prawdopodobieństwo nie było duże, to z pewnością należało się upewnić, czy Josh faktycznie miał córkę. Czy Josh nie zasługiwał przynajmniej na to? On sam nie miał środków, aby wszcząć stosowne działanie - bitwę o opiekę nad dzieckiem. Jednak gdyby tylko otrzymał pomoc...

Pomoc, której Annie i Nate konsekwentnie mu odmawiali.

Boże drogi, co my najlepszego zrobiliśmy? - przemknęło jej przez myśl. Chwyła zdjęcie i zboląa powoli osunęła się na kolana. Ta mała dziewczynka ze zdjęcia nigdy nie poznała swojego taty, a teraz na wszystko było już za późno.

Josh nigdy nie będzie kołysał swojej nowo narodzonej córeczki, nigdy nie będzie przemawiał do niej pieszczotliwie i łagodnie, jak ojciec potrafi mówić do swojego dziecka. Został pozbawiony szansy trzymania jej za rękę, gdy będzie próbowała robić swoje pierwsze kroki, i nie zawiezie jej do szkoły, gdy będzie tam szła po raz pierwszy w życiu.

Ona zaś nigdy nie pozna uścisków ojca, jego silnych ramion. Nigdy nie pobiegnie do niego przez korytarz w swoim domu, wystraszona w środku nocy przez jakieś dziwne odgłosy. Nigdy nie pójdzie z nim za rękę do parku ani nie będzie się głośno śmiać, huśtana przez niego tak wysoko, że aż stopami ocierałaby o niebo.

Josh wiedział, że ona jest jego małą dziewczynką, lecz nie mógł nic zrobić. Zaczął prowadzić pamiętnik i wytoczył proces sądowy w przeświadczeniu, że z chwilą, gdy otrzyma odszkodowanie, będzie mógł zrobić to, czego tak bardzo pragnął, odkąd po raz pierwszy usłyszał o tej dziewczynce: będzie mógł rozpocząć walkę z Marią Cameron o prawo opieki nad dzieckiem. Annie przypomniawszy sobie, jak kiedyś zaczęli o tym rozmawiać, znów zobaczyła poważny wzrok Josha i usłyszała pasję w jego głosie, gdy mówił o tej dziewczynce.

- Nawet gdybym dostał jeden tydzień na rok, chcę, żeby ona mnie знаła. Chcę, żeby wiedziała, że ma tatę, który ją kocha.

Annie znów zaszłochała. Co ona zrobiła, gdy Josh to powiedział? Zmieniła temat rozmowy? Spytała Josha, czy chciałby jeszcze dokładkę spaghetti? Nic, co wiązało się z tym dzieckiem, nie wydawało się jej ani trochę realne. Żaden mężczyzna nie jeździł do Vegas, żeby spędzić noc z zamężną kobietą i zostać ojcem jej dziecka. Annie nie mogła się przemóc, by dopuścić do siebie taką możliwość.

A teraz było już za późno.

Przycisnęła zdjęcie do serca. - Przepraszam, Josh - szepnęła. - Nie wiedziałam.

Wcześniejsza rozmowa znów rozegrała się w jej myślach - wiadomość od Thomasa i jej reakcja, jej natychmiastowa pewność, że chce walczyć z matką dziewczynki. A także uwagi Nate'a o tym, że nic nie liczyło się dla Josha tak bardzo, jak otrzymanie tego odszkodowania.

Na tym skończyła. Podniosła się z wysiłkiem, wciąż mając przed sobą oczy tej dziewczynki. Nic dziwnego, że ogarniały ją wątpliwości, zarówno wtedy, jak i teraz. Przez siedem lat zaprzeczała prawdzie, nawet nie dopuszczała do siebie możliwości, że to dziecko to córka Josha. Przyłapała się na tym, że w inny sposób patrzyła na małą dziewczynkę na fotografii. Nie była już ona „tamtą dziewczyną” czy „tamtym dzieckiem”. Teraz była to Savannah, córka Josha. ***Od tej chwili będę myśleć o niej, zawsze pamiętając o jej imieniu -*** powiedziała do samej siebie Annie. ***Przynajmniej tyle jestem winna Joshowi.***

Gdyby Annie była pewna, że odszkodowanie trafi do Savannah, nie byłoby powodu do wszczynania jakiegokolwiek wojny, nie byłoby żadnej bitwy do wygrania. Josh kochał ją i choć nigdy jej nie widział, to przecież chciał się nią opiekować. Lecz nigdy do tego nie doszło. Thomas sam to powiedział: pieniądze trafią do Marii Cameron jako prawnej opiekunki Savannah. Do czasu, gdy Savannah ukończy osiemnaście lat, pieniądze się rozejdą, zostaną roztrwonione przez kobietę, która zrobiła wszystko, co tylko było w jej mocy, aby zniszczyć życie Josha.

A do tego nie można było dopuścić.

Lecz mimo wszystko Annie poprosiła Boga o mądrość i głębsze zrozumienie, które nie pochodziłoby tylko od

niej. *Proszę, Panie* - modliła się - *prowadź nas w tym prawnym koszmarze. Przez ostatnie siedem lat całkowicie zaprzeczałam możliwości, by Savannah była córką Josha, i się pomyliłam. Nie chcę ponownie się pomylić. Proszę, Boże, prowadź nas.*

— Josh, nigdy nie zapomnę, że jesteś ojcem Savannah, obiecuję. Już nigdy o tym nie zapomnę - wyszeptała, czując ogarniającą ją mgłę udreki. Pomodliła się, żeby Bóg pozwolił Joshowi ją usłyszeć.

Szczególnie po tylu latach niedopuszczania do siebie myśli, że cokolwiek mogłoby łączyć Savannah z Joshem.

Ona, Nate i Lindsay mogli stworzyć zespół i walczyć o odszkodowanie Josha, i nawet teraz była przekonana, że należało to zrobić i że jest to jedyny sposób uchronienia jego pieniędzy przed tym, by wpadły w ręce kobiety, która zawsze tylko go raniła. Lecz nie mogli mówić, że nic nie znaczyło dla Josha więcej niż odszkodowanie. To nie była prawda.

Joshowi oczywiście zależało na odszkodowaniu i uważał, że towarzystwo ubezpieczeniowe pijanego kierowcy powinno zapłacić za straty, które poniósł. Zależało mu na otrzymaniu tych pieniędzy, kupnie domu i zapewnieniu sobie przyszłości. Lecz jego główną troską nie było odszkodowanie. Była nią natomiast pewna osoba i tylko ona. Cara Truman jeszcze raz potwierdziła ten fakt w ich wcześniejszej dzisiejszej rozmowie. Odpowiedź była oczywista dla każdego, kto znał i kochał Josha. To nie proces sądowy był najważniejszy, lecz jego córka, Savannah Cameron.

I teraz, w ten czy inny sposób, Savannah musiała stać ważna także dla nich.

Cody Gunner nie mógł uwolnić się od narastającego w nim przekonania, że powinien skontaktować się z rodzicami Josha Warrena. Była środa, od śmierci Josha upłynęło już ponad trzy tygodnie i codziennie od tamtego smutnego wydarzenia ta myśl pochłaniała go coraz bardziej. Nie mógł normalnie spać, odkąd usłyszał tę tragiczną wiadomość, bo znał prawdę, którą być może powinni także poznać rodzice Josha. Z drugiej strony czuł przecież, że tak naprawdę to nie jest jego sprawa. Wahał się, nie wiedział, czy powinien to powiedzieć, czy też nie, i ten wewnętrzny konflikt z każdym dniem męczył go coraz bardziej.

Teraz siedział na werandzie przed parterowym wiejskim domem, w którym mieszkał ze swoją żoną Elle, i kolejny raz mówił o swoich odczuciach. - Wciąż sobie powtarzam, że to nie jest moja sprawa - powiedział. Wziął Elle za rękę i spojrzał w dal. - Chodzi mi o to, że może jego rodzina nawet nie wie o tej małej dziewczynce.

- A co dokładnie Josh powiedział?

— Mówił o tym, gdy wracaliśmy z kościoła do domu, ostatnim razem, kiedy z nami pojechał. Byliśmy z tyłu

z Carlem Josephem i Daisy i Josh wyglądał tak, jakby miał na ramionach ciężar całego świata.

- To prawda. Myślałam, że coś jest z nim nie tak.

- Też to widziałem, dlatego go spytałem. Powiedziałem mu, że wygląda tak, jakby coś go trapiło - oznajmił Cody, przypominając sobie doskonale tamtą rozmowę. Znów słyszał głos Josha i widział zmarszczki na jego czole.

- Mój prawnik pyta mnie o Savannah — powiedział wówczas Josh.

- O twoją małą dziewczynkę? - upewnił się Cody. Znał jej imię, bo Josh mówił o niej już wcześniej.

- Tak. On myśli, że ten temat wkrótce może zostać poruszony w sądzie. Jeśli tamci prawnicy zapytają mnie o nią, on chce, abym powiedział, że o ile mi wiadomo, to nie mam dzieci - gdy Josh wypowiadał wtedy te słowa, z przejęcia mrużył oczy. - No wiesz, bo nie było robione badanie na ustalenie ojcostwa ani nic takiego.

Cody przypomniał sobie, jak bardzo współczuł wówczas Joshowi. On i Elle byli małżeństwem od ponad dwóch lat i ona oczekiwała ich pierwszego dziecka - chłopca, jeśli wierzyć badaniu ultrasonograficznemu. I już uczucia opiekuńcze, jakie odczuwał wobec ich pierwotnego dziecka, okazywały się silniejsze i wspanialsze od jakichkolwiek emocji, których doświadczył dotychczas. Mógł sobie jedynie wyobrazić, co by czuł, gdyby znalazł się na miejscu Josha, który był pewien, że ta dziewczynka jest jego dzieckiem, i który otrzymał radę od własnego adwokata, aby przed sądem wyprzeć się swojej relacji do niej. Cody pociągnął temat, zaciekawiony intencjami praw-

nika Josha. - Dlaczego on nie chciałby - spytał - żebyś powiedział to, w co wierzysz: że o ile ci wiadomo, jesteś ojcem Savannah?

- Chodzi o odszkodowanie - odparł Josh, mrużąc oczy z powodu oślepiającego światła słonecznego. - Gdybym powiedział przed sądem, że mam córkę, i gdyby coś mi się stało, to Savannah dostałaby wszystkie pieniądze.

- Wszystkie? - zaniepokoił się Cody, bo przecież tak naprawdę nie było dowodu, że Savannah jest córką Josha.

- Najpierw zostałyby spłacone moje długi, więc moi rodzice i siostra otrzymaliby z powrotem wszystko, co kiedykolwiek wcześniej mi pożyczili. I oczywiście przed zrobieniem badania na ojcostwo Savannah nie dostałaby ani grosza — wyjaśnił i wzruszył ramieniem. - Ale tak, po tym wszystkim dostałaby całą resztę.

- Czy chciałbyś tego?

- Jeśli bym umarł przed otrzymaniem odszkodowania? Tak, to jest to, czego bym chciał w takiej sytuacji - odpowiedział z takim przekonaniem, jakiego Cody nigdy wcześniej u niego nie słyszał. - Ta mała dziewczynka nie miała swojego taty przez wszystkie te lata. Jeśli coś mi się stanie, chciałbym przynajmniej zabezpieczyć ją finansowo. Wówczas mogłaby wzrastać w przekonaniu, że zadbałem o nią w ten sposób. Rozumiesz mnie?

Cody rozumiał go teraz lepiej, bo sam miał być ojcem. Powracając od swoich wspomnień, spojrział Elle głęboko w oczy. - Wtedy nie ciągnąłem dalej rozmowy i nie myślałem już więcej o tym - powiedział. - Bo chociaż Josh

odczuwał okropne bóle, to przecież nie sądziłem, że był bliski śmierci.

- Bo nie był - przyznała. Wyraz twarzy Elle powiedział mu, że rozumiała jego dylemat. Położyła rękę na brzuchu.

- Dziecko strasznie w nocy kopało - oznajmiła.

- Kopał? - wyraźnie ucieszył się Cody. Był już trzeci tydzień października i temperatura wieczorami spadała. Położył rękę na ramionach Elle.

- Myślę, że on będzie ujeżdżał konie jak jego tata.

- Chyba byki?

- Konie - poprawiła go Elle i puściła do niego oko.

- Przecież się umówiliśmy.

- Wiem - uśmiechnął się Cody. Przysunął się bliżej i całował ją namiętnie i długo, tak że obojgu zabrakło tchu. - Żadnych byków dla tego dziecka. Obiecuję.

Znów się pocałowali i tym razem Elle pierwsza odchyliła się do tyłu. - Co zamierzasz zrobić? - spytała.

- Chodzi ci o tę rozmowę z Joshem?

Elle przytaknęła skinieniem głowy. - Jego rodzice muszą wiedzieć, czego naprawdę chciał ich syn — stwierdziła.

- Masz rację. Jutro do nich zadzwonię - oznajmił i pomyślał o Carlu Josephie. - Mój brat bardzo to przeżywa.

- Daisy też.

- Wczoraj dzwonił i pytał mnie o niebo - zamyślił się Cody, jakby znów wciągnęła go tamta rozmowa.

- Niebo jest tam, gdzie jest Ali, prawda bracie? - pytał Carl Joseph niepewnym głosem.

- Prawda. Ali jest tam już prawie pięć lat.

- To dużo czasu.
- Tak, dużo - przyznał Cody. Ostatnio rzadko cierpiał z powodu straty Ali, lecz w tamtym momencie ból był tak żywy jak w dniu, gdy jego pierwsza żona zmarła na mukowiscydozę. Przełknął ślinę, chcąc uwolnić się od smutku. - To bardzo dużo czasu.
- Myślisz, że mój dobry sąsiad pozna Ali w niebie? Cody uśmiechnął się, gdy sobie o tym pomyślał, i stwierdził: - To byłoby miłe, prawda?
- Tak, bo Josh był naprawdę dobrym sąsiadem, bracie. I jeśli Ali potrzebowałaby w niebie dobrego sąsiada, to chciałbym, żeby Bóg ustawił ich domy obok siebie.
- Ja też.
- Ale tak naprawdę to chciałbym, żeby Josh ciągle mieszkał po drugiej stronie parkingu w swoim mieszkaniu J-8, bo teraz nie możemy wpadać do niego w soboty i odwiedzać go w niebie.
- Jeszcze nie.
- A pewnego dnia? - spytał Carl Joseph z nową nadzieją w głosie.
- Tak. Pewnego dnia, gdy wszyscy będziemy już razem w niebie, jestem pewien, że Josh znów będzie twoim sąsiadem.
- Też mam taką nadzieję, bracie - westchnął Carl Joseph. - On był bardzo dobrym sąsiadem i on dał nam jajka na drugie śniadanie i nawet nie włożył ich wszystkich do jednego koszyka, ale dał je nam w plastikowym pojemniku.

Cody wzruszył się, gdy słuchał opisu brata. - Josh był świetnym facetem - podsumował krótko.

- Tak, ludzie w niebie mają szczęście, że z nimi zamieszkał.

Cody znów przyciągnął Elle do swojego boku. - Ten mój brat ma dobre serce - stwierdził. - Na pogrzebie Ali powiedział mi, że ma nadzieję, iż Bóg da Ali konia w niebie, bo ona bardzo lubiła jeździć na koniu. Teraz ma nadzieję, że Josh będzie w niebie dobrym sąsiadem, tak jak tutaj.

- Kocham tego chłopaka - wyznała Elle, przyciskając policzek do twarzy Cody'ego. - Daisy dzwoniła do mnie trzy razy w tym tygodniu i za każdym razem płakała. Powiedziała mi, że boi się, że Carl Joseph umrze, bo może umieranie jest zaraźliwe - westchnęła Elle. - Oprócz naszego ojca, który przecież też zmarł, Josh jest jedyną osobą, jaką Daisy straciła. To jest dla niej bardzo trudne.

Cody mógł sobie jedynie wyobrazić, jak ciężkie musiały być te ostatnie tygodnie dla rodziny Josha. I choć było to dla nich takie trudne, to przecież pewna mała dziewczynka o imieniu Savannah straciła tatę, niezależnie od tego, czy wiedziała o tym, czy też nie. Nie mógł nic zrobić, by złagodzić ból spowodowany śmiercią Josha, jakiego doświadczali jego najbliżsi, lecz mógł zrobić coś z rozmową, która nawiązała się pomiędzy nim i Joshem w drodze z kościoła do domu. I dlatego pierwszą rzeczą, jaką wykona następnego ranka, będzie telefon do rodziców Josha.

I może po tym znów będzie w stanie normalnie spać w nocy.

Annie i Nate byli tego wieczoru w domu i przeglądali papiery z kancelarii prawnej. Thomas przygotował odpowiednie dokumenty kwestionujące pozycję Savannah jako spadkobierczyni Josha i teraz mieli je tylko podpisać. Gdy podpiszą te papiery i zwrócą je jutro rano Thomasowi, bitwa oficjalnie się rozpocznie.

Odbędzie się rozprawa sądowa, na której zostaną przedstawione dowody. Annie znalazła kolejny list od Marii Cameron, w którym stwierdza ona w sposób jeszcze bardziej stanowczy i wyraźny, że gdyby Josh chciał spędzić ze swoją córką choćby jedno popołudnie, drogo by go to kosztowało. Zostanie przedstawiona ta korespondencja, a także powołają wielu świadków, którzy zeznają, jak bardzo Josh chciał odnaleźć Savannah i uznać ją za swoją córkę, lecz z powodu decyzji Marii, żeby trzymać ją z daleka od Josha, wszystkie jego wysiłki pozostawały daremne i nie przynosiły żadnego skutku.

Tylko pieniądze od Josha miały odmienić całą tę sytuację.

Poza tym wynajmą prywatnego adwokata, który wykaże przed sądem, jaką osobą była Maria Cameron, jak podstępnie nakłoniła Josha, żeby z nią spał, mimo że była wówczas mężatką. Kiedy to wszystko zostanie powiedziane i przeprowadzone, detektyw będzie dokładnie wiedział, z iloma mężczyznami była Maria. Te informacje

uwiarygodnią fakt, że ojcem Savannah mógł być każdy z mężczyzn, z którymi spała jej matka, co jednoznacznie wskazywało na to, że Maria Cameron nie była zainteresowana ustaleniem ojcostwa Josha, dopóki nie otrzyma od niego pieniędzy. Było zatem aż nadto oczywiste, że chodziło jej o pieniądze, a skoro jednocześnie odmawiała Joshowi prawa dostępu do córki, Thomas sądził, że jeśli uda im się to wszystko wyraźnie ukazać, to będą mieli szansę wygrania tej sprawy.

Gdyby cała ta sytuacja wyglądała inaczej, gdyby Maria utrzymywała kontakt z Joshem, gdyby była lepszą matką, Annie i Nate nie mieliby nic przeciwko temu, aby wszystkie pieniądze przypadły Savannah. Lecz charakter tej kobiety, a szczególnie jej chciwość zdążyły się już ujawnić. Teraz Annie i Nate siedzieli naprzeciwko siebie przy stole w kuchni i rozmawiali o czekającej ich bitwie.

- Co powiedział Thomas o utworzeniu funduszu na studia? - spytała Annie, czując, jak kręci jej się w głowie od tych wszystkich wymogów prawnych, które trzeba było spełnić. W międzyczasie adwokaci towarzystwa ubezpieczeniowego każdego dnia coraz bardziej zbliżali się do zakończenia postępowania sądowego i ostatecznego rozstrzygnięcia. Thomas musiał zatem jak najszybciej składać wniosek kwestionujący fakt, że Savannah jest prawnym spadkobiercą Josha. W przeciwnym razie pieniądze poszłyby do Marii Cameron bez żadnej walki. A gdyby tylko je dostała, to szanse na odzyskanie ich praktycznie nie istniały.

Nate splótł palce za głową i odchylił się do tyłu na krześle. - To jest możliwe - stwierdził. - Możemy powie-

dzieć sędziemu, że chcielibyśmy przekazać jakąś kwotę, powiedzmy sto tysięcy dolarów, na fundusz powierniczy dla Savannah na jej studia. Może nawet dwieście tysięcy dolarów. Jej matka nie mogłaby ich dotknąć, bo te pieniądze nie byłyby przeznaczone na opiekę nad Savannah i jej utrzymanie. Można by z nich było pokrywać jedynie wydatki związane z jej studiami.

- A przecież o to właśnie nam chodzi. W ten sposób wszyscy wygrywają - powiedziała Annie i zamyśliła się. - Poza tym, sędzia spojrzałby łaskawszym okiem na naszą propozycję, jeśliby wiedział, że chcemy pomóc Savannah. Staramy się tylko, żeby pieniądze nie trafiły do jej matki.

Byli w domu od kilku godzin, lecz dopiero teraz, gdy Nate wstał po szklanekę wody, zauważył migające światełko automatycznej sekretarki ich stacjonarnego telefonu. Nacisnął kilka przycisków i niewyraźny głos wypełnił kuchnię. - Tu mówi Marybeth Elmer, zarządzam budynkiem, w którym mieszka państwa syn. Rozmawialiśmy już wcześniej ze sobą. Chcę tylko państwu powiedzieć, że niejaki Cody Gunner chciałby z państwem porozmawiać. Zostawił swój numer telefonu - kobieta dwukrotnie powoli wypowiedziała numer. - Może zechcieliby państwo zadzwonić do niego i upewnić się, czego on chce. Jego brat jest jednym z naszych lokatorów.

Nate jeszcze raz włączył pocztę, odsłuchał wiadomość i zapisał numer telefonu Cody'ego Gunnera. Annie nigdy nie słyszała o takim człowieku, lecz jeśli był on bratem jednego z lokatorów, może wiedział coś o Joshu - może

znał jakiś kolejny szczegół, który spowoduje, że w jeszcze inny, nowy sposób spojrzą na swojego jedyne go syna.

- Jest zbyt późno, żeby dzwonić do niego dziś wieczorem - stwierdził Nate, kładąc kawałek papieru z zapisanym numerem telefonu Cody'ego na blacie obok telefonu.

- Przypomnij mi, żebym rano zadzwoniła do niego.

- Dobrze - obiecał Nate, znów siadając przy stole i przyciągając do siebie papiery. Przerzucił pięć pierwszych stron i zatrzymał się dłużej przy szóstej, ostatniej. - Myślę, że powinniśmy to podpisać - stwierdził. - Postępujemy właściwie, Annie.

- Nie ma takiej możliwości, żeby Josh chciał, by ta kobieta dostała jego odszkodowanie.

- Masz całkowitą rację.

Gdzieś w odległym zakamarku serca Annie przypomniała sobie swoją modlitwę, swą obietnicę, że jeśli w jakimś momencie bitwy o odszkodowanie Josha zaczną postępować niezgodnie z Bożym planem wobec tego wszystkiego, pozwoli na to, aby Bóg jej pokazał to odstępstwo. Lecz dzisiaj nie słyszała żadnego głosu odradzającego im dalsze postępowanie według powziętego zamiaru. Maria Cameron już zbyt wiele razy wykorzystała Josha, aby teraz można było pozwolić jej na odejście z jego pieniędzmi.

Ostatecznie ten wypadek kosztował go życie, szansę na wspólną przyszłość z Becky Wheaton, marzenia o zrobieniu nowej kariery zawodowej i, co było najsmutniejsze ze wszystkiego, możliwość bycia ojcem dla Savannah. Teraz więc to rodzina Josha powinna zdecydować o tym, na

co Josh chciałby przeznaczyć pieniądze z odszkodowania, a nie ktoś' tak obcy jak Maria Cameron.

Przez chwilę Annie zastanawiała się, jak by się czuła, gdyby spotkała Savannah, spojrzała w jej oczy i zobaczyła w nich jakąś cząstkę swojego syna. Jeśli przegrają bitwę, Annie miała zamiar prosić o prawo widywania się z małą. Jeśli sąd uzna Savannah za prawowitą spadkobierczynię Josha, to Maria Cameron będzie musiała sankcjonować ten przywilej - prawo rodziny Josha do widywania się z jego córką.

Annie miała nadzieję, że przynajmniej to będzie możliwe, jeśli przegrają.

Lecz co się stanie, jak wygrają? Czy to będzie oznaczać, że nigdy nie będą mieli możliwości poznania tego dziecka, przytulenia go przynajmniej raz, czego Josh został pozbawiony? Annie źle się poczuła z tą świadomością, że wygranie bitwy prawnej miałoby być ważniejsze niż spotkanie się z Savannah. Lecz może w jakiś nieznaną jej teraz sposób Bóg pozwoli na obie te sprawy - na ich prawne zwycięstwo w sądzie i na spotkanie z córeczką Josha.

Teraz zaś niczego nie była tak pewna jak konieczności podpisania tych dokumentów. Nate był pierwszy, a potem przyszła kolej na nią. Lecz gdy Annie pisała swoje imię i nazwisko na linii wyraźnie zaznaczonej przez ich adwokata, miała mocne przeświadczenie, że tę bitwę toczą jedynie przeciwko Marii Cameron.

A nie przeciwko Savannah, najdroższej córeczce Josha.

Te dziwne tiki i gwałtowne bicie serca zdarzały się jej coraz częściej i były nieustannymi upomnieniami płynącymi od jej własnego ciała, że wszystko musi rozegrać dobrze. Bardzo dobrze. Przynajmniej do czasu, gdy zostanie wypłacone odszkodowanie. Maria spojrzała na świecące się na czerwono cyfry zegara stojącego na stoliku obok jej łóżka. Siódma piętnaście. Usiadła na brzegu łóżka i rozprostowała ręce ponad głową. Życie stało się szalone i nie wiedziała, jak wytrzymać tę presję. Przynajmniej nie potrafiła tego zrobić na trzeźwo.

Maria miała teraz adwokata, polecił jej go Freddy. Ten adwokat to był jego pomysł, który przyszedł mu do głowy po tym, jak w ubiegły czwartek zatelefonował Thomas Flynn i powiedział jej, że rodzina Josha walczy o pieniądze. Co za bezczelność! Savannah była jedynym dzieckiem Josha, jego jedyną spadkobierczynią, jak lubił mawiać prawnik Josha. Ta sprawa powinna być czystą formalnością i za trzy miesiące od dziś obie z Savannah powinny już pławić się w luksusie. Tak powiedział jej adwokat. Dowiedział się też o kwotę, której nie powiedział jej Thomas Flynn podczas ich pierwszej rozmowy telefonicznej: okrągłe dwa

miliony dolarów. Tyle miały dostać ona i jej dziecko, jeśli sprawy dobrze się potoczą. Dwa miliony. Josh w końcu doszedł na sam szczyt. Został potrącony przez pijanego kierowcę, którym był jakiś bogaty człowiek, i teraz od wypłaty dzieliły je zaledwie tygodnie.

Maria podniosła wizytówkę leżącą na stole obok budzika. Było na niej napisane: „Harry Dreskin, adwokat”. Harry był świetnym facetem. Pracował w małym biurze w Upper West Side, dzielnicy sąsiadującej z Manhattanem. Maria spotkała się z nim już dwukrotnie i odniosła wrażenie, że Harry nie posiada się z radości, że będzie mógł pracować nad tak godną szacunku sprawą jak jej przypadek. Miał pomóc dziecku bez ojca uzyskać odszkodowanie - cóż mogło być bardziej uczciwe i dobre niż właśnie to?

Harry nie chciał żadnych pieniędzy z góry, co czyniło z niego idealnego prawnika. Dał jej jedynie do zrozumienia, że zanim Maria otrzyma odszkodowanie i będzie mogła wypłacić mu honorarium, wystarczy mu, że będzie mógł się z nią przespać. Maria nawet była tym lekko zainteresowana, lecz odmówiła, bo matki - prawdziwe matki bawiące się ze swoimi dziećmi, które widywała w parku - nie sypiały z mężczyznami, żeby pokryć koszty reprezentacji w sądzie, wynajmu czy jakiegokolwiek inne.

Maria pomyślała o rozpoczynającym się dniu. Obie z Savannah nie mogły przebywać w mieszkaniu Freddy'ego. Nie dzisiaj. Musiały je posprzątać i jak najszybciej wyjść. Freddy miał robić tu jakiś interes z grupą osobników, którzy przerażali nawet Marię. Potem jeszcze bardziej przera-

zająca była jej jutrzejsza podróż do Denver. Miał to być jej pierwszy lot od tego wypadu do Vegas przed ośmiu laty.

Podróż była naturalnie częścią tej nowej walki o pieniądze. Jej adwokat powiedział, że zajmie to trochę czasu, bo nie stać ich było na przelot samolotem i musiały wynająć samochód i jechać nim do Colorado, więc adwokat Josha kupił bilety dla niej i Savannah. Zarezerwował nawet dla nich elegancki hotel - Holiday Inn z darmowym śniadaniem. A zatem to nie sama podróż była przerażająca. Bała się powodu, dla którego tam jechała. Jakiś sędzia w Denver powiedział, że musi osobiście przyjechać i zeznać przed sądem, że Savannah jest córką Josha, oraz wyjaśnić, dlaczego nigdy nie pozwoliła Joshowi zobaczyć się z dzieckiem.

Odkąd dowiedziała się o tej podróży, wymyślała kolejne kłamstwa. Gdy adwokat zapyta ją, dlaczego nie pozwoliła Joshowi zobaczyć Savannah, uśmiechnie się słodko i odpowie: „Dałam Joshowi możliwość zobaczenia się z córką, lecz nie był tym zainteresowany”. Serce Marii zaczęło bić szybciej. Nie, może to kłamstwo nie będzie skuteczne i przekonujące. Rodzina Josha prawdopodobnie wie, jak bardzo usilnie próbował zobaczyć Savannah.

Przygryzła wargę. Mogła powiedzieć inne kłamstwo: „Dałam Joshowi szansę spędzenia czasu z córką, lecz nigdy nie było go stać na podróż”. Potem uśmiechnie się niewinnie do adwokata i doda: „Wciąż miałam nadzieję, że znajdzie jakiś sposób, żeby nas odwiedzić, że skontaktuje się z Savannah, lecz nie nastąpiło to nigdy”.

Jakoś w tym czasie pomiędzy dniem dzisiejszym a środą - czyli w ciągu dwóch dni - będzie musiała wymyślić

coś przekonującego, jakąś wiarygodną historię, która dowiedzie tego, że nie umyślnie trzymała Savannah z dala od ojca. W przeciwnym razie może powstać pytanie, czy na pewno Savannah powinna zostać prawowitą spadkobierczynią Josha.

Dużym palcem u nogi szturchnęła Savannah w stopę.

- Obudź się, śpiochu. Mamy nowy dzień - powiedziała. Serce Marii wciąż biło mocno, a jej prawym okiem poruszał jakiś tik. Każda część jej ciała krzyczała o drinka albo o działkę narkotyku - cokolwiek, co przytłumi ogarniający ją lęk. Lecz mimo to pogratulowała sobie w duchu sposobu, w jaki mówiła teraz do Savannah. Robiła to prawie tak jak prawdziwa matka.

Savannah usiadła, a potem przeniosła swoją pościel w róg pokoju i wsunęła ją głęboko pod biurko, żeby nie było jej widać. - Dzień dobry, mamó - przywitała się. Ziewnęła i zamrugnęła kilka razy, po czym spytała: - Czy dzisiaj jest śniadanie?

To pytanie zirytowało Marię. - A niby kiedy nie miałyśmy śniadania? Może w ciągu ostatnich dwóch tygodni?

- rzuciła surowo. Zaczęła już przewracać oczyma, lecz w ostatniej chwili przed wybuchem powstrzymała się. Harry powiedział jej, że adwokaci wynajęci przez rodzinę Josha prawdopodobnie będą chcieli przepytac w charakterze świadka każdego, kogo tylko się da. A to oznaczało, że ktoś obcy może próbować wypytać Savannah o to, jaką matką jest Maria, i czy mieszkając z nią, Savannah jest szczęśliwa.

Ponieważ zamierzała zarządzać należącymi do dziewczynki dwoma milionami dolarów, nie życzyła sobie naj-

mniejszej wątpliwości dotyczącej tego, co jej córka powie adwokatom, gdy ją zapytają, czy jest z matką szczęśliwa. Szczęśliwa i dobrze karmiona. Maria wyszła z sypialni, prowadząc za sobą córkę. Musiały dzisiaj posprzątać mieszkanie. Tak kazał im Freddy. Miała tak zajmować się córką, aby ta była szczęśliwa, miała zgromadzić w kuchni wystarczającą ilość jedzenia, miała zapłacić czynsz, miała posprzątać mieszkanie - tyłoma sprawami musiała się przejmować. Maria podeszła do szafki kuchennej i wyjęła pudełko płatków śniadaniowych. Pomyślała, że łatwiej byłoby znieść to panujące w niej napięcie, gdyby mogła choć trochę się napić. Mały łyżeczek whisky od czasu do czasu dobrze by jej zrobił.

Skończyły jeść śniadanie i były w trakcie sprzątania, gdy zadzwonił telefon. Normalnie Maria nie odbierała telefonu w domu Freddy'ego, lecz odkąd zaczęła się cała ta sprawa z odszkodowaniem, nie przegapiła ani jednego połączenia. Podniosła słuchawkę po drugim sygnale i przypomniała sobie, by mówić jak najbardziej matczynym głosem. - Słucham? - powiedziała.

- Mario, tu Harry.

- Hej - odprężyła się. - Dostałam pocztą paczkę od Flynnna. Jestem już całkiem gotowa do jutrzejszej podróży do Denver.

- Świetnie, bo właśnie w tej sprawie dzwonię. Złożyłem wniosek w sądzie i sędzia uważa, że może prowadzić dalej sprawę bez twoich zeznań.

Oko Marii przestało drgać. - Co to znaczy? - spytała przestraszona.

- To znaczy, że nie musisz lecieć do Denver - rzucił w odpowiedzi, robiąc między zdaniami krótką przerwę. - Nie mówię, że nie będziesz musiała lecieć tam na zeznania w innym terminie, ale na razie możesz zostać w domu. Będziemy rozmawiać z sędzią i zadzwonię do ciebie później w tym tygodniu.

Maria poczuła w żyłach dreszcz zwycięstwa, jakby to był narkotyk. - To najlepsza wiadomość, jaką mogłabym dzisiaj usłyszeć - stwierdziła.

- Jestem tego pewien. Będę w kontakcie - obiecał. Gdy się rozłączył, natychmiast spojrziała na butelkę whisky stojącą głęboko w rogu na blacie w kuchni. - Savannah! - zawołała.

- Tak, mam? - głos małej doleciał z łazienki na górze. - Potrzebujesz czegoś?

- Czy już tam skończyłaś?

- Nie - tym razem jej głos wydawał się bliższy, a na schodach słyhać było odgłos jej stóp. Gdy pojawiła się w zasięgu wzroku, rzuciła Marii zaniepokojone spojrzenie. - Muszę jeszcze umyć okna i zlew.

- Dobrze - Maria zaśmiała się beztrąsko. - Tylko sprawdzam. Chcę być pewna, że będziemy miały dużo czasu na spacer w parku. A do tego Freddy ma tutaj to spotkanie.

- Będę się spieszyć - powiedziała Savannah, a jej oczy były szeroko otwarte ze strachu, gdy z powrotem wbiegała po schodach na górę.

Maria zaczekała do chwili, aż usłyszała, jak dziewczynka ponownie pracuje w łazience, potem wzięła butelkę whisky i nerwowym ruchem zdjęła nakrętkę z szyj-

ki. Oczywiście musiała być trzeźwa, ale przecież nikt się nie dowie, że wypła małego drinka. Jak inaczej mogłaby uczcić dobrą wiadomość od adwokata? Cokolwiek wydarzyło się pomiędzy dwoma prawnikami, Harry Dreskin najwyraźniej wygrał tę pierwszą bitwę. Nie musiała lecieć do Denver, co oznaczało, że nie musiała kłamać, jakoby pozwałała Joshowi na widywanie Savannah.

Ta sprawa prawna była jak podmuch wiatru i pewnego dnia już wkrótce dostanie czek na dwa miliony dolarów. Podniosła butelkę złotego płynu pod nos i głęboko wciągnęła powietrze. Whisky pachniała cudownie. Od samego tak upajającego zapachu rozluźniała się. Jeszcze raz spojrzała w górę na schody i przypomniała sobie, że trzeba się spieszyć. Nie mogła pozwolić na to, by Savannah zorientowała się, że znów piła alkohol. Nawet Harry Dreskin powiedział jej, żeby cały czas była trzeźwa, jeśli chce dostać te pieniądze.

Ale przecież teraz to co innego. Miała powód do świętowania, a poza tym nikt się o tym nie dowie. Przyłożyła butelkę do ust i pociągnęła mały łyk. Poczowała na języku gładki i kuszący dotyk płynu, który delikatnie palił, przepływając przez jej gardło. Pociągnęła kolejny łyk i jeszcze jeden. Już alkohol rozchodził się po jej ciele, ogrzewając ją i uspokajając bicie jej serca. Potrzebowała tego, zasłużyła na to. Lecz jeśli chciała ugasić swoje pragnienie, potrzebowała więcej niż tylko kilka szybkich łyków. Kto wie, kiedy będzie miała kolejną możliwość napicia się?

Jeszcze raz spojrzała w stronę, gdzie zniknęła Savannah, nasłuchiwała, czy na schodach nie słychać jej kroków. Gdy

upewniła się, że dziewczynka jej nie przyłapie, przechyliła butelkę denkiem do góry i wyłopala kilka długich haustów. Dopiero teraz naprawdę poczuła to, czego pragnęła. Potem szybko zakręciła nakrętkę i odstawiła butelkę z powrotem na miejsce na blat. Ogarnęła ją oszalamiająca euforia. To było życie: móc pić rozgrzewającą i dającą takie upragnione doznania whisky i mieć przed sobą cały dzień, żeby cieszyć się tym uczuciem.

Skończyła porządkować kuchnię, czyścić blaty i zamiatać podłogę. Nie stała na nogach zbyt pewnie, ale przecież to rozchwianie przejdzie, zanim wyjdą z mieszkania. Maria z pewnym trudem przypominała sobie, co trzeba dalej robić, i ta czynność przypominania sobie zabrała jej trochę czasu.

Po chwili zeszła Savannah i dość długo przyglądała się matce. W końcu z ust Marii dobył się nerwowy, chyba zbyt głośny śmiech. - Co tak patrzysz? - rzuciła.

- Mamo, dobrze się czujesz?

- Jestem tylko zmęczona - znów się zaśmiała, tym razem ciszej. - Cała ta praca strasznie mnie wykończyła.

W oczach Savannah było jakieś powątpiewanie. Rozejrzała się po kuchni, aż jej wzrok padł na miejsce, gdzie stała butelka whisky. - Mamo, czy piłaś? Czy zrobiłaś to? - spytała dziewczynka.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła stanowczo Maria, znów kierując swe spojrzenie na trzymaną w rękach szczotkę do zamiatania. A swoją drogą, jak siedmioletnie dziecko mogło być takie bystre?

- Czy piłaś whisky Freddy'ego?

- Posłuchaj! - krzyknęła, obracając się i rzucając córce groźne spojrzenie. - Czy chcesz powiedzieć, że kłamię?

- Nie, mamó - odparła Savannah, robiąc krok do tyłu. Maria nienawidziła, gdy Savannah zachowywała się

tak, jakby jej się bała. Zmniejszyła dzielącą je odległość i złapała Savannah za rękę. - Nie wmawiaj mi, że kłamię, rozumiesz? - zawołała.

- Przepraszam. Przepraszam, mamó - zaczęła płakać Savannah. - Powiedziałaś mi, że nie będziesz już pić.

- I nie piłam. Nigdy nie widziałaś mnie pijanej, jasne?

- Jasne - odparła Savannah, oswobodziła rękę i potarła miejsce, gdzie pokazały się czerwone ślady. - Przepraszam.

- No - rzuciła Maria i na dokładkę popchnęła córkę. A to bachor! Próbowwała zniszczyć taki wspaniały dzień. Miała zamiar już to powiedzieć, gdy przypomniała sobie, że musiała przecież inaczej traktować Savannah, lepiej niż wcześniej. Zamiotła drugą połowę podłogi w kuchni i prawie już skończyła sprzątać, gdy uświadomiła sobie, jak bardzo kręci jej się w głowie. Pod wpływem whisky pokój zaczął się pochylać i Maria była zła na siebie, że tak dużo wypła. Mogła skończyć na połowie tego, co w siebie wlała. Podłoga pod nią zrobiła się jakaś taka rozchwiana i chyba źle oparła się na szczotce, bo nagle upadła plackiem na podłogę. Szybko podniosła się na rękach i kolanach i zaklęła.

- Mamó! - krzyknęła Savannah i podbiegła do niej z boku. - Czy coś ci się stało?

- Nie - odparła. Przytrzymała się ramienia córki, żeby wstać, a potem uśmiechnęła się najładniej, jak potrafiła.

- Mama przeprasza cię za to wcześniejsze. Jestem po prostu zmęczona, tak jak powiedziałam - wyjaśniła jakoś tak niewyraźnie i potargała palcami rudoblond włosy Savannah. - Przygotujmy się do wyjścia, dobrze?

Savannah wciąż wyglądała na zdenerwowaną, lecz skinęła głową. Ubrały się i pojechały metrem do Central Parku, tak jak zawsze. W połowie drogi do miejsca, gdzie zwykle żebrały, Maria chwyciła garść błota i rozsmarowała je na swojej twarzy i na twarzy Savannah.

- Nienawidzę tego, mamó. Proszę, nie rób tego!

- Szsz... cicho - odparła, kładąc rękę na ustach córki. Działanie whisky powoli słabło, jej ciało znów zaczynało domagać się kolejnego łyka, kolejnej dawki alkoholu.

- Nie będziemy długo żebrać, córeczko. Musimy mieć brudne twarze, bo inaczej ludzie nic nam nie dadzą.

W ubiegłym tygodniu zrobiła sobie na kawałku tektury następujący napis: „Proszę, pomóżcie mi nakarmić córkę”. Niosła go teraz w torbie na zakupy i gdy doszły do swojego miejsca przy ławce naprzeciwko wejścia do zoo, Maria wyjęła tekturę z napisem, wydawało się, że przynosi on pożądany skutek. Bez większego zastanowienia ludzie rzucali pięcio- i dziesięciodolarowe banknoty. Poprzedniego dnia zabrały do domu ponad sto dolarów, z czego większość dała Freddy'emu za wynajem. Teraz płaciła za ich pobyt. To było bardziej odpowiednie, w taki sposób powinna postępować matka. Lecz dzisiaj pieniądze będą tylko jej i będzie mogła zabrać później Savannah na pizzę, a może do kina. To sprawi, że dziecko będzie szczęśliwe, a wywoływanie poczucia szczęścia u Savannah było teraz bardzo ważne.

To właśnie miały robić matki - uszczęśliwiać własne dzieci. Lecz Maria musiała być szczerą z samą sobą: to staranie się, żeby być dobrą matką, wywoływało u niej przynajmniej niektóre tiki i powodowało wzmożone bicie serca. Zebrały przez pięć godzin, bez żadnej przerwy. Potem poszły na pizzę i kiedy Savannah udała się do łazienki, Maria zamówiła dla siebie piwo.

Gdy Savannah wróciła, zauważyła to od razu. - Powiedziałas, że nie będziesz pić alkoholu - zaprotestowała.

- To jest przyjęcie - odparła Maria radosnym głosem, lecz pod stołem wpiła palce w rękę Savannah, ostrzegając ją w ten sposób przed powiedzeniem czegoś więcej. - Zarobiłyśmy dzisiaj sto dwadzieścia dwa dolary, córeczko. Będę piła to, na co mam ochotę.

Z jednego kufla zrobiło się dwa, a potem trzy i pomieszczenie zaczęło wirować. Kelnerka powiedziała jej, że należy już opuścić lokal, lecz Maria nie chciała wychodzić. Miała przecież przyjęcie z córką, a co w tym złego? Lecz potem kelnerka przyprowadziła ze sobą dwóch ludzi, dwóch dużych facetów, którzy powiedzieli jej, że musi zapłacić za swój rachunek i sobie pójść.

- Słuchaj! - krzyknęła, wstając i popychając stojącego najbliżej niej mężczyznę. - Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić! - wrzeszczała, lecz wcale się tym nie przejmowała. - Jestem milionerką! Robię to, co chcę!

Savannah skurczyła się na swoim miejscu i zakryła twarz.

- Proszę pani, jeśli nie zapłaci pani rachunku i nie opuści lokalu, będziemy zmuszeni zadzwonić po policję.

- Mamo! - zapiszczała Savannah. - Proszę, zapłać mu.
- Zamknij się! - warknęła na córkę, miała już dość tego dziecka, dość odgrywania roli idealnej matki. Uderzyła Savannah w twarz i zawołała: - Nienawidzę być twoją matką, nie widzisz tego?

Mężczyzna z restauracji chwycił ją za rękę. - Wystarczy
- syknął na nią. Potem odwrócił się do kolegi i polecił:
- Dzwon na dziewięćset jedenaście.

Dziewięćset jedenaście? Policja nie może przyjechać, bo wszystko będzie stracone. Nie dadzą dwóch milionów dolarów pijanej kobiecie, która bije po twarzy własną córkę. A jeśli ten facet zadzwoni po policję, wszyscy dowiedzą się o tym, co zrobiła. - Nie, nie możecie! - krzyknęła Maria prosto w twarz jednemu z mężczyzn. Potem zachwiała się do tyłu i zamachnęła się na niego, lecz chybiła. Zatoczyła się na podłogę, a upadając, uderzyła głową o coś ostrego i twardego. Może był to stół.

Gdy ponownie otworzyła oczy, otaczało ją pełno policjantów. Postawili ją na nogi i założyli jej kajdanki. Maria zaczęła przeklinać i próbowała ich kopać, lecz wyciągnęli ją z restauracji, wsadzili do radiowozu i odjechali z nią. Dopiero gdy wjechali na parking przed komisariatem, przypomniała sobie o Savannah.

- Moja mała dziewczynka! - wrzasnęła. Pochyliła się do przodu najbardziej, jak mogła. - Gdzie jest moja mała dziewczynka?

- Zaopiekowaliśmy się nią - powiedział policjant siedzący za kierownicą i zerknął na nią. - Siedź tam z tyłu i nie odzywaj się.

Maria uświadomiła sobie, jak bardzo zawała sprawę. Teraz będzie musiała nie wiadomo co zrobić, aby przekonać prawników i sędziego, że jest dobrą matką. Gdy znów odchyliła się do tyłu na siedzeniu wozu policyjnego, poczuła silny ból głowy. Przynajmniej odpocznie sobie od Savannah, od jej nieustannych pytań i tych męczących spojrzeń. To dziecko było chyba bardziej szpiegiem niż córką. Lecz musiała znaleźć jakiś sposób, żeby uszczęśliwić tę dziewczynę, żeby być trzeźwą i zachowywać się przyzwoicie, bo wiedziała, że inaczej wszystko straci.

Po tym, jak ją spisali i pobrali od niej odciski palców, wepchnęli ją do jakiejś śmierdzącej celi i zatrzasnęli drzwi. Maria poczuła lęk i samotność, zrozumiała, że była pijana, i zaczęły jej ciążyć błędy, które popełniła tej nocy. Skuliła się na drewnianej ławce stojącej przy jednej ze ścian celi i miała nadzieję, że jeszcze nie zawała całej sprawy. Bo po raz pierwszy w życiu miała powody wierzyć, że wszystko znów będzie dobrze, że będzie miała dom i samochód, i przyszłość, jakiej zawsze pragnęła. Z Savannah albo i bez niej. Musi tylko wykaraskać się z tych kłopotów, bo przecież ma powody do wiary w przyszłość.

Cudowne dwa miliony powodów.

Savannah leżała w ciemności na jakimś obcym łóżku i kurczowo trzymała przy sobie tę jedyną, najważniejszą rzecz: zdjęcie swojego taty. Po kłopotach w restauracji jakiś miły policjant zabrał ją do domu Freddy'ego. Savannah nie była pewna, czy wiedzą, gdzie jechać, lecz przej-

rzeli portfel mamy i może coś tam w środku powiedziało im, co powinni zrobić.

W mieszkaniu Freddy'ego światła były wygaszone i ten miły policjant wziął ją za rękę i wszedł z nią do środka, aby mogła zabrać swoje rzeczy. Gdy weszli do pomieszczenia, gdzie Savannah mieszkała z matką, zapalili światło. Savannah zniżyła się na podłogę i wczołgała pod biurko. Po kolei wyciągnęła swoją poduszkę, koc i stertę ubrań.

- Czy to jest twoje łóżko? - spytał policjant, wskazując na miejsce, gdzie spała mama.

- Nie - odparła. Poczuli się zawstydzona, że nie ma swojego łóżka, bo może inne dzieci w jej wieku nie sypiały na podłodze. Wskazała na miejsce pod biurkiem i wyjaśniła: - Ja śpię tam na dole.

Wyraz twarzy mężczyzny powiedział jej, że nie był zadowolony z jej odpowiedzi. Savannah zgarnęła swoje rzeczy w jedną kupkę, lecz policjant oznajmił jej, że nie będzie potrzebowała koca ani poduszki. - Twój rodzice zastępczy będą mieli to wszystko, skarbie - stwierdził.

Rodzice zastępczy? - pomyślała. Czy nie o tym zawsze mówiła mama? Że jeśli Savannah będzie za bardzo narzekać, to policja zabierze ją do rodziców zastępczych? Nagle bardzo przeraziła się tej informacji. - Kim są ci rodzice zastępczy? - spytała cicho, przestraszonym głosem.

- To są bardzo mili ludzie - odparł i poklepał ją po ramieniu. - Nie martw się, Savannah. Wszystko będzie dobrze.

- Chcę do mamy - rzuciła, lecz nie wiedziała, dlaczego to powiedziała, bo przecież mama jej nie chciała. Na

wet powiedziała to głośno w restauracji. Lecz mama była wszystkim, co miała, dopóki nie zabierze jej tata.

Policjant skierował wzrok na jej rękę. - Co to jest? - spytał. Pogładził palcem po śladach na ręku Savannah, tych, które zostawiła tam jej mama.

Savannah starała się być dzielna, lecz poruszyła się lekko, bo te miejsca bolały. - Nic - odparła krótko.

- Zrobiła to twoja matka, tak?

- Nie chciała.

Policjant pokręcił głową i powiedział z lekką ironią w głosie: - Na pewno. - Potem wziął od Savannah jej rzeczy, żeby nie musiała dźwigać niczego prócz małej torebki z plastikowym krzyżem i zdjęciem taty.

Jechali dość długo i przejechali dwa mosty, zanim zaparkowali przed ładnym domem. Savannah nigdy jeszcze nie była w tak ładnym domu. Słyszała, jak policjant mówił do kogoś przez radio, że rodzina zastępcza mieszka w Queens, więc pewnie tam musieli teraz być. Razem weszli do środka. Mieszkał tam jakiś starszy pan i jakaś starsza pani. Zaprowadzili ją do pokoju na górze, z łóżkiem idealnie dopasowanym wielkością do Savannah, dali jej nową szczoteczkę do zębów i pastę i powiedzieli, że to odpowiedni czas na umycie zębów. Potem dali jej też nowy szlafrok i stwierdzili, że najwyższy czas położyć się do łóżka.

- Czy wierzysz w Jezusa? - spytała ją starsza pani; miała bardzo miłe oczy.

- Tak - potwierdziła Savannah i przypomniała sobie dziadka Teda. - Czy będziemy z Nim rozmawiać?

- Tak - powiedziała. Starsza para usiadła razem na brzegu jej łóżka i potem długo rozmawiali z Jezusem.

- Wiemy, że Ty masz swoje zamiary wobec Savannah - mówili. - Modlimy się, żebyś jej strzegł i żebyś pomógł jej odkryć te zamiary. Prosimy, bądź z jej matką i pozwól jej zrozumieć, że z Tobą może odnaleźć prawdę i prawdziwą przemianę.

Potem życzyli Savannah dobrej nocy i słodkich snów i zostawili ją samą, lecz jedno małe światełko paliło się.

- To na wypadek, gdybyś się bała - powiedziała jej starsza pani.

Jak tylko została sama, wymknęła się z łóżka i wyciągnęła ze swojej torebki zdjęcie taty. Miała w swoim sercu Jezusa, lecz skoro bała się naprawdę, wiedziała, że łatwiej zaśnie, gdy będzie miała w rękach tatę. Spojrzała na jego uśmiech i przyjazne oczy. ***Tato, gdzie jesteś?*** - mówiła w duchu. ***Dlaczego po mnie nie przyjeżdżasz?*** Poczowała w oczach ukłucia łez i zamrugowała. ***Drogi Jezu, to ja, Savannah. Czy możesz powiedzieć mojemu tacie, że czekam na niego?*** Pociągnęła nosem naprawdę cicho, żeby ci mili ludzie nie musieli do niej przychodzić. ***Powiedz mu, że jestem w domu zastępczym i że mama mnie już nie chce. Więc teraz jest dobry czas, żeby po mnie przyjechał.***

Porozmawiała jeszcze trochę z Jezusem, a potem ziewnęła dwa razy i znów spojrzała na zdjęcie. Jej tata był taki przystojny, taki silny. On nigdy by nie pozwolił, żeby ktoś zostawił jej ślady na rękach. Ziewnęła raz jeszcze i jej oczy zaczęły się zamykać. Zdjęcie było już postrzępione na brzegach, lecz Savannah nie przejmowała się tym. Przycis-

nęła je mocno do serca i wtuliła twarz w poduszkę. Znowu usłyszała wokół siebie głos mamy, usłyszała te wszystkie okropne rzeczy, które wypowiedziała w restauracji.

Zamknij się! Nienawidzę być twoją matką!

Te słowa powracały do niej raz po raz, aż w końcu znów pomyślała o Jezusie. Bo dziadek Ted powiedział jej, że Jezus ją kocha, a to oznaczało, że Jezus mógł przyprowadzić do niej jej tatę. Gdy zasypiała, błagała Jezusa, aby kochał ją tak mocno, by to właśnie się stało. Bo chciała jak najszybciej być ze swoim tatą, zanim ci rodzice zastępczy oddadzą ją z powrotem mamie i zanim stanie się coś naprawdę złego. Jej tata powinien się spieszyć i przybyć tu jak najszybciej, bo ona naprawdę potrzebuje tego, żeby uratował ją jej królewicz z bajki.

Nawet jeśli sama musi go odnaleźć.

Annie bała się, że przegrała pierwszą rundę. Adwokatem Marii okazał się jakiś wazelinarz z Manhattanu, utrzymujący, że Maria jest samotną matką, której codzienne obowiązki nie mogą być zakłócane tylko dlatego, że jacyś ludzie nie chcą, aby pieniądze z odszkodowania przysługującego ich zmarłemu synowi trafiły do jego jedynej córki. Przynajmniej w taki sposób Thomas przedstawił im rozwój wydarzeń. Najwidoczniej sędzia dał się przekonać, bo postanowił, że musi zostać przedstawionych więcej dowodów wyraźnie wskazujących na to, że Savannah - nie licząc pochodzenia biologicznego - nie jest córką Josha.

Jeśli ich argumenty okazały się przekonujące, sędzia miał rozważyć wezwanie Marii do Denver w celu złożenia zeznań.

Annie czytała dokumenty na komputerze Josha i czuła, jak narasta jej determinacja. Jak ta kobieta w ogóle śmiała wynająć adwokata i walczyć o pieniądze Josha? Czy mogła spokojnie spać w nocy, wiedząc, że walczy o pieniądze, które nigdy nie powinny do niej należeć? Przetarła oczy i rozejrzała się po mieszkaniu. W miniony weekend wywieźli meble Josha. Nate wynajął ciężarówkę do przepro-

wadzek i przewiózł to wszystko, co znajdowało się w sypialni Josha, do pomieszczenia w ich domu w Black Forest, które teraz miało stać się pokojem gościnnym. Cała reszta - kanapa i krzesło, jego garnki, patelnie, naczynia i serwetki - to wszystko zostało przekazane lokalnemu oddziałowi organizacji charytatywnej Goodwill.

Kiedy mieszkanie było już prawie puste i pozostał w nim jedynie komputer Josha, jego biurko i kilka pudeł z jego rzeczami osobistymi, które zostały przejrzone, spędziła wraz z Lindsay i Nate'em cały dzień na sprzątanii. Było ważne, by pozostawić to miejsce w takim stanie, w jakim zostało przekazane Joshowi. On z pewnością życzyłby sobie, aby zrobili to dla zarządcy nieruchomości.

Teraz, gdy do końca października zostało już tylko kilka dni, Annie cieszyła się, że prawie skończyli. Musiała jeszcze zdecydować, które pudła z jego rzeczami osobistymi powinni zatrzymać, a które - jak choćby pudło z czasopismami turystycznymi - trafią na przemiał. Gdy chciała zrobić sobie przerwę od roboty papierkowej, siadała do komputera Josha, otwierała jeden z dokumentów i albo go drukowała, albo po prostu od razu kasowała.

Otworzyła bibliotekę Josha w programie iTunes, wybrała opcję „Ulubione” i włączyła pierwszy utwór na liście. Rozdzierające serce, poruszające dźwięki ulubionego utworu Josha wypełniły przestrzeń wokół niej. Usłyszała najpierw brzmienie fortepianu, a potem słowa, które Josh tak kochał.

Mogę sobie tylko wyobrazić, jak to będzie... iść u Twego boku...

Smutek, niczym stary przyjaciel, objął ją swoimi ramionami i po raz setny od śmierci Josha poczuła łzy w oczach. ***Już nie musisz sobie tego wyobrażać, Josh...*** - przemknęło jej przez myśl — ***już nie musisz.*** Wyobraziła sobie swoje dziecko, swojego syna, jak idzie obok Jezusa i długo patrzy w Jego twarz. Czy bolało go, że jego rodzice tak naprawdę nie znali go za życia? Czy był zły i rozczarowany nią w taki sam sposób, w jaki kiedyś, dawno temu, ona była nim rozczarowana?

Teraz знаła go o wiele lepiej. Jej odkrycia sprawiły, że chciała, by Lindsay napisała artykuł o jego życiu do gazety, w której pracowała. W ten sposób ci intryganci z biblioteki publicznej i ze związku zawodowego nauczycieli będą mogli się dowiedzieć, że Josh Warren odniósł sukces w tym wszystkim, co tak naprawdę było ważne. Niezależnie od tego, jak jego życie jawiło się ludziom, którzy go tak naprawdę nie znali.

Ludziom płytkim, do których Annie też kiedyś się zaliczała.

Odetchnęła głęboko i pozwoliła, aby słowa piosenki wypełniły jej duszę. Promień światła ogrzał zimny, ciemny smutek, który odczuwała w środku. Josh nie był na nią zły ani nią rozczarowany, nie miał do niej żalu. Teraz zajmował go już tylko taniec dla Jezusa lub oddawanie czci na kolanach miłosiernemu i ukochanemu Bogu. Josh był szczęśliwy i pewnego dnia ona będzie mogła wziąć go w swoje ramiona i powiedzieć mu osobiście to wszystko, co - miała nadzieję - on już wiedział.

A pragnęła mu powiedzieć, że chyba nie mogłaby być z niego bardziej dumna.

Muzyka wciąż grała, a ona znów zwróciła uwagę na pliki znajdujące się w komputerze Josha. Kolejny z nich nazywał się „Godziny”. Otworzyła go i zobaczyła arkusz kalkulacyjny z godzinami pracy Josha w danym miesiącu. Obok każdej daty Josh postawił znaczek w kształcie litery 'V' - wykazując, jak się wydawało, że przepracował swoje zmiany.

Thomas powiedział jej, żeby wydrukowała wszystko, co dotyczyło jego pracy jako kierowcy ciężarówki holowniczej, więc wybrała przycisk drukowania i czekała. Gdy to zrobiła, ktoś zapukał do drzwi. Carl Joseph i Daisy zaglądali już do niej w minionych dniach kilkakrotnie, raz z talerzem ciasteczek, a ostatnio z sadzonką sosny. - Bo jak ją zobaczysz, przypomnisz sobie o Joshu - stwierdziła Daisy.

- A Josh był zbyt dobry, żeby o nim zapomnieć - dodał Carl Joseph, a jego szczerłość była wzruszająca.

Pomyślała, że pewnie znów przyszli. Może chcieli zapytać, czy smakowały jej ciasteczka albo przynieśli dzbanek mrożonej herbaty. Ostatnim razem Daisy zapytała, czy Annie lubi pić w upalne dni mrożoną herbatę. Teraz więc uśmiechnęła się do siebie, nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Zdziwiła się, bo na zewnątrz stał ciemnowłosy młody mężczyzna z wyraźnymi kośćmi policzkowymi i tak głębokimi oczyma, że można byłoby się w nich schować. - Czy mam przyjemność z panią Warren? - spytał.

- Tak - przytaknęła, robiąc mały krok w bok. - Słucham?
- Jestem Cody Gunner, brat Carla Josepha.
- Ach tak. Pański brat dużo mówił o panu - Annie natychmiast się otworzyła, próbując nawiązać relację. - Proszę wejść - powiedziała, wskazując ręką na dwa taborety, które stały przy krótkim kuchennym blacie. - Obawiam się, że nie ma tu prawie gdzie usiąść.

- W porządku, nie będę długo - odparł, uśmiechając się do niej uprzejmie i ruszając do najbliższego stołka. Poczekał chwilę, aż usiadła naprzeciwko niego. - Moja żona i ja wspomnieliśmy ostatnio między sobą o rozmowie, jaką odbyłem z Joshem kilka tygodni przed jego śmiercią - zaczął, a smutek w oczach Cody'ego powiedział Annie, że on także był blisko związany z jej synem. — Zostawiłem pani wiadomość. Nie wiem, czy dotarła do pani.

Dopiero teraz Annie przypomniała sobie o wiadomości od kobiety zarządzającej nieruchomością. Zmarszczyła brwi i powiedziała: - Dostaliśmy tę wiadomość. Miałam do pana zadzwonić następnego ranka, ale... - urwała i rozejrzała się wokół.

- Wiem, wyleciało to pani z głowy - uśmiechnął się do niej smutno. - Byłem u brata i zobaczyłem pani samochód. Postanowiłem spróbować.

- Cieszę się, że pan to zrobił - stwierdziła. Już wcześniej przestała się dziwić tym różnym informacjom o Joshu, które do niej docierały. Bez względu na to, jaki kawałek historii życia Josha przynosił ze sobą Cody, Annie nie obawiała się tego, co mogła usłyszeć. Pragnęła tych

informacji, tak jak w czasie wojny kobiety pragnęły kolejnych listów z pola bitwy od swoich synów. - Czy mogę poczęstować pana wodą? - spytała.

- Nie, dziękuję - odparł Cody. Położył ręce na kolanach i spojrzał na gzyms nad kominkiem Josha. Zdjęcia wciąż tam były, stały w tym samym miejscu, w którym widzieli je, zanim ostatnim razem zamknęli za sobą drzwi. Cody zwrócił na nią swój wzrok i zapytał: - Co pani wie o tej małej dziewczynce na zdjęciu?

- Sporo - westchnęła Annie. Popatrzyła na fotografię swojej wnuczki. - Nasz adwokat doprowadził do badania na ojcostwo i wyszło ono pozytywnie. Ona jest córką Josha i ma na imię Savannah.

Przez chwilę milczeli. - Tak właśnie uważał Josh - że ona jest jego córką - oznajmił Cody, sprawiając wrażenie osoby, która ma trudności z wypowiedzeniem tego, z czym przyszła. - To nie jest moja sprawa, pani Warren, ale odszkodowanie Josha... Czy już postanowiono, na co zostaną przeznaczone te pieniądze?

Annie była zaskoczona pytaniem Cody'ego. W jednym miał rację - to nie była jego sprawa. Ale skoro miało to coś wspólnego z rozmową, jaka się odbyła między nim i Joshem, to... Poczula, jak w środku coś ją gwałtownie ścisnęło. - Właściwie to pracujemy teraz nad tym z adwokatem Josha. Pieniądze trafiają automatycznie do Savannah, a tak naprawdę do jej matki, jeśli nasz prawnik nie przekona sędziego do innego rozwiązania - powiedziała, odczuwając dziwną potrzebę bronięcia się. — Oczywiście kwestionujemy fakt, że Savannah jest

prawowitą spadkobierczynią odszkodowania. Chcemy utworzyć dla niej fundusz stypendialny, aby pieniądze nie wpadły w ręce jej matki. Nie sądzimy, że wykorzystałaby je dla Savannah.

- Tak, no właśnie o tym tamtego dnia rozmawialiśmy z Joshem. Wracaliśmy z kościoła do domu.

Annie znów poczuła, jak wiele straciła. Nie wierzyła, że Josh odnalazł drogę powrotną do Boga i że przez dwa ostatnie miesiące życia chodził do kościoła, i to z ludźmi, którzy tak naprawdę byli dla niego obcy. Ukryła jednak swoje cierpienie i zmusiła się do słuchania.

- Rozmawialiśmy o Savannah i o tym, że adwokat Josha nie chciał, aby on wspominał o niej, kiedy ten temat zostanie w końcu poruszony podczas jego zeznań. To było wtedy, zanim ktokolwiek wiedział na pewno, czy ona jest jego córką.

Annie zastanawiała się, czy mogliby uniknąć tego wszystkiego, gdyby tylko Josh posłuchał rady swojego prawnika.

- Josh powiedział, że wie, dlaczego jego adwokat chciał, aby zaprzeczył, że miał dzieci. Chodziło oczywiście o odszkodowanie, o to, aby pieniądze przypadły jego rodzinie, gdyby coś mu się stało, zanim sprawa sądowa zostanie rozstrzygnięta.

Annie zrobiło się żal syna, obciążonego wewnętrznym konfliktem pomiędzy uczciwym przyznaniem, że Savannah jest jego córką, i naleganiem jego prawnika, aby z powodu pieniędzy publicznie stwierdził coś zupełnie innego. Zaczynała czuć, dokąd zmierza opowieść Cody'ego.

- Czy on... czy on powiedział panu, jakie ma życzenia?
- spytała niepewnie.

Cody zawahał się. - Tak, proszę pani. Dlatego tutaj jestem - stwierdził.

- Proszę mówić dalej - zachęciła go. Powietrze - tego właśnie potrzebowała. Wstała, odsunęła drzwi balkonowe i nabrała tyle powietrza, że jej płuca były pełne. Potem znów zajęła miejsce naprzeciwko Cody'ego. Modliła się wcześniej o Bożą mądrość, o Jego prowadzenie. Teraz musiała zatem bardzo uważnie wysłuchać Cody'ego, niezależnie od tego, jak jej zdaniem sprawy powinny się potoczyć. Spojrzała Cody'emu w oczy i poprosiła: — Proszę mi powiedzieć.

- On chciał, żeby jego rodzina została spłacona, żeby otrzymali państwo z powrotem to wszystko, co mu państwo pożyczycy - powiedział Cody pełnym współczucia głosem, mrużąc oczy. - Lecz gdy to już zostanie zrobione, chciał, by pozostałe pieniądze trafiły do Savannah.

- Wszystkie? - wyrwało się Annie. Zakreśliło jej się w głowie, jakby to był sen albo raczej jakiś koszmar. Miała już konkretne pomysły co do tego, w jaki sposób spożytkować to odszkodowanie - po spłaceniu w pierwszej kolejności długów Josha. Myślała o założeniu funduszy stypendialnych dla Bena i Belli, no i oczywiście dla Savannah, a potem może mogliby skorzystać z tych pieniędzy, aby pomóc Nate'owi w ponownych wyborach. Znalazłoby się też coś na ich kościół i na wspierane przez nich stale cele dobroczynne, a także dla Carla Josepha i Daisy, aby nie musieli już nigdy płacić za bilety autobusowe. Oboje

z Nate'em będą mogli spłacić swój dom, bo przecież Josh martwił się o ich emeryturę, skoro sam tyle musiał od nich pożyczać, i często wspominał w rozmowach o zmartwieniach finansowych, jakie trapiły niektórych emerytów. Myślała o tego typu wydatkach. Jeszcze raz zadała szeptem to pytanie: - Całe odszkodowanie?

Cody skinął głową. - Przykro mi - powiedział. - Tak myślałem, że będzie to trudne dla pani. Sam też byłem zaskoczony.

Annie zastanawiała się, czy Josh miał do nich aż tyle pretensji i czy to właśnie dlatego myślał o przekazaniu całego odszkodowania dziecku, którego nawet nigdy nie poznał - nigdy nie dowiedział się, czy ona naprawdę jest jego córką. - Czy on powiedział... to znaczy, czy on był zły na nas? Czy tłumaczył, dlaczego właśnie tak? - dopytywała.

- On przecież wcale nie wiedział, że do tego naprawdę dojdzie. Faktycznie bardzo cierpiał, ale nie myślał, że pozostało mu tylko kilka tygodni życia - ton głosu Cody'ego powiedział jej, że myślał już o tym wszystkim wiele razy.

- Jak mówiłem, chciał, żeby jego długi zostały spłacone. Lecz myślę, że po prostu kochał tę małą dziewczynkę całym sercem.

Annie niemal słyszała, jak Pan mówi jej, by poświęciła swą uwagę Cody'emu. - Czy powiedział coś jeszcze?

- spytała.

- Powiedział mi, że Savannah nie miała swojego taty przez wszystkie te lata. Jeśli coś by mu się stało, przynajmniej chciał zadbać o nią finansowo - oznajmił Cody, po-

prawiając się na stołku i siadając prosto. - Powiedział, że chce, aby ona wzrastała w przekonaniu, że była dla niego bardzo ważna.

Nagle Annie poczuła, jak wszystko uległo zmianie, poczuła, jak chęć walki uszła z jej ciała niczym woda ze zlewu. Prosiła Boga, aby pokazał jej, jak powinna postąpić, i teraz On zrobił to za pośrednictwem słów Cody'ego. Zachowała te myśli dla siebie, gdy rozmawiała jeszcze kilka minut z Codym o odzyskaniu wiary przez Josha, o tym, jak on bardzo lubił śpiewać podczas nabożeństw i jak uważnie słuchał tego, co mówił pastor. - Moja żona i ja mieliśmy takie wrażenie, jakby Josh zaczynał żyć - stwierdził Cody, kręcąc smutno głową. - Przykro mi, pani Warren, z powodu tego, co się stało, z powodu tej ogromnej straty.

Odprowadziła go wzrokiem do drzwi i podziękowała mu za szczerość. Gdy wyszedł, stała nieruchomo w ciszy pustego pokoju. Odszkodowanie należało do Josha. Dotychczas mogli sobie wmawiać, że Josh życzyłby sobie, aby zadbali o to, by Savannah mogła pójść na studia, ale nie o jej aktualne potrzeby; nie w sytuacji, gdy pieniądze musiałyby najpierw zostać przekazane Marii. Dotychczas utwierdzali się w przekonaniu, że on nie chciałby, by choćby grosz dostał się Marii Cameron, nie po tym, co mu zrobiła.

Lecz teraz...

Rozmowa z Codym była właśnie tym, czego Annie potrzebowała. Była pewna, że gdy Nate usłyszy, co powiedział ich syn o Savannah i pieniądzach, spojrzy na to wszystko w ten sam sposób. To wszystko było dla niej tak

jasne i zrozumiałe, jakby to sam Bóg wszedł tutaj przez drzwi i powiedział jej to osobiście.

Znów włączyła ten utwór i zamknęła oczy, wyobrażając sobie, jak Josh chodzi po ulicach nieba wolny od bólu i lęku związanego z rozstrzygnięciem procesu sądowego i od niepewności, jak uda mu się odnaleźć córkę. Pozostawił im przejrzenie tego wszystkiego, co pozostało z jego życia, i dzięki temu zapamiętają go inaczej. Lecz pozostawił także córkę i swoje życzenie, aby ona otrzymała pieniądze z jego odszkodowania. Nawet gdyby do osiemnastych urodzin Savannah jej matka zdążyła wydać każdego dolara.

Annie jeszcze raz podeszła do zdjęcia stojącego na gzymsie kominka. Podniosła drewnianą ramkę i spojrzała w oczy swojej wnuczki. Jeśli Josh chciał, aby ona dostała wszystkie pieniądze, to niech tak się stanie. Zatelefonuje do Nate'a, a potem do Thomasa Flynna i walka toczona przeciwko Marii Cameron zostanie zakończona. Lecz zanim na zawsze pozostawi całą tę sprawę, będzie żądała tylko jednej rzeczy, czegoś, co samo w sobie było warte dla niej dwa miliony dolarów.

Za wszelką cenę będzie chciała się spotkać z córeczką Josha.

Zatelefonowanie do prawnika Josha było jedynie zwyczajną przysługą, jaką Lindsay robiła dla swojej matki. W ciągu ostatniego miesiąca jej rodzice tyle przeszli, że choć miała w redakcji dużo pracy, starała się robić wszystko, co mogła, by im pomóc.

Lindsay wybrała numer Thomasa Flynna i czekała na połączenie. Tego ranka już zdążyli się wszyscy spotkać w mieszkaniu Josha, żeby załadować resztę jego rzeczy do bagażnika samochodu ojca. Ostatnimi przedmiotami, które zapakowała jej matka, były trzy fotografie stojące nad kominkiem. Zawinęła je w poszewkę na poduszkę i położyła na przednim siedzeniu samochodu.

Zanim odjechali stamtąd po raz ostatni, stanęli w drzwiach i jej ojciec pomodlił się. - Panie, Ty ukazałeś nam tak wiele o naszym synu w ciągu tego miesiąca - mówił napiętym głosem. - Dziękujemy Ci, że dałeś nam ten czas i to miejsce, abyśmy mogli poznać to, czego nie wiedzieliśmy o naszym synu.

Lindsay i jej matka miały łzy na policzkach, a Nate mówił dalej, dziękując Bogu za sąsiadów, którzy znali Josha, i za ich wspomnianie o tym, jak wiele Josh dla nich

znaczył. - Nie trzeba mieć skończonych studiów, ogromnych pieniędzy ani dużego domu, aby mieć udane życie, Panie - modlił się. - Ty ukazałeś nam to w ciągu tego miesiąca. Stopniowo pozwoliłeś nam to zrozumieć i nigdy tego nie zapomnimy.

Gdy w końcu zatrzasnęli drzwi i zamknęli je na zamek, zanieśli klucze do zarządcy nieruchomości i wrócili do swoich samochodów. Rodzice Lindsay wyglądali na emocjonalnie wyczerpanych. Zawieźli ostatnie rzeczy Josha do swojego domu, a Lindsay wróciła do siebie, żeby przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych. Ta była jedną z nich. Chciała się dowiedzieć, czy jest jakaś odpowiedź od Marii Cameron, odkąd przekazali jej wiadomość, że pieniądze z odszkodowania Josha należą do niej.

Sekretarka połączyła Lindsay z panem Flynnem i Lindsay zaczęła pytać krótko i konkretnie. Lecz zanim skończyła zadawać pytanie, prawnik Josha przerwał jej. - Miałem właśnie dzwonić do twoich rodziców - mówił szybko i niespokojnie. - Dostałem informację od adwokata Marii Cameron. Została aresztowana i wsadzona do więzienia na dwa tygodnie. Chyba upiła się i wdała się publicznie w jakąś kłótnię. Chciała uderzyć kelnera i na oczach mnóstwa ludzi, którzy byli w restauracji, uderzyła w twarz Savannah.

Lindsay poderwała się na nogi i zaczęła chodzić z kuchni do jadalni i z powrotem. - To gdzie jest teraz Savannah, skoro jej matka jest w więzieniu? - spytała przestraszona.

- U rodziny zastępczej. Jej prawnik mówi, że prokurator okręgowy zastanawia się, co z nią dalej zrobić - pan

Flynn przerwał tylko na chwilę, aby szybko nabrać powietrza. - Myślę, że to może wszystko zmienić.

Przez następne piętnaście minut Lindsay tylko słuchała, a gdy rozmowa dobiegła końca, od razu zatelefonowała do rodziców. Jej mama odebrała niemal natychmiast: - Lindsay? Czy on ma dla nas jakieś wieści?

Lindsay oparła się o futrynę w jadalni. - Szczerze mówiąc, ma - odparła. - Jak szybko możemy się zobaczyć?

- Miałam jechać na cmentarz - jej mama wciąż miała zmęczony głos i wydawała się wyczerpana. - Kupiłam kwiaty na grób Josha.

Nikt z nich jeszcze nie zdążył spędzić dłuższego czasu przy grobie Josha. Byli zbyt zajęci przeglądaniem tego, co po nim zostało, aby rozpamiętywać jego śmierć. - Spotkajmy się tam za godzinę.

Myśli Lindsay wciąż były pochłonięte tym wszystkim, co usłyszała od Thomasa Flynna. Uznała, że skoro Savannah trafiła do rodziny zastępczej, to może modlitwy jej matki zostaną wysłuchane znacznie wcześniej, niż się tego mogli spodziewać.

Jeśli bowiem pan Flynn miał rację, spotkanie z córką Josha mogło okazać się w zasadzie równoznaczne z zakupem biletu lotniczego.

Annie pierwsza przysłała do grobu. Nie przyniosła sobie krzesła ani koca, bo nie planowała dłuższego pobytu na cmentarzu, chciała tylko czegoś więcej niż złożyć mu wyrazy szacunku, co miało miejsce podczas pogrzebu.

Nagrobek Josha powinien przynajmniej być przystrojony kwiatami, aby przechodzący obok ludzie wiedzieli, że ktoś za nim tęskni i że był on dla kogoś ważny. Bo jedną rzecz Annie wiedziała teraz na pewno: życie Josha było bardzo ważne, on nie zmarnował życia.

Wpatrywała się w tymczasowy napis na nagrobku. Nate zamówił już docelową płytę nagrobną i specjalne pojemniki na kwiaty, lecz miały być gotowe dopiero po Święcie Dziękczynienia. Na razie musiał wystarczyć prosty kawałek betonu z wygrawerowanym na górze napisem: ***Joshua David Warren.***

- Tak bardzo tęsknię za tobą, synu - szepnęła. Zamknęła oczy i uniosła ku górze twarz, czując delikatny wiaterek wiejący od strony gór. Czasami, podczas dni takich jak dzisiejszy, ten delikatny wiaterek był jak obecność Josha obok niej, czuła się tak, jakby mogła wyciągnąć rękę i dotknąć go, wspomnienie o nim było tak żywe. Gdyby tylko mogła... gdyby tylko mogła jeszcze raz go zobaczyć... Nie była pewna, czy wiedziałaby, co powiedzieć. Carl Joseph powiedział już wszystko, naprawdę. Josh był bohaterem i choć było to tak wspaniałe i niesamowite, Annie nie dostrzegła tego faktu wcześniej. Całkowicie go przegapiła i było to straszne.

- Mamo.

Przez chwilę zdawało jej się, że ten głos należy do Josha. Nie był to głos, który słyszała podczas ostatniej rozmowy z nim, lecz jego głos sprzed lat, gdy jako dziesięcio- lub jedenastoletni chłopiec przychodził do niej, by pokazać jej jakąś żabę czy kwiat. Lecz zanim ta myśl zadomowiła się

na dobre w jej głowie, usłyszała obok siebie łagodny głos Lindsay: - Przepraszam... nie chciałam cię przestraszyć.

Annie otworzyła oczy. - Czasami czuję go - uśmiechnęła się i był to ten bolesny i pełen smutku uśmiech, który ostatnio pojawiał się na jej twarzy za każdym razem, gdy myślała o Joshu. - Czuję go tak blisko jak wiatr na mojej skórze.

- Hm - przytaknęła ze zrozumieniem Lindsay, składając przed sobą ręce i spoglądając w dół na napis na nagrobku Josha. - Ja też go czuję. Ale to nie jest to samo.

- Nie - przyznała i powoli wciągnęła nosem powietrze, delektując się zapachem iglaków. - Czy Thomas miał dla nas jakieś wieści?

- Jesteś pewna, że nie chcesz sobie usiąść? Możemy porozmawiać o tym w samochodzie.

Annie uniosła do góry głowę i jeszcze raz spojrzała na napis na nagrobku syna. - Nic mi nie jest - odparła. - Potrzebuję takiego czasu jak ten, takiego spokoju.

Lindsay wyglądała tak, jakby nie wiedziała, od czego zacząć. - Dostał informacje o Marii Cameron - powiedziała wreszcie. - Mamo... ona jest w więzieniu. Publiczne zniesławienie... upiła się w jakiejś restauracji i chyba nawet uderzyła Savannah.

Lindsay przekazywała jej kolejne fakty, lecz Annie nie mogła uporać się z pierwszym z nich. Poczowała, że budzi się w niej jakaś gwałtowność i pragnienie chronienia Savannah i gdy jeszcze Lindsay mówiła, uniosła ręce i przerwała jej z niedowierzaniem w głosie: - Ona uderzyła Savannah?

- Na oczach wszystkich - potwierdziła Lindsay i zagryzła wargę. - Pan Flynn mówi, że Savannah ma siniaki na rękach. Na razie jest u rodziny zastępczej.

Annie miała ochotę krzyczeć, lecz jednocześnie czuła, że po tym, co usłyszała, jest bliska załamania. Przez cały ten czas doświadczała jakiejś pogardy wobec Marii Cameron, lecz związane to było jedynie z tym, jak ona potraktowała Josha. Dotychczas ani przez chwilę nie pomyślała o tym, jak ona obchodziła się z jego córką.

Gdy to wszystko do niej dotarło, niemal osunęła się na kolana. W takim razie jakie życie musiała mieć Savannah? Gdy Lindsay przekazała jej to wszystko, co usłyszała od prawnika, jej świadomością zawładnął przerażający obraz. Savannah i jej matka mieszkały u notowanego przez policję dilerka narkotyków, a Savannah spała na podłodze pod biurkiem - co i tak było lepsze od spania pod mostem przy stawie w Central Parku, gdzie trzy razy znalazła je policja.

Annie nie była pewna, jak wiele jeszcze znieśie, jak długo może jeszcze słuchać tej opowieści. Gdyby Josh poznał te szczegóły, znalazłby jakiś sposób na dotarcie do Savannah, nawet gdyby musiał przejść na piechotę przez cały kraj. Znowu uderzyła ją ta prawda, że gdyby ona i Nate dali wiarę przekonaniu Josha, że Savannah jest jego córką, to jednocząc siły, mogli dowiedzieć się o jej sytuacji wcześniej, a wówczas zrobiliby od razu badanie na ustalenie ojcostwa i wymyślili jakiś sposób na uratowanie jej.

Determinacja Annie, by odnaleźć swoją wnuczkę i pomóc jej, błyskawicznie narastała. Maria Cameron już ni-

gdy więcej nie skrzywdzi Savannah, nie zrobi tego więcej, już Annie tego dopilnuje. - Skoro jej matka nie nadaje się do wychowywania dzieci, to Savannah powinna zamieszkać z nami - stwierdziła. - Co powiedział Thomas na ten temat?

- No właśnie to jest najgorsza część - zasmuciła się Lindsay, składając ręce przed sobą. Jej głos mieszał się z szumem wiatru, a każde słowo spływało po Annie, jakby nie chciała go usłyszeć. - Pan Flynn mówi, że od ponad roku Maria nie była aresztowana, a jej gospodarz twierdzi, że zwykle jest ona wzorcową matką.

- Co jest oczywistym kłamstwem.

- Ale system musi wziąć to pod uwagę. Jeśli jej adwokatowi uda się uwolnić ją od postawionych jej zarzutów, prawdopodobnie otrzyma Savannah z powrotem. Tak właśnie powiedział - poinformowała Lindsay. Wzięła matkę za rękę i dodała: - Ale powiedział też, że jeśli zadziałasz szybko, możesz zobaczyć się z Savannah, gdy jeszcze przebywa u rodziny zastępczej.

- Co?! - zawołała Annie; nie potrafiła wytłumaczyć poczucia radości, jakie w tej jednej chwili przedarło się przez jej ból. Mogła zobaczyć się ze swoją wnuczką! Jej marzenie o spojrzeniu w te oczy, które były tak podobne do oczu Josha, miało się spełnić. Bóg wysłuchał jej modlitw i teraz za kilka dni spotka tę dziewczynkę, którą przez ostatnie siedem lat Josh tak bardzo kochał.

Gdy wróciły z Lindsay do samochodów, natychmiast zatelefonowała do Nate'a. Jak tylko otrzymała jego zgodę, zadzwoniła do Thomasa, a potem do przedstawicielstwa

linii lotniczych. Lindsay i Nate też chcieli się z nią wybrać, więc zarezerwowała trzy bilety na lotnisko LaGuardia w Nowym Jorku. Thomas poradził im, by udali się wszyscy razem, bo nie można przewidzieć, co zrobi Maria, gdy znów przejmie opiekę nad Savannah i kiedy dostanie pieniądze. Ta kobieta nie była zobligowana do pozostawania w kontakcie z rodziną Warrenów, mimo że oni dobrowolnie odstąpili od walki o odszkodowanie Josha.

Thomas wyraźnie przeczuwał, że jak Maria dostanie pieniądze, to zniknie gdzieś z dziewczynką; przeniosą się do innego stanu albo innego kraju i będzie po wszystkim. Co oznaczało, że to mogła być ich jedyna szansa na spotkanie się z dzieckiem, za którym Josh tak tęsknił, które kochał i którym pragnął się zaopiekować, jak tylko będzie miał taką możliwość. Annie próbowała sobie wyobrazić, co mogłoby się stać, gdyby Josh i Becky zeszli się z powrotem, gdyby on ukończył studia i gdyby się pobrali. Jej wnuczka miałaby wówczas inną matkę i inne życie, a Josh nie pracowałby tamtego wieczoru jako kierowca ciężarówki holowniczej. I nie znalazłby się pod kołami samochodu prowadzonego przez pijanego kierowcę.

Annie jechała z cmentarza do domu zagubiona w labiryncie pytań. Jaka będzie ta dziewczynka? Czy będzie z maltretowana i zaniedbana, czy cicha i zamknięta w sobie? Czy spotkanie z Annie przestraszy ją i wprawi w zakłopotanie? Czy mała kocha swoją matkę, pomimo życia, jakie miała? Czy w rodzinie zastępczej, gdzie została umieszczona, jest traktowana życzliwie? Lecz odkąd po-

znała wynik badania na ustalenie ojcostwa, nie dawało jej spokoju następujące pytanie: Czy Savannah wie o Joshu?

Jacyś mili ludzie mieli ją dzisiaj odwiedzić, tyle wiedziała Savannah. Jej rodzice zastępczy kupili jej nowe ubrania - letnią sukienkę, jak na to powiedzieli, i sweter. Sweter był biały, a sukienka... sukienka była biała z malutkimi purpurowymi i zielonymi kwiatami, a co najważniejsze, ta letnia sukienka była nowiusieńka!

- Kim są ci ludzie? - spytała Savannah swoją matkę zastępczą.

- Z tego co wiem to bardzo mili ludzie i kochają Jezusa. Te słowa znacznie uspokoiły Savannah, lecz wciąż nie

znała odpowiedzi na swoje pytanie. - A skąd oni mnie znają? - dopytywała.

- Wszystko ci wytłumaczą, skarbie - tyle powiedziała jej starsza kobieta. Resztę mieli wytłumaczyć jej ci ludzie, jak pojawią się po lunchu.

Właśnie skończył się lunch, więc Savannah usiadła na kolanach na kanapie obok okna i patrzyła z uwagą na każdy przejeżdżający obok samochód. Będzie ich troje - tak powiedzieli jej rodzice zastępczy.

Savannah zastanawiała się nad czymś, odkąd się dowiedziała, że ci mili ludzie mają przyjechać. A jeśli jednym

z nich będzie jej tata? On gdzieś tam przecież był, a jej mama powiedziała, że Savannah później się z nim zobaczy. Dużo później, ale przecież... to było tak dawno temu. Może jej tata ma rodzinę i przywozi ją ze sobą. Tak właśnie robili inni ludzie, bo jak ona i jej mama były w Central Parku, to inni ludzie spacerowali ze swoimi dziećmi i czasami szła cała grupa razem.

Zawsze zastanawiała się, jak to jest być częścią jakiejś grupy.

- Dobrze ci tam? - spytała jej matka zastępcza, wsuwając głowę do pokoju. - Potrzebujesz czegoś, Savannah?

Po prostu mojego taty - chciała już powiedzieć, lecz tylko uśmiechnęła się ładnie do starszej kobiety. - Nie, dziękuję - odparła. Potem pomyślała o klęczeniu na kanapie i o tym, że może jest to zabronione, więc szybko zakryła usta i poczuła, jak jej oczy robią się duże. - Czy mam zejść z kanapy?

Kobieta uśmiechnęła się serdecznie. - Nie, skarbie - uspokoiła ją. - Możesz sobie spokojnie klęczeć na tej kanapie. Ona jest stara jak świat.

Savannah uśmiechnęła się. - Dziękuję - powiedziała i poczuła się lepiej. Jej matka zastępcza była taka miła. Najpierw Savannah pomyślała o tym, żeby uciec stąd i odnaleźć swojego tatę, bo tylko tego tak naprawdę chciała. Wówczas przestałaby być kłopotem dla swojej mamy i nie zabierałaby czasu rodzicom zastępczym. Lecz jej matka zastępcza była bardzo miła i prawdopodobnie byłaby smutna, gdyby Savannah uciekła. Zatem została i codziennie prosiła Jezusa, aby jak najszybciej przyprowadził jej tatę.

Matka zastępcza poszła z powrotem do kuchni i Savannah znów wyjrzała przez okno. W tej samej chwili jakiś niebieski samochód zatrzymał się przed domem i po kilku głośnych uderzeniach jej serca wyszedł z niego, od strony kierowcy, jakiś mężczyzna. Savannah zmrużyła oczy i spojrzała na niego, wyteżając wzrok. Był bardzo podobny do jej taty, ale nie całkiem, bo miał siwe włosy. Niemal wszystkie jego włosy były siwe.

Potem z przodu, od strony pasażera, wyszła jakaś kobieta, a z tyłu wysiadła jakaś inna, młoda kobieta. Savannah nabrała szybko powietrza, bo pierwsza kobieta, ta z przedniego siedzenia, była bardzo piękna i podobna do królowej ze „Śpiącej królowej”, a jej włosy opadały na ramiona. Cała trójka rozmawiała ze sobą przez chwilę, a potem wszyscy ruszyli w stronę domu.

Savannah szybko dała nura pod parapet. Dlaczego ludzie, którzy jej nie znali, chcieli się z nią spotkać? Czy oni byli przyjaciółmi jej mamy? A może byli przyjaciółmi Freddy'ego? Savannah podniosła głowę na tyle, by móc ich widzieć. Nie. Oni nie byli przyjaciółmi ani jej mamy, ani Freddy'ego, bo mieli na sobie ładne ubrania i ich oczy wyglądały inaczej. Bardziej przypominali tych ludzi, którzy dawali im pieniądze, gdy zebrały w parku.

- Już tutaj są! - zawołała, bo chciała, aby jej mama zastępcza otworzyła drzwi. W taki przecież sposób zachowywali się normalni ludzie, a Savannah chciała, aby ci mili ludzie myśleli, że ona jest normalna. Gdy jej mama wypła zbyt dużo whisky albo zbyt późno wstała, ona była

tą osobą, która otwierała drzwi w mieszkaniu Freddy'ego. Ale to wcale nie było normalne.

Jej matka zastępcza weszła do pokoju, wycierając dłonie o ręcznik. Zbliżyła się do drzwi i niespodziewanie Savannah poczuła w środku coś ciepłego. Tak wiele razy, gdy obie z mamą zebrały o pieniądze, zastanawiała się, jak by to było spędzić jakiś czas z ludźmi, którzy dawali banknoty pięcio- i dziesięciodolarowe, zamiast zawsze być tylko po stronie biorących.

A teraz, choć ciągle jeszcze nie rozumiała powodów tej wizyty, miała tego doświadczyć.

Annie chyba nigdy w całym swoim życiu nie była taka milcząca.

Przez całą drogę - przejazd na lotnisko w Denver, przelot z O'Hare na LaGuardia, oczekiwanie przy ladzie w wypożyczalni samochodów i podczas jazdy tutaj do Queens - nie miała potrzeby wypowiedzenia choćby słowa. Myślała tylko o tym, że to powinna być podróż Josha. Teraz, gdy odnaleźli Savannah, teraz, gdy wiedzieli z całą pewnością, że jest ona córką Josha, możliwość poznania jej i spędzenia z nią choćby krótkiego czasu powinna należeć do Josha.

Spędziła ten czas na zastanawianiu się nad tym, co on by sobie myślał, i przeżywaniu momentu, kiedy po raz pierwszy zobaczy Savannah. Nie mogła doczekać się tej chwili, podobnie jak Josh. Przy całym bólu i cierpieniu,

jakiego doświadczał, to był jedyny cel, do którego dążył, ten jeden moment, który liczył się dla niego najbardziej.

Annie wzięła Nate'a za rękę, a kilka kroków za nimi szła Lindsay. Ten moment w końcu nadszedł i Annie zastanawiała się, czy nie zapomni z wrażenia, jak się oddycha. Była pierwsza środa listopada, lecz popołudnie wciąż było ciepłe, a liście miały odcienie pomarańcza, żółci i czerwieni. Annie nie miała najmniejszej wątpliwości, że będzie pamiętała każdy najdrobniejszy szczegół tej chwili, choćby nawet za dwadzieścia lat. Dotyk dłoni Nate'a, rupiecie na werandzie przed domem rodziny zastępczej, kolory liści i wyczuwalny w powietrzu zapach jesieni. Jej serce biło tak mocno, że aż bała się, aby nie wypadło jej z piersi. Nate poszedł zapukać do drzwi, lecz zanim tam dotarł, otworzyła je jakaś starsza pani i uśmiechnęła się do nich. - Musicie być Warrenami - powiedziała.

- Tak - potwierdził Nate, cofnął się trochę i stanął obok Annie.

- Dziękujemy, że to w ogóle było możliwe.

- Zawsze, jak mogę coś zrobić dla tych dzieci, jestem szczęśliwa - stwierdziła, wyciągając do nich rękę. - Jestem Marti - oznajmiła. Wszyscy troje przedstawili się, a Marti wyjaśniła, że Savannah nie wie, kim oni są ani co ich z nią łączy. - Pomyślałam, że pozwolę wam samym zadbać o tę część.

W głowie Annie znów pojawiło się masę pytań. A co będzie, jak ona nie zrozumie? Co będzie, jeśli ona nie ma pojęcia, kim był Josh albo że był jej ojcem? Jak jednego popołudnia uda im się wymazać siedem lat braku jakiejkolwiek relacji? Nate musiał dostrzec jej niepokój, bo ścis-

nął jej rękę i rzucił pocieszające spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Marti zaprosiła ich do środka i odsunęła się na bok. Tam, w głębi pokoju, stała Savannah, dziewczynka ze zdjęcia. Była teraz starsza, a jej oczy były bardziej czujne niż wówczas, gdy miała cztery lata. Lecz były to oczy Josha. Annie nie miała wątpliwości, że Nate i Lindsay dostrzegają to równie wyraźnie jak ona. Marti poszła do innego pokoju, mówiąc coś o pozostawieniu ich samych, aby mogli się poznać.

Annie przez cały czas była wpatrzona w tę małą dziewczynkę, w córeczkę Josha. - Cześć, kochanie - zaczęła. Zrobiła kilka kroków w stronę dziewczynki i obniżyła się, aby ich oczy były na tym samym poziomie. - Jestem Annie.

- Cześć - odparła Savannah. Pomachała niepewnie ręką, lecz podbródek trzymała nisko i była zbyt zawstydzona, by ruszyć w ich kierunku. - Jestem Savannah.

Jak często Josh tęsknił do tej chwili, aby usłyszeć te proste słowa? Annie przycisnęła palec do górnej wargi, powstrzymując łzy gromadzące się gdzieś na dnie jej duszy. - Miło cię poznać, Savannah - powiedziała Annie.

Potem przedstawili się Nate i Lindsay, a następnie Annie dała im znak ręką, by usiedli. Savannah stała w rogu pokoju. Nate zakaszał kilka razy i Annie wiedziała, że również próbował powstrzymać łzy. - Czy usiądziesz na chwilę? - spytała.

- Nie, dziękuję - odparła dziewczynka. Zrobiła pół obrotu w jedną a potem w drugą stronę i chociaż wciąż

miała zawstydzone oczy, na jej ustach pojawił się uśmiech.
— Dostałam nową letnią sukienkę i nowy sweter.

Annie zapragnęła zabrać ją do największego sklepu z zabawkami w Nowym Jorku i kupić jej, co tylko by chciała. Teraz odrzuciła od siebie tę myśl. Jeśli to była jej jedyna szansa spotkania się z Savannah, jej uwaga nie mogła być skupiona na tym wszystkim, czego do tej pory brakowało tej dziewczynce. Nate dał jej znak skinieniem głowy, informując ją w ten sposób, że może poprowadzić tę rozmowę, skoro mieli spędzić z małą popołudnie.

Annie wysunęła się lekko do przodu i spojrzała na swoją wnuczkę, spojrzała w oczy, które wydawały się takie znajome.
- Kochanie, nie wiesz, kim jesteśmy, prawda?
- spytała.

Savannah wzruszyła filigranowymi ramionami. - Jesteście miłymi ludźmi, tak powiedziała moja zastępcza mama. I kochacie Jezusa - odparła.

- To prawda - potwierdziła Annie, ciesząc się z tego, co ta kobieta powiedziała o nich Savannah. Bała się, że wytłumaczenie tej dziewczynce, kim są i dlaczego tutaj przyjechali, nie będzie łatwe. Odetchnęła, prosząc Boga w duchu o odpowiednie słowa. - Co wiesz o swoim tacie, Savannah? - spytała.

Jak tylko to pytanie wydobyło się z jej ust, Annie zobaczyła żywą reakcję dziewczynki. Jej oczy zaczęły się śmiać i klasnęła w dłonie w taki sposób, jak robią to małe dzieci na Boże Narodzenie, gdy dostają w prezencie konia na biegunach, lalkę albo kolejkę, o jakich zawsze marzyły. Tak właśnie wyglądała teraz Savannah. Przeniosła wzrok

z Annie na Nate'a i na Lindsay, a potem znów z powrotem na Annie. - Czy mogę na chwilę gdzieś pójść? - spytała nieśmiało.

- Jasne, kochanie - zgodziła się Annie i spojrzała na pozostałych, gdy Savannah odbiegała korytarzem w głąb domu.

- Przynajmniej wie, kim on jest - zauważył Nate, ocierając palcami miejsce pod jednym, a potem pod drugim okiem. - Widzieliście, jak się ucieszyła? Wydaje mi się, że ona wie. Co myślicie?

- Z pewnością - szepnęła Lindsay. - Nie mogę uwierzyć, jak bardzo jest podobna do Josha.

- Ona jest też podobna do ciebie - stwierdziła Annie. Uświadomiła sobie to podobieństwo, widząc żywą reakcję dziewczynki na wspomnienie o jej ojcu. Ten entuzjazm coś zmienił w wyrazie jej twarzy i nagle Annie poczuła się tak, jakby patrzyła na mieszaną Josha i Lindsay w tym samym wieku.

Usłyszeli odgłosy zbliżających się szybko kroków Savannah dochodzące z głębi korytarza. **Oddychaj** - mówiła sobie Annie. **Oddychaj, żebyś nie zemdlala i nie upadła na podłogę. Proszę, Boże, pomóż mi oddychać.**

Savannah niemal wyskoczyła z za rogu i zatrzymała się nagle. Miała w rękach oprawione w ramki zdjęcie. Uniosła je lekko w górę i zaczęła się w nie wpatrywać pełnym uwielbienia wzrokiem. Potem odwróciła je, aby mogli zobaczyć fotografię.

Annie poczuła, że zaparło jej dech w piersiach i zakryła dłonią usta. Było to zdjęcie Josha sprzed kilku lat, jeszcze

sprzed wypadku. Gdy Savannah przeniosła wzrok ze zdjęcia na Annie, oczy dziewczynki wprost błyszczały z radości. - To jest mój tata - uśmiechnęła się z dumą. - On jest królewiczem z bajki.

Lindsay odwróciła wzrok, prawdopodobnie dlatego, by Savannah nie zobaczyła jej łez. Annie poczuła, jak Nate kładzie jej rękę na ramionach. Nie mogła się tego spodziewać; żadne z nich nie mogło tego przewidzieć. Savannah nie tylko wiedziała, kto jest jej tatą, ale nawet miała jego zdjęcie i z takim podziwem na nie patrzyła.

Annie zaniemówiła z wrażenia, a serce niemal zamarło jej w piersi. Wiedziała, że widok córki Josha trzymającej jego zdjęcie i nazywającej go królewiczem z bajki pozostanie z nią na zawsze. Spojrzała wnuczce prosto w oczy i spytała: - Jak się o nim dowiedziałaś, Savannah? Kto ci powiedział?

W uśmiechu Savannah pojawił się jakby cień lęku. - Moja mama - odparła, lekko się krzywiąc, jakby to nie było do końca prawdą. - Myślę, że ona знаła go bardzo dawno temu, bo miała to zdjęcie. Pewnego dnia, dawno temu, gdy jeszcze byłam małą dziewczynką, wyrzuciła je do kosza, gdy sprzątała nasz pokój. Kiedyś, jeszcze wcześniej, powiedziała, że on jest moim tatą - Savannah przełknęła ślinę i znów spojrzała na zdjęcie Josha. - Powiedziała mi, że on był prawdziwym królewiczem z bajki. Skoro ona nie chciała tego zdjęcia, to ja je wzięłam - wyjaśniła, przyciskając fotografię do piersi. - Mama nie wie, ale... mam je od tamtej pory.

Musiałoby upłynąć kilka sekund, zanim do Annie dotarło, co mówiła jej wnuczka. Było aż nazbyt oczywiste, że Maria próbowała przemilczeć istnienie Josha, tak aby nie był on w żaden sposób obecny w życiu Savannah, lecz najwidoczniej dziewczynka odnalazła to zdjęcie i zapytała o nie. Jeśli zaś chodziło o te słowa o królewiczu z bajki, jedno było ewidentne - Maria musiała zrobić tę uwagę złośliwie i ironicznie. Lecz Savannah była zbyt mała, by wychwycić tę złośliwość, więc wzięła sobie do serca słowa matki. Zachowała także to zdjęcie i od tamtej pory trzymała je w ukryciu przed Marią.

Annie miała ochotę wziąć tę małą dziewczynkę w swoje ramiona i powiedzieć jej prawdę o Joshu - że on naprawdę był królewiczem z bajki, który żył nadzieją zobaczenia jej, lecz utracił tę możliwość na zawsze. I chciała również powiedzieć jej tę najsmutniejszą część - że ten jej tata z fotografii nie żyje.

Nate pochylił się w stronę Savannah. - Twoja matka nie wie, że masz to zdjęcie? - spytał.

Na twarzy Savannah pojawiło się przerażenie. - Ale wy jej nie powiecie, prawda? - powiedziała błagalnym tonem.

- Nie, kochanie - odpowiedział szybko Nate. - Oczywiście, że nie.

- Mama powiedziała mi, że później poznam moją tatę. Dużo później - wyjaśniła. Wyjrzała przez okno na przebiegającą przed domem ulicę. - Myślałam, że może wy przywieziecie go do mnie ze sobą.

- No właśnie dlatego spytaliśmy cię o niego - stwierdziła Annie. Wysunęła się do przodu i poklepała miejsce na kanapie pomiędzy sobą i Nate'em. - Usiądziesz tutaj z nami?

Savannah zawahała się, lecz potem wetknęła zdjęcie pod ramię i powoli do nich podeszła. Usiadła na samym brzegu, dotykając nogami podłogi i znów spojrzała na zdjęcie. - On wygląda jak król z bajki, prawda?

- powiedziała.

Annie nie mogła uwierzyć, że siedzą tutaj z córką Josha. - Mogę ci powiedzieć, kochanie, że twój tata z pewnością był królem z bajki - stwierdziła. - Właśnie niedawno tego się o nim dowiedzieliśmy.

Oczy Savannah znów się rozjaśniły i odwróciła się całkowicie w stronę Annie. - Znałaś go? - spytała ożywiona.

- Znałaś mojego tatę?

Annie przemknęło przez myśl pytanie, ile razy może komuś pęknąć serce. Jak jako najbliżsi krewni ojca tej małej dziewczynki, którego ona nigdy nie знаła, mogli w pierwszych słowach przy pierwszym spotkaniu powiedzieć jej, że on nie żyje? ***Ukaż mi Boże, co mam powiedzieć...*** - modliła się w duchu. ***Pomóż nam przejść przez ten czas, jaki możemy spędzić z Savannah.***

Jestem z tobą, córko... Ja dam ci słowa.

Pokój płynący z Bożej obietnicy dał Annie siłę, jakiej potrzebowała.

Nawet jeśli miała ona wystarczyć do przetrwania zaledwie kilku minut tego czasu, jaki był im dany.

Nadszedł czas, aby powiedzieć Savannah prawdę; aby powiedzieć jej, kim są. Annie miała ogromną ochotę wziąć swoją wnuczkę za rękę, lecz było na to jeszcze za wcześnie, więc pozostała na swoim miejscu. Nate siedział po drugiej stronie małej. Lindsay wciąż cicho popłakiwała, obserwując całą tę scenę z pewnej odległości.

Savannah czekała na odpowiedź.

- Tak, kochanie, znamy go - wyznała wreszcie Annie, czując prowadzenie Ducha **Świętego**. Wiedziała, że to sam Bóg daje jej właściwe słowa i pozwala jej wypowiedzieć w odpowiednim momencie. - Twój tata jest naszym synem - moim i Nate'a.

- I jest moim bratem - wtrąciła Lindsay, dotykając palcami miejsca powyżej serca. - My wszyscy bardzo, ale to bardzo go kochamy.

Savannah skoczyła na równe nogi, a na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech. Podbiegła do Lindsay i położyła swoje małe dłonie na jej kolanach. - Ty jesteś jego siostrą? - spytała z niedowierzaniem.

- Tak. On zawsze był moim najlepszym przyjacielem.

- Naprawdę? - dziwiła się, unosząc wysoko brwi, aż na czoło.
- Moim też! - zawołała. Potem podskoczyła do Nate'a i zapytała: - A ty jesteś jego tatą?

- Tak, kochanie - potwierdził Nate, dotykając ramienia dziewczynki. - Wiesz, co to znaczy?

Wyglądała tak, jakby rozumiała, lecz nie była pewna, czy może powiedzieć to na głos, pokręciła więc tylko głową.

- To znaczy, że jestem twoim dziadkiem, Savannah.

- Jak dziadek Ted! - zachwyciła się dziewczynka i natychmiast zakryła sobie usta obiema rączkami. Lecz po chwili opuściła je, rzuciła się w ramiona Nate'a i przytuliła głowę do jego szyi. - Dziadek Ted jest w niebie, a ty jesteś tutaj. Nawet nie wiedziałam, że mam jeszcze jednego dziadka, więc teraz możesz być moim dziadkiem Nate'em, dobrze?

Podbródek Nate'a zaczął się trząść. Jedną rękę trzymał na plecach Savannah, a drugą masował sobie grzbiet nosa. Przytaknął skinieniem głowy i Annie wiedziała, że nie jest w stanie wypowiedzieć ani słowa. Po jeszcze jednym mocnym uścisku Savannah odwróciła się do niej. - To... czy ty jesteś moją babcią? - spytała nieśmiało.

Annie chciała zatrzymać na zawsze tę chwilę. Wyciągnęła rękę w stronę córki Josha. - Tak, kochanie. Jestem twoją babcią - powiedziała.

Savannah nie rzuciła się od razu w jej objęcia, tak jak to zrobiła z Nate'em. Zamiast tego stała jak urzeczona, jakby sama myśl o posiadaniu babci była dla niej po prostu zachwycająca. - Nigdy wcześniej nie miałam babci - wyznała.

- To teraz już masz - odparła krótko Annie, nie potrafiąc dłużej powstrzymać łez, które pomimo uśmiechu natychmiast napłynęły jej do oczu. - Zawsze będę twoją babcią, bo twój tata jest moim synem.

Savannah powoli pokiwała głową. - Jesteś... - dziewczynka podniosła rękę i delikatnie dotknęła swoimi malutkimi, dziewczęcymi paluszkami ciemnych włosów Annie - jesteś bardzo piękna, babciu Annie.

Annie zaczęła łkać i z czułością wzięła dziewczynkę w swoje ramiona. - Ty też jesteś piękna, Savannah - powiedziała przez łzy. - Widzę twojego tatę w twoich oczach - wyznała. Tuliły się długo do siebie i Annie zapragnęła, aby ta chwila mogła się już zakończyć, bez konieczności mówienia o czymś tak smutnym jak śmierć Josha. To wszystko tak źle się skończyło. Pociągnęła nosem i pogładziła Savannah po plecach w okolicy krzyża. - Czy moglibyśmy zabrać cię do parku?

- Do Central Parku? - rzuciła szybko Savannah, ro-biąc, przestraszona minę. - Żeby zebrać o pieniądze?

Annie była zarazem wstrząśnięta i zgorszona. — Nie, kochanie - próbowała uspokoić małą. - Do parku, który jest na końcu tej ulicy. Moglibyśmy pobawić się na huśtawkach i porozmawiać o twoim tacie.

Uśmiech dziewczynki znów stał się tak szeroki, niewinny i promienny jak wschód słońca. - Bardzo bym chciała tam pójść - stwierdziła.

Powiedzieli Marti, że wychodzą, i po chwili cała czwórka siedziała już w niebieskim samochodzie z wypożyczalni. Kilka minut później weszli do parku i od razu skiero-

wali się w stronę huśtawek. Annie szeptała coś cichutko do Nate'a i Lindsay. W pewnym momencie w ciągu następnej godziny chciała zostać sama z Savannah, aby móc powiedzieć jej prawdę o Joshu w taki sposób, który byłby dla dziewczynki jak najmniej bolesny i przytłaczający. Uzgodnili to ze sobą jeszcze przed wyjazdem i teraz Nate i Lindsay dali jej swoją zgodę.

Annie chciała odwlec tę trudną chwilę tak bardzo, jak to tylko było możliwe. Gdy szły w stronę placu zabaw, Savannah trzymała ją za rękę, a kiedy znalazły się jakieś dziesięć metrów od huśtawek, mała uwolniła się i podbiegła do najbliższej z nich. — Czy mogę się połuścić? - spytała.

- Oczywiście - zgodziła się Annie. Pomimo tego smutnego zadania, jakie wiązało się z ich wizytą, Annie nie mogła nie odczuwać ogromnego szczęścia, patrząc na córkę Josha proszącą o możliwość połuśnięcia się. Przez chwilę poczuła się tak, jakby ich spotkanie było takim zwyczajnym czasem, który dziadkowie spędzają ze swoją wnuczką. - Idź śmiało

- zaśmiała się Annie. - Wejdz, a ja cię połuścę.

Savannah chwyciła się metalowych łańcuchów i usiadła ostrożnie, jakby nie była pewna, czy huśtawka utrzyma jej ciężar. - Tylko nie za wysoko, dobrze? - poprosiła.

- Nigdy wcześniej się nie huśtałam.

To wyznanie znów poruszyło Annie, a nawet mocno nią wstrząsnęło. Jej wnuczka nigdy wcześniej się nie huśtała? - Wydawało mi się, że mówiłaś coś o chodzeniu z mamą do Central Parku - zauważyła.

- Zebrałyśmy tam o pieniądze - wyjaśniła Savannah, najwyraźniej zakłopotana tym faktem. - Mama zawsze

mówiła, że ludzie nie dadzą nam pieniędzy, gdy będziemy wyglądać, jakbyśmy przyszły do parku, żeby się pobawić. Dlatego nigdy nie chodziłyśmy się huścić.

Annie cieszyła się, że nie musiała spotykać się podczas tej podróży z Marią Cameron. Nie była pewna, czy potrafiłaby nad sobą zapanować, gdyby poznała ją osobiście. Teraz starała się jak najszybciej ochłonać z gniewu i frustracji, aby Savannah nie pomyślała sobie choćby przez sekundę, że te uczucia mogłyby być skierowane wobec niej. - Siedź spokojnie - powiedziała, pomagając dziecku zająć wygodną pozycję. - Trzymaj się mocno łańcucha, a ja będę cię bujać bardzo powoli. Jak uznasz, że huścisz się za wysoko, to mi powiedz.

Stała za wnuczką i odepchnęła ją bardzo delikatnie. - Tylko nie spadaj - powiedziała.

- Nie spadnę - odparła Savannah ze skamieniałą ze strachu twarzą, lecz po chwili rozluźniła się i zaczęła chichotać. - Podoba mi się to, babciu Annie. To tak jakbym latała.

- Powiedz mi, jak będziesz chciała pohnuć się wyżej.

- Dobrze - odparła, a jej początkowo cichutki chichot przemienił się w głośny śmiech. - Wyżej, proszę.

Annie zrobiła to, o co prosiła dziewczynka. Tak właśnie powinno wyglądać życie Savannah, tylko że to Josh powinien ją huścić, podczas gdy Annie siedziałaby na ławce w parku obok Nate'a i Lindsay. Ona była uroczym dzieckiem i gdyby Josh znał ją przez te siedem ostatnich lat, bez wątplenia wszyscy pięcioro spędziliby ze sobą wiele szczęśliwych chwil takich jak ta.

Z huštawek przenieśli się na drabinki, a potem na podwójną zjeżdżalnię. Annie wspinająca się nawet na sam jej szczyt i zjeżdżała w dół obok swojej wnuczki, aż w końcu dziewczynka poczuła się na tyle odważna, by zdecydować się na samotny zjazd. Gdy Savannah zsunęła się w dół po raz piąty, stanęła na piasku i zaczęła głęboko oddychać ze zmęczenia. Policzki miała czerwone i pełne życia.

Zwróciła swoją śliczną buzię na Annie i spytała: - Czy mój tata lubił chodzić do parku, gdy był małym chłopcem?

- Tak - potwierdziła Annie, siadając na brzegu drugiej zjeżdżalni. Przypomniała sobie, jakim wolnym duchem był Josh w wieku Savannah. - On biegłby od huštawek do zjeżdżalni i z powrotem, aż ledwie mógłby chodzić ze zmęczenia.

Savannah zachichotała. - Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam - wyznała, kładąc rękę na kolanach Annie. - Czy myślisz, że on będzie mógł mnie huścić, gdy tutaj przyjedzie? - spytała.

Przez chwilę Annie pomyślała, żeby wcale małej nic nie tłumaczyć. Co to zmieni, że Savannah dowie się o śmierci Josha? Czy dozna jakiejś krzywdy, gdy będzie patrzyła na to zdjęcie i wciąż będzie wierzyła, że jej królewicz z bajki, jej tata, przyjedzie do niej pewnego dnia? Lecz odpowiedź była jasna jak słońce. Annie sięgnęła po rękę Savannah. **Boże, proszę... nie potrafię zrobić tego bez Ciebie** - pomodliła się w duchu.

- Ojej - uśmiechnęła się do niej Savannah. - Skoro ty znasz mojego tatę, to czy mogłabyś mu powiedzieć, żeby

się pospieszył? Nie chcę już dłużej na niego czekać, chcę poznać go już teraz, już dzisiaj, jeśli to dla niego możliwe.

- Savannah... - powiedziała Annie, czując, że Bóg uzdalnia ją do wypowiedzenia słów, które musiały w końcu paść - kochanie, twój tata nie przyjedzie po ciebie.

Ta informacja docierała do dziewczynki powoli, niczym deszcz, który zaczyna dopiero padać, gdy przed nieuchronną ulewą pojawia się zaledwie kilka pierwszych kropli. Jej wątle ramiona pochyliły się lekko do przodu, a w jej oczach były szok i poczucie zdrady. - Dlaczego nie? - wyrzuciła z siebie. Usta miała otwarte, a na jej policzkach pojawiły się pierwsze łzy. - Czekałam na niego tak strasznie długo.

- Wiem - przyznała Annie, zastanawiając się, ile jeszcze wytrzyma jej serce. - Widzisz, kochanie, miesiąc temu twój tata położył się spać i nigdy się już nie obudził. Zamiast tego poszedł do nieba.

- Do nieba? - spytała z niedowierzaniem Savannah. Wstała i spojrzała na Annie. - Mój tata jest w niebie? Jak dziadek Ted?

- Tak, kotku - potwierdziła Annie, sięgając po rękę Savannah. Lecz dziewczynka zrobiła krok do tyłu i pokręciła głową. - Nie! - zawołała. Przycisnęła dłonie do twarzy i zaczęła płakać. - Nie, on nie może być w niebie. Ono jest za daleko - łkała, kręcąc głową mocniej i szybciej. - On jest moim królewiczem z bajki i on miał po mnie przyjechać i... i... - urwała, po czym odwróciła się i pobięła po piasku w stronę huśtawek. Wskoczyła na najbardziej odległą

z nich, chwyciła mocno łańcuchy i zwiesiła głowę, niemal dotykając nią kolan.

Annie dostrzegła zbolące spojrzenia Nate'a i Lindsay. Oboje wstali i ruszyli ścieżką w przeciwnym kierunku. Później mogli dowiedzieć się wszystkiego. Te najbliższe kilka minut było tylko dla Annie i Savannah. Annie wstała i gdy szła po piasku do swojej wnuczki, strata syna ciążyła jej chyba tak bardzo jak jeszcze nigdy dotąd.

On powinien teraz tutaj być, żeby wziąć Savannah w swoje ramiona i złagodzić jej poczucie krzywdy i smutek. Annie zatrzymała się blisko dziewczynki i znów przyszła jej ta sama myśl do głowy, że do końca życia zapamięta ten widok - widok Savannah ze złamanym sercem, siedzącej na huśtawce i zalanej łzami. I chociaż mała miała dopiero siedem lat, zrozumiała, co to znaczy, że Josh jest w niebie.

Annie odsunęła lekko sąsiednią huśtawkę i czekała kilka minut, aż pełen gniewu szloch Savannah ustąpi. W końcu dziewczynka pociągnęła nosem i zwróciła swoje zaczerwienione oczy na Annie. - Dziadek Ted powiedział mi, że czasami po tej stronie nieba sprawy nie układają się tak, jak chcemy - oznajmiła słabym głosem.

- To prawda - przyznała Annie. Nie wiedziała, kim był dziadek Ted, lecz miała takie przeczucie, że był on ojcem Marii. - Po tej stronie nieba czasami może być naprawdę smutno.

- Chcę tylko wiedzieć - znów pociągnęła nosem mała - jak mogę się dostać na tamtą stronę nieba. Żebym mogła być z moim tatą.

Annie nie mogła mówić z powodu łez. *Na tamtą stronę nieba.* Gdyby tylko mogła zabrać tam teraz Savannah, zrobiłaby to. - Och, Savannah, moje dziecko - westchnęła. - Gdyby to tylko było możliwe.

- Dziadek Ted powiedział, że to jest możliwe - stwierdziła dziewczynka. Na policzkach miała świeże łzy, lecz jej gniew już całkowicie ustąpił. Jego miejsce zajął ogromny smutek i jakby jakaś iskierka nadziei, że jakoś jednak uda jej się przetrwać te straszne wieści. Wytarła nos. - On mi powiedział, że jak będę kochała Jezusa, to pewnego dnia ja też pójdę do nieba. A wtedy byłabym po tamtej stronie z moim tatą.

- Twój dziadek Ted miał rację - powiedziała Annie, ocierając sobie nadgarstkami policzki. - Pewnego dnia będziesz po tamtej stronie nieba ze swoim tatą i z dziadkiem Tedem i... i z nami wszystkimi, z tymi, którzy kochają Jezusa. Ale to stanie się dopiero wtedy, jak będziesz dużo, dużo starsza.

- Ale... - jej głos załamał się i wyglądała na mniejszą niż jeszcze przed godziną - mój tata nie był stary. Więc jak to się stało, że on jest po tamtej stronie nieba, a ja jestem tutaj, po tej stronie?

Annie przełknęła ślinę, ratując się w ten sposób przed rozplakaniem się. - Nie wiem - wyznała. - Sama się nad tym zastanawiam.

Gdy Savannah zauważyła, że Annie nie jest w stanie powiedzieć jej już nic więcej, zamknęła oczy i znów opuściła głowę. - Miałam z nim zamieszkać, a on miał mnie przytulać do siebie i... i... - urwała i zaczęła bardziej płą-

kać, tak że dalej trudno było ją zrozumieć. - On miał mnie wziąć do swojego domu i miałam chodzić do szkoły, i miał mnie huścić, i brać na zjeżdżalnię. I już zawsze wszystko miało być dobrze - łkała. Podniosła zrozpaczony wzrok i spojrzała Annie głęboko w oczy. - A teraz co z tym wszystkim będzie?

- Przykro mi, Savannah - powiedziała Annie i ponownie wyciągnęła rękę. Tym razem Savannah wstała i po kilku sekundach wewnętrznej walki podeszła do Annie i zacisnęła mocno rączki na jej szyi.

- Tak bardzo chciałam go poznać, babciu Annie - płakała Savannah, przytulając twarz do szyi Annie. - A teraz muszę czekać na niebo.

- Tak - przyznała Annie, pozwalając małej na łzy.

- Obie musimy.

Długo tuliły się do siebie, aż wreszcie Savannah lekko odchyliła się do tyłu. Spojrzała w Annie oczy i powiedziała: - Dlatego przyjechaliście, prawda? Powiedzieć mi, że mój tata jest w niebie?

- Tak, kochanie - przyznała Annie. Nie chciała wspominać o całej reszcie. - I dlatego, że chcieliśmy cię poznać i opowiedzieć ci o twoim tacie. On bardzo cię kochał

- oznajmiła. Annie wydrukowała wcześniej dla Savannah pamiętnik Josha. Znajdował się on teraz w kopercie w samochodzie. - Zanim wyjedziemy, chcę ci coś dać. Wiele, wiele listów, które twój tata pisał do ciebie, odkąd byłaś jeszcze malutkim dzieckiem, aż do swojej śmierci.

- Dlaczego... dlaczego on nie przyjechał, zanim poszedł do nieba? Zanim było na to za późno?

Promienie popołudniowego słońca z trudem przedzierały się przez otaczające plac zabaw drzewa i robiło się coraz chłodniej. Annie nie wiedziała, jak wiele powinna powiedzieć.

- On chciał, dziecko - stwierdziła. - On chciał tego każdego dnia.

Wszystko pomalu lecz wyraźnie zaczęło się układać w głowie Savannah. Przez długi czas milczała, a potem zagryzła wargę i powiedziała: - To przez moją mamę, prawda? Ona nie pozwoliła mu przyjechać. Przecież wyrzuciła jego zdjęcie do śmieci.

- To prawda, Savannah - odparła krótko Annie. Nie chciała nastawiać dziewczynki przeciwko matce, zwłaszcza teraz, kiedy ta kobieta w nadchodzących latach najprawdopodobniej miała stać się wszystkim dla Savannah. Lecz prawda musiała zostać wypowiedziana. - Twoja matka nie chciała, aby Josh był częścią twojego życia.

- Josh?

- Tak nazywał się twój tata: Joshua David Warren. Savannah powoli powtórzyła te słowa, a potem dodała:

Bardziej podoba mi się królewicz z bajki.

Annie uśmiechnęła się. Popołudniowy wiaterek osuszał jej łzy. - Mnie też to się podoba - stwierdziła.

- Moja mama nie powinna trzymać go ode mnie z daleka.

- Nie - odparła Annie i pogładziła Savannah po głowie. - Lecz w niebie nie będzie mogła trzymać go z daleka od ciebie, a więc zawsze będziesz miała na co czekać.

Rozmawiały jeszcze kilka minut o niebie i o tym, jak bardzo Josh kochał Jezusa. Potem spotkali się z Nate'em

i Lindsay i Savannah uścisnęła ich po kolei. - Babcia Annie powiedziała mi o moim tacie. Tak mi przykro, że on tak szybko poszedł do nieba.

- Nam też - stwierdził Nate i gdy szli do samochodu, trzymał Savannah za rękę. - Tęsknimy za nim każdego dnia.

Gdy wrócili do domu rodziców zastępczych, Savannah znalazła zdjęcie Josha na kanapie, tam, gdzie je zostawiła.

- Czy mogę sobie zatrzymać to zdjęcie? - spytała nagle.

- Abym mogła myśleć o moim tacie i o tym, że jest po tamtej stronie nieba?

- Tak, skarbie - odparła Lindsay, która dotychczas nie mówiła wiele. Lecz teraz uklękła przy Savannah i dotknęła rudoblond włosów dziewczynki. - Mój brat tak bardzo chciał być twoim tatą. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

- On jest moim tatą. To nie ma znaczenia, że tyle będę musiała jeszcze czekać, zanim go poznam - stwierdziła Savannah, a z jej słów wynikało, że pomalutką zaczyna przyzwyczajać się do tej nowej sytuacji. - Bo przecież mam to moje zdjęcie, więc on zawsze będzie blisko, nawet jeśli jest w niebie.

- To prawda - przyznała Lindsay i pocałowała Savannah w policzek. - Musimy już jechać, ale chcę, żebyś o nas pamiętała, dobrze?

Savannah podeszła do Nate'a i przytuliła się do niego. Lecz gdy się odsunęła, wyglądała na zmartwioną tym pożegnaniem. Zwróciła się do Annie i spytała: - Ty też wyjeżdżasz?

- Muszę, kochanie. Mieszkamy w Kolorado, po drugiej stronie kraju.

Jej oczy rozjaśniły się, lecz nie tak jak wcześniej tego popołudnia. - Mogę pojechać z wami? - spytała nagle.

- Moja mama nie chce mnie - oznajmiła. Spojrzała na Nate'a i dodała: - Powiedziała mi to w restauracji. Powiedziała, że już nie chce być moją mamą.

To wyznanie uderzyło Annie i spowodowało, że chciała spakować rzeczy dziewczynki i zabrać ją do domu. Niech sąd głowi się nad tym, by takie rozstrzygnięcie stało się legalne w świetle prawa. Skoro Maria nie chciała swojej córki, to Annie i Nate z największą radością zaopiekują się małą. Lecz Maria jednak chciała zatrzymać swoją córkę przy sobie. Jak tylko wytrzeźwieje, z pewnością powróci do zdrowych zmysłów. Gdyby oddała Savannah, nie dostałaby pieniędzy z odszkodowania. Thomas uważał, że Maria i jej adwokat zrobią wszystko, co tylko w ich mocy, aby Maria odzyskała opiekę nad Savannah i położyła łapę na pieniądzach.

Annie jeszcze raz mocno uścisnęła swoją wnuczkę. To, co zamierzała powiedzieć, było tym, co musiała powiedzieć, aby Savannah nie bała się życia, które ją czekało. - Posłuchaj mnie, kochanie - zaczęła i spojrzała w oczy Savannah, w te oczy, które były tak bardzo podobne do oczu Josha.

- Twoja matka nie miała na myśli tego, co powiedziała. Teraz ona jest chora, lecz kiedy poczuje się lepiej, z pewnością przeprosi cię za wszystko i zajmie się tobą.

- Wiesz co? - rzuciła w odpowiedzi Savannah głosem tak słabym, że ledwie było ją słychać.

- Co? - spytała Annie, dotykając palcem czubka nosa swojej wnuczki.

- Moja mama nie kocha Jezusa. Powiedziała mi, że nie wierzy tak jak dziadek Ted.

To był kolejny cios, choć Annie nie była zaskoczona tym, co usłyszała. - No tak, kochanie... - zawahała się.

- Może pewnego dnia pomożesz jej uwierzyć - powiedziała. Musieli już jechać. Savannah była przecież w rodzinie zastępczej, a im pozwolono tylko na jedną, krótką wizytę. Ich samolot odlatywał za trzy godziny. Annie pogładziła Savannah po głowie. - Każdego dnia będę prosić Jezusa, żebyśmy znów mogli cię zobaczyć, dobrze?

Savannah skinęła głową. Znów wyglądała na zmieszaną, a jej mina wyrażała poczucie krzywdy, rozczarowanie i smutek. - Ja też będę Go o to prosić - odparła. Zrobiła krok do tyłu i pomachała do każdego z nich, do Annie na sam koniec. Potem przycisnęła do piersi zdjęcie Josha i powiedziała: - Dziękuję, że powiedziałas mi o moim tacie.

Annie już wcześniej wzięła kopertę z samochodu i teraz podała ją Savannah. - Czy umiesz czytać, kochanie?

- spytała.

- Jeszcze nie - odparła mała ze wstydem w głosie.

- Mama powiedziała, że później mogę zacząć się uczyć. Na razie musimy zebrać o pieniądze.

Niewiele brakowało, by narastający w niej gniew zepsuł tę chwilę. Annie zazgrzytała zębami i postanowiła porozmawiać z Thomasem o warunkach bytowych Savannah. Jeśli sąd odda to dziecko z powrotem matce, to będzie to oznaczać, że cały system prawny jest wadliwy. Na razie musiała wypędzić ze swojej głowy te myśli. - W tej ko-

percie są te listy, o których ci mówiłam - wyjaśniła, robiąc łagodną minę i ponownie ściskając rękę Savannah. - Listy od twojego taty. Trzymaj je razem z jego zdjęciem, abyś pewnego dnia sama mogła przeczytać o tym, jak bardzo cię kochał.

- Jak bardzo on ciągle mnie kocha - poprawiła ją Savannah, mocno przyciskając zdjęcie do piersi. - Z nieba ludzie cały czas mogą kochać.

- Oczywiście - przyznała Annie i pocałowała Savannah w czubek głowy. - W kopercie jest nasz numer telefonu. To na wypadek, gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebowała.

Savannah skinęła głową, lecz niepewność, jaka odbijała się w jej oczach, powiedziała im, że tak naprawdę nie rozumiała. Prawdopodobnie nie mogła zrozumieć, jak daleko leży Kolorado, albo tego, dlaczego rodzina jej taty wyjeżdża tak szybko po odnalezieniu jej. Gdy Annie nie była w stanie znieść już ani chwili tego pożegnania, odwróciła się, wyszła na zewnątrz i udała się do samochodu. Nate i Lindsay poszli za nią i ostatnim widokiem, jaki ukazał się ich oczom, gdy odjeżdżali na lotnisko, była słodka twarzyczka Savannah patrzącej na nich przez okno domu rodziny zastępczej. Marti stała obok Savannah, a dziewczynka nie była ani ponura, ani nadąsana, ani obojętna.

Jedną rękę miała uniesioną. Szlochała.

Po powrocie do Colorado Springs dni mijały powoli, a każdy z nich przepełniony był smutkiem i tęsknotą za Joshem. Co kilka dni Annie telefonowała do Thomasa i pytała o postępy w procesie. W końcu, jakiś tydzień po ich powrocie do domu z krótkiej wizyty u Savannah, Thomas przekazał jej wiadomość, że miejscowy sędzia orzekł, iż Maria spełnia wszystkie niezbędne warunki, by odzyskać prawo opieki nad dzieckiem. Annie nie była tym zaskoczona. Lecz kiedy w tym samym tygodniu przeczytała w Piśmie Świętym o Bożej wierności, przypomniała jej się pieśń z pogrzebu jej syna i mała dziewczynka po drugiej stronie kraju modląca się o szczęśliwe zakończenie. Annie nie potrafiła przestać o tym myśleć.

Nie ulegało wątpliwości, że Bóg miał jakiś plan, lecz w tej sytuacji lepiej było dla niej nie starać się go zrozumieć. Przynajmniej tak jej się zdawało.

Annie zastanawiała się nad tym wszystkim razem z Thomasem, bo musiała z kimś porozmawiać o tej jawnej niesprawiedliwości. - Ta kobieta powiedziała Savannah, że nie chce już być jej matką - żaliła się.

- Wiem.

- Ona uderzyła małą w twarz na oczach innych ludzi.
 - Sędzia był tego świadom.
 - Więc jak, Thomas... jak oni mogli spojrzeć przez palce na te wszystkie zarzuty, jakie jej postawiono, i na fakt, że ona zebrze o pieniądze, i przywrócić Savannah do takiego środowiska?
- Thomas westchnął tylko; robił wrażenie bezradnego.
- Żałuję, że nie mogę tego wytłumaczyć, Annie - odparł.
 - Naprawdę jest mi przykro.

Savannah miało spotkać to, czego się obawiali, i gdy zbliżał się dzień przyznania odszkodowania, Annie była pewna, że Maria postąpi dokładnie tak, jak się spodziewali - opuści miasto i ucieknie jak najdalej od rodziny Warrenów, jakby pozostawanie z nimi w kontakcie miało pozbawić ją pieniędzy.

Teraz z każdym mijającym dniem Annie tęskniła nie tylko za Joshem, lecz także za jego małą Savannah. Zawsze będzie cieszyła się tymi kilkoma godzinami, które dane im było z nią spędzić, lecz z drugiej strony tamto spotkanie spowodowało, że nie tylko ona, lecz także Nate i Lindsay zaczęli doświadczać z powodu rozłąki z Savannah jeszcze większego smutku i żalu. Annie dotrzymywała słowa i codziennie modliła się o to, aby Jezus pozwolił im jeszcze raz się z nią zobaczyć i aby mogli się lepiej poznać. Lecz Jezus nie pozwolił Savannah zobaczyć się z jej tatą i teraz wyglądało na to, że oni także już nigdy więcej nie ujrzą dziewczynki.

Odszkodowanie zostało przyznane pod koniec listopada. Po trzech latach uzupełniania dokumentów i składania

zeznań, po trzech latach przesłuchań i spotkań Thomas zatelefonował z wiadomością, na którą czekali. Orzeczenie sądowe zostało wydane. Sędzia przeanalizował wypadek, wziął pod uwagę krzywdy wyrządzone przez klienta towarzystwa ubezpieczeniowego, a w szczególności fakt, że konieczność zażywania przez Josha leków przeciwbólowych doprowadziła ostatecznie do jego śmierci. Sędzia orzekł, że zamiast dwóch milionów dolarów, których domagał się Thomas, towarzystwo ubezpieczeniowe musi wypłacić dwa miliony trzysta tysięcy.

Proces był zatem całkowitym zwycięstwem, biorąc pod uwagę majątek, jaki pozostawił po sobie Josh, i jeden z kolegów redakcyjnych Lindsay napisał o tym obszerny artykuł w miejscowej gazecie.

Kilka dni po ukazaniu się "tego artykułu Annie spędziła popołudnie w sposób, który stał się jej nowym zwyczajem. Z kawiarni Starbucks przywiozła w plastikowych kubeczkach dwie duże kawy z mlekiem do mieszkania Carla Josepha i rozmawiała z nim i z Daisy przez godzinę.

- Widzieliśmy artykuł o Joshu - powiedział Carl Joseph, wskazując na półkę z gazetami wiszącą na ścianie w kuchni. - Daisy wycięła go dla mnie.

- Tak, ale... - zmarszczyła nos Daisy - ten artykuł był za krótki. Nie napisali, że Josh był bohaterem i Cody mówi, że to jest złe dziennikarstwo.

- A złe dziennikarstwo nie jest dobre - skomentował Carl Joseph, kręcąc głową. - Ty powinnaś napisać taki artykuł, Annie.

Annie żałowała, że nie mogła tego zrobić. Lecz to, czego dowiedziała się o Joshu, nie zmieściłoby się w żadnym artykule prasowym. Mogła jednak napisać książkę o życiu swojego syna i co jakiś czas mówiła sobie, że powinna to zrobić, nawet jeśli jej rodzina i przyjaciele Josha byli jedynymi osobami, które by ją przeczytały. Mogła zawsze wykorzystać książkę jako powód ponownego odnalezienia Savannah za kilka lat od chwili obecnej.

Po spotkaniu z Carlem Josephem i Daisy Annie pojechała do najbliższego supermarketu i nabyła te same produkty, które kupowała co tydzień od końca października: karton mleka, bochenek chleba, dwa małe pojemniki jogurtu truskawkowego, torebkę mrożonych filetów z łososia i torebkę ryżu. Wybrała też różne owoce i warzywa. Zakupione jedzenie ledwie zmieściło się do dwóch toreb, które Annie zanosła następnie po schodach na górę do mieszkania Ethel.

- Witaj, kochanie - uśmiechnęła się stara kobieta, gdy otworzyła drzwi. Zobaczyła produkty spożywcze i cmoknęła językiem, dając w ten sposób Annie do zrozumienia, że nie musiała robić tego wszystkiego i że ona byłaby szczęśliwa, gdyby mogła zapłacić za jedzenie, jeśli tylko Annie by jej na to pozwoliła. - Czy mówiłam ci to już kiedyś - zaczęła Ethel, gdy Annie stawiała produkty spożywcze na małym stoliku w kuchni - że za każdym razem, gdy otwieram drzwi i widzę, jak stoisz tam z zakupami, to przez chwilę znów widzę Josha. Macie te same oczy.

Ethel mówiła to samo za każdym razem, gdy Annie ją odwiedzała, i zawsze Annie wychodziła z obietnicą, że w na-

stępnym tygodniu też się pojawi. Nie robiła tego w soboty, lecz w poniedziałki, bo ten dzień tygodnia zarezerwowała sobie na utrzymywanie kontaktów z ludźmi, których poznała dzięki Joshowi. Dzisiejszego dnia miała jednak w planie coś jeszcze. Przejechała przez miasto do małej restauracji w pobliżu dzielnicy Black Forest. Spotkanie miało się odbyć przy stoliku usytuowanym w pobliżu okna. Był pierwszy tydzień grudnia i na najbliższą noc zapowiadano opady śniegu.

Annie zaparkowała i pomyślała o tym wszystkim, co chciała powiedzieć, a czego nigdy nie mogłaby wypowiedzieć, gdyby osoba, z którą się spotykała, nie zaproponowała tej wczesnej kolacji w cztery oczy i nie wyraziła chęci przyjechania z Denver na to spotkanie. Annie spostrzegła młodą kobietę, jak tylko weszła do restauracji.

Becky Wheaton podniosła rękę, aby Annie ją zauważyła. Gdy podeszła do stolika, Becky wstała i uścisnęła ją.

- Dzięki za przybycie - powiedziała. - Mówiąc szczerze, sama miałam mieszane uczucia.

Annie zajęła miejsce naprzeciwko Becky i gdy już siedziała, sięgnęła ponad stołem i uścisnęła rękę Becky.

- Dlatego właśnie chciałam tu dzisiaj przyjechać - odparła. - Myślę, że mamy kilka spraw do omówienia.

- Myślałam, że może uznałaś to za niezręczne, żeby po tych wszystkich latach usiąść ze mną przy jednym stoliku.

Na ustach Annie pojawił się smutny uśmiech. - To jest jedna z tych rzeczy, których nauczył mnie Josh - powiedziała. - Jediną niezręczną sytuacją, jaka może wystąpić pomiędzy ludźmi, którym zależy na sobie, jest właśnie przepuszczenie okazji, żeby usiąść razem i porozmawiać.

- Tak - przyznała Becky; jej blond włosy były teraz krótsze niż ostatnio. Pociągnęła łyk kawy i powiedziała:

- Rozumiem, co masz na myśli.

Złożyły zamówienie i Becky od razu przeszła do sedna sprawy. - Od śmierci Josha nie mogę sobie z tym poradzić, to chyba jest poczucie winy - zaczęła. - Nie mogę przestać myśleć o tym, że może gdybym została z Joshem, to nic złego by się nie wydarzyło.

To były te same myśli, które nachodziły Annie na samym początku, lecz nie trwało to długo. - Zrobiłaś to, co musiałaś zrobić, Becky. Nikt cię za to nie obwinia. Josh z pewnością też cię za to nie winił - stwierdziła Annie. Przyszła na dzisiejsze spotkanie głównie w jednym celu

- żeby dać Becky wolność, tak aby młoda kobieta mogła dalej żyć własnym życiem. Lecz najpierw musiały porozmawiać o tym, co czuła Becky.

- Poprosiłam go, żeby przestał palić i by został na studiach - wyznała, odstawiając filiżankę z kawą i opierając się na przedramionach. - Lecz każdego wieczoru zasypiałam z myślami, że nigdy nie powinnam była tego od niego wymagać - ciągnęła z błyszczącymi od łez oczyma. - Tak bardzo go kochałam. Wciąż nie potrafię myśleć o nikim innym w ten sposób.

Annie zastanawiała się przez chwilę, czy powinna podzielić się z Becky informacjami o tym, jak bardzo do samego końca Joshowi zależało na niej. Lecz skoro Becky była do bólu szczerą, Annie pomyślała, że ona też może opowiedzieć o wszystkim. Odchyliła się do tyłu na krześle i powiedziała: - Josh nie miał do ciebie pretensji, Becky.

On uznał to wszystko, czego od niego oczekiwałaś. Po kilku latach odkąd przeniósł się do Denver przestał palić. Nie byłam pewna, czy wiedziałaś o tym.

W jej oczach odbiło się zaskoczenie. - Nie miałam pojęcia - wyznała.

- Słyszał, że twoje zaręczyny nie doszły do skutku i po otrzymaniu odszkodowania chciał założyć własny interes. Musiał przejść operację pleców i starał się pozbyć ostatnich dwudziestu kilogramów nadwagi. Lecz po osiągnięciu tego wszystkiego miał do ciebie zadzwonić - oznajmiła, uważnie przyglądając się młodej kobiecie. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, ona mogłaby być jej synową.

- Nie... nie wiedziałam o tym.

- Josh cię kochał. Miał przed sobą dużo do zrobienia i chciał odnaleźć swoją córkę. Lecz zawsze wiązał z tobą przyszłość i modlił się, aby to było możliwe.

Becky spuściła wzrok na swoje dłonie. - To tylko pogarsza całą sprawę - stwierdziła.

Annie zrozumiała, co Becky miała na myśli. W trakcie procesu odkrywania, kim naprawdę był Josh, Annie doświadczyła tego samego uczucia: poczucie straty związane ze śmiercią Josha pogłębiało się w miarę dowiadywania się o nim kolejnych rzeczy. Lecz Bóg nie chciał, aby one myślały o Joshu w taki sposób i teraz to właśnie Annie miała pomóc Becky w uwolnieniu się od ciężaru, jaki niosła.

- Musisz coś zrozumieć - powiedziała Annie, kładąc dłoń na dłoni siedzącej naprzeciwko młodej kobiety. - Zachowasz Josha w swoim sercu, tak jak i ja go zachowam. Lecz musisz pozwolić odejść poczuciu winy i tym wszyst-

kim żalom. - Annie miała nadzieję, że słychać było szczerść w jej głosie. - Josh sam podjął te wszystkie decyzje i dość późno zrozumiał, jakiego rodzaju życia chciałaś.

- Ale ja przecież nie chciałam żadnego rodzaju życia - rzuciła Becky i podniosła wzrok, a na jej policzkach były łzy. - Chciałam Josha. To wszystko.

- Ja też chcę jego. Choćby tylko na dziesięć minut, abym mogła mu powiedzieć, jak bardzo jestem z niego dumna, z tego, jaki był, czego wcześniej o nim nie wiedziałam - wyznała Annie i powoli pokręciła głową. - Ale tak się nie stanie dla żadnej z nas - stwierdziła i pomyślała o Savannah. - W każdym razie nie po tej stronie nieba.

- Mam wrażenie, że ominęła mnie taka miłość, jakiej już nigdy nie doświadczę.

- Ależ doświadczysz - powiedziała z przekonaniem Annie. Pragnęła, aby młoda kobieta uwierzyła tym słowom, ponieważ w przeciwnym razie byłaby sparaliżowana przez swoją przeszłość. - Znowu będziesz kochać, ale najpierw musisz pozwolić odejść Joshowi i temu wszystkiemu, co czujesz do niego.

- Jak? - to pytanie zdawało się wypływać prosto z serca, które nigdy nie odwróciło się od miłości, jaka się w nim zrodziła, gdy Becky miała piętnaście lat. - Jak mam dalej żyć?

- Powiedz samej sobie, że możesz zachować tylko te wspólne chwile, których z Joshem naprawdę doświadczyliście. Nie możesz uchwycić się tych dni, których nigdy nie było i nie będzie. Z tego wszystkiego, co razem przeżyliście, widać, że może jednak ty i Josh zbyt się różniliście, aby żyć razem.

Becky robiła takie wrażenie, jakby rozważała te słowa. - Może - przyznała w końcu. - Lecz mimo to nie wiem, czy uda mi się przeżyć choćby jeden dzień, nie zastanawiając się nad tym.

- Zastanawianie się jest częścią życia. Lecz to nie powinno zamykać cię na twoje własne życie.

Podano im posiłek i zaczęły rozmawiać o pracy Becky jako fizjoterapeutki i o młodym mężczyźnie ze szpitala, który dwukrotnie w ciągu ubiegłego miesiąca zaprosił ją na kolację. Josh nie pojawił się już do końca ich rozmowy, którą prowadziły podczas kolacji. - Ciągle jeszcze go widzę, tego ciemnowłosego, wspaniałego faceta siedzącego na trybunach podczas pierwszego meczu futbolu, gdy chodziliśmy do drugiej klasy - mówiła Becky; jej oczy zrobiły się odległe, a wspomnienie stało się znów żywe. - Wszyscy o nim mówili, lecz po meczu on podszedł właśnie do mnie. Powiedział, że tak dawno się nie widzieliśmy - zaśmiała się.

- Niech zgadnę, do tamtej pory nigdy wcześniej się nie spotkaliście - rzuciła Annie, przypominając sobie poczucie humoru swojego syna.

- Ani razu - powiedziała Becky. Uniosła ręce i pozwoliła im swobodnie opaść na kolana. - Wszystko zmyślił, udając, że spotkaliśmy się na meczu rok wcześniej, gdy chodził jeszcze do innej szkoły. Do tego czasu zorientowałam się, że on sobie żartuje, lecz było już za późno. Po prostu zakochałam się w nim.

- A on w tobie - przypomniała Annie. - Po jednym z meczów futbolu tamtej jesieni wrócił do domu i po-

wiedział mi, że spotkał dziewczynę, z którą zamierza się ożenić. Była blondynką i miała na imię Becky.

Smutek odbił się w oczach Becky. - Wydaje mi się, że nigdy tego nie wiedzieliśmy tak naprawdę - wyznała.

- Dlatego nie możesz żyć, rozpamiętując stale przeszłość, moja droga. Josh odszedł - stwierdziła Annie, lecz poczuła ból, wypowiadając te słowa. - On odszedł, a ty musisz pozwolić mu odejść. On z pewnością chciałby, abyś właśnie to zrobiła.

Becky wciąż nie wyglądała na przekonaną.

- Wierzysz w Boga, prawda?

- Oczywiście. Przez cały czas rozmawiam z Jezusem

- wyznała Becky, a jej policzki zaróżowiły się na myśl o tym, co miało nastąpić. - Proszę Go, aby powiedział Joshowi, jak bardzo jest mi przykro i że nigdy nie przestanę go kochać.

- To w takim razie... chcę ci coś dać - powiedziała Annie, wyciągając z torebki małą kartkę z życzeniami i podając ją Becky. - Przeczytaj to. Był to fragment bardzo ważny dla Josha.

Becky otworzyła kopertę i przeczytała tekst we wnętrzu karty. Poza przypomnieniem tego wszystkiego, co Annie już powiedziała, kartka zawierała werset z Biblii, który był taki ważny dla Josha podczas ostatnich dni jego życia. Był to pięćdziesiąty werset z Psalmu 119.

- ***W moim ucisku to pociechą dla mnie, że Twoja mowa obdarza mnie życiem*** - Becky przeczytała na głos cały werset. - Naprawdę? Ten werset był taki ważny dla Josha?

- spytała z niedowierzaniem w głosie.

- Aż do samej śmierci - potwierdziła Annie, krzyżując przed sobą ręce i odpędzając od siebie próbujący ją ogarnąć smutek. - Myślę, że Josh chciałby, abyś wzięła sobie ten werset do serca. Oprzyj się na słowie Bożym, Becky. Pozwól, aby Boża prawda ożywiła cię, tak abyś mogła spotykać się z tym młodym człowiekiem z twojej pracy i abyś mogła pozwolić Joshowi zająć właściwe mu miejsce w twoim życiu. Niech on będzie częścią twojej przeszłości, kimś, kogo będziesz bardzo dobrze wspominać.

Po raz pierwszy, odkąd Annie spostrzegła Becky siedzącą przy stoliku w restauracji, oczy młodej kobiety wyglądały na mniej zmartwione, jakby jakaś chmura ustąpiła z jej serca. Pozwolenie Joshowi na odejście nie nastąpi nagle, z dnia na dzień. Lecz był to z pewnością początek i Annie poczuła, że postąpiła właściwie, spotykając się z Becky. W końcu pożegnały się, postanawiając pozostać ze sobą w kontakcie. Annie miała przeczucie, że pewnego dnia w niezbyt odległej przyszłości oboje z Nate'em otrzymają od Becky Wheaton zaproszenie na ślub.

Ściemniło się, gdy jechała do domu do Nate'a. Tego wieczoru mieli obejrzeć razem mecz i omówić ostatni etap planów dotyczących reelekcji Nate'a. Od śmierci Josha wybory zajęły dalsze miejsce w ich życiu i żadne z nich nie zamierzało powracać do tego szaleństwa wyborczego, jakie cechowało ich życie, zanim utracili syna. Znów zaangażowali się w studium biblijne w swoim kościele, a od stycznia zamierzali zanosić posiłki schorowanym ludziom uwięzionym we własnych domach.

Pieniądze z odszkodowania zostały przelane dla Savannah, która trafiła pod opiekę matki, i Annie oczekiwała w każdej chwili informacji od Thomasa, że Maria zmieniła swój numer telefonu i przeprowadziła się, nie podając nowego adresu. Thomas wytłumaczył, jak w ostatnim momencie udało mu się opracować taką formułę dotyczącą odszkodowania, która znacznie ograniczała Marii dostęp do wszystkich pieniędzy od razu. Lecz szczegóły nie miały już dla Annie znaczenia. Utracili pieniądze, a niebawem mieli utracić także Savannah.

W owym czasie pocieszeniem było dla niej to, co powiedział jej Cody Gunner w mieszkaniu Josha tamtego popołudnia. Widząc wiarę Josha, Cody i jego żona doszli do przekonania, że Josh zaczynał naprawdę żyć. Annie rozumiała teraz, jak bardzo było to prawdziwe.

On faktycznie zaczął naprawdę żyć, lecz nie w taki sposób, jakiego oczekiwali od niego ona, Nate, Lindsay czy inni.

Przepiękne było to, że odkryła nie tylko, ile jej syn znaczył dla innych ludzi, co było prawdziwym sukcesem, który Josh odniósł za życia, lecz także coś, co dotyczyło jej samej. Przejmując te relacje oparte na przyjaźni i miłości, które zapoczątkował Josh, Annie stawała się coraz lepszym człowiekiem. Stawała się kimś, kto coraz bardziej podobał się Bogu.

Gdyby tylko mogła zmusić Marię Cameron do podzielenia się z nimi opieką nad Savannah. Wówczas mogłaby zyskać absolutną pewność, że przez resztę życia nie tylko będzie dumna ze swojego syna, ale że on będzie przeżywał

wieczność w poczuciu dumy ze swojej matki. Wjechała na podjazd, zaparkowała samochód w garażu i poszła do czekającego na nią w domu Nate'a.

- Jak kolacja? - spytał, wziął ją w objęcia i kołysał powoli.

- Dobrze. Powiedziałam jej, że musi żyć swoim życiem i pozwolić Joshowi odejść, bo właśnie tego chciałby dla niej Josh.

Nate skinął głową. - To się dopiero zaczęło - stwierdził.

- Też tak myślę - potwierdziła, odkładając torebkę. - Jaki wynik?

- Na razie remis - odparł Nate, zamierzając usiąść, lecz nagle zatrzymał się. - Prawie zapomniałem. Jak wróciłem do domu, była dla ciebie wiadomość na automatycznej sekretarce. Od Thomasa Flynna. Chce, żebyś z samego rana zadzwoniła do niego.

Annie skinęła głową w zamyśleniu, zajmując miejsce obok męża. Thomas świetnie wywiązywał się ze swojego zadania, informował ją na bieżąco o sprawie sądowej, nawet teraz, kiedy upłynęło już trochę czasu od jej rozstrzygnięcia i rozdysponowania środków. Wyciągnęła nogi i skupiła uwagę na meczu futbolu. Gdy doszło do sprawy sądowej i gdy nastał ten bolesny czas bezpośrednio po wypadku Josha, Annie wierzyła, że Bóg chce, aby ona zastosowała w swoim życiu tę radę, którą dała dzisiaj Becky: żeby pozwoliła odejść temu, co się stało, i dalej żyła swoim życiem.

Informacja, jaką miał dla niej Thomas tym razem, nie miała już zatem żadnego znaczenia.

Maria nie chciała przyznać się przed samą sobą, że się boi. Miała nadzieję, że Harry Dreskin zajmie się tymi kłopotami, w jakie się wpakowała. Odkąd go poznała, Harry zawsze zajmował się jej kłopotami, prawda? Chwyciła mocno pręty swojej celi i krzyknęła na przechodzącego obok policjanta: - Gdzie jest mój adwokat? Powinien być tutaj już godzinę temu.

Policjant spojrzał na nią groźnie i odparł: - Jak się pojawi, powiemy ci.

- To dla mnie za mało - stwierdziła. Potem zakłęła na mężczyznę i przeszła na drugą stronę celi. Siedziała tutaj już prawie trzy dni i odkąd została aresztowana, nie rozmawiała z Harrym Dreskinem, nie licząc spotkania tuż po tym, jak trafiła do więzienia. Jak miała się stąd wydostać, skoro on nic w tej sprawie nie robił?

W celi po drugiej stronie korytarza biło się dwóch mężczyzn, wrzeszcząc na siebie i wyprowadzając Marię z równowagi. - Zamknijcie się! - zawołała. - Policjant! Chodź tutaj i powiedz im, żeby się zamknęli!

Mężczyźni zwrócili się w jej stronę i zaczęli ją wyzywać. Maria nie przejmowała się tym. Zignorowała ich i usiadła

na drewnianej pryczy w narożniku celi. Odkąd ją aresztowano, robiła, co w jej mocy, aby adwokat pojawił się z powrotem u niej w więzieniu, żeby mogła z nim porozmawiać o tym, co mogło ją czekać.

Maria niepokoiła się postawą Harry'ego. Normalnie jej prawnik był pewny siebie i zarozumiały, jak chyba nikt, kogo znała. Harry chlubił się tym, że potrafi znajdować sposoby na przechytrzenie systemu. Nazywał to kreatywną reprezentacją. Złapana na wypisywaniu czeku bez pokrycia? Harry mógł sprawić, aby wyglądało to jak pomyłka. Upicie się w miejscu publicznym? Po prostu źle przechodziła depresję. Uderzenie w twarz Savannah? Niektórzy pracownicy restauracji najzwyczajniej grubo przesadzili w opisie całego zajścia. Harry nienawidził sędziów, wszystkich sędziów. Jeśli uważał, że ma choćby najmniejszą szansę wygrania sprawy, robił obietnice i prognozy, przechwalając się swoimi zdolnościami, i w końcu wygrywał.

Lecz tym razem Harry niczego jej nie obiecał.

Godzinę po aresztowaniu Harry przyjechał do niej do więzienia. Usiedli razem na trzydzieści minut w jakimś pomieszczeniu bez okien. Harry przez połowę czasu ślęczał nad jakimś formularzem, przerywając sobie tylko po to, aby zadać jej jakieś jedno albo dwa opryskliwe pytania. - Nie okłamujesz mnie, Mario? Ukradłaś dwa tysiące z lombardu w Harlemie?

- Potrzebowałam pieniędzy, żeby jakoś wystartować - stwierdziła oburzona Maria. - Powiedziałam temu facetowi, że oddam mu za tydzień. Więc co?

- Próbowalaś kupić kokę od gliny?

- Nie miał na sobie munduru, jasne?

Przeczytał trochę więcej i jego oczy otworzyły się szerzej. - Na oczach twojego dzieciaka? - rzucił przerażonym głosem.

Savannah była teraz bolesnym tematem do rozmowy.

- Nie mieszaj jej do tego - syknęła, mając ochotę kopnąć mężczyznę w nogę. - No dalej, Harry. Ochrzań mnie. Tego właśnie mi teraz potrzeba. Słuchaj, przecież jesteś najlepszy, tak? Czy nie dlatego cię wynajęłam?

Harry nie odpowiedział. Znów zaczął wczytywać się w szczegóły podane na formularzu, wskazując palcem na jakąś linijkę w tym czy innym miejscu i kręcąc głową. - To wygląda kiepsko. Naprawdę kiepsko - stwierdził.

- Przestań, Harry. Nie strasz mnie - rzuciła, lekko popychając go w ramię. - To nie jest nic innego niż zwykle, nic poważniejszego, mam rację?

- Po pierwsze, nie popychaj mnie - powiedział Harry zmienionym tonem, poprawiając sobie rękaw płaszcza. - Po drugie, skok na lombard i kupowanie narkotyków to są bardzo poważne sprawy. Szczególnie przy wszystkich zarzutach, jakie ci postawiono. Tym razem możesz stracić dziecko na dobre, Mario. Mówię poważnie - ostrzegł ją, unosząc brwi i patrząc na nią nieufnie. - Ile zapłacisz mi z góry?

To pytanie zbiło Marię z pantafelku. - Już zapłaciłam ci trzydzieści patyków. O co ci chodzi z tym płaceniem z góry? - spytała.

- Tamto to była moja działka za odszkodowanie

- stwierdził, uderzając się w klatkę piersiową. - Zarobiłem

te pieniądze. A to - stuknął w formularz - to tutaj to jest całkowicie nowa sprawa. Nie pracuję za darmo, jasne?

- Dobrze - powiedziała Maria i pomyślała o pieniądzach. - Stać mnie na ciebie. A więc bierz się za to, i to już.

- Muszę dostać z góry część pieniędzy. Gdy wrócę, chcę mieć dwa patyki, żeby w ogóle zabrać się za ten bałagan.

Trzydzieści minut dobiegło końca i Harry powiedział jej, że wróci następnego dnia albo za dwa dni. Tylko że od tamtej pory nie usłyszała od niego ani słowa, a dobiegał końca już trzeci dzień. Zwiesiła głowę i zakryła rękoma uszy, jeszcze raz próbując nie dopuszczać do siebie krzyków dobiegających z drugiej strony korytarza. W co się wpakowała? To miał być początek wspaniałego czasu, początek najlepszych dni jej życia.

Ponownie przebiegła myślą serię wydarzeń i starała się zrozumieć, od kiedy wszystko zaczęło się psuć. Odpowiedź była oczywista.

Jej życie skomplikowało się, odkąd poznała Josha Warrena.

Ten facet był utrapieniem od samego początku. Mówił o swoich planach na odniesienie sukcesu, a potem nie potrafił zrealizować żadnego z nich. Przyjechał i zrobił jej dziecko, a gdy mąż ją porzucił, została samotną matką z dzieckiem na ręku. Savannah była miłą dziewczynką, lecz już nazbyt długo przeszkadzała Marii. Jak mogło im się dobrze żyć, skoro musiała zarabiać na siebie i na Savannah?

Uwierzyła Joshowi Warrenowi, myślała, że dobrze będzie móc dostawać od niego co miesiąc pieniądze na

dziecko, lecz on ją zawiódł. A skoro nie mogła liczyć na alimenty od niego, kiedy Savannah była jeszcze małym dzieckiem, dlaczego w ogóle myślała, że mogła na niego liczyć w przypadku pieniędzy z odszkodowania? Maria pomasaowała sobie kciukami skronie. Kręciło jej się w głowie, jej ciało wołało o drinka. Odszkodowanie było, rzecz jasna, jak odpowiedź na wszystkie jej troski, wygrana na loterii bez konieczności kupienia choćby jednego losu. Lecz kiedy pieniądze w końcu przyszły, nie mogła się do nich dostać, jakby było na nich więcej sznurków niż na postrzępionej kanapie.

Dopilnował tego Thomas Flynn.

Od razu pieniądze przeszły na konto imienne Savannah, a nie na jej rachunek. Maria zleciła Harry'emu rozwiązanie tego problemu, lecz powiedział jej, że ma związane ręce. Pieniądze należały do Savannah, a nie do Marii. Potem dowiedziała się o jakimś facecie nazywanym administratorem, który miał za zadanie wypłacać jej dwa tysiące dolarów miesięcznie.

- Ta pensja jest na opiekę nad Savannah. Reszta pieniędzy może zostać podjęta przez Savannah, i to dopiero po ukończeniu przez nią osiemnastu lat - wyjaśnił jej Harry.

- Dlaczego ja nie mogę być tym administratorem?

- Flynn powiedział, że nie możesz nim być, bo byłaś karana. Sprawdziłem to i on ma rację. Nic nie mogę na to poradzić.

Wypominając jej to, Thomas Flynn okazał się bezczelny. Każdy ma jakąś przeszłość. Z dwoma milionami dolarów mogła stać się zasługującą na szacunek matką. Lecz

z dwoma patykami miesięcznie? Czego spodziewał się po niej ten system - że znajdzie sobie jakąś pracę, aby trochę dorobić i uzupełnić braki finansowe?

Harry sugerował, aby zapisywała wydatki i udowodniła sędziemu, że potrzebuje więcej pieniędzy na zapewnienie Savannah godziwego życia. Pięć patyków, a może nawet siedem miesięcznie. Lecz Maria nigdy nie zabrała się do zapisywania takich detali. Pojechała jednak do jednego z koleżków Freddy'ego. Mówili na niego Duży Pete, to właśnie on podsunął jej pomysł na samodzielne zarobienie pieniędzy, bez pomocy Savannah i bez żadnego pozwolenia ze strony tego administratora. To zajęcie wymagało jednak posiadania pewnej ilości gotówki. - To opłacalny interes - powiedział jej. - Ale będziesz potrzebowała pieniędzy na początek.

Interes okazał się sprzedawaniem narkotyków nadzianym facetom, którzy codziennie rano przyjeżdżali metrem do dzielnicy finansowej na Manhattanie. - Nie mamy nikogo, kto rozprowadzałby narkotyki wśród tego tłumu - poinformował Duży Pete, puszczając do niej oko.

- Z twoim wyglądem szybko znajdziesz klientów.

Pomysł skoku na lombard podsunął jej Duży Pete.

- Znam faceta, który go prowadzi - stwierdził, wzruszając ramionami. - Wejź do środka w piątek wieczorem. Udawaj, że masz w torebce pistolet, a kiedy da ci gotówkę, powiedz mu, że dzięki temu będziesz dla niego grzeczna. Za kilka dni oddasz mu pieniądze.

To Duży Pete zorganizował ten zakup. Maria miała tylko wziąć pieniądze i spotkać się potajemnie z jednym

z największych dealerów narkotykowych w mieście. Miała kupić torebkę koki i porozdzielać jej zawartość do mniejszych torebeczek. - W tydzień potroisz swoje pieniądze - obiecywał Duży Pete. - Aha, ja dostanę dwadzieścia procent tego, co zarobisz, bo korzystasz z moich kontaktów.

Maria nie wiedziała, co poszło źle. Dostała pieniądze bez najmniejszego problemu. Była w kominiarce, więc nie została rozpoznana. W dniu dużego zakupu udała się na właściwe miejsce, odnalazła faceta pasującego do otrzymanego wcześniej rysopisu, wypowiedziała odpowiednie hasło. Tylko że facet, od którego chciała kupić narkotyki, osławiony dealer narkotyków, okazał się tajnym gliną.

Wydała z siebie pełne frustracji westchnienie. Bohaterzy. Teraz nawet Harry się bał. Maria wstała i zaczęła chodzić z jednego końca celi w drugi. Harry się mylił. Ona poradzi sobie z tym wszystkim, wyjdzie stąd i powiedzie jej się po drugiej stronie. Duży Pete podsunął jej świetny pomysł. Skoro ci ważniacy z dzielnicy finansowej jeździli codziennie metrem, to ona powinna zrobić to samo. Mogła wziąć trochę z tych wypłacanych jej co miesiąc pieniędzy i zadbać o swój wygląd. Mogła pójść do fryzjera i kupić sobie jakieś lepsze ubranie. A potem pewnego ranka już wkrótce wpadnie wreszcie na właściwego faceta i wszystkie jej problemy zostaną rozwiązane.

Wszystkie z wyjątkiem dwóch.

Musiała najpierw wyjść z więzienia, a potem jeszcze zrobić coś z Savannah.

Upłynęły zaledwie dwa tygodnie od chwili, kiedy Thomas dowiedział się o aresztowaniu Marii Cameron, więc gdy skończył rozmowę telefoniczną z pracownikiem socjalnym, nie mógł uwierzyć, jak szybko działa system. I działa się to właśnie teraz, niespełna tydzień przed Bożym Narodzeniem. Wszystko układało się w taki sposób, jakby Bóg poruszył niebo i ziemię, aby pomóc Savannah odnaleźć drogę do domu na święta.

Thomas spojrzął przez okno na zachmurzone niebo nad Denver i przypomniał sobie to wszystko, co nastąpiło w ciągu ostatnich czternastu dni. Po aresztowaniu Marii prowadzący śledztwo policjant znalazł dowody niezbicie świadczące o popełnionych przestępstwach. Maria została nimi wystarczająco obciążona, by trafić do więzienia na przynajmniej dwadzieścia lat. Przyznała się do napadu z bronią w rękę i do wypisywania czeków bez pokrycia. Do tego dochodziła jeszcze próba zakupu narkotyków od tajnego agenta. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości co do faktu, że Maria nie ujrzy światła słonecznego poza murami więzienia, zanim Savannah ukończy osiemnaście lat.

Thomas zatelefonował nawet do Harry'ego Dreskina, wątpliwej reputacji adwokata Marii, który zadziwiająco szczerze wypowiedział się o swojej klientce. - Ona nie ma pieniędzy. Robię jej przysługę - powiedział takim głosem, jakby już był zmęczony tą sprawą. - Chcę, żeby przyznała się do winy i spróbuję prosić o pięć lat, ale byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby dostała dychę.

Harry powiedział, że przekazał tę informację do pogotowia opiekuńczego z dwóch powodów. - Po pierwsze - tłumaczył - to dziecko zasługuje na rodzinę, a po drugie, Maria nie chce być matką, ani w więzieniu, ani po wyjściu na wolność. Zmęczyła się udawaniem.

W innych okolicznościach Thomas współczułby małej dziewczynce zmuszonej do tymczasowego zamieszkania u rodziny zastępczej, współczułby dziecku bez mamy czy taty, którzy by je kochali i troszczyli się o nie. Lecz Savannah nie znajdowała się w takiej sytuacji jak inne dzieci w podobnych przypadkach. Była spadkobierczynią majątku wartego ponad dwa miliony dolarów, a na jej utrzymanie co miesiąc wypłacana była kwota znacznie przekraczająca wsparcie finansowe, jakie normalnie otrzymywali rodzice zastępczy. Thomas chciał, aby ta informacja została zachowana w tajemnicy przed potencjalnymi rodzicami zastępczymi czy rodzicami adopcyjnymi.

Głównym powodem, dla którego Thomas chciał, by nie informowano o pieniądzach, było to, że miał inny plan dla Savannah, plan, którym według niego kierował sam Bóg. Przed powiedzeniem czegokolwiek Annie i Nate'owi Warrenom chciał mieć pewność co do sprawy Marii, chciał wiedzieć, że Maria nie odzyska znów opieki nad Savannah za kilka tygodni czy za miesiąc.

Teraz ten problem został rozwiązany na dobre.

Rozmowa telefoniczna z pracownikiem socjalnym, którą Thomas właśnie zakończył, przyniosła tak dobre wieści, jakich już dawno nie słyszał. - Savannah Cameron

jest już oficjalnie pod opieką kuratora - poinformowała kobieta. - Pomyślałam, że chciałby pan o tym wiedzieć.

- A więc - poczuł działanie adrenaliny i odsunął się od biurka - matce odebrano prawa rodzicielskie?

- Na zawsze.

Thomas zamknął oczy. *Dziękuję, Boże...* - modlił się w duchu. *To Ty to wszystko czynisz; czuję, że Twoja obecność otwiera odpowiednie drzwi.* Zrobił głęboki oddech i powiedział: - Czyli mówi pani, że Savannah Cameron zgodnie z prawem może już zostać adoptowana?

- Tak - w głosie kobiety słychać było wyraźny śmiech. - Niech zgadnę, ma pan już kogoś na myśli?

Thomas uśmiechnął się szeroko na wspomnienie ostatniej rozmowy. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer Annie Warren - najpierw numer jej telefonu stacjonarnego, a potem komórkowego. Za jednym i za drugim razem pozostawił tę samą wiadomość: - Mam najnowsze wiadomości o Savannah. Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz mogła.

Była pora lunchu i Thomas zamówił do biura sałatkę z kurczakiem. W przeciwnym razie mógł przegapić telefon Annie, a było to jedyne połączenie, które nie mogło zaczekać. Jego wzrok padł na tabliczkę stojącą na jego biurku i kolejny raz uderzyła go wierność zapisanej tam Bożej obietnicy. Bo naprawdę Bóg z tymi, którzy Go miłowali, współdziałał we wszystkim dla ich dobra - ta prawda z pewnością dotyczyła Annie, Nate'a, Lindsay i Savannah. A nawet Josha, który był już bezpieczny w niebie.

Thomas zjadł już połowę kromki chleba na zakwasie, gdy nagle poinformowała go sekretarka: - Mam na linii Annie Warren.

- Dziękuję - odparł i natychmiast poczuł uścisk w gardle, a gdy sięgał po słuchawkę, ponownie dziękował Panu za to wszystko, co miało nastąpić, za całe to dobro, jakie miało się wydarzyć z powodu tego ostatniego rozwoju wypadków. Lecz przede wszystkim dziękował Bogu za wysłuchanie modlitw słodkiej Savannah, osieroconej przez ojca małej dziewczynki, którą Thomas miał poznać pewnego dnia, i to już wkrótce.

Dziękował za wielką miłość Boga do niej i za danie jej drugiej szansy.

Tym razem Annie i Nate byli sami. Przylecieli do Nowego Jorku poprzedniego dnia o późnej porze i po prawie całkowicie bezsennej nocy siedzieli teraz w poczekalni oddziału Służby Ochrony Dziecka na Manhattanie, starając się uwierzyć, że nie jest to tylko jakiś wspaniały sen. Zwłaszcza teraz, gdy do świąt Bożego Narodzenia pozostały zaledwie trzy dni.

- Nie mogę uwierzyć, że ona ma być nasza - wyznał Nate, nie mogąc usiedzieć na miejscu. - Modliłem się o to, ale i tak... Josh byłby taki szczęśliwy, Annie.

- Ciągle o nim myślę, jak przez wszystkie te lata pragnął, by Savannah mogła stać się częścią jego i naszego życia, częścią życia jej kuzynów - powiedziała Annie, uśmiechając się przez cały czas. - Wszystko, czego tak pragnął, spełniło się.

Nie dodała tylko smutnej i zarazem oczywistej prawdy - że Josh był jedyną osobą, którą to wszystko ominęło. Teraz liczyła się tylko Savannah. Annie oparła się o swojego męża i przypomniała sobie rozmowę telefoniczną z Thomasem. Zadał jej to pytanie wprost: - Czy ty i Nate jesteście zainteresowani adoptowaniem Savannah?

Annie zawsze będzie pamiętać to, co zdarzyło się potem. Nate siedział naprzeciwko niej przy ich stole w jadalni, a ona po przełączeniu telefonu na tryb głośnomówiący zawołała pełnym szczęścia głosem: - Proszę, Thomas, powiedz to jeszcze raz.

I wspaniały adwokat Josha powtórzył, śmiejąc się: - Spytałem, czy ty i Nate jesteście zainteresowani adoptowaniem Savannah.

Oczywiście było to pytanie retoryczne. Annie mówiła o walce o prawo do opieki nad Savannah od chwili, gdy życzenie Josha stało się dla niej jasne, czyli od rozmowy z Codym Gunnerem. Lecz zawsze odpowiedź była ta sama - jeśli lokalny oddział Służby Ochrony Dziecka nie uzna Marii za niezdolną do pełnienia obowiązków rodzicielskich, to nikt nie będzie mógł zmusić tej kobiety do pozwolenia Annie na zajmowanie się Savannah choćby jeden dzień w roku.

Jak na ironię, gdy doszło do ustalenia ojcostwa, sąd nie przejął się tym, że odmówiono Joshowi dostępu do jego córki. Savannah była jego spadkobierczynią i nic nie mogło zmienić decyzji sądu. A gdy Annie zaczęła ubiegać się o prawo do odwiedzin albo opieki nad Savannah, to same te starania świadczyły przeciwko niej. Thomas wyjaśnił, że skoro dziewczynka nie miała wcześniej kontaktu z Annie i Nate'em, nikt nie mógł jej zmusić, żeby nawiązała go teraz.

Aż do momentu, gdy wówczas zatelefonował do nich Thomas, wyglądało na to, że ich rodzina już nigdy nie zobaczy Savannah, przynajmniej do uzyskania przez nią pełnoletności. Lecz nawet wtedy nie byłoby łatwo ją odnaleźć. Annie położyła ręce na kolanach i z trudem się po-

wstrzymywała, żeby nie zacząć się głośno śmiać z radości. Teraz te wszystkie dni mieli już za sobą. Thomas działał szybko, przygotował odpowiednie dokumenty i wystąpił z prośbą o natychmiastową adopcję.

Nawet adwokat był zaskoczony, gdy sędzia sprawujący nadzór nad procesem adopcyjnym, biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, w poniedziałek po południu podpisał dokumenty. W ciągu kilku najbliższych miesięcy miało zostać przeprowadzone badanie sytuacji rodzinnej i były do uzupełnienia jeszcze różne formularze, lecz dokumenty, które mieli podpisać oboje z Nate'em dzisiejszego popołudnia, przyznawały im czasową opiekę nad Savannah aż do czasu dopełnienia wszystkich niezbędnych formalności.

Annie przypomniła sobie uroczystości pogrzebowe Josha i słowa pieśni, która została zagrana na ich początku i na ich końcu: ***Wielka jest Twoja wierność... O Boże, mój Ojciec... nie zawiedzie się ten, kto idzie za Tobą...***

Te słowa okazały się prawdziwe. Pan naprawdę każdego ranka na nowo okazywał swoje miłosierdzie. Dzień dzisiejszy był tego namacalnym dowodem. I niezależnie od tego, co jeszcze wydarzy się w ich życiu, Annie już nigdy nie będzie wątpić w tę prawdę. Dobre zamiary, jakie Bóg miał wobec Josha, i wierność, jaką On okazał jej najmłodszemu dziecku, przejawiały się w tym, że Pan zabrał Josha prosto do nieba, do lepszego życia, niż to, które miał na ziemi. A teraz Annie i Nate będą troszczyć się o jego córkę przez wszystkie dni ich życia.

Annie zastukała czubkiem buta w zniszczony dywan, który pokrywał podłogę poczekalni. Pragnęła, żeby pracow-

nik socjalny się pospieszył. Nie mogła już dłużej znieść myśli, że za zamkniętymi drzwiami, na które patrzyli, znajduje się Savannah i że dziewczynka jeszcze nie jest z nimi. Po tym wszystkim, co musiała przejść ich wnuczka w ciągu ostatnich miesięcy, mała potrzebowała miłości swoich dziadków bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Pomyślała o innych informacjach, które przekazał im Thomas. Spodziewał się, że jeszcze przed końcem roku Annie i Nate staną się współadministratorami odszkodowania, które przyznano Savannah. W świetle tego wszystkiego, co teraz wiedzieli, powiedzieli Thomasowi, że z comiesięcznej pensji, jaka była wypłacana na utrzymanie Savannah, będą korzystać jedynie po to, aby kupować jej ubrania albo kupić samochód, gdy będzie już nastolatką. Pozostałe pieniądze będą na nią czekać do uzyskania pełnoletności, tak jak życzył sobie Josh.

Annie zerknęła na nowiutką parę uszu Myszki Minnie wystających z jej torebki. Nie przywiozła ich ze sobą za pierwszym razem, gdy przybyli tutaj zobaczyć się z Savannah, bo nie potrafiła stanąć przed Daisy i powiedzieć jej o smutnym zakończeniu - Daisy, która codziennie modliła się o to, by Savannah zeszła ze zdjęcia w ramiona Annie.

Lecz teraz...

Annie usłyszała odgłos naciskanej klamki i oboje z Nate'em podnieśli wzrok w tej samej chwili. Kobieta, która była pracownikiem socjalnym, otworzyła drzwi i uśmiechnęła się do nich. - Państwo Warrenowie? - upewniła się.

- Tak? - rzucił Nate, zrywając się na równe nogi.

Annie stanęła obok niego i spytała: - Czy Savannah jest gotowa?

- Tak - potwierdziła kobieta, wskazując na kogoś w sąsiednim pomieszczeniu i po upływie kilku sekund w drzwiach pojawiła się Savannah, trzymając w rękach zniszczoną małą plastikową aktówkę z rysunkiem Małej Syrenki. Widać było, że suwak po jednej stronie jest zepsuty.

Opuściła na dół torebkę, przykładając paluszki do ust, opuszczając głowę i przyciskając podbródek po piersi. W jej oczach była ta sama niepewność i zawstydzenie, jakie odbijały się w nich, gdy spotkali się poprzednio - prawie dwa miesiące wcześniej. Tym razem Savannah miała na sobie zbyt krótkie dzinsy, a jej wygnieciony biały sweter wisiał na jej wychudzonej sylwetce. Ktoś umieścił w jej włosach niebieską kokardę i z tym wszystkim wyglądała bardziej na jakieś sześć lat niż na prawie osiem, jakie miała. - Savannah - powiedziała kobieta, kładąc rękę na ramieniu dziecka - pamiętasz swoich dziadków?

- Cześć, kochanie - przywitała się Annie i pomachała do niej ręką. - To my, babcia Annie i dziadek Nate. Pamiętasz nas? - spytała. Dopiero wówczas Annie uświadomiła sobie, że wyraz oczu Savannah nie przedstawiał niepewności czy zawstydzenia. Było to raczej poczucie krzywdy spowodowane porzuceniem i zdradą. Swoimi oczami Savannah zdawała się pytać: - Jak znów mogę wam zaufać po tym, jak wyjechaliście i zostawiliście mnie samą?

Nate także musiał zrozumieć to spojrzenie, bo przyklęknął na jedno kolano i wyciągnął do małej rękę. - Jest nam tak bardzo przykro, Savannah, tak przykro z powodu tego wszystkiego, co się stało - powiedział.

Dziewczynka podniosła wzrok i spojrzała na niego tymi swoimi oczyma, które były Annie tak dobrze znane. Stopniowo, jak stawanie się dnia o brzasku, powrócił do oczu małej dawny blask i nie mogąc już wytrzymać ani chwili dłużej, pobiegła w ich stronę, pobiegła, najszybciej jak potrafiła, i rzuciła się w ich ramiona. Oni zaś otoczyli ją, tuląc ją do siebie i dając jej takie poczucie bezpieczeństwa, jakiego nigdy nie doświadczyła w całym swoim życiu.

Ich wnuczka zaczęła szlochać i był to taki sam rozdzierający serce szloch, jaki wykrzywił jej twarzyczkę, gdy pożegnali się z nią ostatnim razem na początku listopada. Annie przycisnęła twarz do twarzy Savannah. - Och, kochanie. Już nigdy cię nie opuścimy - obiecała. Czowała napływające do oczu łzy, lecz nie mogła płakać - nie przy tej radości, która przepelniała ją całą. Ze świadomością tego wszystkiego, co ich czekało, Savannah potrzebowała się wypłakać, potrzebowała porozpaczać nad tym wszystkim, co miała wreszcie za sobą, zanim w pełni zacznie żyć nowym życiem.

Annie i Nate pozostawali w tej pozie jakiś czas, z kolanami na podłodze i z ramionami obejmującymi Savannah, pozwalając jej płakać. Przez cały czas Annie nie potrafiła przestać myśleć o Joshu i o swoich nierealistycznych oczekiwaniach, jakie miała wobec jedynego syna. Obiecała sobie i Bogu, że tych wszystkich błędów, które popełniła wobec Josha, nigdy nie popełni wobec Savannah. Bez względu na to, co dziewczynka będzie chciała robić, gdy dorośnie, Annie i Nate będą ją kochać i ją wspierać. I przy każdej nadarzającej się okazji będą jej mówić, że są z niej dumni, czego nie robiła Annie wobec Josha.

Kobieta, która była pracownikiem socjalnym, w końcu opuściła poczekalnię. Niezbędne formalności zostały spełnione i mogli zabrać Savannah, dokąd tylko chcieli. Po upływie kilku minut Savannah przycisnęła piąstkę do twarzy i powiedziała: - Czy mogę prosić o chusteczkę?

Nate podszedł szybko do znajdującego się w poczekalni biurka i ze stojącego na nim pudełka w kwieciste wzory wyciągnął kilka chusteczek higienicznych. - Proszę, skarbie - powiedział, podając je Savannah.

- Dziękuję - odparła dziewczynka. Otarła twarz i wydmuchała nos, a potem wstała i wyrzuciła pomiętą chusteczkę do kosza na śmieci. Gdy wróciła do nich, jedną rękę położyła na ramieniu Annie, a drugą na ramieniu Nate'a.

- Cieszę się, że wróciliście - wyznała. - Wiecie, dlaczego?

Annie przeciągnęła delikatnie kciukiem w miejscu tuż pod okiem Savannah, wycierając ostatnią zabłąkaną łzę.

- Dlaczego, kochanie? - spytała.

- Bo pamiętacie, że mój tata jest po tamtej stronie nieba, prawda?

- Tak - przytaknął Nate, zachwycony wnuczką. Delikatnie gładził ręką tył jej głowy.

- No bo - mówiła dalej, spoglądając najpierw na Nate'a, a potem na Annie - skoro ja nie mogę tam jeszcze pójść, to chcę, żebyście opowiadali mi o moim tacie. Tak, żebym wiedziała o nim wszystko - dodała i pociągnęła nosem. - Dobrze?

Łzy, których Annie chciała uniknąć, pojawiły się nieproszone. Jaka byłaby jej odpowiedź jeszcze przed kilkoma miesiącami? Gdyby córka Josha wówczas spytała o nie-

go, Annie potraktowałyby to pytanie w taki sam sposób, w jaki traktowała przepytywanie ją przez takich ludzi jak Babette. Musiałyby się wysilić, żeby znaleźć coś dobrego, i zarazem zataić prawdę, aby uniknąć mówienia złych rzeczy o swoim synu.

Lecz teraz - teraz mogła przeżyć resztę swojego życia, opowiadając Savannah o tym, jak jej tata uratował dwie dziewczyny od pewnej śmierci i jak opowiadał poranionym przez życie ludziom o Jezusie i jak potrafił zaprzyjaźnić się z osobami upośledzonymi, a także z kobietą, która z powodu podeszłego wieku nie mogła pojechać do sklepu. Jak potrafił dać wsparcie swojemu dobremu kumplowi i zachęcić go do pojednania się z ojcem tuż przed jego śmiercią. Jak pomógł przyjaciółce odnaleźć Jezusa. To wszystko i jeszcze tyle innych rzeczy.

Koniuszkami palców Annie otarła łzy z policzków i uśmiechnęła się do Savannah. - Rzeczywiście, kochanie - odchrząknęła, aby pozbyć się chryпки. - Dużo dowiedziałam się o twoim tacie po jego śmierci - oznajmiła i przez chwilę walczyła z emocjami, by móc wypowiedzieć myśl, która zrodziła się w jej głowie. - On był bohaterem, wiedziałś o tym?

- Naprawdę? - zachwyciła się dziewczynka. - A więc on był królewiczem z bajki i bohaterem? - uśmiechała się szeroko. - Założę się, że to naprawdę bardzo dobra historia, babciu Annie. Taka ze szczęśliwym zakończeniem.

- Tak - przyznała Annie, gwałtownie wciągając nosem powietrze, by zachować panowanie nad emocjami. I w tej jednej chwili wiedziała już i czuła to całą sobą,

że pewnego dnia opíše historię Josha, nawet jeśli nie przeczyta jej nikt z wyjątkiem jej własnej rodziny. Znow pociągnęła nosem. - Tak, z bardzo szczęśliwym zakończeniem - dodała.

Savannah przekrzywiła głowę i delikatnie pogładziła Annie po włosach. - Cieszę się, że możesz mi o nim opowiedzieć. Bo te historie o moim tacie są wszystkim, co będę miała. Te historie, no i jeszcze to jego zdjęcie, które mam, no i te listy - uśmiechnęła się. - Wciąż mam te listy. One są w mojej torebce z syrenką.

Annie wyciągnęła uszy Myszki Minnie ze swojej torebki. - Proszę - powiedziała, podając je Savannah. - One są od przyjaciół twojego taty. Wkrótce ich poznasz - wyjaśniła Annie, ponownie czując ze wzruszenia ucisk w gardle.

- To jest taki specjalny prezent.

- Są piękne - stwierdziła dziewczynka, przekręcając je i oglądając z różnych stron.

- Chcesz je założyć?

- Dobrze - zgodziła się mała i oddała je Annie. - Nigdy nie miałam uszu Minnie.

Annie wyciągnęła ręce i wsunęła opaskę na właściwe miejsce na głowie dziewczynki. - Proszę - powiedziała.

- Wyglądasz pięknie, Savannah.

- Dzięki - odparła i uważnie dotknęła ozdoby rękoma. - Myślę, że polubię przyjaciół taty.

Annie uśmiechnęła się. - Jestem tego pewna - stwierdziła i delikatnie poklepała dziewczynkę po ręku. - To co, Savannah, możemy jechać do domu?

- Naprawdę?

Nate wstał, wziął różową aktówkę małej i wyciągnął do niej rękę. - Naprawdę - odparł.

- Na zawsze? To znaczy, aż do chwili, kiedy pójdę do nieba? - spytała, podając mu rękę; wciąż wyglądała na niepewną.

- Tak, kochanie - potwierdziła Annie, biorąc ją za drugą rękę.
- Teraz jesteś naszą małą dziewczynką.

Savannah uśmiechnęła się i skinęła głową. - Jestem gotowa - stwierdziła. Wszyscy troje ruszyli do drzwi i zanim jeszcze wyszli na chodnik, Savannah znów mówiła o Joshu. - Może w metrze opowiecie mi tę historię o bohaterze, jakim był mój tata. Jedziemy metrem, prawda?

Annie cieszyła się tymi emocjami, które wypełniały jej serce. Cóż więcej mógł ofiarować im Bóg w świetle tego, co stracili? Wiedzieli, że Josh jest ze swoim Zbawicielem, a oni mieli wychowywać jego córkę z miłością i akceptacją, na jakie zasługiwała. A przede wszystkim otrzymali tę wspaniałą możliwość opowiadania Savannah o tym wszystkim, co chciała wiedzieć o swoim tacie, o jej królewiczu z bajki.

Po tej stronie nieba.

Bardziej niż babcię Annie i dziadka Nate'a Savannah kochała tylko Jezusa i swojego tatę. Oni mieli o nim wspaniałe historie i gdy w bożonarodzeniowy poranek przyszła ciocia Lindsay ze swoim mężem i dwojgiem dzieci, wszyscy usiedli wokół choinki, a babcia Annie czytała je im na głos.

Były to listy, które napisał do niej jej tata.

Wiedziała teraz znacznie więcej o swoim tacie, bo dziadek Nate znalazł wiele, wiele jego zdjęć, a zatem nie miała już tylko tego swojego ulubionego w drewnianej ramce, ale całą stertę albumów z jego fotografiami. Jej tata był przystojny i szczęśliwy i kochał Jezusa. Ją także kochał, bo powtarzał to tysiące razy w swoich listach.

Savannah wciąż nie mogła się doczekać, kiedy pewnego dnia pozna go po tamtej stronie nieba. Oglądała kilka filmów, gdzie można go było zobaczyć, i była teraz całkowicie pewna, że rozpozna go od razu po jego cudownym śmiechu. I oczywiście wyglądał jak królewicz z bajki, którym przecież był.

Lecz w międzyczasie sama zaczęła się czuć jak królewna Śnieżka, żyjąc jak w bajce. Przez wszystkie te lata, kiedy modliła się o odnalezienie swojego taty, nigdy nie była pewna, czy to jej się uda, i nie wiedziała, jak skończy się jej własna historia. Lecz teraz już to wiedziała, bo została otoczona taką miłością, jakiej wcześniej nawet nie potrafiła sobie wyobrazić. Miała nowych przyjaciół, Carla Josepha i Daisy, pana i panią Gunnerów, i do tego miała jeszcze parę uszu Myszki Minnie, piękniejszych niż te, które mogłaby sobie wymarzyć.

Lecz przede wszystkim miała babcię Annie i dziadka Nate'a, i ciocię Lindsay, i wujka Larry'ego, i Bena, i Belle, którzy byli dla niej jak najlepsi i nieodłączni przyjaciele. Miała ich wszystkich, a pewnego dnia spotka się w niebie ze swoim tatą, który był królewiczem z bajki i do tego jeszcze prawdziwym bohaterem.

Czyż mogła się spodziewać szczęśliwszego zakończenia?

Przyjaciele,

Nie wiem, czy Wam też, ale mi po ukończeniu powieści „Po tej stronie nieba” łzy płyną po twarzy strumieniami. Tak bardzo chciałabym uścisnąć w swoich ramionach Savannah, ukoić jej smutek i samotność, tak bardzo pragnęłabym zobaczyć to odległe w czasie jej spotkanie z tatą, jej królewiczem z bajki, który tak bardzo ją kochał.

Moi bohaterowie zawsze są dla mnie tacy realni. Czasami w takich chwilach jak ta mój mąż, zatrwożony moim zachowaniem, przychodzi mi z pomocą. Dlaczego u licha - niepokoi się - jego zazwyczaj szczęśliwa żona siedzi przed komputerem i wypłakuje sobie oczy? Z tego samego powodu żartuje sobie ze mnie, że pewnego dnia stanę się bardzo osobliwą starszą panią, która przestanie dostrzegać różnicę pomiędzy swoimi dziećmi a bohaterami swoich książek, a ja wówczas reaguję na te jego prztyczki, pytając go na przykład, dlaczego Carl Joseph nie wpadł jeszcze do nas na chwilę, by pożyczyć kilka jajek.

Tak, moi bohaterowie są dla mnie tacy realni.

Ta książka - jej bohaterowie, fabuła, niedający spokoju smutek i okupione cierpieniem zwycięstwa - to wszystko ściśle wiąże się z moim życiem. Do napisania powieści „Po tej stronie nieba” zainspirowała mnie historia mojego brata, Dave'a. Podobnie jak Josh Dave zrezygnował ze studiów i został kierowcą ciężarówki holowniczej. I tak samo jak mój główny bohater Dave wyciągnął dwie nastoletnie

dziewczyny spod kół pędzącego samochodu i sam został potrącony przez ten pojazd, prowadzony przez pijanego kierowcę. Stało się to pewnego chłodnego i deszczowego sylwestra przed siedmiu laty. Postać Marii Cameron została przeze mnie w całości wymyślona.

Później różnice pomiędzy prawdziwą historią Dave'a a opowieścią wypływającą mi z serca na karty tej książki zatarły się. W prawdziwej historii nie było ogromnego odszkodowania, nie było oszałamiającej, kilkumilionowej rekompensaty. Proces sądowy i przesłuchania w przypadku Dave'a nie dały niczego oprócz dodatkowej dawki niepotrzebnego cierpienia. I to raczej nie moja mama, ale ja byłam tą, która najbardziej niepokoiła się o życie Dave'a - o to, aby nie poddał się łatwo i nie zgodził się na mierność, gdy mógł naprawdę wiele osiągnąć.

Pomimo modlitw i wielu innych wysiłków podejmowanych przeze mnie, moją rodzinę, a także członków dalszej rodziny Dave przez wiele lat przeżywał poważne trudności w wierze. Wszyscy mamy takich ludzi wokół siebie, czyż nie? Ludzi, którzy wydają się iść przez życie jakąś trudną drogą. Lecz w przypadku Dave'a, zresztą tak jak w życiu Josha, szansa przemiany przyszła poprzez teledysk z muzyką country Wynonny Judd. Stało się to pewnego późnego wieczoru w osamotnieniu jego pustego mieszkania.

Ona śpiewała „Mogę sobie tylko wyobrazić” i na końcu teledysku wzniosła ręce do naszego wszechmogącego Boga - Boga, który w tamtej chwili stał się dla Dave'a bardzo realny. Zaczął szukać tego utworu i trafił na zespół, który wielu z Was jest dobrze znany - grupę „MercyMe”.

Potem słuchał tej piosenki przez cały dzień i przez dzień następny, po czym zadzwonił do mnie.

Do tego czasu zdążyłam się do Dave'a trochę uprzedzić. Odrzucał każdą propozycję wspólnego pójścia do kościoła albo wzięcia udziału w naszym cotygodniowym studium biblijnym, więc gdy tamtego środowego popołudnia zobaczyłam jego imię na wyświetlaczu telefonu, pomyślałam, że dzwoni do mnie z jednego powodu - żeby znów pożyczyć pieniądze. O mało co nie odeszłam od telefonu; niewiele brakowało, abym przegapiła jeden z najważniejszych momentów w moim życiu. Lecz dzięki Bożej łasce i Jego miłosierdziu zostałam wewnątrznie przymuszona do odebrania połączenia.

- Halo?

- Cześć, Karen - przywitał się, a ja słyszałam także grający w tle utwór. - Nie uwierzysz - mówił głośno, przekrzykując muzykę. - Znalazłem tę piosenkę i czuję się tak, jakbym w końcu naprawdę uwierzył w Boga.

Musiałam usiąść, żeby zastanowić się nad tym, co się działo. Mój brat nie mówił do mnie jak zwykle - odległym, stłumionym i pełnym pretensji głosem, lecz otwierał przede mną swoje serce, ciesząc się niewiarygodną przemianą, jakiej doświadczył. Powiedział mi o teledysku i o odnalezieniu utworu i na koniec rzucił z niepohamowaną radością: - Czy w ten weekend mogę pójść z wami do kościoła? Mówię poważnie. Nie mogę się już doczekać.

Dave był uzależniony od OxyContinu przez trzy lata, zanim odnalazł głęboką wiarę. Kiedyś, podczas jednego ze spotkań rodzinnych, weszłam do kuchni, by nalać wody do dzbanków, i zobaczyłam go, jak stoi ze łzami w oczach,

zaciskając zęby i trzymając się kurczowo brzegu kuchennego blatu. Pot wystąpił mu na czoło, a on spojrzał na mnie skruszonym wzrokiem i powiedział: - Przepraszam, Karen... ten ból jest taki okropny. Ledwie to wytrzymuję.

Lecz gdy wzrosło w nim pragnienie Boga i Jego Słowa, gdy odnalazł radość śpiewania pieśni pochwalnych na cześć Stwórcy wszechświata, już więcej nie mówił o swoim bólu. Wciąż go doświadczał, jestem tego pewna. Lecz ten ból nie określał go w taki sposób, w jaki określała go jego wiara i nadzieja na przyszłość.

W każdy weekend przez sześć tygodni z rzędu Dave chodził z nami do kościoła na nasze ulubione sobotnie nabożeństwo wieczorne, a potem szedł jeszcze raz z moimi rodzicami na poranne nabożeństwo w niedzielę. Pamiętam nabożeństwo w ten szósty weekend, jakby to było wczoraj. Biegliśmy spóźnieni - trzech młodszych synów wciąż miało na sobie stroje do piłki nożnej, jeden trzymał serwetkę przy nosie, z którego nagle zaczęła mu lecieć krew. Wśród chaosu i ogromnego pośpiechu odprowadziliśmy czterech młodszych synów do szkoły niedzielnej, a potem wbiegliśmy do zaciemnionego kościoła, już po rozpoczęciu pierwszej pieśni. Wszyscy ludzie stali, lecz z łatwością dostrzegłam z przodu mojego prawie dwumetrowego brata, w trzecim czy czwartym rzędzie.

Robił to, co każdy z nas by robił, czekając na kogoś w kościele. Co kilka sekund odwracał się i zerkał za siebie przez ramię, szukając mnie na tyłach kościoła. Wraz z Donaldem i dwojgiem naszych starszych dzieci usiadłam w jednym z tylnych rzędów i zaraz przeprosiłam ich na

chwilkę. Musiałam przynajmniej pójść do Dave'a i powiedzieć mu, że zajęliśmy miejsca z tyłu, a skoro wszyscy stali, sądziłam, że nikt specjalnie nie zwróci na mnie uwagi. Nikt z wyjątkiem Dave'a.

Zobaczył, że idę w jego stronę, a gdy podeszłam bliżej, on wyszedł do przejścia między ławkami i pociągnął mnie w swoje ramiona. - Kocham cię - wyszeptał mi do ucha.

- Dzięki, że nigdy we mnie nie zważyłaś.

Nasz uścisk trwał jeszcze przez kilka sekund, potem uśmiechnęliśmy się do siebie i ja wróciłam do swojej rodziny, siedzącej na tyłach kościoła.

Wówczas widziałam mojego brata po raz ostatni.

Następnej soboty byłam na spotkaniu, gdzie podpisywałam książki. Był to piękny, słoneczny październikowy poranek. Dave planował tego dnia pojechać na mecz futbolu, w którym grał mój bratanek. Tylko że nigdy się tam nie pojawił. Od dziesięciu minut trwało spotkanie, na którym było obecnych około stu osób - Czytelników moich książek

- gdy nagle zobaczyłam mojego męża. Miał dziwny wyraz twarzy i od razu pomyślałam sobie, że coś musiało się stać któremuś z dzieci. Grały w piłkę nożną, były zaangażowane w teatr i naprawdę wiele rzeczy mogło się im przytrafić.

Poprosiłam następną Czytelniczkę, żeby zaczekała kilka sekund, i podeszłam do Donalda. - Czy wszystko w porządku? - spytałam.

- Nie, kochanie - odparł krótko, wziął mnie za rękę i odprowadził kilka metrów dalej, nie tracąc ani na chwilę kontaktu wzrokowego ze mną. - Twój brat nie żyje. Zmarł w nocy podczas snu.

To, co zdarzyło się potem, było pięknym obrazem Bożej rodziny. Tamta księgarnia stała się kościołem, Czytelnicy stopniowo dowiadywali się, co się stało. Niemal natychmiast otoczyli mnie kołem i modlili się za mnie. Po chwili pozwolili mi pójść na zaplecze księgarni i zatelefonować do rodziców. W końcu postanowiłam zostać tam i dokończyć podpisywanie książek, bo przecież ja właśnie piszę o takich wydarzeniach - o trudach prawdziwego życia i o nadziei Krzyża. O obietnicy, że ostatecznie Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra.

Tamtego dnia moi Czytelnicy i przyjaciele zarazem okazali mi wiele życzliwości i współczucia, obejmowali mnie i mówili, jak bardzo jest im przykro. Pewna kobieta miała łzy w oczach, gdy powiedziałam jej, że mój brat miał córkę, lecz nigdy nie dane mu było jej poznać. - W ubiegłym tygodniu straciłam wnuczkę - powiedziała. - Może właśnie teraz twój brat trzyma ją w niebie za rękę.

Lecz pomimo tego wszystkiego, pomimo mocnego przekonania, że Dave jest z Panem i już nie doświadcza bólu, miałam w sobie wiele żalu. W tygodniach, które nastąpiły po jego śmierci, dużo dowiedziałam się o dobroci mojego brata, o jego trosce o innych i jego współczuciu dla słabych. Zastanawiałam się, dlaczego nie wzięłam ze sobą do przodu całej rodziny i dlaczego nie usiedliśmy obok Dave'a wtedy w kościele, kiedy widziałam go po raz ostatni. I jak do tego doszło, że oddaliłam się i uprzedziłam do niego, gdy bezskutecznie próbowałam go zaprosić na studium biblijne, choć przecież Bóg nigdy nie oddalił się ode mnie ani do mnie nie uprzedził. Jedynym pocieszeniem, jakie mi pozostało, jakie wciąż pozostaje ze mną, są ostatnie słowa mojego brata.

Dzięki, że nigdy we mnie nie zwątpiłaś.

I to wszystko, moi Przyjaciele, popchnęło mnie do napisania tej książki. Chciałam podzielić się z innymi historią kogoś takiego jak Dave, kto może nie był gwiazdorem, nieustannym zwycięzcą czy człowiekiem, który odniósł sukces finansowy. Kimś, kto nie zdobył tytułu naukowego ani nie napisał bestsellerowej powieści. Kimś, kto nie był popularny i nie odniósł sukcesu w taki sposób, w jaki definiuje go świat. Bo przecież każdy z nas ma wokół siebie takich ludzi jak Dave, takich ludzi jak Josh. Chciałabym Was wezwać do tego - co często nie jest łatwe i wiele kosztuje - abyście szukali dobra tych niedostrzeganych i niedocenianych ludzi.

Nasz pastor, Matt, powiedział w ubiegłym tygodniu coś, co nie daje mi spokoju: - Jezus troszczył się o najmniejszych, ostatnich i zagubionych.

Tak, my także powinniśmy troszczyć się o takie osoby. Zachęcam nas wszystkich do odnowienia naszej miłości do najmniejszych, ostatnich i zagubionych, którzy żyją wokół nas, a przede wszystkim do tego, by - bez względu na uprzedzenia - nigdy się nie poddawać.

Bo tylko kochając i wierząc w tych ludzi, zrobimy przestrzeń dla Boga, aby On uczynił cud, tak jak uczynił cud dla Josha.

Jak uczynił cud dla Dave'a.

Zawsze, gdy kończę pisanie kolejnej książki, spędzam wiele godzin, modląc się za Was, moich Czytelników i Przyjaciół zarazem. Czasami Bóg przypomina nam o jakiejś sy-

tuacji z przeszłości, w której nasza relacja z kimś stała się napięta, i pragnie, byśmy to naprawili. Uczy nas kochać na nowo i daje nam drugą szansę, gdy tylko przylgniemy do Niego i porzucimy swoje własne drogi. Każdy z nas słyszy w odpowiedni dla siebie sposób głos Boga wzywający go do nawiązania z Nim bliskiej relacji: czasami dzieje się to podczas rozmowy z przyjacielem lub słuchania jakiegoś kazania w radiu, albo poprzez utratę kogoś, kogo bardzo kochamy.

Może także za pośrednictwem przemieniających życie powieści.

Jeśli w trakcie czytania tej książki zaczęliście, podobnie jak Annie Warren, wołać do Boga o siłę, błagać Go, by Was ponownie odnalazł, prosić o szansę stania się głęboko w swym sercu takimi osobami, jakimi kiedyś chcieliście być... to modłę się, by udało Wam się trafić do najbliższego wierzącego Biblii kościoła. Tam powinno udać się Wam znaleźć Biblię, jeśli jej jeszcze nie macie. Ponieważ ta dająca prawdziwe życie relacja z Chrystusem jest zawsze zakorzeniona w Jego prawdzie, w Piśmie Świętym.

Jeśli nie możecie kupić Biblii albo jeśli nie możecie znaleźć jej w najbliższym kościele i jeśli teraz po raz pierwszy w życiu chcecie nawiązać kontakt z Jezusem, to napiszcie do mnie za pośrednictwem mojej strony internetowej:

www.KarenKings-bury.com. Jako temat wiadomości wpiszcie słówk „New Life”, wyślijcie mi swój adres, a ja prześlę Wam Biblię. Ponieważ pomiędzy okładkami tej cennej książki znajdują się wszystkie tajemnice prowadzące do nowego życia.

Wszystkich Was zaś proszę, abyście podzielili się ze mną swoimi wrażeniami z lektury „Po tej stronie nieba”. Myślę,

że wielu z Was ma wokół siebie takie osoby jak Josh Warren. Napiszcie mi, jak historia Josha, jak to wszystko, czego dowiedziała się Annie o swoim synu po jego śmierci, przemówiło do Was i może nawet w jakiś sposób Was przemieniło.

Kontaktujcie się ze mną za pośrednictwem mojej strony internetowej, a gdy już na nią wejdziecie, znajdźcie chwilę, aby dowiedzieć się, jak możecie nawiązać kontakt z innymi moimi Czytelnikami. Możecie zostawić prośbę o modlitwę albo modlić się za kogoś innego, możecie napisać mi o jakimś bohaterze wojennym, żyjącym bądź zmarłym, i przesłać mi jego zdjęcie, aby wszyscy mogli modlić się za Waszego żołnierza. Możecie także dołączyć do mojego klubu i pogawędzić z innymi Czytelnikami o swoich ulubionych bohaterach i książkach.

Jeśli to jest Wasz pierwszy kontakt ze mną, dziękuję za znalezienie czasu na lekturę. Na mojej stronie internetowej znajdziecie inne moje książki.

Jeszcze raz dziękuję za Wasze modlitwy za mnie i za moją rodzinę. Mamy się dobrze i staramy się nadażyć za naszymi dziećmi, które stanowczo zbyt szybko dorastają. Lecz bardzo się staramy okazać im to, że jesteśmy z nich dumni - niezależnie od ich osiągnięć.

Czujemy codziennie Wasze modlitwy. Wiedźcie, że my także często się za Was modlimy.

Do następnego razu,
W Jego świetle i miłości,

Karen Kingsbury

www.KarenKingsbury.com